

OJCIEC

Michał

Cichy

Jacek

Dukaj

Wojciech

Engelking

Jakub

Małecki

Andrzej

Muszyński

Lukasz

Orbitowski

Ziemowit

Szczerek

Wit

Szostak

Michał

Witkowski

OPOWIADANIA

OJCIEC

Michał

Cichy

Jacek

Dukaj

Wojciech

Engelking

Jakub

Malecki

Andrzej

Muszyński

Łukasz

Orbitowski

Ziemowit

Szczerek

Wit

Szostak

Michał

Witkowski

SPIS TREŚCI

Jakub Małecki - **Żaglowce i samoloty**

Wit Szostak - **List**

Łukasz Orbitowski - **Tygrys**

Andrzej Muszyński - **Maczuźnik**

Michał Witkowski - **Domek**

Ziemowit Szczerek - **Miasto mojego ojca**

Wojciech Engelking - **Pat**

Michał Cichy - **Miejsce przy kuchence**

Jacek Dukaj - **Vtrko**



Jakub
Malecki

ŻAGLOWCE I SAMOLOTY

A jednak umarł.

Długo sądziłem, że nie umrze. Czasami on sam wydawał się w to nie wierzyć. Nie, nie, jeszcze nie teraz, zapewniał mnie, kiedy obaj dobrze już wiedzieliśmy.

Pamiętam, jak uśmiechał się wtedy, ubrany w bordową pidżamę i skórę marszczącą się na nim coraz bardziej, a ja myślałem tylko o tym, że to już dawno nie jest Felicjan Taranowicz, że Felicjan Taranowicz umarł dużo wcześniej.

Po raz pierwszy urodził się w kwietniu 1938 roku jako czerwone trzy kilogramy ruchu i wrzasku, po raz drugi trzydzieści pięć lat później: pulchny neurotyk z „New York Timesem” w roztrzęsionych dłoniach. „Z perspektywy pierwszego miejsca najważniejszej na świecie listy bestsellerów rzeczywistość wygląda inaczej”, zapewniają mnie dzisiaj stare artykuły z gazet, które czytam nie wiadomo po co. Wiele razy wyobrażałem sobie, jak tata musiał się czuć, kiedy w ciągu kilku miesięcy sukces zwałił mu się na głowę, przysyłając całe dotychczasowe życie i wysyłając jego znajomych na coraz szersze orbity.

Ja znałem go już tylko takiego: Felicjana Taranowicza rozciągniętego pomiędzy lotniskami, kawiarniami i fleszami aparatów, wywleczonego z domu na łamy gazet i telewizyjne ekrany. Obcy wiedzieli o nim często więcej niż ja. Pamiętam, jak Jąkała Leszek z podstawówki wyjawiał mi kiedyś w sekrecie, że mój tata, chociaż „chory od słodyczy”, po kryjomu je w nocy mnóstwo marcepanu, a papierki wciska w szczelinę wersalki. Wie, bo słyszał w wywiadzie. Wróciłem do domu i w butach, w kurtce, popędziłem do gabinetu ojca, co było mi zabronione. Zanim zdążył oderwać się od swojego remingtona, grzebałem już we wspomnianej szczelinie, wyciągając garście błyszczących sreberek.

– Tylko nie mów mamie – prosił mnie później, paląc papierosa. – Ja się jej strasznie boję.

Tata wyglądał, jakby przez dekady odżywiania się czekoladą i starannego unikania ruchu całe ciało spłynęło mu powoli w rejon pasa, układając się tam w galaretowaty wał, który podrygiwał podczas każdego jego kroku. On sam chyba tego nie zauważał, sprawiał wrażenie, że jest mu w sobie samym wygodnie.

Co innego mama: zawsze była w ruchu, zawsze rozpedzona, zajęta. Raz w tygodniu chodziła z panią Turkowską na basen, raz w tygodniu wyciągała mnie do lasu na spacer. W domu robiła wszystko to, co w tamtych czasach robiły w domach kobiety, i wszystko to, co robili w nich mężczyźni. Kładła boazerię,

malowała sufity, naprawiała spłuczkę i wymieniała korki. Tata z czarującym uśmiechem przyznał kiedyś w wywiadzie, że nie potrafiłby wbić gwoźdźca.

Oprócz zajmowania się domem mama wychowywała dwóch synów: tatę i mnie.

Tata był z nas dwóch tym młodszym. To jemu trzeba było zwykle ustępować, inaczej złościł się, zamykał w gabinecie i przywierał do swojego remingtona na kilkanaście godzin. Stuk-stuk-stukutuktuk-trrrach i kolejna linijka, przez cały dzień albo całą noc – to już lepiej było ustąpić.

Wchodziliśmy na przykład we trójkę do sklepu modelarskiego, gdzie kupował olbrzymi żaglowiec albo czołg. Kiedy ja, uwieszony to na nim, to na mamie, błagałem, żeby mi kupili samolot, odpowiadał krótko:

– Żaglowce są fajniejsze. Zobaczysz.

I te fajniejsze żaglowce musiałem za nim nosić. Kartony grzechotały cicho w rytm moich krótkich, szybkich kroków.

Na szczęście były też niedziele.

Tata w niedziele nie pisał. Zazwyczaj wstawał wcześniej rano i wyciągał mnie z łóżka.

– Ubieraj się, Królu Przemysławie. Już pora.

Zaspany, przelewałem się z łóżka prosto na niego, a on prowadził mnie do łazienki, do szafy, przed drzwi. Budziłem się dopiero, kiedy sadzał mnie na skrzynce w przedpokoju i kazał wiązać buty. Mnie i sobie. Sam ledwo się schylał.

Po wyjściu z domu należało wykonać rytuał. Patyczkami, które tata składował przy furtce specjalnie do tego celu, rzucaliśmy w okno salonu albo sypialni rodziców. Kiedy za szybą pojawiała się twarz mamy, tata unosił ręce nad głowę i obracał się wkoło, a ja skakałem obok, wyginając ciało jak kawał plasteliny. Tańczyliśmy tak, każdy po swojemu, przez chwilę, a potem bez słowa odwracaliśmy się i ruszaliśmy na przystanek. Przed pierwszym zakrętem patrzyliśmy, czy mama jeszcze jest. Zwykle była. Machaliśmy do niej i znikaliśmy za rogiem.

Tak, w niedziele byłem Królem Przemysławem.

Król Przemysław wybierał: wesołe miasteczko, sklep z zabawkami, basen, lodziarnia, gokarty. Król Przemysław oglądał w kinie trzy filmy z rzędu i jadł tyle kawałków sernika, ile tylko mógł zmieścić. Czasami jeździł tramwajem od pętli do pętli, czasami bujał się na huśtawce napędzanej tatą.

Król Przemysław był bardzo mądry i wiedział, że niedziela trwa krócej niż inne dni tygodnia, ścisnął więc w niej, ile się dało, a w drodze powrotnej do domu słał się ze zmęczenia. Mama czasami krytykowała tatę za to, że tak wykańcza Króla podczas tych niedzielnych wypraw – Król Przemysław oponował wtedy i udawał, że ma jeszcze sporo sił. Chodził po domu, gwizdał i próbował rozmawiać, aż w końcu padał do łóżka w ubraniu, z którego trzeba go było później ostrożnie rozbierać.

Jeśli Król chciał – a zwykle chciał – tata zabierał go w niedzielę do sklepu modelarskiego. Po drodze omawiali plan zakupowy i negocjowali budżet. Król był znacznie lepszym negocjatorem niż tata. Ostatnie sto metrów przemierzał w nerwowych podskokach.

Kiedy docierali na miejsce, tata wypuszczał go do środka jak z procy i tubalnym głosem oświadczał:

– Dziś żadnych żaglowców dla geriatry, panie Romku. Dziś wyłącznie samoloty dla Króla!

Tylko raz widziałem go naprawdę. Widziałem z ukrycia.

Wigilia, dziewięćdziesiąty szósty rok, za oknem już czarno. Siedzimy przy stole: ja, rodzice i ciocia Basia, która robiła najlepszy sernik na świecie, a przynajmniej na osiedlu. Siedzimy i wszyscy udajemy, że nie słyszą tych mlaśnień, siorbnień i chlupnień, tej lawiny odgłosów z miejsca, gdzie mój tata, Felicjan Taranowicz, je.

Tata zawsze sam kupował sobie prezenty. Te, które dostawał od innych, ode mnie również, mało go interesowały. W prawdziwą ekscytację wpadał, gdy czekał na rozpakowanie prezentu od siebie. Dlatego w wigilię Bożego Narodzenia jadł jeszcze szybciej niż zwykle, a już zwykle jadł przecież tak, jakby za chwilę miał być koniec świata. Za każdym razem kiedy matka ścisłym krzykiem wyrzucała mu w kuchni, że przed gośćmi znowu umierała ze wstydu, on odpowiadał niezmiennie:

– Och, tam, przecież wiesz, że ja zdanie gości to mam, Mireczko, trochę w dupie.

Mój ojciec, najpopularniejszy polski prozaik pokolenia, nigdy nie miał niczego w dupie tak zupełnie i całkowicie, zawsze tylko trochę, jakby nawet porządnie lekceważyć innych mu się nie chciało.

Wtedy tak samo: wrzucił w siebie dwanaście potraw, rozerwał mniej ważne pakunki – koszulę od mamy i ruchomy atlas nieba ode mnie – a potem z namaszczaniem ujął w serdelkowate palce pudło z napisem DLA MNIE. Ze swojego miejsca na kanapie, otoczony zasiekami książek, słodczy i skarpet,

spoglądałem na atlas, który załatwiałem dla niego już od połowy października przez kolegę ze studiów i na który wydałem tyle, że sam się sobie dziwiłem, ale wydałem, bo tata wspomniał kiedyś, że taki atlas by chciał. Leżał obok najeżonej szpilkami koszuli, a właściwie trochę pod tą koszulą, wciąż w ochronnej folii.

Kiedy już wszyscy poszli spać – wszyscy, czyli wszyscy oprócz ojca, bo on w tamtym czasie sypiał po dwie, trzy godziny na dobę – zakradłem się korytarzem pod jego gabinet i zajrzałem do środka przez uchylone, zapewne w pośpiechu, drzwi.

Dostał od siebie mikroskop.

Patrzyłem, starając się nie oddychać: pionowy urywek pokoju, kawałek biurka, fragment taty. Tata zgięty nad instrukcją, skupiony, co jakiś czas spoglądał w okular, przyciska coś, kiwa głową i spogląda znowu. Wystawia z ust koniuszek języka, tak samo jak przy pisaniu.

Stałem tak przez godzinę, może dłużej.

Człowieka, który w skupieniu czytał instrukcję obsługi mikroskopu, widziałem po raz pierwszy w życiu. Mówił do siebie, mrucał, uśmiechał się, raz parsknął głośno i zaraz pokręcił głową. Wstydziłem się patrzeć na niego takiego, ale patrzyłem. Wstydziłem się z tych jego min cieszyć, ale cieszyłem się. Wstydziłem się być taki, ale byłem.

Wróciłem do swojego pokoju i zasypałem poduszkę serią ciosów. Wbijałem pięści głęboko w puch i wyobrażałem sobie, że to nie poduszka jest moją bezbronną ofiarą, ale tamten nowy, błyszczący mikroskop.

A teraz siedzę w szpitalu i nie bardzo wiem, co dalej. Powiedzieli mi, że nie żyje. Nic więcej.

No bo co więcej.

Nie wiem, co się robi, kiedy ci umiera ojciec, bo nigdy wcześniej nie umarł mi ojciec, ale wydaje mi się, że najpierw trzeba gdzieś zadzwonić. Do zakładu pogrzebowego? Do ubezpieczalni? Miał chyba polisę, nie wiem. Do cioci Basi nie zadzwonię, do niej trzeba osobiście, siostra rodzona przecież, ale jeszcze nie teraz, jeszcze chwilę.

Nie robię więc nic. Siedzę tak dalej, piętnaście minut nikomu przecież już różnicy nie robi.

Któregoś razu tata sprezentował sobie na urodziny kamerę. Dużo później nagrywał. Mnie, mamę, głównie siebie. Czasami stawiał kamerę na statywie za swoimi plecami, pod kątem, tak, żeby było widać maszynę, popielniczkę i zapas marcepanu. Rejestrował całe godziny stukania w klawisze, mlaskania,

wzdychania, zaciągania się dymem. Mama powtarzała, że to wszystko pewnie po to, żeby dało się zrobić o nim po śmierci dużo filmów dokumentalnych, on twierdził, że po prostu to lubi.

Może lubił.

Kasety walały się po całym domu. Opisywał je datą i zostawiał gdzie popadnie, a mama krążyła później po śladach jego nocnych wędrówek i zbierała to, co po sobie zostawił: taśmy, ogryzki, papierki po cukierkach. Kasety chowała w szafie w przedpokoju.

Dwa tysiące trzynaście, awantura: ojciec szuka kaset, kasety zniknęły. Mam trzydzieści dziewięć lat, od dwunastu jestem kucharzem, od pięciu mam swoją restaurację, od dwóch nie mam żony. Tego dnia dowiedzieliśmy się, że tata prześcignął Kapuścińskiego i Lema w liczbie tłumaczeń na języki obce, otworzyliśmy „koniaczek”, mama wygłosiła toast. Po obiedzie pijemy z mamą kawę, taty nie ma, bo nawet jak jest, to go zwykle nie ma, ale nagle jest, i to bardzo: kręci się po całym domu, łysiejąca trąba powietrzna ze strachem na spulchnionej wiekiem twarzy. W życiu nie widziałem, żeby tak szybko się poruszał.

Pyta nas, gdzie są kasety. Mówię, że nie wiem, od dwóch dekad z nimi nie mieszkam, skąd mam wiedzieć? Mama też nie wie, ale szuka, pomaga, zagląda wszędzie: nie ma. Ojca nic nie przekonuje. Przetrzęsa kolejne półki, szuflady i pawlacze, a potem przetrzęsa je od nowa, jakby wierzył, że przy piętnastym otwarciu tej samej szafki okaże się, że kasety jednak tam są.

Musiały zawieruszyć się podczas którejś przeprowadzki, tłumaczy mama, przestań, na pewno się znajdują. Nie ma już do niego tej cierpliwości, co kiedyś, złości się, rezygnuje. Szukaj sobie sam.

Felicjan Taranowicz szuka więc, ale szuka z takim impetem, że w końcu dołączamy do niego i my.

Kaset nigdzie nie ma.

Uchowała się jedna: czternaście minut nagrań. Czternaście minut Felicjana Taranowicza, które pół roku później przypadkiem znalazłem w pudle z ozdobami na choinkę.

Na kasecie ujęcia są trzy.

Ujęcie pierwsze: ojciec i ja na huśtawce za domem. Mam lat dwadzieścia pięć, on sześćdziesiąt jeden. Ja z puszką coli, on z paczką papierosów. Ja z fryzurą à la późny Nick Carter, on łysy jak grejpfrut. Przed nami stara suka Alexis leży w nadziei, że z nieba, czyli konkretnie z huśtawki, spadnie coś dobrego. Ona jedyna wydaje się spoglądać w kamerę.

Na nagraniu nie słyhać, o czym mówimy, ale ja pamiętam: ojciec wsuwa do ust michałka i bez ostrzeżenia pyta:

– A ty o czym tak najbardziej na świecie marzysz, co?

Zyskuję trochę czasu, upijając łyk coli, potem odchrząkuję i pochylam się, głaszczę Alexis po łbie, ale dłużej się nie da, więc mówię, że tak najbardziej to chyba o mieszkaniu w Fezie z wielkim tarasem i widokiem na medinę, a na tym tarasie najdroższy teleskop, jaki by mi się udało znaleźć, no, to by było fajne.

Mówię to wszystko, bo wydaje mi się, że w ten sposób mam szansę zaciekawić tatę albo przynajmniej jakoś bardzo go nie rozczarować, bo przecież naprawdę marzę tylko o tym, żeby Karola, w której od jesieni jestem beznadziejnie zakochany, wreszcie zgodziła się ze mną umówić. Wszystko na świecie, co nie jest Karolą albo nie jest z nią jakoś związane, zwyczajnie nie istnieje. Fez i drogie teleskopy również.

Tata nie daje po sobie poznać, czy mu się moje marzenie podoba, czy nie, tylko poważnie kiwa głową i zaciąga się dymem, a ja nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć, pytam więc, o czym najbardziej na świecie marzy on.

– O ciężarówce marcepanowych batoników – odpowiada, nie patrząc na mnie.

Mój ojciec kocha marcepan tak samo beznadziejnie, jak ja Kocham Karolę, więc wcale mu się nie dziwię, najwyżej tej ilości.

– Przecież w życiu byś tego nie zjadł – mówię i pytam, co by zrobił z resztą.

Ojciec wzrusza ramionami.

– To akurat to miałbym chyba trochę w dupie.

Do dziś zdarza mi się myśleć, że na jakimś strychu lub w jakimś magazynie olbrzymi fragment życia mojego ojca powoli kruszeje razem ze starymi taśmami wideo. W tych kartonach jest też mama i jestem też ja, ale tak samo jak w życiu: najpierw jest ojciec, my dopiero potem.

A teraz jestem już tylko ja.

Teraz siedzę w szpitalu, a kilkanaście (kilkadziesiąt?) metrów ode mnie znajduje się ciało mojego ojca, w którym mojego ojca już nie ma, bo mojego ojca nie ma już nigdzie i to jest tak niedorzeczne, że miałoby się ochotę popukać świat w głowę.

Pielęgniarka, którą dobrze znam, mija mnie bez słowa. Ma na imię Renata, jeździ do pracy rowerem i nie lubi mnie tak samo jak większość pozostałych członków personelu. Po tym, co zrobiłem, kilka osób przestało się do mnie odzywać, a oddziałowa nazwała mnie raz nawet bezczelnym gnojkiem.

Trochę się jej nie dziwię.

Nagranie drugie: Wielkanoc, kilka dni po premierze *Kameleona* Wajdy na podstawie nowej książki ojca. Na kanapie i w fotelach krewni rozstrzelani seriami z białej kiełbasy, jaj, rogali i sernika: leżą z wypiętymi brzuchami, bezwładni, nieruchomi. Chwila szarego szumu i przeskok: wszyscy znowu za stołem. Kamera ustawiona na meblach, oprócz ojca nikt nie wie, chyba że to, co się teraz dzieje, będzie się dziać na ekranie jeszcze wiele razy.

Po dwóch i pół minucie widać, jak tata daje mi porozumiewawczy znak, a ja z wyrazem nieudolnie skrywanego podniecenia na twarzy sięgam powoli pod stół. Jestem na trzecim roku studiów, ale tamtego dnia przez kilka minut znowu mam jedenaście lat i znowu mnie wiele rzeczy cieszy.

W dłoni dzierzę niebezpieczny oręż: lśniące udko kurczaka. Wypoczywająca wśród nóg Alexis unosi łeb i przez ułamek sekundy nie wierzy, że ją to spotyka. Przysuwa się do mnie, świadoma, że jeden nieostrożny ruch może kosztować ją utratę tej wspaniałej nagrody nie-wiadomo-za-co. Puszysty ogon powoli zamiata podłogę z prawa na lewo i z powrotem.

W świecie ponad blatem stołu twarz ojca jest nieruchoma, poważna. Oczy ojca: jak oczy tego rozrabiaki z podstawówki, który strzelił kiedyś petardą na lekcji polskiego. Ja wyglądam, jakbym nazał się takich właśnie petard i jakbym zaraz miał wystrzelić sam sobie przez głowę. Co chwilę zerkam na niewzruszonego ojca, a potem uciekam wzrokiem w miejsca, w których, jak sędzę, nikt tego mojego wzroku nie znajdzie.

Czuję, jak udko drży, nadgryzane ostrożnie przez naszego psa nazwanego przez mamę na cześć bohaterki *Dynastii*; zastanawiam się, co później zrobię z kością. Położę na talerzu obok szczątków udka, które sam zjadłem: jasny dowód zbrodni. Upuszczę na dywan: murowana katastrofa.

I nagle „mlask”. Alexis przegrywa z własnym apetytem, mama zerka pod stół, pozostali cofają nogi, tylko ojciec i ja siedzimy, jakby nigdy nic. Czerwienieję od szyi po czoło.

Wokół nas popłoch: Alexis rzuca się do szaleńczej ucieczki, unosząc w pysku nadgryzioną zdobycz, mama krzyczy na tatę, że to nie jest zabawne i że wszystko znowu będzie uświnione, a wujek Marcin rży. Ojciec podnosi się, podbiega do kamery, obraz tańczy nagle, w tle słychać mój coraz głośniejszy śmiech.

Ciemno.

Pielęgniarki i lekarze nie lubią mnie za to, co zrobiłem dwa tygodnie temu, choć przecież nic się w sumie wielkiego nie stało. Niektórzy mieli jednak podobno przeze mnie problemy. Podobno naraziłem pacjentów na

niebezpieczeństwo. Podobno gdyby akurat karetka, gdyby poważny przypadek, opóźnienie i tak dalej. No nie wiem.

Zresztą, sprawa na policji trwa. Uprzedzono mnie, że dostanę gigantyczną grzywnę. Kiedy policjant poinformował mnie o tym, próbowałem okazać jakąś emocję, strach, smutek, może rozczarowanie chociaż, ale zdaje się, że nie do końca mi to wyszło. Jestem synem Felicjana Taranowicza i do gigantycznych grzywien, jak do wielu innych rzeczy, mam stosunek obojętny.

Nagranie trzecie: mama i ja.

Siedzimy w kawiarni na Kazimierzu, a niebo błyszczy za nami, pokrojone śladami samolotów. Mały okrągły stolik, dwie kawy, coca-cola i talerzyki ze smugami po cieście z rabarbarem.

Mam krótką brodę, opaleniznę z Egiptu i jestem już po rozwodzie. Mama szczupła, w przyciemnianych okularach, z papierosem. Oblizuje widelczyk po cieście i odkłada go w zamyśleniu, powoli. Na skraju filiżanki maźnięcie w kolorze jej ust.

Tata jest samym głosem; tata kręci.

– Ja to bym jeszcze chyba jeden kawałek zjadł, co wy na...

Szum, szaro i ciemno.

Czternaście minut i trzy, cztery, pięć sekund, kolejne. Czas na ekranie płynie dalej, odmierzany zielonymi cyframi w lewym dolnym rogu, ale już bez nas. Ostatnia z trzech pozostałości po filmowej kronice naszego wspólnego życia mogłaby kończyć się na wiele radosnych, smutnych i zaskakujących sposobów, ale kończy się urwanym zdaniem o cieście – po latach doszedłem do wniosku, że to może wcale nie najgorzej.

Niecały rok po zaginięciu kaset w płucach mojego ojca wykryto więcej, niż powinno tam być. Jakby w końcu sam się w sobie nie potrafił zmieścić. Wracał z kolejnych badań i deklamował mamie w przedpokoju wyniki, ekspertyzy. Czytali wspólnie książki z zakresu onkologii, jeździli po całym świecie na konsultacje, rozmowy, terapie. Któregoś razu wrócił ze szpitala i od progu krzyknął:

– Mireczko! Trochę lepiej!

Skopał buty ze stóp, marynarkę powiesił na krześle.

– Zobaczysz, jeszcze chwila i zaczniemy powolutku wychodzić na prostą!

Mama nic nie odpowiedziała. Leżała na balkonie w ciemnej kałuży kawy, otoczona mozaiką z rozbitej filiżanki.

Straciłem wtedy ich dwoje. Tata wprawdzie żył, ale życie, które trzeba opatrywać słowem „wprawdzie”, to przecież żadne życie. Któregoś wieczoru zastałem go na kanapie z opróżnioną butelką whisky, której nie lubił. Otworzył oczy i powiedział mi, że czuje się zdradzony. To on chorował, to jemu wszyscy współczuliśmy, to on powinien – on, On, ON.

– Mirka mnie oszukała – powtarzał w kółko, tuląc butelkę do brzucha.

Tamtego wieczoru to on na chwilę był chłopcem. Płakał i prosił, żebym mu potwierdził, czy ona to tak naprawdę. Czy już się z tym nic nie da zrobić. Przecież ma pieniądze. Żądał, żebym to wszystko jakoś cofnął.

Od śmierci mamy nie napisał ani zdania. Zerwał umowę z wydawcą, zwrócił zaliczkę za powieść. Odwiedzałem go i zamiast Felicjana Taranowicza zastawałem w domu zwykłego starego człowieka. Siadałem z tym zwykłym starym człowiekiem na kanapie i słuchałem opowieści o wielkim życiu, które jemu musiało wydawać się wtedy równie egzotyczne, jak mnie.

Chciałbym móc powiedzieć, że mój wyjątkowy ojciec walczył z tym wszystkim niezwykle zaciekle, ale prawda jest taka, że nie walczył w ogóle. Wsiąkał głęboko w siebie, oddalając się od wszystkiego, co teraz, i wszystkiego, co kiedyś. Jego pamięć była jak wnętrze domu po powodzi: niby nic nie zniknęło, ale wszystko do niczego.

O zagubionych kasetach w ogóle już nie wspominał i tylko ja czasami w samotności oglądałem te czternaście minut znalezione w pudle z ozdobami na choinkę, powoli opracowując plan, za który wszyscy mnie tu teraz nienawidzą.

Łatwo nie było, głównie dlatego, że mając w życiu wszystko, nie musiałem mieć znajomości. Nigdy nie wiedziałem, jak to jest coś „załatwiać”. W pierwszych dwóch firmach transportowych mocno się wygłupiłem, dopiero w trzeciej mężczyzna z magazynu wziął mnie na bok i zapytał, ile chcę za coś takiego zapłacić. Wzruszyłem ramionami, w końcu dogadaliśmy się, pewnie mnie naciągnął.

W hurtowni było trochę łatwiej. Musiałem oczywiście poczekać. Poczekalem. Później miałem już wrażenie, że to nie ja tym kieruję i że wszystko dzieje się samo.

Myślałem, że nie zdążę.

Zdążyłem.

Wtorek, piętnasta, za oknami jesień. Wchodzę do sali, jak zwykle, ale tym razem nie jest jak zwykle, tym razem muszę się spieszyć. Tata leży z uchylonymi ustami i nie wiadomo, czy śpi, czy jest przytomny, bo od kilku tygodni sprawia

wrażenie, jakby nie potrafił utrzymać się dłużej po żadnej ze stron. Przez większość czasu unosi się bezwładnie gdzieś pomiędzy, a ja mogę mieć tylko nadzieję, że w tym pomiędzy jest mu w miarę dobrze.

Podchodzę do niego i poruszam jego dłoń, zachowując ostrożność zarezerwowaną dla takich właśnie jak on, starych i szklanych ludzi, w których wszystko może nagle pęknąć.

Otwiera oczy i widzę, że mnie widzi.

– Ubieraj się, Królu Felicjanie – mówię cicho. – Już pora.

Król Felicjan spływa mi z łóżka na ręce, pomagam mu, podtrzymuję, pytam, czy da sobie radę, odpowiada:

– Dam.

Nie daje rady: walczy, napina się i w końcu uwiesza się na mnie, chudy, a jednocześnie ciężki. Ubieram go w polar, dresy i buty, tłumaczę, żeby tak głośno nie stękał – Król Felicjan i tak stęka. Pod cienką warstwą ubrań i jeszcze cieńszą warstwą jego czuję twarde kości, jakbym obejmował namiot spakowany nieudolnie w zbyt duży pokrowiec.

W końcu stoimy, ale stoimy przez chwilę, bo tym razem ja tracę równowagę, wplątując się w zwisającą z łóżka kołdrę. Chwieję się, potykam i obracam, ciągnąc ojca ze sobą, w końcu odzyskujemy równowagę, ale w ostatniej chwili nogą, biodrem – może ręką? – strącam z szafki przy łóżku model żaglowca, który przyniosłem tu kilkanaście dni wcześniej i na który ojciec, z tego co wiem, nawet w tym czasie nie spojrział. Statek opada dziobem ku bezkresnej tafli podłogi i rozbija się o nią z hukiem zadziwiająco głośnym jak na coś tak lekkiego.

W uścisku, z ramionami wokół siebie, zdyszani, tata i ja zamieramy.

Czekam na klęskę w postaci oddziałowej, czekam, czekam i czekam, ale drzwi nie otwierają się gwałtownie, krzyk: „Co się dzieje?” nie odbija się od ścian, ojciec nie wraca skruszony do łóżka, a ja nie uciekam we wstydzie na korytarz, na parking, do domu. Nic takiego się nie dzieje. Czekamy, a potem idziemy.

Może jednak się uda.

Przeszkody są dwie.

Pierwsza to długość korytarza, która nie pozwala mieć zbyt dużych nadziei na to, że nikt nas nie nakryje, ale przecież gdyby ludzie nie próbowali robić tego, na co nie ma zbyt dużych nadziei, to cały ten szpital byłby pusty. A próbują: tam w dole, na korytarzach z zieloną lamperią, życie, nawet jeśli już prawie dokonane, aż huczy spod wszystkich tych płaszczy, beretów, bandaży.

Idę więc, idziemy, szuramy korytarzem z nogi na nogę, ja i Król Felicjan szarpany tą potężną grawitacją wycelowaną tylko w poźółkłe duchy, takie jak on.

Idziemy wystraszeni – każdy czymś innym – zmęczeni i spoceni już, ale jakoś, mimo wszystko, idziemy.

Docieramy do windy, nikt nas nie widział i nikt nas nie zatrzymał, sam w to nie wierzę, wduszając zielony przycisk i podtrzymując ojca, który nie ma pojęcia, dokąd go tak ciągnę i właściwie po co, ale chyba mi ufa, a ja, widząc to, boję się jeszcze bardziej.

Przeszkoda druga: palące pielęgniarki. Stoją przed szpitalem, w grupce, nie sposób ich nawet policzyć, są jak stado gołębi, wszystkie podobne do siebie, wszystkie niespokojne, w ruchu. Przez chwilę się waham, ale tylko przez chwilę, teraz już nie ma co się wahać, teraz trzeba robić, więc robię: jedno drzwi, drugie, krok za krokiem, na twarzy pewność siebie.

Na zewnątrz przystajemy, targany wiatrem Król Felicjan chwytą kolejne oddechy. Do wyboru mamy schody albo podjazd, ale podjazd długi – więc schody.

Lewa, prawa, lewa, jak w kisielu.

Wciśnięty między poręcz a mnie, coraz mniejszy Król Felicjan pokonuje pierwsze dwa, trzy stopnie, na czwartym się chwieje. Nie patrzę na pielęgniarki, patrzę przed siebie, napinam się cały i szepczę w kołnierz kurtki:

– Już prawie jesteśmy. Wytrzymaj.

Wytrzymał.

Docieramy do ławki, opadamy na ławkę, ławka nas ziębi w uda.

Czekamy minutę, dwie minuty, dziesięć. Tata o nic nie pyta, ale wiem, że zapytałby mnie, tylko nie ma siły. Nie mieć siły pytać to jest coś, czego sobie człowiek chyba nie potrafi wyobrazić, dopóki nie dociera do tego zamglonego, wyludnionego miejsca, gdzie już po prostu nie może. To, że ojciec już tam jest, upewnia mnie tylko, że zrobiłem dobrze, a przynajmniej nie najgorzej.

Problem w tym, że to jeszcze nic pewnego. Jeszcze nie wiadomo, czy zrobiłem cokolwiek, czy może skończyło się jak zwykle, tym rozmemłanym „prawie”, nieporównywalnie gorszym niż stanowcze „jednak nie”. Powoli gdzieś w środku mnie, ani wysoko, ani nisko, po prostu gdzieś, rozrasta się obraz nas dwóch, siedzących tu godzinę później, dwie godziny później. W głowie tylko dwa słowa, coraz głośniejsze i coraz bardziej wyraźne: „Nie przyjedzie”.

Nie przyjedzie, a ja wyciągnąłem tu Króla Felicjana, w to zimno, w tę szarość.

Nie przyjedzie, dochodzę do wniosku, że nie przyjedzie, czuję, że nie przyjedzie, wiem, że nie przyjedzie.

Aż nagle przyjeżdża.

Przyjeżdża w ciszy.

Powoli wyłania się zza budynku, chrabąszcz ze stali, dopiero za nim gruby ochroniarz i grubego ochroniarza niezrozumiały krzyk.

Siedzimy.

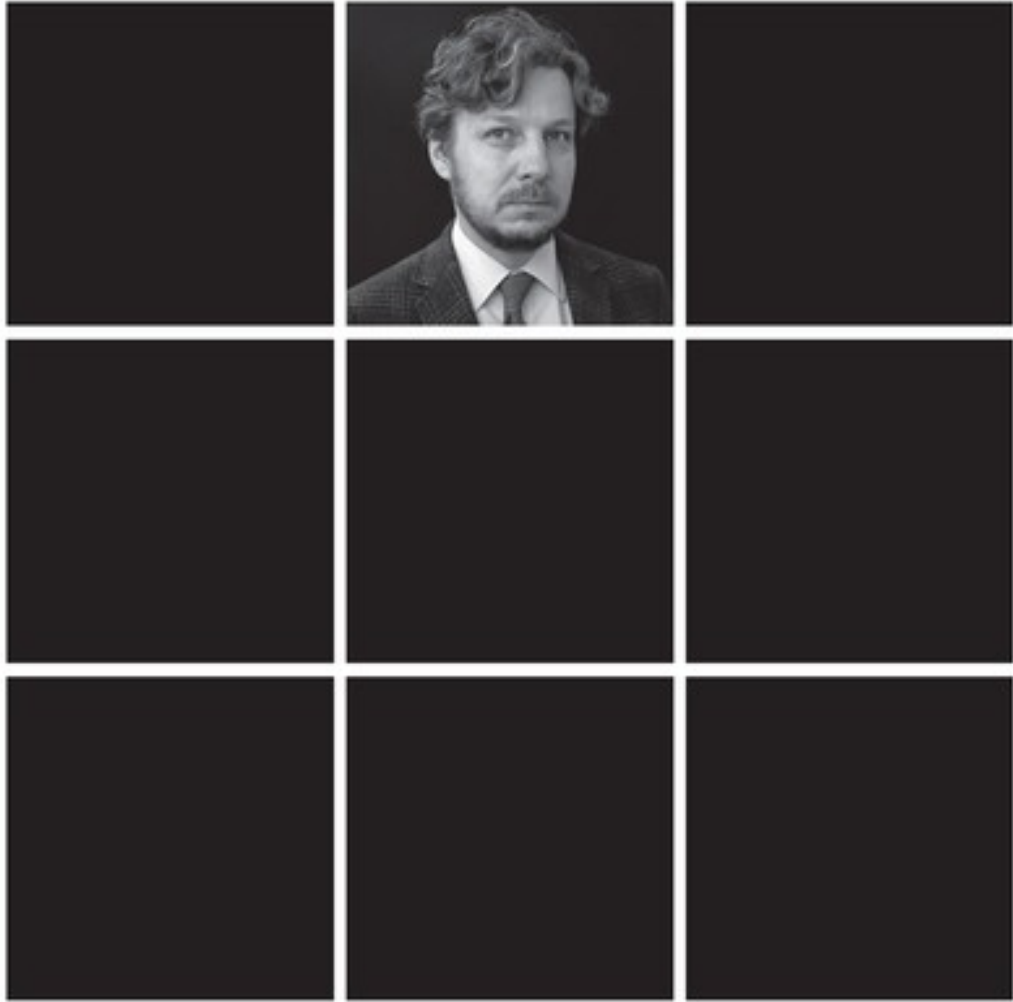
Ciężarówka wjeżdża na parking, zwalnia i staje. Staje naprzeciw nas, a ja nagle czuję, że nie mam czterdziestu dwóch lat, że mam ich tylko jedenaście, więc wstaję, podnoszę wykończonego ojca z ławki i porywam go do tańca: ojciec jakimś cudem znajduje w sobie jeszcze tyle siły, żeby powoli unieść ręce nad głowę, a ja po raz ostatni w życiu skaczę wokół niego i wymachuję ramionami tak jak wtedy, kiedy żyła mama i kiedy dookoła było jakoś tak bardziej normalnie.

W końcu przystaję. Wszyscy patrzą.

Wszyscy patrzą – pielęgniarki, pacjenci, gruby ochroniarz, twarze z billboardu – a stalowy chrabąszcz unosi odwłok, wysypując na parking zawartość wywrotki. Srebrzyste opakowania połyskują, kiedy tysiące marcepanowych batonów wznoszą się przed nami w coraz wyższą stertę.

Świat wokół przestaje istnieć: istnieję tylko ja i mój zmęczony, stary, chory i uśmiechnięty ojciec. Przez chwilę nie wiem, która jest godzina, jaki dzień tygodnia i jaki właściwie miesiąc, nie wiem, co ostatnio czytałem, ile mam pieniędzy na koncie, kto wygrał wczorajszy mecz siatkówki i jak na imię ma ta kobieta, którą od niedawna próbuję podrywać w kwiaciarni. Gdybym mógł, zostawiłbym świat w tej chwili i nic z nim już dalej nie robił, nic bym w nim nie zmieniał: niech zawsze już wszystko będzie tak, jak jest.

Ale nie mogę – kiedy ta chwila ustąpi wreszcie kolejnej, wszystko znowu ruszy i wszystko się będzie działo dalej. Spoglądam na tatę. Wygląda trochę bardziej jak on z czasów, kiedy był kimś więcej niż takim staruszkciem. Wyprostowany, spokojnie patrzy przed siebie. Obaj wiemy, że za chwilę wściekłość całego personelu zwali nam się na głowę, wiemy też, że on niedługo tak po prostu, najzwyczajniej w świecie umrze, a ja będę go musiał tak po prostu, najzwyczajniej w świecie pochować, ale w tamtej chwili, przed górą marcepanowych batonów, stoimy obok siebie, uśmiechnięci, i mamy to wszystko trochę w dupie.



Wit
Szostak

LIST

Widziałem Cię dziś, syneczku, ale nie podchodziłem, żebyś nie czuł się skrępowany. To Twój dzień, Wasz czas, po co to psuć. Uciekałbyś wzrokiem, patrzył na zegarek, uprzejmie pytał o zdrowie. Tak pięknie wyglądaliście z Anią, macierzyństwo jej służy. A Justysia już taka duża, wesoła, zdrowo się chowa pewnie. Też chodziłem z Tobą do parku, o tej porze zbieraliśmy kasztany i w domu robiliśmy ludziki i konie. Czasy były inne, proste rzeczy cieszyły. Teraz Justysia ma wózek dla lalek, na jesienne liście nie spojrzysz. Zeschłe liście są dobre, kiedy niczego nie ma. A wy macie wszystko. Stałem sobie za drzewem i patrzyłem za Wami, nie chciałem niczego zepsuć. Po co Ci teraz stary ojciec na dokładkę? Masz swoje życie, ja swoje, i tak chyba jest dobrze. Czasem jakiś żal ukłuje, ale rozumiem. Różnie bywało.

Dziś są Twoje urodziny, chciałem zadzwonić albo chociaż wysłać tego waszego esemesa. Ale nie chciałem przeszkadzać. Pomyślałem sobie tam w parku, że list napiszę, taki normalny, zwyczajny. No i piszę. Tyle chciałem Ci powiedzieć, o tyle spraw zapytać. Trochę do mnie dociera, czasem ktoś powie, że Cię widział. Wszyscy dobrze o Tobie mówią i to cieszy. Myślę sobie, że dobrze Cię wychowałem, ale przecież to nie moja zasługa. Ale starałem się bardzo. Czego Ci życzyć? Masz wszystko, więc spełnienia marzeń. Każdy ma jakieś marzenia, a ja Twoich nie znam. Zdrowy jesteś, sławny, powodzi się Wam. Nie macie tych problemów z Anią, co my. Czasy są inne i dobrze, nie skarżę się na moje czasy. Było jak było i robiliśmy z mamą, co się dało.

Nie mam dla Ciebie prezentu, nie wiem, co Ci mogę dać, co lubisz. Pamiętam Twoje marzenia z tamtych lat, ale przecież nie jesteś już tym chłopcem. Zresztą, gdybyś chciał kolejkę elektryczną, to sam sobie kupisz lepszą i większą, niż ja bym potrafił. Odłożyłem trochę z emerytury, ale leki drogie, jedzenie. Myślałem, co by Cię ucieszyło, i zrozumiałem, że Cię nie znam. Że nie znam już Twoich marzeń, nie czytam listów do Świętego Mikołaja. Kiedyś patrzyłem na Twój sen i przykrywałem Cię, żebyś nie zmarł. Wiedziałem, że śnisz o tej kolejce albo o rowerze, którego nie mogłem Ci kupić. Teraz pewnie też Ci czegoś brakuje, każdemu czegoś brakuje. Ale prawie Cię nie znam. Tyle lat nie rozmawialiśmy. Ale chcę, żebyście byli wszyscy troje zdrowi, szczęśliwi, żebyście byli rodziną. Wiem, że tak jest, ale wszystko dziś takie kruche. Dziś w parku widziałem Wasze szczęście. Nieszczęśliwi nie spacerują tak spokojnie, nie śmieją się tak swobodnie. Znam Twój śmiech, to jeszcze pamiętam. I wiem, że Ci dobrze.

Chciałem dać prezent, wysłałbym pocztą, może byś się ucieszył. Pamiętasz tę starą brzytwę po dziadku? Tak Ci się podobała, zawsze chciałeś ją mieć. Może

powinienem Ci dać ją wcześniej, kiedy naprawdę o niej marzyłeś? Co Ci teraz po starej brzytwie, masz brodę jak Mikołaj, do niczego Ci nie jest potrzebna. Taka pamiątka tylko. Pewnie ma swoją wartość, to zabytek, sprzed wojny. I ma rączkę z kości słoniowej, to też się liczy. Czasem wyciągam ją z pudełka, gdzie trzymam rzeczy po Twoim dziadku. Niewiele tego jest. Jakies listy, kartki z sanatorium, dokumenty, legitymacja kolejowa. Jest też pióro, ale nie pisze. I ta brzytwa. Pamiętasz jej historię? Tyle razy Ci opowiadałem. Że kiedy Niemcy już uciekali, to zostawiali niemal wszystko. I jeden oficer, co mieszkał w tej samej kamienicy co dziadek, tak wyjechał nocą z jedną walizką, zostawił drzwi otwarte. I stąd brzytwa. Tyle razy to powtarzałem, że sam uwierzyłem. Widziałem jak żywego tego oficera, jakbym sam pamiętał jego ucieczkę. Zbiega po schodach w błyszczących, czarnych butach, okucia stukają, on poprawia mundur. Adiutant czeka w samochodzie, silnik pracuje, słychać na całe podwórko. I odjeżdżają na zachód. Tyle razy pytałeś, a ja powtarzałem po swoim ojcu.

Ale to wszystko zmyślenie, tak nie było. Było trochę inaczej, ale jakie to ma znaczenie? Teraz, po latach? Zresztą, mnie przy tym i tak nie było, urodziłem się dopiero po wojnie. To prawda, mieszkał w kamienicy przez całą wojnę oficer, ale dziadek zdobył tę brzytwę, zanim tamten się wprowadził. Nazajutrz po tym, kiedy Niemcy wywieźli gdzieś całą rodzinę takiego lekarza, do nich należało mieszkanie. Sąsiedzi poszli, znaleźli. Brali, boby się zmarnowało. Zresztą, wiesz lepiej niż ja, sam o tym piszesz. I chciałem Ci tę brzytwę przesłać, z życzeniami, żebyś się ucieszył. Ale jak by to wyglądało? Ojciec po latach odzywa się do syna i przesyła brzytwę? Co byś pomyślał? Co by Twoja Ania pomyślała? Zresztą, pewnie już nic nie pamiętasz, może wcale jej nie chciałeś, może mi się zdawało. Zapytałeś raz czy dwa, ale byłeś chłopcem, o tyle spraw pytałeś, a ja nie znałem odpowiedzi. A opowieść o brzytwie, choć nieprawdziwą, znałem. Może mi się teraz wydaje, że kiedyś mnie prosiłeś, żebym Ci ją dał, a ja odmówiłem, że to pamiątka po dziadku? Może chciałeś tylko oglądnąć, z ciekawości? Pewnie sam już nie pamiętasz.

Pewnie nie chcesz czytać tego listu, ale proszę Cię, zrób to dla mnie, tę jedną rzecz. O nic Cię nie będę w nim prosił, nie bój się. Nie mam do tego prawa, chcę tylko opowiedzieć o jednej rzeczy. Wiele razy próbowałem, jeszcze jak mieszkaliśmy razem, ale nie potrafiłem. Teraz się nawet dziwię, bo przecież tyle lat minęło. Ale to siedziało we mnie, nie chciałem, żebyś się dowiedział. Czego się obawiałem? Nie wiem. Może tego, że mi nie uwierzysz i uznasz to za głupie tłumaczenie? Może bezradności, którą byś we mnie zobaczył. Rośnie we mnie ta opowieść jak gula w gardle. Pamiętasz swoje dziesiąte urodziny? Pewnie nie, to

tyle lat, dziesiąte czy jedenaste, kto by pamiętał. A ja pamiętam i teraz ciągle o tym myślę. Nawet dzisiaj w parku, kiedy na Was patrzyłem. Przejechał chłopiec na rowerze i od razu mi się przypomniało. Pewnie myślisz, że ojciec pisze, bo lekarze wykryli jakąś chorobę i boi się, że niedługo umrze. Może tak być, nikt nie wie, co mu pisane. Ale czuję się dobrze, nie narzekam. Lekarze mówią, że to nic poważnego, że w moim wieku to normalne, że aż dziw, że tak długo się trzymałem. Nie bój się, nie będę prosił o pomoc i opiekę, nie dlatego piszę. U mnie wszystko dobrze, żyję sobie dzień za dniem, coraz bliżej niż dalej. Niczego mi nie brakuje, nie mam dużych potrzeb. Emerytura starcza, nie muszę pożyczać. Czasem się martwię, że na pogrzeb może nie starczyć ten zasilek, ale nic nie poradzę. Najwyżej mnie w jakimś pudle zakopią, grób już jest, miejsce czeka, będę leżał koło Twojej mamy. Zresztą, jakie to ma znaczenie, co się z naszymi kośćmi stanie? Tak się tym martwimy, a potem i tak nikogo to nie obchodzi. Tylko kłopot, bo trzeba płytę myć, liście zamiatać, pamiętać. I tyle pieniędzy na znicze idzie, może i dobrze, że ludzie coraz mniej pamiętają.

Tak piszę nieskładnie, ale może choć to mi wybaczysz. Zmieniam tematy, kluczę, nie potrafię powiedzieć, co mi leży na sercu. Ty byś to wszystko lepiej powiedział, wiem to, bo czytam Twoje artykuły. Dumny jestem z Ciebie, syneczku, że tak piszesz odważnie i pięknie. U nas w bloku nie wszyscy to rozumieją. Pani Gienia z trzeciego piętra współczuje mi, że tak syna wychowałem, że takie rzeczy wypisuje. Po co o tym mówić, po co grzebać, komu na tym zależy? Ale ja Cię zawsze bronię i krzyczę na nią, żeby się swoimi dziećmi zajęła. I ona odchodzi, bo Piotrek przecież w więzieniu siedzi, a Beata lepiej nie mówić, sam wiesz pewnie. Więc Ty byś lepiej napisał, po kolei, ładnie, na czysto. Ale to tylko brudnopis, wszystko da się poprawić. Jutro siądę i powykreślam, pozaznaczam sobie fragmenty i napiszę jeszcze raz, może składniej.

Ale to wszystko jakoś się łączy. Wcześniej się nie łączyło, ale teraz, gdy piszę, to mi się układa w całość. Jak obraz, który wcześniej oglądałem we fragmentach. I dlatego, że się łączy, to nie wiem, od czego zacząć. Pisałem Ci o brzytwie dziadka, ale przecież nie o tym chciałem. Ale później zrozumiałem, że widocznie tak musiało być. Że i dziadek musiał się w tej opowieści pojawić. Bo ja nigdy nie chciałem być taki bezradny jak on. I nigdy nie chciałem, żebyś Ty tę bezradność we mnie zobaczył.

Pamiętam taką scenę, kiedy byłem mały. Chodziłem już do szkoły, był wieczór. Mój ojciec golił się przed pracą, co robił codziennie. Wiesz, że pracował jako nocny portier w takim urzędzie, więc golił się wieczorem. Lubiłem na niego

patrzeć, jak podgrzewał wodę, jak rozrabiał krem w czarnej, specjalnej miseczce. Lubilem dotyk jego pędzla z borsuczej sierści, którym bawiłem się, kiedy już wyszedł do pracy. Mama mi pozwalała, byle tylko ojciec się nie dowiedział, mówiła. Udawałem, że smaruję twarz kremem, a potem golę się przed lustrem. Brzytwy bałem się dotykać, brzytwa to śmierć, mówił mój ojciec. Smarowałem twarz mydłem i ściągałem pianę grzebieniem. Ale wtedy, kiedy chodziłem do szkoły, już nie, tylko patrzyłem.

I pamiętam jeden dzień, kiedy Twój dziadek zaciął się przy goleniu. Nigdy nie przeklinał, nigdy przy dzieciach, więc tylko powiedział: a niech to jasny gwint, i zaczął szukać ałunu. Pewnie nie wiesz, co to ałun, skąd masz wiedzieć. Ale dawniej używało się ałunu do tamowania krwi. I mój ojciec rzucił się na kolana, by go szukać, ale krysztal, jak w bajce, rozprysł się na setki kawałków. Ojciec na czworakach, bezradnie, mój ałun, mamrocząc pod nosem, raczkował między meblami, zaglądał pod szafki i wydobywał okruchy. Trwało to dłuższą chwilę i pamiętam, że wtedy wydał mi się taki śmieszny, na kolanach, z dłońmi na podłodze, zupełnie jak nie ojciec. Bardzo chciałem się roześmiać, ale się powstrzymywałem, wiedziałem, że nie mogę. Ojciec nie zdawał sobie sprawy, że jestem, tak był zajęty poszukiwaniami, że mnie nie zauważył. W pewnym momencie nasze spojrzenia spotkały się. On na czworakach, ja siedzący w kucki pod ścianą. Zaskoczył go mój widok. Urwał w połowie pytanie, gdzie jest mój ałun, i patrzyliśmy chwilę na siebie. On zdziwiony, jak pies, dyszący, bezradny, z kroplami krwi na kołnierzyku koszuli. I nagle to minęło. Ojciec wstał, otrzepał kolana i zaczął niepewnie pogwizdywać nieznaną melodię. Jakby nie było tych poszukiwań, rozbitego ałunu i mojego spojrzenia. Wyszedłem do drugiego pokoju. Ale to spojrzenie było między nami; ilekroć patrzyłem mu odtąd w oczy, widziałem tamtą bezradność, gdzie jest mój ałun. Wiedziałem, że on też to widzi, że widzi siebie przede mną na kolanach.

Od tamtej pory nie był już dla mnie dawnym ojcem, potężnym i mocnym. Coś pękło. Zacząłem zauważać jego słabości, tropiłem je nawet bezlitośnie, wpatrując się w niego. Nic nie ucieknie przed spojrzeniem dziecka, dzieci mają okrutne spojrzenia. Widziałem, jak sos kapie mu na krawat, jak dłubie w nosie, jak zjada woskowię z uszu. Widziałem, jak patrzy na sąsiadkę i oblizuje wargi, kiedy mijają go na schodach. Widziałem, jak staje na baczność, kiedy dzwonili z jego pracy i ktoś niewidoczny dla mnie wydawał mu polecenia. Tak jest, panie kierownika, mówił piskliwie, głos mu się zmieniał, tracił pewność. Od tamtej pory golił się w łazience. Wcześniejsze rytuały przy kuchennym stole, zapewne odziedziczone po jego ojcu, który przy tym samym stole wiele lat wcześniej. Ale

od rozbicia ałunu zamykał się i nie mogłem już patrzeć. I po co się tak golisz, wołała za nim moja mama, jak jakiś dyrektor, przecież i tak nikt nie zauważy. Odpowiadał jej, na granicy utraty godności, że ma odpowiedzialne stanowisko i musi wyglądać przyzwoicie. Ale głos mu drżał i widać było, że sam nie wierzy we własne słowa. Czasem, jak byłem na niego zły, to brałem kryształek ałunu i rozbijałem, a potem wyrzucałem resztki, zostawiając tylko jeden ostry kawałek. Wiedział, że to ja, ale nigdy nic nie powiedział. Jakby czuł, że wtedy wróci tamten dzień i on na kolanach, bezradny i wydany na pastwę syna. Dzięki ałunowi miałem nad nim władzę.

Któregoś dnia, kiedy patrzyłem na ojca i nie mogłem widzieć go inaczej niż na czworakach, obiecałem sobie, że jak będę miał syna, to nigdy nie pozwolę mu, by mnie takim oglądał. Że ochronię go przed moją bezradnością, przed bezsilnością, że nie dam się zaskoczyć. Czułem, że będę nieraz bezsilny. Syn nocnego portiera nie może myśleć inaczej. Ale powiedziałem sobie, że nie dam się zaskoczyć. Nie zobaczysz mnie na kolanach. Dlatego nigdy nie opowiedziałem Ci o tym, co naprawdę wydarzyło się w Twoje dziesiąte urodziny. Ale teraz już się nie boję. Wiem, że nie jestem dla Ciebie nikim silnym. Mogę już opowiadać o tym, co zatrzymałem dla siebie i roztrząsałem w samotności.

Chodzisz na grób mamy, to dobrze. Zawsze czysto, liście odmiecione, kupujesz znicze i kwiatki. Ucieszyłaby się, że pamiętasz. Bardzo Cię kochała, choć tak wcześniej oddaliła się od nas. Była obok, ale nieobecna, małemu chłopcu to trudno zrozumieć. Byłeś dzielny i taki mądry, kiedy siedziała tygodniami w swoim fotelu. Chciała być bliżej, wiem, że bardzo chciała. Ale było, jak było. Musiałem opiekować się nią i Tobą, do tego praca. Nie tłumaczę się, ale było mi ciężko. Chodziłeś do kolegów i widziałeś, że w innych domach jest inaczej. Zadawałeś pytania, a ja nie potrafiłem Ci odpowiedzieć. Pamiętam, miałeś sześć lat, syneczku, i zapytałeś, czy mamusia nas nie kocha. Kocha, powiedziałem Ci, kocha bardzo, ale czasem nie ma siły na życie. Zresztą, nie pamiętam, co Ci odpowiadałem, bo zawsze mnie zaskakiwałeś pytaniami. A ja nie przygotowałem sobie dobrej odpowiedzi, nie nazwałem choroby mamy ani dla Ciebie, ani dla siebie. I zmyślałem na poczekaniu, że za słaba na życie, że ucieka ze świata, że podróżuje do siebie. Byłem ciągle niegotowy, żeby Ci dobrze odpowiedzieć, sam nie umiem do dziś sobie tego wytłumaczyć. Dlaczego tak się stało i kiedy? Co zrobiłem źle, bo na pewno zrobiłem, bo przecież samo z siebie tak by się nie stało, nikt bez powodu nie zachowuje się jak mama, prawda? Gdyby była szczęśliwa, gdyby wiedziała, że ją kocham, na pewno tego wszystkiego by nie było. I Ty nie musiałbyś na to patrzeć.

Chroniłem Cię, ale nie potrafiłem, mieszkaliśmy pod jednym dachem. Nie chciałem jej gdzieś oddawać, usuwać z Twoich oczu. Trochę się bałem, bardzo nawet się bałem, że kiedy ją oddam, Twoją mamę, nie chcę o niej mówić w ten sposób, to Ty mnie znienawidzisz. I stworzysz sobie obraz wspaniałej matki, którą Ci zabrałem, i będziesz mnie nienawidził jeszcze bardziej. Mama by pozwoliła, mama by przytuliła, mama by zrozumiała, mówiłbyś mi w twarz, a potem tylko do siebie, do mnie nie odzywając się ani słowem. Więc bałem się tego i chciałem, żebyś widział, jaka jest, że to nie moja wina, że tak się po prostu dzieje. I byłeś z tym dzień w dzień, na początku za młody, by to unieść, potem za duży, by wybaczyć. Dałem Ci do dźwigania zbyt wielki ciężar, teraz to wiem. Ale nie umiałem inaczej. Czasy były inne, rzeczy proste przekraczały ludzkie możliwości. Załatwiania, podania, myśmy nie mieli nawet samochodu. Wywieźliby ją gdzieś daleko i co? Pekaesem na drugi koniec Polski byśmy jeździli w odwiedzinach? I przez całe życie te zimne świetlice, przygnębiające korytarze, ta cisza i cierpienie wokół? Nie potrafiłem, nie chciałem, nie mogłem.

Ale dobrze nam było, prawda? Były przecież całe tygodnie, miesiące, kiedy mama wracała i było jak dawniej, tak zwyczajnie. Był rosół i sztuka mięsa, kiszony ogórek do tego i chrzan, pamiętasz? Nie byłoby tego, gdybym ją oddał, a mogłem, nawet namawiali. Cośmy się namęczyli, to nasze, ale przecież są i dobre chwile, dobre wspomnienia. Wakacje w Rabce, pamiętasz? Jedliśmy lody, mama śmiała się, opalała, miała takie duże okulary słoneczne, są zdjęcia. Ognisko pod lasem, pamiętasz? Gospodarze upiekli baranka i częstowali letników, do dziś czuję smak na języku. Grała na gitarze i śpiewała piosenki z naszej młodości. Były takie chwile, na pewno pamiętasz. Może było warto, może nie wszystko straciliśmy? Ludzie mają trudniej, dużo trudniej. Gdybyś wiedział, co się teraz u nas w bloku dzieje. Żywy grobowiec. Ci, co zostali, szkoda słów. Ale niektórym naprawdę jest gorzej.

A wiesz, że potem mama miała dużo jasnych dni? Wracała do nas, do mnie, kiedy Ciebie już nie było. Pytała o Ciebie, zastanawialiśmy się, jak Ci się wiedzie. Ja mówiłem, co wiedziałem. Czytałem jej Twoje artykuły, wszystkie zbieram w teczkę. Nie wszystko rozumiała, ale zawsze czekała, czy Ci coś wydrukowali. Nie wychodziła już wtedy, ale wszystko wiedziała, wszystko ode mnie. I była dumna, choć martwiła się, czy się w coś nie wpakujesz. Naraża się nasz synek ludziom, mówiła, ludzie są mściwi. Martwiła się, jak to mama. Takiej mamy chciałeś, o takiej marzyłeś, prawda? Mam jeszcze gdzieś Twój list do Świętego Mikołaja, żeby naprawił mamę. Tak napisałeś. I powiedziałaś, że to nic

nie kosztuje, że nie trzeba wydawać pieniędzy jak na inne prezenty. Nie wiedziałem, co Ci powiedzieć. Nie wiedziałem.

Wiem, że do szpitala nie mogłeś, teraz wiem. Wtedy byłem na Ciebie zły, że nawet tego dla nas nie zrobisz, nawet tych jednych odwiedzin. Ale mama Cię broniła, bardzo broniła. Przyszędłby, gdyby mógł, wiem to, mówiła. Wtedy jej się poprawiło, ale ciało było już bardzo chore. Nikomu tego nie mówiłem, ale miałem wtedy wrażenie, że ją odzyskałem, że uwolniła się ze swej klatki. Jakby wiedziała, że niedługo umrze i nie ma sensu uciekać. Często wracała, na długie godziny, na całe dni. Wiesz, że niektóre pielęgniarki w szpitalu nawet się nie domyśliły? Dziwiły się tylko, że doktorzy każą dawać leki na głowę, jak pacjentka taka normalna. Tak mi jedna powiedziała. Ale Ty nie mogłeś, pisałeś, ja rozumiem. Przyszędłbyś do matki przed śmiercią, gdybyś mógł, prawda? Znam Cię, syneczku, jesteś dobrym człowiekiem. Staraliśmy się Ciebie wychować, ja się bardzo starałem. Musiałeś być wtedy przy Ani i Justysi. Tak tylko piszę, że mama czekała. I była z Ciebie dumna. Wszystko wiedziała.

Pamiętałeś, że lubi polne kwiaty. One się krótko trzymają, umierają na cmentarzu z tęsknoty za łąką. Ale dwa, trzy dni postoją i mama chyba się cieszy. Patrz, jak dziecko zapamiętuje. Przecież te kwiaty, później ich u nas nie było. Na początku małżeństwa, może kiedy byłeś mały. Ale później nie było komu zrywać. A jednak wiedziałeś, że mama i te kwiaty. Dziecko pamięta, nawet nie wie, jakim sposobem.

Trzeba chyba piwniczkę zrobić, bo ziemia osiada. Może odłożę trochę i w przyszłym roku umówię kamieniarza. Nie chcę Cię o nic prosić, przecież masz swoje życie. Tak tylko mówię, myślę głośno, nie po to, żeby Cię prosić. Twojej matce już wszystko jedno i mnie będzie też niedługo wszystko jedno. Potem zadecydujesz sam, zadecydujecie z Anią. Nas już nie będzie, więc nie musisz się nikogo obawiać. Ja przecież wiem, że jej tam nie ma. To tylko miejsce, gdzie można pokazać, że się pamięta. Na początku, po pogrzebie, mówiłem sobie, że nie potrzebuję takiego miejsca. Że mam ją w sercu i tego mi nikt nie wyrwie. Ale wiesz, jak to jest? Po kilku miesiącach jej twarz zaczęła mi się rozmywać. Nie potrafiłem przywołać jej śmiechu, może dlatego, że tak rzadko się śmiała. Walczyłem ze sobą, ale w końcu wyciągnąłem z pawlacza to duże pudełko ze zdjęciami, co pamiętasz. I zacząłem chodzić na grób. Tam ją widzę, kiedy zamiatam płytę, wyrrywam chwasty, kiedy zapalam znicz. A przecież nigdy się tam nie spotkaliśmy, nie byliśmy razem w tym miejscu. Dlaczego zatem tam jest mi do niej najbliżej? W domu jej prawie nie ma, to już kilka lat przecież. Zresztą, pamięć wyrzuca złe wspomnienia. I wyrzuciła mi wiele lat. Ja wyniosłem jej fotel

na śmietnik zaraz po pogrzebie. Nienawidziłem go, wydawało mi się, że on ją uwięził. Nie chciałem tego wspomnienia, kiedy ona siedzi w nim zapadnięta, jakby ją pochłaniał, a ona skulona, zatrzaśnięta, taka malutka przy tych poręczach i oparciu. Twoja matka. Pociąłem fotel brzytwą po dziadku i wywaliłem. Niech koty na niego srają. Zabrał mi ją, tak mi się wydawało.

Więc nie myśl o tym grobie, ja na nic nie nalegam. Przeżyję, że płyta krzywo i trochę wstyd przed ludźmi. Ale mało miałem w życiu wstydu? Nic mi nie będzie. Ważne, że pamiętasz i chodzisz. Nie musisz zresztą za każdym razem kupować całych zniczy, wystarczy wkłady wymienić, zawsze taniej. I tak parę złotych w portfelu zostanie, a w domu zawsze się przydadzą, prawda? Justysia rośnie, pewnie macie wydatki. Zawsze to parę złotych, tak za każdym razem to się zbiera.

Pamiętam dzień Twoich dziesiątych urodzin, tego nigdy nie zapomnę. Wraca do mnie, każda minuta, choć Ty pewnie niewiele pamiętasz. Dziesiąte czy jedenaste, któż to spamięta. Torty, świece, jakieś prezenty. Dawno Ci już chciałem powiedzieć, ale nie mogłem. Zresztą, nie rozmawiamy często, to i okazji nie ma. Wcześniej byłeś za młody, potem ja się bałem. Pamiętasz, co Ci pisałem, nigdy nie chciałem, żebyś zobaczył mnie bezsilnego. Najgorsze, myślałem, żebyś zobaczył moją bezradność i mnie znienawidził. Tak ja odwróciłem się od własnego ojca. Bałem się go, a potem on zaczął się bać mnie. Wiesz, że od tego wieczoru, kiedy na klęczkach szukał ałunu, ani razu mnie nie uderzył? Nie bił mnie dużo, tak jak wszyscy wtedy, takie były zwyczaje. Ale obrywałem jak każdy chłopak. Ja Cię nigdy nie uderzyłem. Pamiętasz, nigdy. Nawet wtedy, kiedy już źle się działo i każdy by zrozumiał. Ale nie chciałem, żebyś się mnie bał. Żebyś był dobry ze strachu. Tak sobie postanowiłem. A mój ojciec mnie od tamtego dnia nie uderzył.

Pamiętasz, jak się zaczął tamten dzień? Wstałeś, a ja udawałem z mamą, że nie pamiętamy o Twoich urodzinach. Przyszedłeś w piżamie na śniadanie, była sobota, nie było szkoły. Usiadłeś tak jakoś głośniejsze na krześle, chrząkałeś. My udawaliśmy, że nic nie widzimy. A Ty mówiłeś, że piękny dzień, taki wyjątkowy. A było zwyczajnie, nawet słońca nie było. Wiedziałem, o co Ci chodzi, ale grałem swoją rolę. I chyba uwierzyłeś, że naprawdę zapomnieliśmy. Musiało być ci przykro, rodzice zawsze powinni pamiętać. Ja pamiętam, nawet dziś, po tylu latach. Pamiętam dzień, w którym się urodziłeś, i jaka była pogoda, pamiętam swoją radość i nigdy nie zapomnę. Nigdy nie zapomnielibym o Twoich urodzinach. Ale wtedy miałem plan.

Kiedy skończyłeś jeść, powiedziałem, że dzień jak co dzień i trzeba przynieść z piwnicy słoik ogórków. Spojrzałeś zawiedziony, wzięłeś klucze i powlokłeś się po te ogórki. A ja czekałem. Zerwałem się od stołu i nasłuchiwałem przy drzwiach wejściowych. Wyobrażałem sobie tę scenę przez wiele dni. Wyobrażałem sobie, jak słyszę Twoje kroki na schodach, jak biegniesz, przeskakując co dwa stopnie, i wołasz mnie. Jak wpadasz do domu i mi dziękujesz. Wyobrażałem sobie Twoją radość, Twoje roziskrzone oczy. Wbiegasz, rzucasz mi się na szyję i wiem, że spełniły się marzenia. Tak bardzo chciałem, żebyś był szczęśliwy, żebyś miał trochę radości, nie mogłem Ci wiele dać i wiem, że widziałeś u swoich kolegów, że inni mają lepiej. Ale nigdy się nie skarżyłeś. Nie prosiłeś, żebym Ci kupił coś drogiego, bo wiedziałeś, jak jest.

Pamiętasz, jak wtedy poszliśmy kupować Ci tornister? Wybrałem Ci taki solidny, granatowy, tani. Ale Tobie spodobał się kolorowy, pomarańczowy i niebieski, dużo światełek odblaskowych, kieszenie. Był dużo droższy. Ja Cię przekonywałem do pierwszego, Ty wołałeś ten drugi, ładniejszy. I kiedy przyszła chwila decyzji, powiedziałeś z taką mądrością: ten jest dla nas za drogi, prawda? I wybrałeś granatowy. Byłem z Ciebie taki dumny. Dziecko, a rozumie. Ale przypomniał mi się mój ojciec na czworakach. I powiedziałem: nie codziennie kupuje się jednemu synowi tornister. I miałaś ten niebiesko-pomarańczowy, pamiętasz? Wracaliśmy wtedy do domu w takiej radości. Milczeliśmy, ale każdy wiedział swoje. Każdy wygrał, byliśmy razem.

I wtedy, przed Twoimi dziesiątymi urodzinami, myślałem o tym. I chciałem, żebyś też coś miał z życia. I czekałem, jak wbiegniesz i powiesz nam, co znalazłeś. Ale Ty szedłeś po schodach wolno, normalnie. Tak wracałeś ze szkoły, krok za krokiem, przystając na półpiętrach. Słuchałem i byłem na Ciebie zły, że nie biegniesz. A Ty dotarłeś na nasze piętro, postawiłeś na stole zakurzony słoik i tylko powiedziałeś, że znowu nam przepiłowali kłódkę. Ale nie martw się, tato, niczego nie ukradli, dodałeś. Bo i co by mieli kraść?

A ja się wtedy zapadałem pod ziemię. Robiłem się mały i świat mi uciekał. Żebyś mnie wtedy nie oglądał, uciekłem do piwnicy, rzuciłem tylko, że sprawdzę, czy coś nie zginęło.

Wiedziałem już, co się stało. Schodziłem po schodach wolno, żeby to odwlec, łudzając się, że będzie inaczej. Może pomyliłeś piwnice? Może ktoś przepiłował kłódkę, ale nic nie zabrał, za to Ty nie zauważyłeś niespodzianki? Przystawałem na półpiętrze i wtedy byłem prawie pewny, że nic się nie stało, że to nieporozumienie, które da się wyjaśnić. Może nakryłem prezent jakimś kocem, czego nie pamiętałem, i stoi w kącie, nieruszony? Kiedy stanąłem przed drzwiami

naszej komórki, byłem pewien, że był koc, pamiętałem który, i nawet gest, jakim nakrywam prezent dla Ciebie. Ale to był moment, w głębi duszy wiedziałem przecież, że nie było koca, że nie ma się co oszukiwać. Pchnąłem drzwi i stanąłem w pustym pomieszczeniu. Słoiki na półkach, pod ścianą skrzynia na ziemniaki.

I nigdzie śladu po rowerze. I wtedy siadłem na ziemi i zacząłem płakać. Od dzieciństwa nie płakałem, zawsze miałem siłę, by powstrzymać łzy. A teraz byłem taki bezradny w tej piwnicy, oszukany i zdradzony. Łzy lały się same, a ja tylko bezsilnie zaciskałem pięści i gryzłem knykcie aż do krwi. Gdybym wtedy dorwał złodzieja, zabiłbym go. Ukradł nie tylko rower, czułem, że zabrał mi wszystko, zabrał mi godność, okradł mnie nawet z Twojej miłości. Wiedziałem, że nie wytłumaczę Ci tego, że nie zrozumiesz: tatuś kupił ci na urodziny rower, ale go ukradli. Przecież to tłumaczenia krętacza. Nie kupiłeś roweru, zapomniałeś i zmyślasz, żeby odzyskać twarz. Ojciec oszust. Co powiedzieć, jak wyjaśnić? Może nic nie mówić? Nie było roweru, nie było sprawy. Nawet mama nie wiedziała, powiedziałem jej tylko, że w piwnicy czeka niespodzianka, z której się ucieszysz. Może ukryć, udawać, że niczego nie było. Tylko co w zamian? Są urodziny, potrzebny prezent. Kiedy prawda wygląda na kłamstwo, postanowiłem kłamać.

Pamiętam, że w chwili gdy podjąłem decyzję, byłem na czworakach w tej piwnicy. Będę kłamał, postanowiłem na czworakach, jeszcze nic straconego. Jak mój ojciec, szukający ałunu. Dlaczego na czworakach? Tego jednego nie pamiętam. Pamiętam, jak siadłem na ziemi, zwałem się z nóg, pamiętam, jak płakałem i wylem, przepuszczając przez siebie te wszystkie szarpiące mi serce myśli. I pamiętam, jak ocknąłem się na klęczkach. Może szukałem śladów? Odcisku buta, niedopałka, które pozostawił złodziej? Nie wiem, tego nie potrafię Ci teraz wyjaśnić.

Wstałem, otrzepałem spodnie i ruszyłem na górę. Z każdym stopniem dojrzywał plan. I kiedy stanąłem w drzwiach mieszkania, nie zobaczyłeś w mojej twarzy śladu bezradności. Otarłem łzy, poprawiłem włosy i spojrzałem najbardziej hardo, jak się da. Chwyciłem kurtkę i rzuciłem w głąb domu, trzeba to zgłosić na milicję, złodziejstwu nie można pobleźać. Złodziejstwu nie można pobleźać, dlaczego po tylu latach pamiętam dokładnie tę frazę? Powtarzałem ją pewnie wielokrotnie, jako usprawiedliwienie. Ojciec wychodzi w urodziny syna, gdyż złodziejstwu nie można pobleźać. Będzie walczył o przepiłowaną kłódkę, bo takie są zasady.

Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem przed siebie. Była sobota, wszystkie sklepy pozamykane. Pamiętasz, jak było, lata osiemdziesiąte, nic nie można było dostać. A tu jeszcze sobota. Tu mój plan się kończył. Przetrwałem pierwszy akt: nie okazać bezsilności. A teraz nie wiedziałem, co dalej. Najpierw ruszyłem do osiedlowego pawilonu. Może akurat dziś sobota pracująca? Może otwarli stoisko z zabawkami? Wiedziałem, że niepracująca, bo ja nie pracowałem, to dlaczego w sklepie mieliby pracować? Ale poszedłem, bo może akurat. Ta sama nadzieja, która podsunęła mi myśl o kocu, podpowiedziała mi, że przecież zapowiadali w telewizji, że dziś sklepy będą otwarte. I odtąd szliśmy razem, ja i moja nadzieja. Ona dodawała mi otuchy, podpowiadała kolejne rozwiązania, pocieszała, kiedy ponosiłem kolejną porażkę.

Tego nie pamiętasz, bo nie możesz. Nigdy Ci o tym nie mówiłem. Siedziałeś w domu z mamą, czekaliście, aż ojciec wróci z komisariatu. Wiem, że nic Ci nie powiedziała o niespodziance. Ale nie możesz pamiętać, co robiłem, kiedy tego dnia nie było przy mnie nikogo prócz nadziei. Wiesz, że do dziś powtarzam sobie w myślach moją drogę? Pamiętam wszystkie punkty, moje kluczenie, moje pewności i wątpliwości. Pamiętam numery tramwajów. Tyle razy sobie to powtarzałem. I nawet dziś, kiedy czasem znajdę się w miejscu, które wtedy odwiedziłem, to myślę sobie o tamtej sobocie. Na przykład Sukiennice. Zawsze kiedy jestem na Rynku, to wspominam tamten dzień. Biegłem tu od tramwaju z nadzieją. Sukiennice na pewno otwarte, bo turyści, bo to prywaciarze, na pewno coś kupię. Szachy Ci chciałem kupić, takie najdroższe, żebyś nie żałował roweru. Żeby ja nie żałował, że szachy to nie rower, bo Ty o rowerze nie wiedziałeś przecież. Ale to musiał być prezent godny roweru. Tylko co może być godne roweru do kupienia we wrześniową sobotę niepracującą w Polsce lat osiemdziesiątych? Ale szachy brzmiały dobrze. Szedłem Sienną i widziałem te kasety z bierkami po sufit, piętrzące się w zaciemnionych kramach. Czuję już zapach lakieru do drewna i widziałem ich połysk. Wyobrażałem sobie, jak dotykam powierzchni szachownicy, wybieram, sprawdzam, czy zawiasy dobrze trzymają.

Potrzebowałem tej nadziei, gdyż osiedlowy sklep był zamknięty. Ale pojechałem na Kozłówek, tam były wielkie pawilony, pełne zabawek i innych rzeczy. Może coś znajdę. Ale na KozłóWKu też sobota niepracująca. Więc Sukiennice. W połowie Siennej słyszałem gwar turystów, którzy w obcych językach pytają o pamiątki regionalne, i moją jedyną obawą było, czy mi tych szachów nie wykupią. Wyobraziłem sobie, że nagle wszyscy chcą mieć szachy. To by zresztą nie było dziwne, pamiętasz tamte czasy? Mecze Karpowa

z Kasparowem, wszyscy się emocjonowaliśmy. Więc bałem się, że mi wykupią. Spoglądałem podejrzliwie na przechodniów, czy pod kurtkami nie chowają szachów. Rzuciłbym się i odkupił ostatni komplet za podwójną cenę. Ale nikt nie uciekał z szachami.

Pomnik Mickiewicza zasłaniał wejście do Sukiennic, ale gdy go ominąłem, zobaczyłem, że Sukiennice chyba zamknięte. Było przejście w stronę Szewskiej, ale na boki, gdzie są kramy, zakratowane. Może tylko furtkę w kracie uchylili, żeby się ludzie nie pchali? Może zawsze w soboty tak robią, bo w końcu soboty są zawsze trochę niepracujące? Ta była jednak dla Sukiennic bardzo niepracująca. Pozasuwane kramy, nawet nie zobaczyłem szachów.

Dziwne, nie pamiętam chwil pomiędzy tym rozczarowaniem a obraniem kolejnego celu. Siadłem na ławeczce zrozpaczony? Zapłakałem, szarpałem za kute pręty? Widzę siebie, jak idę szybko Grodzką na Wawel. Tam jest sklep z pamiątkami, muzeum czynne, więc sklep czynny. Pamiętałem, pamięć podsuwała obrazy, że na Wawelu mają całą salę z szachami. Najpierw gablotki z krakowiaczkami i krakowiankami, pocztówki z Wawelu, gipsowe głowy wawelskie. A dalej, za małymi drzwiczkami, przez które trzeba przejść z pochyloną głową, rozciąga się magazyn szachów. Do wyboru, do koloru, tanie i drogie, proste i bogato rzeźbione. A pomiędzy nimi, na samym środku, podświetlone jak w muzeum, szachy królów polskich, mosiężne figurki, kolorowe szkiełka w koronach, szachownica wykładana bursztynem. Piękne szachy, drogie szachy, w sam raz na dziesiąte urodziny mojego syna. Dlaczego nie kupiłem Ci ich wcześniej, przecież widziałem je tyle razy, zastanawiałem się, wspinając się na wawelskie wzgórze. Brama była otwarta, pod katedrą turyści. Przejście na dziedziniec zapraszało, otwarta kasa, zaraz za nią sklepik z pamiątkami... i ten właśnie był zamknięty. Przez szyby widziałem wawelskie głowy, nawet szyszak można było kupić, ale sobota niepracująca.

Od tego momentu nie szukałem już szachów. Pogrzebałem pomysł z szachami i zszedłem z wawelskiego wzgórza. Może model do sklepania? Tak lubiłeś samoloty. Wtedy byłem pewien, że śniłeś po nocach o łosiu lub czapli, choć dziś wiem, że to nadzieja podsuwała mi Twoje marzenia. Tak bardzo chciałem je spełnić, że musiałem je wymyślić. Wiedziałem przecież, że naprawdę śnił Ci się rower. Na Zwierzynieckiej była Składnica Harcerska. Dlaczego harcerze mają mieć wolne soboty? Przecież ciągle potrzebują finek i manierek, przecież mogą chcieć coś kupić przed biwakiem właśnie w tę sobotę. A w składnicy pełno modeli do sklepania. I do tego finki, marzyłeś o fince, prawda? Czego może pragnąć dziesięciolatek? Ze szwedzkiej stali, w skórzanej pochwie z takim

frędzelkiem. Nosiłbyś przy pasku i prosił, czy możesz z nią wychodzić na pole. A ja bym się droczył, że to niebezpieczne narzędzie, ale w końcu bym pozwalał. Dobrze, ale uważaj, to prawdziwy nóż, mówiłbym. I nawet myślałem sobie, oddalając się od Wawelu, że to lepsze prezenty niż jakiś rower. Ale składnica zamknięta, nie będzie modeli i finki.

Wtedy po raz pierwszy chwyciłem się brzytwy. Może stąd o niej dziś Tobie napisałem? Patrzyłem na pomnik, jest taki pomnik z orłami nad Wisłą, na rogu Zwierzynieckiej i Powiśla, pewnie znasz. I patrzyłem na niego, to niedaleko od składnicy, i pomyślałem, że jak nie finka, to może brzytwa po dziadku? Pytałeś o nią, prosiłeś, żebym dał Ci potrzymać. Może dam Ci pamiątkę rodzinną? Piękny gest, ojciec w dziesiąte urodziny wręcza synowi brzytwę swego ojca. Ale przecież Ty się nie goliłeś, miałeś dziesięć lat, po co Ci brzytwa? Ta brzytwa byłaby moim przyznaniem się do klęski? Nie mam nic dla Ciebie, zapomniałem, to dam Ci prezent, który mam pod ręką. I co by mama powiedziała, brzytwę dziecku dajesz? Ostrze pióra tych orłów i ostra brzytwa, której się chwyciłem.

Jubilat też był zamknięty, tylko spożywczy na dole, ale co można kupić na prezent w spożywczym? Kupiłem wódkę, dla siebie, na później. Wiesz, że wódki nie piłem. Nawet ta księgarnia na dole w Jubilacie zamknięta, przez szybę patrzyłem na książki, których bym Ci nakupił. Czas mijał. Moja odyseja oddalała mnie od domu. Kolejne sklepy, kolejne nadzieje jak wyspy na morzu. I wszędzie gniew bogów, sobota niepracująca. Ale przecież jest jeszcze Nowa Huta, obce miasto obok Krakowa, gdzie żyją obcy ludzie. Może oni mają same pracujące soboty? Przecież kombinat nie odpoczywa. Dzień w dzień i noc w noc wytapia się stal, walcowane są rury. A jak kombinat, to i sklepy w Hucie, przecież ludzie muszą gdzieś kupować. Z tą myślą jechałem tramwajem na plac Centralny, tworząc kolejne miraży. W Nowej Hucie zawsze mieli lepiej, może nawet rower znajdę? To już było najgłupsze marzenie, gdyż na rower nie miałem pieniędzy. I nawet kiedy stanąłbym przed magazynem z rowerami, nic bym nie mógł zrobić. Ale przecież są sklepy z zabawkami w Nowej Hucie, i księgarnie, i sklepy modelarskie. Na pewno coś znajdę.

Na placu Centralnym wszystko zamknięte, lecz nawet mnie to nie zdziwiło. Nadzieja słabła, nie dotrzymywała kroku. Chwyciła się brzytwy i utonęła w Wiśle. A ja szukałem kolejnych sklepów już bez nadziei, tylko ze strachem: jak wrócę do Ciebie bez prezentu? I zamiast szachów, finek i modeli do sklejanego układania niezręczne usprawiedliwienia. Na komisariacie tłok, jeden milicjant na dyżurze, akurat przywieźli groźnego przestępcę, robili obławę na „Solidarność”, zmyślałem w tramwajach kolejne wersje i czułem się coraz bardziej żalony.

I wiesz, co wtedy pomyślałem? Że może tak powinno być, że może nie udało mi się ocalić Ciebie przed moją własną bezsilnością. Że może jedynym prezentem, jaki dostaniesz, jest moja bezradność. Wrócę, padnę na kolana, zacznę płakać i opowiem o wszystkim, słowo w słowo. Jak ukradli rower, jak szukałem prezentu, jak bardzo niepracująca była ta sobota. I to będzie prezent, zobaczysz prawdę o swoim ojcu. Smutna, bolesna, nie na to czekałeś, ale masz dziesięć lat i masz prawo do prawdy. Ukrywałem przez tyle lat swój strach i niepewność, może właśnie tę prawdę powinienem Ci dać? Teraz widzisz, jaki byłem zdesperowany. Jaki syn chciałby dostać taki prezent? Jaki ojciec upokorzyłby się na tyle, by go dać? Ale wtedy tak myślałem.

Nie wiem, co było dalej. To znaczy, nie pamiętam, jak trafiłem do klasztoru w Mogile. Czy mnie olśniło, że właśnie jest odpust? Czy ktoś mi powiedział? Czy chłopaki strzelali z kapiszonów i korków, i mi się przypomniało, że to przecież odpust? Nie wiem, choć próbowałem sobie przypomnieć. Ale dotarłem pod klasztor. Była sobota, stragany dopiero rozstawiali, ale jeszcze nie mieli towaru. Pewnie dowiozą jutro z rana, porozkładają przed pierwszą mszą.

Zadręczam Cię tymi szczegółami. Zresztą, pewnie i tak już nie czytasz. Przestałeś wiele stron temu, rzuciłeś list w kąt albo do kosza. I niepotrzebnie to piszę. Ale nie wiem, czy to przeczytasz, czy nie. Więc muszę pisać. Ale już krótko, bo nie ma o czym. Jeden z kramarzy znalazł po długich prośbach zabawkę, która musiała wypaść z pudła i leżała gdzieś w bagażniku. Widział, że mi zależy, więc zaśpiewał wysoką cenę, a ja wcisnąłem mu banknoty i niemal pocałowałem w rękę. Potem ścisnąłem zabawkę w kieszeni, siedząc w tramwaju do domu. Mijały przystanki, a ja byłem szczęśliwy. Nie był to rower, nie były szachy, nawet nie model do sklejania. Ale dowód, że ojciec pamiętał, że nie zapomniał. A rower dostaniesz innym razem, obiecałem sobie.

Do naszego mieszkania dotarłem późnym popołudniem. Zjedliście już obiad, beze mnie. Mama spała, a Ty poszedłeś do kolegi. Wszedłem cicho, owinąłem prezent w kawałek papieru i schowałem Ci pod poduszkę, jak na Mikołaja. Siadłem w szarzejącym świetle i czekałem. Nic nie jadłem od śniadania, ale nie czułem głodu. Duszkiem wypilem wódkę, którą znalazłem w kurtce. Nigdy nie piłem tak wódki, nie lubiłem wódki. Wiesz przecież. I czekałem. Mama się obudziła i spytała, gdzie byłem. Będzie dobrze, powiedziałem, wszystko będzie dobrze.

Kiedy wróciłeś w porze kolacji, zastałeś nas, jak nieruchomo siedzimy w półmroku. Zapaliłeś światło i powiedziałeś zdziwiony, wróciłeś tato. Długo czekałem na tamten moment, już w tramwaju układałem sobie te słowa. I kiedy

patrzyłeś na mnie zdziwiony, powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem, myślałeś, że zapomniałem o Twoich urodzinach? A pod poduszką sprawdzałeś? Ociągając się, ruszyłeś do swego pokoju i po chwili wróciłeś z prezentem. Trzymałeś w dłoni czarnego, gumowego diabełka, który wystawiał czerwony języczek, kiedy naciskało mu się policzki. Dziękuję, tato, powiedziałeś bez przekonania, wszystkiego najlepszego, synu, rośnij, odpowiedziałem. Przytuliliśmy się, ale czułem, jak mi się wymykasz. Nie pokazałem bezradności, mówiłem sobie i poklepywałem Cię po plecach. Ale tamtego dnia zaczęłeś się wymykać. Wyślizgiwałeś mi się coraz bardziej, coraz więcej milczenia było między nami, rzadko patrzyłeś mi w oczy. Wiedziałem dlaczego. I choć było mi smutno, rozumiałem.

Pamiętasz coś z tamtego dnia? Pamiętasz gumowego diabełka?

Teraz to już nie ma żadnego znaczenia, ale ten rower to był składak, wigry 3, i miał czerwony kolor. Miał lampki z przodu i z tyłu, białą pompkę i komplet narzędzi przykręcony do siodełka. Dzwoniły, kiedy sprowadzałem go po schodach do piwnicy. Chciałem Ci go kupić od dawna. Wiem, jak czekałeś, jak pytałeś, choć nigdy nie prosiłeś. Mówiłeś tylko, że koledzy idą na rower, ale Ty poczytasz książkę. A mnie coś skręcało w środku. Byłeś taki mądry i dobry, syneczku. Ale zawzięłem się tamtej wiosny i powiedziałem sobie, że na urodziny będziesz miał rower. Tę historię jednak już znasz. Prawie dokładnie, ale inaczej. Pamiętasz, jak kilka lat później opowiadałem Ci o moim dalekim znajomym, który w czasach komuny postanowił kupić synowi rower? Jak dokładnie opisywałem jego przygody? To była moja historia. Nasza, choć niestety nigdy nie mogłeś zostać w nią włączony.

Najpierw pieniądze. Odkładałem, ile mogłem. Pamiętasz, że zamiast kiełbasy pojawiła się pasztetowa? Zacisnąłem pasa i się udało. Jeszcze tylko pożyczka z zakładowej kasy zapomogowej i miałem całą sumę. Ale wiesz, jakie były czasy. Dziś wchodzisz do sklepu i mówisz, poproszę jeden rower. I masz, co chcesz. Duży lub mały, z przerzutkami lub bez, górski, miejski, szosowy, wszystko jest. Wtedy było inaczej. Rowery rzucali, do tego były talony. Talon zdobyłem w pracy. Poszedłem do kierownika i zdobyłem. Powiedziałem, że nigdy nic nie brałem, a teraz syn kończy dziesięć lat i rower to minimum przyzwoitości. Pamiętam, jak układałem sobie tę mowę, minimum przyzwoitości. I wypowiedziałem to takim samym pewnym głosem jak później, że złodziejstwu nie można pobiłażać. Miałem talon, miałem pieniądze, ale nigdzie w Krakowie nie było rowerów. Kolega z pracy powiedział, że podobno rzucili w Nowym Sączu. I pojechałem do Nowego Sącza, pekaesem, wciśnięty przy samym oknie. Ale

widziałem ten rower, podobnie jak później szachy i finkę ze szwedzkiej stali. Były w Nowym Sączu, ale w poprzednim tygodniu. To wróciłem. W końcu dostałem w Wieliczce, komitet kolejkowy, zapisy, wstawanie w nocy, żeby swoje odstać. Ale kupiłem.

Stałem się posiadaczem czerwonego składaka Wigry 3 wczesnym popołudniem. Przyjechałem do Krakowa i czekałem z dala od naszego bloku na wieczór. Kiedy pod blokiem zrobiło się pusto i byłem pewien, że jesteś w swoim pokoju, przemyciłem zdobycz do piwnicy. Zamknąłem na kłódkę i nie mogłem doczekać się Twoich urodzin. Układałem scenariusz tego dnia, widziałem Ciebie zaspanego, jak czekasz na życzenia urodzinowe i prezent. Ćwiczyłem moją obojętność, układałem zdanie, którym pošlę Cię do piwnicy. Ogórki do obiadu czy dzem na śniadanie? W końcu ogórki. No i nadszedł ten dzień, resztę już znasz.

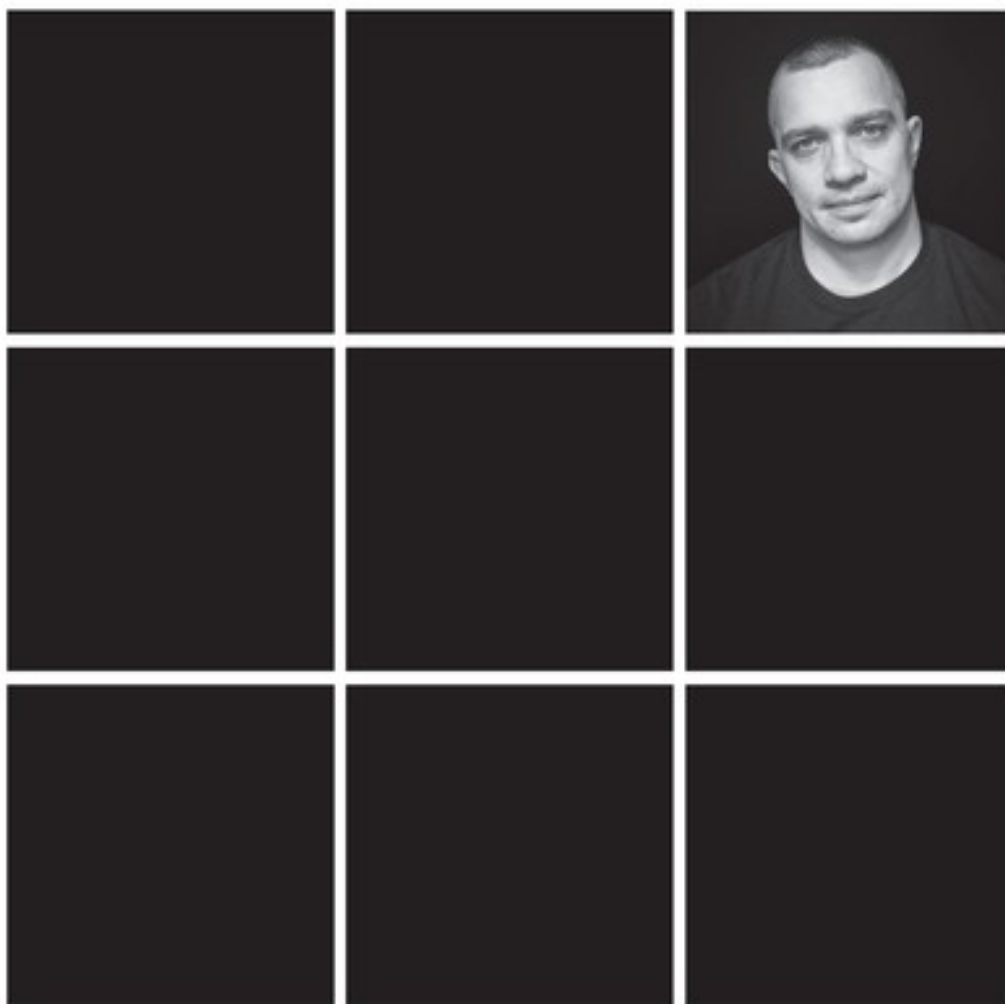
Wiem, że się nie domyśliłeś. Wiem, że nie wiedziałeś o rowerze. Ale czułem, że to wisiało między nami. Że te nieszczęsne urodziny, zniknięcie ojca, żałosny gumowy diabełek z odpustu, że Cię wtedy zawiodłem. Nie czekałeś na rower i nie obraziłeś się, że go nie było. Wiedziałeś, że rower to dla nas wydatek, i rozumiałeś to. Ale zapomnieć i kupić w ostatniej chwili gumowego diabełka? Wielokrotnie wyobrażałem sobie, co musiałeś czuć. Wtedy coś pękło między nami, jakaś jedna nitka, od której wszystko zaczęło się pruć. Najpierw wolno, niezauważenie. Kiedy dostrzegłem, co się dzieje, było za późno. I nie potrafiłem nic zrobić.

Czego Ci życzyć, wszystko masz? Zdrowia, szczęścia, pomyślności, to przecież banalne. Choć szczerze. Życzę Ci, żebyś nigdy nie musiał do Justysi pisać takiego listu. Żebyś nie musiał pisać takiego listu do nikogo. Żebyś nigdy nikogo tak nie zawiódł.

Ale jest jeszcze coś w tej historii. Zakończenie, którego nie podejrzewasz. Bo ta opowieść jeszcze nie dobiegła końca. Wiesz, że nigdy nie chciałem być wobec Ciebie bezradny. Teraz będę. Bo wtedy okazałem się jeszcze bardziej bezsilny niż to wszystko, co już napisałem. Następnej wiosny szedłem przez osiedle i zobaczyłem, jak po boisku jeździ w kółko chłopiec, pewnie siedmioletni. Był tak drobny, że ojciec wyjął mu siodełko i ten jeździł na stojąco. Jeździł w kółko na czerwonym składaku Wigry 3. Zatrzymałem się przy ojcu, który na odległość dawał swemu synowi rady. Rower taki jak Twój, kropka w kropkę. Nawet biała pompka, nawet narzędzia pod siodełkiem. Nowiutki. Oglądałem go wcześniej tyle razy, że byłem pewien. Odezwałem się więc spokojnie, choć głos mi drżał. Proszę pana, powiedziałem, na jesieni ukradziono mi z piwnicy dokładnie ten sam rower.

Facet spojrzał na mnie zaskoczony. Chwilę popatrzył i powiedział wolno:
Spierdalaj, spierdalaj stąd szybciotko.

Kraków, styczeń 2017



Łukasz
Orbitowski

TYGRYS

Nocami wciąż widuję głowę mojego ojca sterczącą z dna żlebu. Ojciec tkwi w śniegu po szyję i przypomina Jacka Nicholsona w końcówce *Lśnienia*, z tą różnicą, że ma gęstą brodę i otwarte błękitne oczy, na których stroszy się szron. We włosach barwy stali tkwi czerwona róża. Głowę otacza kawałek żółtej liny wspinaczkowej, a także małpki koniaku (niektóre puste) i listy w kolorowych tubach wrzucane przez innych alpinistów. Górna warga jest uniesiona, jakby ojciec warczał na lód.

Nie czuję smutku ani lęku. Ciało nigdy nie wydobyto. Ojciec zginął, szturmując północną ścianę K2, mniej więcej na wysokości 8350 metrów. Na dno żlebu nie dociera światło, natychmiast przykrył go śnieg, nie sterczy tam żadna głowa, a jeśli już, to nie da się jej zobaczyć. Jednak ojciec wciąż przychodzi nocą. Liczy się coś innego.

Ojciec tam będzie, gdy ja przeminę, zmrożony na kość i siny jak śledź. Kości moich wnuków obróca się w proch. Wyschną źródła ropy, desperaci z ciemnych miast wyruszą ku wsioom, gdzie jedzenie i ogień. Popłynie rzeka krwi i ta rzeka również wyschnie. Niedźwiedzie zamieszkają w ruinach wiejskich domów i wysokościowców w nieistniejących już metropoliach. My również przestaniemy istnieć, a mój ojciec pozostanie tam wysoko, zjednoczony z górą, którą kochał i pragnął pokonać.

Mój ojciec nie wierzył w globalne ocieplenie i utrzymywał, że znajdujemy się u progu nowej epoki lodowcowej. Spędzał na kanapie całe tygodnie i wybudzony z drzemki mówił, że Gofsztrom zmieni swój kierunek i roztopi lodowce Grenlandii. Już tej zimy na Morzu Czerwonym pojawił się lód. Niedługo zamarznie Bałtyk i zrobimy sobie kulig do Szwecji, żartował, mierzwił mi włosy i prosił, bym nie wierzył klimatycznym propagandystom, opłacanym przez Stany Zjednoczone i przeciwników gospodarki opartej na węglu. Potem robił sobie kanapkę z szynką i serem, sprawdzał maile w swoim wielkim komputerze, wysyłał mnóstwo esemesów, znów jadł, wypijał drinka, zgarniał awiza i siedł na pocztę.

Samych czasopism zagranicznych prenumerował chyba kilkanaście. Prócz „Climb”, „Trek and Mountain” i „Alpinist” kupował też „The Backwoodman”, a raz znalazłem sfatygowany numer „Modern Drunkard” wciśnięty między zrolowany portaledge i nigdy nierozpakowany komplet pościeli, który rodzice dostali w prezencie ślubnym. Przychodziły nylonki, kleterki, holorezki, a także noże, czekany, butle z butanem i mnóstwo innego sprzętu w wielkich pudłach pełnych folii bąbelkowej. Część kupował za własne pieniądze, większość pochodziła od sponsorów. Ojciec, krytycznie nastawiony do świata, zwracał

większość tego, co zamówił, i potrafił przesiedzieć noc nad pismem, gdzie wyszczególniał rozliczne wady małpy czy jumara. Gdy podrosłem, strzeliłem mu wykład z praw konsumenta, tłumacząc, że wcale nie musi tego robić. Obruszył się bardzo. Rzekł, że nie chce, aby ktokolwiek uznał go za oszusta.

Rodziny alpinistów często mówią o nieznośnym oczekiwaniu, tymczasem ja wyjazdy ojca przyjmowałem z ulgą. Co roku znikał na ponad trzy miesiące, do czego dochodziło kilka krótszych wyjazdów w Dolomity, Alpy Urneńskie czy nawet Tatry, gdzie miał wielu kumpli z młodości. Grałem na komputerze, przesiadywałem przed telewizorem do późna i nałogowo wypożyczałem książki z biblioteki na Moniuszki.

Za ojcem zamykały się drzwi, a w mamę wracało życie. Natychmiast urządzała wielkie sprzątanie. Nasze trzypokojowe mieszkanie przypominało kolorowy labirynt o ciasnych ścianach utworzonych przez zagraniczne gazety i sprzęt alpinistyczny. Matka zaraz wydzwaniała po kolegach ojca z pytaniem, czy nie potrzebowaliby tego lub tamtego, resztę upychała w garażu i piwnicy, a na koniec tańczyła od regału do wersalki ze ściereczką i kieliszkiem białego wina. Zapowiadała, że teraz dopiero zacznie żyć. Potem robiła mnóstwo popcornu, włączała jakiś film sensacyjny czy tam komedię romantyczną i pozwalała, żebym został, nawet jeśli były jakieś krwawe sceny albo się całowali. Takie wieczory lubiłem najbardziej. Wydawało mi się, że niczego więcej nie chcę, niczego nie potrzebuję.

Kiedyś usłyszałem, że umiłowanie samotności odziedziczyłem po niej. Nic podobnego. Matka, owszem, unikała ludzi, ale gdy tylko ktoś zadzwonił z pytaniem o ojca, wypluwała z siebie lawinę słów. Opowiadała o tym, gdzie tatko jest, jaka tam pogoda i kiedy przypuści atak szczytowy. Telefony dzwoniły zwłaszcza wtedy, gdy z ekspedycją urywał się kontakt. Mama na przemian zapewniała, że wszystko będzie dobrze, że musi być silna, i szlochała do słuchawki. Nigdy nie odkryłem, kiedy udaje, a kiedy nie.

W dalekich Himalajach tatko schodził w dolinę, a mama pędziła do Legnicy, bo u nas w Rykusmyku nie było kosmetyczki godnej jej długich palców. Odpowiedni fryzjer urzędował w dalekim Wrocławiu. Mama obskakiwała galerie handlowe w tych dwóch miastach, zostawiała fortunę w Sephorze tylko po to, żeby ostatniej nocy wpaść w rozpacz: widziała się brzydką, starą i niepotrzebną. Pytała mnie, czy to dlatego ojciec woli góry.

Te ostatnie dni usiłowałem wykorzystać jak najlepiej, świadom nieuchronnej gehenny. Czytałem o Pompejuszu i Hannibalu, a potem brałem mapę wydrukowaną w szkole i nanosiłem trasy przemarszu legionów ołówkiem

zgrzyzionym po grafit. Odrećnie wypisałem wszystkie katastrofy w Trójkącie Bermudzkim i żałowałem, że nie można nauczyć się greki w dwa wieczory. Język Platona miał mi pomóc w odnalezieniu Atlantydy.

Pierwsze dni po przyjeździe nie były najgorsze. Przecież kochałem tatusia. Wyjeżdżaliśmy po niego do Wrocławia, mama zawsze w nowej sukience, ja w dzieciennym garniturku. Teraz myślę, że wyglądałem jak pisklę krogulca, urzędniczek. Ojciec wytaczał się z pociągu, zawsze w tym swoim swetrze. Z mamą odstawiali Butlera i Scarlett, nawet jeśli na peronie zacinało deszczem. Później chwycił mnie w te wielkie, czerwone łapy, podnosił nad głowę, śmiał się i nazywał małym wojownikiem.

W samochodzie chciało mu się jeszcze opowiedzieć parę historii. Mówił, jak to widział skalp yeti przechowywany w dolinie Khumbu albo o koledze, który zapalił papierosa na szczycie Lhotse, przez co stracił trzy palce. Im bliżej byliśmy Rykusmyku, tym cichszy się robił. W domu matka futrowała go kiełbasą, jajkami i wiejskim twarogiem, tak po polsku. Ojciec całował ją po rękach, wzrok plątał mu się bardziej niż słowa, obwieszczał, że utnie sobie półgodzinną drzemkę, i zalegał na kanapie do świtu. Matka przykrywała go kocem. Ojciec był niski i drobny. Gdy nocą wstawałem po wodę, wydawało mi się, że ciągle go nie ma.

Błyskawicznie odzyskiwał siły, udzielał wywiadów, jechał do wrocławskiego radia i telewizji śniadaniowej, wreszcie brylował na przyjęciu, które urządzała matka. Do Kręgielni, wynajętej na tę okoliczność, zawsze przychodził burmistrz, co ważniejsi radni, dwóch posłów z naszego regionu, alpiniści, dziennikarze i inna hołota. Tato siedział na podwyższeniu i bez przerwy wykonywał gest dłonią, jakby poszukiwał mikrofonu. Opowiadał różne historie. Raz, wchodząc na Everest, wpadł do niewidocznej szczeliny i zapewne by zginał, gdyby nie rozprostował ramion. Wybił sobie bark. Koledzy nastavili mu go w namiocie. Jeden usiadł na ojcu, drugi szarpał ręką, szarpał długo, a tatuś tak się darł, że omal nie ściągnął lawiny na głowę im wszystkim.

Kilkukrotnie myślał, że umrze. Te opowieści zawsze zaczynał od zapewnienia, że wcale nie boi się śmierci, umierania owszem. Na Kanczendzondze mieli kiedyś piękny dzień. Słońce ogrzewało ośnieżone zbocze i cała ekipa zaległa wokół namiotów. Pozakładali ciemne okulary, pili herbatę i palili papierosy. Nagle runął na nich śnieg, gdzie tam zwykły śnieg, mówił ojciec, lawina jak nalot dywanowy – stopniało tam w górze. Wszyscy się rozpierzchli, tylko nie ojciec, którego przywaliło. Leżał zgnieciony w ciemności, a góra wyła mu prosto w uszy. Ryk umilkł, zabrzmiało szuranie. Koledzy wyciągnęli ojca i ponieśli, półprzytomnego, przez głęboki śnieg, w który wsiąkała krew. Lawina ruszyła

znowu. Odtąd szczyt szturmowali tylko nocą. Ojciec brał oddech i pokazywał wszystkim pamiątkę po Kaczendzondze. Była to blizna od ucha po żuchwę. Lód rozciął mu twarz.

Takie historie opowiadał kilkakrotnie, zawsze jakby wydarzyła się wczoraj, wymachiwał ramionami, wrzeszczał i czekał na brawa. Najdłużej klaskała dziennikarka lokalnej gazety, jedna z tych kobiet, które ubierają się jak flaga małego państwa i skręcają w domu biżuterię, żeby dorobić.

Zawsze prosiłem mamę, czy mogę zostać w domu, i nigdy się to nie udawało. Siadałem z przodu i próbowałem zgadnąć, co ojciec teraz powie. Najczęściej się udawało. Chwilami naprawdę byłem z niego dumny, bałem się tylko, że zaraz na mnie spojrzy, a patrzył jak wampir albo kobra. Dosłownie przygwaźdżał mnie do krzesła. Potem wołał, że ma wspaniałego syna, i znikał wśród gości. Na drugi dzień się zaczynało.

Do lasu wyruszaliśmy o świcie. Ojciec zwlekał mnie z łóżka i pryskał ubranie sprayem na robale. Czekaliśmy chwilę, aż spodnie i kurtka wyschną. Raz zapytałem, czemu nie może spryskać ich samemu, żebym pospał jeszcze trochę. Usłyszałem, że nic nie wiem o życiu.

Przed wyjściem musiałem pokazać, czy dobrze spakowałem plecak. Wiele rzeczy się zatarło, ale jego zawartość mogę wymienić w każdej chwili: żółty płaszcz przeciwdeszczowy, manierka, zapalniczka na benzynę i nóż do masła. Tato tłumaczył, że należy go trzymać ostrzem do dołu, obiecywał, że jak się nauczę, kupi mi taki prawdziwy, więc wychodziłem ze skóry, aby źle chwycić.

Co nieskończenie smutne, Rykusmyku leży wśród drzew, a na domiar złego za Myślborzem zaczyna się Park Krajobrazowy Chełmy. Gdy góry zaczęły przynosić pieniądze, ojciec sprawił sobie mercedesa, ale do lasu jeździliśmy łądą nivą, która w domu była od zawsze. Dół karoserii pokrywało błoto, u lusterka dyndała zwietrzała choinka, a tylne siedzenie zapełniały kapoki, narzędzia i wojskowe racje żywnościowe. Tato mościł się za kierownicą, odziany w szturmówki, bluzę z kapturem i wędkarską kamizelkę. Niva trzęsła się na polskich drogach, tato opowiadał o tym, jak bardzo warto przetrwać, a ja patrzyłem w okna mijanych domów, gdzie – jak sądziłem – ludzie krzatali się przed śniadaniem, robili sobie kawę i płatki, słuchali radia i oglądali telewizję.

Wjeźdzaliśmy głęboko w las. Ojciec przypominał, że dzikie zwierzęta nie stanowią już zagrożenia, a dzieci, gdy się zgubią, umierają z zimna. Garściami rwał trawę i wpychał mi ją pod koszulę. W ten sposób, mówił, tworzy się próżnia, która zapewni ciepło. Później, ukradkiem, wyrzucałem tę trawę. Gryzła gorzej niż mrówki.

Pierwszy odpoczynek mieliśmy nad Brzanką. Ojciec zwał się przy brzegu i dyrygował oczyszczaniem wody. Kijkiem wygrzebywałem jamę mniej więcej na dwadzieścia centymetrów, tuż przy rzece. Ojciec sprawdzał, czy w pobliżu nie ma śladów zwierząt. Najczęściej były, jak bym się nie starał. Ojciec opieprzał mnie i musiałem wykopać nową. Prawidłowo wykonana dziura dawała godzinę wytchnienia. Rozkładałem się na trawie, wystawiałem twarz do słońca i słuchałem ojcowskiej gadaniny. Najczęściej narzekał, że ten las nie jest prawdziwy, bo prawdziwych lasów już nie ma. Zasadzili go ludzie, podług planu jakiegoś złowrogiego kartografa od brzóz i buków. Ziemia, zdaniem taty, też nie była prawdziwa. Kultura agrarna zniszczyła przyrodę. Rozdrapaliśmy ją do kości. Ale czas zemsty nadchodzi, mówił ojciec, wrócą lasy na schwał, znikną pola, runą zapory na rzekach. Oczy mu się świeciły, jakby ten kataklizm miał zacząć się już dziś. Upływała godzina. Woda w dziurze rzeczywiście była czysta. Na szczęście nie musiałem jej pić. Napełniałem manierkę i ruszaliśmy dalej.

Wędrowaliśmy byle dalej od dróg. Ojciec przystawał i mówił, żebym znalazł schronienie. Wiedziałem, co powinienem zrobić, tylko zawsze szło coś nie tak. Znajdowałem zwalone drzewo i robiłem daszek z kurtki przeciwdeszczowej dociśniętej kamieniami. W drzewie najczęściej mieszkały mrówki, dziurę pod nim wypełniała woda, a kamienie nie chciały trzymać kurteczki. Ojciec stał nade mną i rechotał, że w godzinie próby przetrwam najwyżej kwadrans. Raz zapytałem go, co mam zrobić, gdy koniec naszego świata zaskoczy mnie bez kurtki w plecaku. Ojciec pomyślał chwilę i odparł, że mądre dziecko nosi takie rzeczy zawsze przy sobie.

Chyba nigdy nie użyłem swojej zapalniczki. Nożem do masła odrapywałem suchy kij. Wióry szły na podpałkę. Potem w tym kijku żłobiłem podłużny otwór, wsadzałem inny, mniejszy kijek i tarłem, aż pojawiał się żar. Przysięgam, czasem myślałem, że zadymią mi się dłonie. Ojciec, siła spokoju, tracił cierpliwość tylko przy tym ogniu. Wirywał patyk i pokazywał, jak to się robi. Nakładał podpałkę na płomyk, potrząsał nią, aż szedł gęsty dym, i narzekał, że wiele jeszcze muszę się nauczyć.

Ognisko oznaczało koniec udreki. Nastawał fajny czas i nawet zdarzało mi się nie myśleć o książkach i filmach. Gotowaliśmy fasolę w menażce, piekliśmy kiełbaski i ziemniaki w żarze. Tato wspominał, jak wytapiał lód na wodę. Miał i inne historie. Przed atakiem na Maczhapuczhar rozbili obóz i on, mój tatuś, wymieniał kartusz w maszynie butanowej. Zapomniał o świeczce, która paliła się obok. Namiot stanął w płomieniach. Zapasowe spiwory, butle z butanem i tlenem poleciały w przepaść. Inaczej rozerwałoby tatę na kawałki i nie siedzielibyśmy

tutaj, tak rzekł. Dodał, że nie mam się czego wstydić. Nie ja jeden bywam niezdamy.

Raz rzeczywiście zgubiłem się w lesie. Zbierałem drewno i zobaczyłem dziwnego ptaka. Miał skrzydła złożone na plecach, tusty brzusek i długi zakrzywiony dziób, którym dłuwał w korze. Gdy się zbliżyłem, odfrunął na następne drzewo i jeszcze na następne. Latał śmiesznie, jak motyl. Myślałem, że to koliber. Dziś wiem – widziałem pomurnika. Skąd taki na Dolnym Śląsku? Biegłem za nim i nagle pojąłem, że nie wiem, gdzie jestem. Zapomniałem o ptaku. Wołałem ojca, ale nie odpowiadał. Naprawdę się bałem, zapadał już zmrok. Poszedłem tam, gdzie rosło najmniej drzew. Znalazłem wąwóz, za wąwozem ścieżkę, która doprowadziła mnie do rzeki. Stamtąd trafiłem do samochodu i czekałem na ojca, aż zrobiło się całkiem ciemno. Pobiegłem do Myślitorza i miałem trochę szczęścia: pierwsze, co zobaczyłem, to samochód policyjny.

Ojciec pojawił się godzinę później. Długo, długo trzymał mnie w ramionach. Ten jeden raz widziałem w jego oczach łzy. Potem kłócił się z matką i już nie płakał. Nim zasnąłem, jeszcze raz przytulił mnie mocno. Powiedział, że jest ze mnie bardzo dumny, miał tylko jedno zastrzeżenie. Nigdy nie powinienem ufać policjantom, tak rzekł. Gdy skończy się ropa, gdy staną samochody i elektrownie, policja spróbuje przejąć władzę, bo ma broń, bo zawsze tego chciała, bo wreszcie zdarzyła się sposobność. Zwrócą się przeciw nam, dobrym ludziom, mówił ojciec, głaszcząc mnie po głowie, zwrócą z całą furią źle opłacanych chamów i nie okażą litości.

Mój ojciec jako pierwszy wszedł zimą na lewą ścianę Kazalnicy Mięguszowieckiej. Miał wtedy tylko siedemnaście lat. Przed trzydziestką zdobył Everest, Ngadi Chuli i wyznaczył nową drogę na Annapurnę, a gdy zaczął budować Twierdzę, miał zaliczone dziesięć z czternastu ośmiotysięczników. Ich nazwy, powtarzane codziennie, od rana do nocy, kojarzyły mi się ze statkami kosmicznymi w *Star Trek* albo zamkami orków u Tolkiena. W wyobraźni osadzałem wieże na tych szczytach, rozpalałem ognie i wypuszczałem ciężkobrajnych piechurów na przełęcz.

Ojciec miał inne marzenia. Rozkładał przede mną atlasy i albumy pełne zdjęć. Pokazywał twarze zmarłych kolegów i przypominał, że wszystkie ważne szczyty jako pierwsi zdobyli Polacy. To zobowiązuje. Było w nas, jego zdaniem, jakieś szczególne szaleństwo górskie, potężna siła, która każe porzucić wszystko i iść tam, wysoko. Wiedział, że ludzie go nie rozumieją. Wodził palcem po fotografii peruwiańskiego Huascaránu i mówił, że nikt, kto nie stanął na szczycie po dwóch

miesiącach morderczej wędrówki, nigdy nie pojmie, o co w tym wszystkim chodzi. On sam nie potrafi tego wyjaśnić i nikt chyba nie umie. Opowiadał o czystym szczęściu i poczuciu wielkiej mocy, jakie ogarniało go po zdobyciu góry. Cóż piękniejszego nad dosiadanie olbrzymów? Zrozumiałem wtedy, że rzeczy w życiu najważniejsze przeżywamy w samotności. Nie sposób się nimi podzielić.

Polacy rozdziewiczyli wszystkie ośmiotysięczniki, z wyjątkiem K2. Ten stromy potwór wciąż pozostawał niezdojony zimą. Pokonał samego Andrzeja Zawadę po trzech miesiącach nierównej szarpaniny. Kopano tunele przez śnieg, mróz urywał ręce – na próżno. Ojciec uważał, że góra oczekuje właśnie jego. Zapytałem, czy jego zdaniem zimna skała ma mózg i pragnienia. Tato roześmiał się. Rzekł, że z tymi górami nigdy nic nie wiadomo.

Zbierał ekipę, prowadził ożywioną korespondencję z władzami Pakistanu, wydzwaniał po mediach i sponsorach. Jego zdaniem tego rodzaju wyprawa była czymś porównywalnym z lotem na Księżyc. Świat powinien sypnąć forszą i wstrzymać oddech. Pakistańczycy nie chcieli go jednak wpuścić, banki i producenci opon woleli bezpieczniejszą wyprawę, a z himalaistów chętny był głównie Karol zwany Młotkiem, narwany student stomatologii, wpatrzony w tatusia jak w święty obrazek.

Ojciec wyznaczał sobie i inne zadania. Codziennie przepowiadał przyszłość z położenia amerykańskich lotniskowców, sprawdzał stan wydobycia ropy i postępy Chińczyków w wykupywaniu Afryki. Gdyby żył dzisiaj, znałby całą WikiLeaks na pamięć. Znaki były jasne: pieniądz stracił jakąkolwiek wartość, a siedem miliardów ludzi tańczy do klarnetu żydowskich bankierów. Świat, który znamy, musi przeminąć.

Kłóciłem się z nim trochę, szukając bliskości poprzez spór. Powiedziałem, że ropa nie stanowi problemu. Najwyżej nie będziemy tyle jeździć, zresztą niedługo powstaną auta elektryczne. Ojciec roześmiał się (jego śmiech przypominał kaszel) i rzekł, że takich aut nigdy nie będzie: republikanie z Teksasu nigdy na to nie pozwolą. Obiegł mieszkanie. Ustawił przede mną dezodorant, starą figurkę G.I. Joego, pudełko aspiryny, worek frytek mrożonych, moją ulubioną koszulkę ze Spider-Manem i kilka innych rzeczy. To wszystko mamy dzięki ropie, powiedział, podobnie jak asfalt, po którym mają jeździć te przewspaniałe samochody elektryczne.

Gdy kupił Twierdzę, poczułem, że mój świat się kończy. Rykusmyku to nie Vegas ani nawet Wrocław, mamy jednak Kręgielnię, basen i Lidla, park z huśtawkami i zamek, w którym straszy. Miałem wyjechać gdzieś za

Wojcieszów, w środek cholernego lasu, tylko dlatego, że jakiś lotniskowiec wpłynął na Morze Południowochińskie? Pal sześć kolegów i dojazdy do szkoły. Co z biblioteką? Tato zabrał mnie do księgarni i kupił całe pudło książek. Tak zaczęły się przygotowania do przeprowadzki.

Twierdza była dawną leśniczówką, którą ojciec wycygał za grosze od zastępcy dyrektora Dolnośląskich Lasów Państwowych. Jechało się tam dwadzieścia minut drogą gruntową. Dom był jednopiętrowy, drewniany i bardzo ładny. Przy odrobinie szczęścia mogliby tu nakręcić sequel do *Hubala*. Dochodził prąd i bieżąca woda, ale zamiast toalety musiałem zadowolić się wygodką na zewnątrz. Ojciec po paru miesiącach zainstalował kibel, ale bez odpływu. Nieczystości szły do pojemnika z wiórami, a potem na nawóz. Nie przypuszczałem, że przetrwanie końca świata zazębia się z grzebaniem we własnym gównie.

Pierwszy tydzień przepłakałem we własnym, nowym i wielkim pokoju. Mógłbym w nim robić kółka na rowerze, gdyby tylko mnie to interesowało. Ojciec siadał przy mnie i wyłuszczał kodeks Conana: mężczyzna nie płacze, mężczyzna się nie żali, zawsze nosi głowę wysoko i pali się do walki z trudnościami. Za to mama stawała na głowie, żeby mnie pocieszyć. Nigdy nie jadłem tak dużo i dobrze jak w te łzawe dni.

Ojciec szalał w swoim żywiole. Na dachu pojawiły się panele słoneczne, w szopie stanął zapasowy generator prądu, a spiżarnię zapełniły puszki z zupą, fasolą i tuńczykiem. Wciąż godziłem się ze swoim losem, zaś on rozpoczął budowę schronu, po prawdzie betonowej dziury pod lasem, gdzie mieliśmy przeczekać najgorsze. Powiedział nawet, że teraz będę mógł bawić się w wojnę. Odparłem, że mam już czternaście lat i bardzo chcę tej zabawy w wojnę, ale na PlayStation, jak większość moich rówieśników.

Przez chwilę naprawdę myślałem, że kupi tę konsolę. Przecież wiedział, jak mi źle. Przetrwanie naszej rodziny miało pierwszeństwo przed wyprawą do Saturna. Schron jeszcze nie był gotowy, jak ojciec z Karolem Młotkiem zbudowali kurnik i budę dla królików. W oczach tych żarłocznych, uszastych zwierząt zobaczyłem zawziętość i głupotę, ale nic słodkiego. Kury natychmiast obrobiły taras. Ojciec zasadził bób, marchew, pomidory i inne warzywa, niewiele jednak wyrosło. Tłumaczył nam, że to przez nadmiar słońca. Pierwszej wiosny w Twierdzy rozmieścił sadzonki drzewek po całej posiadłości. Urosną i zacienią uprawy, tak mówił. Musieliśmy tylko poczekać. Jego zdaniem, za dwadzieścia lat osiągniemy pełną samowystarczalność. Powiedziałem, że wtedy dawno mnie tutaj nie będzie.

Wyjadę na studia. Kupię mieszkanie na strzeżonym osiedlu. Będę oglądał seriale i zamawiał pizzę przez telefon. Nigdy nie widziałem go tak smutnego.

Nasze życie biegło po staremu, jeśli nie liczyć tego, że zakup bułki oznaczał wyprawę. Tato wciąż wyjeżdżał na swoje wyprawy, a my z mamą jedliśmy popcorn i oglądaliśmy telewizję. Imprezy z Kręgielni przeniosły się do Twierdzy i trwały ze trzy dni, jak po weselu. Ojciec wciąż marzył o K2, wydzwaniał do Pakistanu, prowadził negocjacje z TVN, Orlenem i operatorami telefonów komórkowych. Wreszcie gruchnęła wieść, że ma pieniądze i chętnych, niebawem ruszy na szczyt. Karol Młotek szalał jak kot przed wiadrem waleriany. I pewno by pojechali, gdyby nie numer, który wyciął mój ojciec. Nigdy mu tego nie wybaczyłem. A rację miała mama: chętnie powtarzała, że pod pewnymi względami faceci są tacy sami.

Za młodu mama była bardzo piękna, a ojciec nie miał nic. Uczył się w technikum wieczorowym, pracował w kamieniołomie pod Wałbrzychem i spał razem z rodzicami w dobudówce domu swoich dziadków. Połowę wypłaty oddawał na ciepło i jedzenie, resztę przeznaczał na góry i oszczędzał jak mógł.

Rodzina mamy miała trzy szmateksy i zakład fryzjerski w centrum Wałbrzycha. Mama chodziła do szkoły spółdzielczej, na osiemnaste urodziny dostała cinquecento i wszyscy wróżyli jej wielką karierę na uniwersytecie czy nawet w kancelarii prezydenta. Ojciec zobaczył ją, gdy czekał na busik do Rykusmyku, trącił kolegę z roboty i powiedział po prostu, że ożeni się z tą dziewczyną.

Nie miał markowych ubrań, tylko cienki wąsik, upór i furgon uroku. Za mamą chodził przez trzy miesiące. Początkowo ignorowała tego chudego chłopaka w koszuli wpuszczonej do spodni, a on przynosił jej naręcza polnych kwiatów, zwierzęta origami, stawał też pod jej domem z ruskim winem musującym i dwoma kieliszkami, które trzymał w posiniałych od zimna palcach. Mama wściekała się, śmiała, była znużona, aż wreszcie zakochała się na zabój.

Pobrali się jak w dawnych czasach, zaraz po dwudziestce. Był kołacz i wielkie wesele. Na podróż poślubną pojechali w Tatry i dziewięć miesięcy później pojawiłem się ja. Mama dostała od rodziców trzypokojowe mieszkanie w Rykusmyku, nie skończyła studiów i nigdy nie poszła pracować u prezydenta. Na zdjęciach z tamtego okresu czołgam się po podłodze, próbuję stać w kojcu i buszuję wśród traw, mama patrzy na mnie, a tato tylko na mamę. Oczy mu się świecą.

Nie mam pojęcia, czy wcześniej miał jakiś romans. Przecież go nie zapytam. Trudno mi jednak pojąć, czemu władował się w tę całą dziennikarkę. Była

przecież niska i gruba, nosiła legginsy, kozaczki i kurtkę ze sztucznym futrem, każdy paznokieć malowała na inny kolor i wygłaszała długie zdania miękkim, monotonnym głosem, jakby zamierzała uspić słuchającego.

Sprawa wydała się niedługo przed wyjazdem na K2. Ojciec spakował już swoje kombinezony puchowe, namiot szturmowy, żele Maxima, skarpetki uciskowe i całą resztę. Wkrótce pakowała się i mama. Ojciec wpadł tak jak większość głupich mężczyzn. Coraz częściej wyjeżdżał z domu, podobno za sprzętem i do sponsorów. W łazience siedział po pół godziny i niechętnie odchodził od komputera. W końcu mama znalazła drugi telefon. Ojciec tłumaczył się, że to do pracy, że dostał go od T-Mobile, tylko zapomniał powiedzieć. W telefonie był tylko jeden kontakt i tysiące esemesów. Głupi ojciec przysięgał, że z dziennikarką przespał się tylko raz, po pijaku, i ledwie wyjął, a już żałował.

Zatrzymywał mamę i próbował nawet samemu się wyprowadzić. Mówił, że tak postępuje prawdziwy mężczyzna. Zdaniem mamy z męskością miał tyle wspólnego co świnia z lotami w kosmos i mógł pomyśleć, zanim wyszarpał fiuta z rozporoka. Ostatni dzień w Twierdzy przypominał za to ewakuację przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Mama zgarniała rzeczy do toreb i siatek, ojciec za nią biegał, klękał, pełzał, szarpał za łydki i próbował blokować drzwi. Błagał o miesiąc namysłu, o tydzień, o dzień. W mordę dostał dopiero, gdy wypalił, że przynajmniej ja powinienem zostać w Twierdzy. Przecież nastolatek najbardziej na świecie potrzebuje ojca.

Tak wróciliśmy na osiedle. Mama reagowała jak większość kobiet w takiej sytuacji. Po wściekłości nadszedł wielki smutek, podsycany jeszcze spotkaniami z adwokatem od rozwodów. Złościłem się na siebie, bo nie potrafiłem współczuć. Cieszyłem się, że nie muszę już przekładać gówna do wiadra, a mama, zajęta własnym nieszczęściem, pozwalała mi na wszystko. Jeździłem do Legnicy, gdzie było kino i centrum handlowe z prawdziwego zdarzenia, a ojciec, zmiażdżony poczuciem winy, kupił mi wreszcie to cholerne PlayStation. Musiałem po nie zejść do samochodu, bo mama nie wpuściła go na górę.

Ojciec często podjeżdżał pod nasz dom i znów stawał pod oknem z kwiatami, szampanem i kieliszkami na srebrnej tacy. Błagał wszystkich znajomych, by wpłynęli na matkę, i przysięgał teściom, że już nigdy nie zrobi czegoś podobnego. Błyskawicznie przypominał sobie o mnie. Kto chce, by dziecko dorastało w rozbitej rodzinie? Jakie wzorce poniosę w przyszłość? Miałem szesnaście lat, chodziłem do ogólniaka i żyłem w przyszłości: w świecie konsol, e-booków i aplikacji na smartfony.

Ponieważ matka nie chciała go znać, ojciec zawalczył o kontakt ze mną. Czekał pod szkołą i przyjeżdżał w weekendy. Zrezygnował z lasu, ale nie z siebie. Jeździliśmy na strzelnicę, gdzie ze wszystkich sił usiłowałem trafić do odległego celu, proponował też wspólny wypad w Góry Sowie, do niemieckich bunkrów, i pewnie bym tam wylądował, gdyby nie szczęśny atak grypy żołądkowej.

Opowiadał mi, że każdy mężczyzna popełnia błędy, a siłę charakteru poznajemy później po tym, co z nimi robi. Nigdy nie chciał mnie skrzywdzić, prawdziwe życie polegało, według niego, na sztuce wyboru. I wreszcie musiał wybrać, co stanowiło dla niego nowość. Dotąd godził rodzinę i Himalaje, kochankę z żoną, wystawne przyjęcia i krzesanie ognia w głuszy. Mógł jechać na K2 bądź walczyć o mamę. Góra nie człowiek, uznał, więc poczeka.

Zasłonił się problemami rodzinnymi, przeprosił sponsorów, odwołał kolegów z wyprawy, przysięgając, że wyruszą za rok. Ryk Karola Młotka dochodził z Twierdzy aż do Rykusmyku. Przypominał, że cyrk z papierami dla Pakistańczyków zacznie się od początku! Ojciec pozostał nieugięty, jak ze mną i lasem oraz strzelnicą. Góry, orzekł, nigdzie nie pójdą. Tuż przed czterdziestką odkrył, że rodzina jest najważniejsza. Musi nas ocalić, dodawał, sami nie przetrwamy, gdy cywilizacja się skończy.

Myślę, że mogłoby mu się udać. Wciąż wystawał pod oknem, przysyłał bukiety z kwiaciarni i śpiewogramy. Wynajęta awionetka pół dnia krążyła nad naszym osiedlem, a za nią łopotała wściekle czerwona wstęga z napisem WYBACZ MI, MOJA HALINKO. Dedykował jej piosenki w radiu, rubrykę ogłoszeń w „Głosie Rykusmyku” zapełniły cudaczne wiersze miłosne i w końcu mama zaczęła mięknąć. Wieczorami mówiła o ojcu jakby cieplej i wspominała dobre dni. Powtarzała, że tato wciąż jest małym chłopcem, z chłopcami zaś tak bywa, czasem muszą psocić. Może próbowała zabić w nim to dziecko? A jeśli z własnej winy okazała się niewystarczająca? Przecież nigdy nie próbował odejść, nie wynosił z domu pieniędzy i, co najważniejsze, publicznie jej nie upokorzył. Może chciałam za dużo? pytała, może on naprawdę żałuje i więcej tego nie zrobi? Słuchałem tego przerażony. Zejście się rodziców oznaczało powrót w głuszę, krzesanie ognia, całonocne kempingi i taniec z kompostem.

Czasem ojciec zabierał mnie do Twierdzy, która powoli przeobrażała się w to, czym była wcześniej – zaniedbany dom, gdzie naczynia kurzą się w rdzewiejącym zlewie i trzeba uważać, by nie potknąć się o butelki. Kury łąziły po tarasie, króliki tłoczyły się w klatkach. Ojciec próbował sprzątać przed moim przyjazdem, ale nigdy nie był w tym dobry. Dlatego w łazience znalazłem coś, co zapomniał ukryć: potężną baterię lakierów do paznokci, każdy w innym kolorze.

Karol Młotek wyznał niedawno, że ojciec chciał umrzeć. Miał już mocno w czubie ten Karol Młotek, zresztą wszyscy pili na umór. Siedziałem na starych fotelach ustawionych gdzieś z boku zdewastowanego korytarza. Zaspane dzieci przelewały się przez ręce urzniętych matek, wiało, bo ludzie gór palili przy otwartych oknach, a Karol Młotek przysiadł się z puszką harnasia i tą informacją. Do dziś nie wiem, co o niej myśleć. Może niepotrzebnie powiedziałem mamie o tych lakierach?

Rodzice rozwiedli się na pierwszej rozprawie. Zmiażdżony ojciec uznał swoją winę, zgodził się na wysokie alimenty, wyznaczone godziny spotkań i miał zamiar nawet oddać Twierdzę. Mama nie chciała słyszeć o tym miejscu. Obserwowałem z daleka, jak żegnają się przed budynkiem sądu. Ojciec wyciągał dłonie przed siebie, mama patrzyła ponad jego głowę. I poszli, każde w swoją stronę, mama do kawiarni, ojciec do łady nivy. Jakoś nie mógł jej zapalić. Długo walił pięściami w kierownicę.

Widywałem go rzadziej, niżby sobie życzył. Leśna udręka dobiegła końca i nie żywiłem żadnych pretensji, po prostu interesowały mnie rzeczy poważne: matura, egzamin na studia i wyjazd z Rykusmyku. Wybierałem się na kulturoznawstwo, chciałem badać gry komputerowe. Kulturoznawca brzmi dumnie, takie wykształcenie budzi szacunek u wszystkich, myślałem. Wynajmę fajne mieszkanie, zdobędę pracę i dziewczynę.

Ojciec zrezygnował z wszelkich ambicji i zgadzał się na wszystko, o co prosiłem. Co drugi weekend spędzaliśmy w Twierdzy, gdzie wreszcie dało się żyć. Od rana do wieczora siedziałem z laptopem na kolanach, a ojciec donosił herbatę, ciastka i rozgotowany gulasz. Czasem jechał nawet po pizzę. Wieczorami graliśmy w karty i szachy. Pytał, co u mnie, jak mama się trzyma, i ścisnął butelkę. Z łazienki zniknął lakier do paznokci.

Odniosłem wrażenie, że ojciec spotyka się ze mną z nudy i obowiązku. Zawsze zasypiał w kinie, a gdy coś mu opowiadałem, patrzył gdzieś przed siebie. Zagadany nie wiedział, o co mi chodzi. Bez przerwy gmerał przy telefonie i wstawał do komputera. Wyraźnie czekał, aż pójde spać, przestanę zakłócać mu pustkę, czego wówczas nie rozumiałem, a teraz rozumiem.

Twierdza zmieniała się w graciarnię. Dawny pokój rodziców wypełniały świece, butle z gazem i kanistry benzyny. Wystarczyłaby iskra i tatuś wyleciałby w powietrze razem z całym województwem. Gromadził penicylinę, bandażę, ale żadnych lekarstw. Utrzymywał, że fatalna kondycja człowieka jest, po części, wynikiem spisku koncernów farmaceutycznych. W kuchni znalazłem nawet broszurki antyszczepionkowców.

Z takich drobiazgów, ze strzępów rozmów i gadaniny przerażonego tym wszystkim Karola Młotka domyśliłem się, o co mu naprawdę chodzi. Niedawne lęki taty stały się wielką nadzieją. Nie obawiał się już, że świat, jaki znamy, runie, lecz tego wyczekiwał. Był pewien, że koniec nastąpi, nie wiedział tylko kiedy. Czy zdąży? Kryzys naftowy zmiecie fikcję pieniądza. Zapadnie ciemność, nastanie głód, ludzie zaczną mordować się w miastach. Wówczas on łądą niva zabierze mnie i mamę do Twierdzy. Tam przeczekamy najgorsze i pokochamy się na nowo, a mama powie coś w stylu: „Kochanie, zawsze miałeś rację, jak mogłam się tak mylić?”. Świat jednak przetrwał. Wyjechałem na studia, a mama związała się z producentem wkładek ortopedycznych ze Świdnicy.

Na K2 pojechał trzy lata po rozwodzie, kiedy mama wyszła za męża, a ja obroniłem licencjat. Towarzyszyli mu Szwedzi, Rosjanie i zawsze wierny Karol Młotek. Czwarty, ostatni obóz rozbili na wysokości niemal 800 metrów. Ojciec, cichy przez ostatnie dni, wyraźnie się ożywił, wsuwał makaron, pastę z tubki i śmiał się z Radia Maryja, jedynej stacji, jaką można odbierać na tej wysokości. Wiatr wył jak odrzutowiec, wyczekiwali zmiany pogody. Karol Młotek odniósł wrażenie, że ojciec powoli traci rozum. Śmiał się z własnego małego palca u lewej dłoni. Odmrożony, jego zdaniem, przypominał okopcony kamień.

Wiatr ucichł, tego dnia pogoda była piękna i tato poprowadził atak na szyjkę od butelki, stromy kuluar broniący drogi do szczytu. Karol Młotek powiedział, że ojciec życzył mu powodzenia, jakby już nigdy nie mieli się zobaczyć. I poszli, w tych kurtkach Netii i oblodzonych okularach. W połowie drogi pojawiła się chmura, ryknęło, dupówa zjadła ich w okamgnieniu, Karol Młotek chciał wracać, ale ojciec już zniknął w zamieci. Linka zrobiła się luźna i Karol już wiedział, co się stało, tylko że z taką wiedzą nie wiadomo, co zrobić, więc zawrócił.

Ciała zawsze zatrzymuje góra. Ojciec runął w szczelinę. To wiedziałem od razu, ale Karol Młotek, gdy przyszedł do mnie z harnasem, w tym okropnym hotelu, utrzymywał, że znalazł jego kurtkę. Tato rozebrał się w zamieci, puścił linkę i umarł tam, gdzie potoczył go wiatr. Czy myślał wtedy o mnie? Czy wiedział, że go zdradziłem?

Rodzinę zabrałem tylko na pierwszy memoriał: Antoś miał pół roczku i Martyna uznała, że taka impreza jest dobra wyłącznie dla dorosłych. Zapewne chodziło jej o coś innego, czego nigdy nie powiedziała wprost. Bała się, że we mnie zamieszkuje część ojca, że wskoczę w kleterki. Nigdy o tym nie pomyślałem. Żyła we mnie część ojca, ale inna.

Inicjatorem memoriałów został Karol Młotek, który po klęsce na K2 zrezygnował z wypraw i został strażnikiem ojcowskiej pamięci. Wybrał

Bystrzycę Kłodzką, ponieważ jakoś tam kojarzyła się z górami i wszyscy mieli blisko. Znajdował się tam paskudny, wielki hotel przypominający nieco Kingowską Panoramę zdewastowaną przez pół wieku komuny. Wynajmowaliśmy piętro i salę balową. Zjeżdżali się taternicy, kilku gości zagranicznych i paru przyjaciół z Rykusmyku. Moja mama nie pojawiła się nigdy, za to widywałem dziennikarkę o wielobarwnych paznokciach. Zawsze siadała z boku i czekała, aż ktoś się nią zainteresuje.

Wszystkie memoriały wyglądały podobnie. Ludzie zjeżdżali się w piątkowy wieczór, pili wódkę, w sobotę rano wyruszali na Śnieżkę, Trójmorski Wierch czy coś równie przyjemnego, po czym wracali do hotelu i pili wódkę na nowo. Ja odpuszczałem. Wieczorem gromadziliśmy się w sali balowej, gdzie na honorowym miejscu stała wielka fotografia tatusia. Pito, wspomniano. Głowę zawsze miałem słabą. Byłem za to skarbnicą wspomnień.

Początkowo nie chciałem o tym słyszeć i poradziłem Karolowi, aby znalazł kogoś innego. Po co mam opowiadać o wyprawach, na których nie byłem? Karol trzymał się ojca, niech opowiada. Odparł, że nie nadaje się do tego, poza tym ojciec podczas wypraw mówił tylko o jednym: o swojej rodzinie.

Wprowadzili mnie na podwyższenie, odmówiłem wódki. Najpierw opowiedziałem o wyprawach do lasu i Twierdzy. Ojciec wyglądał końca świata, aż ściągnął na siebie swój własny, my żyjemy, tylko nie wiadomo po co. Zrozumiałem, jak niewiele o nim wiedziałem i że nikogo nie obchodziły raczej żywnościowe gromadzone w piwnicy. Łaknęli gór.

Opowiedziałem, jak ojca razem z ekipą zaskoczyła dupówa, lodowaty wiatr. Szturmowali Makalu, nie dało się żadną miarą i ojciec zarządził powrót do bazy. Widoczność na metr, ryk góry. I w tej białej ciemności natknął się na towarzysza sztywnego niby bryła lodu. Po prostu zatrzymał się i umarł. Zrobiłem pauzę i zrozumiałem, że niezbyt trafiłem z tą opowieścią, więc zaraz znalazłem kolejną, już śmieszniejszą, jak ojcu wypadł portfel z kurtki. Portfele czasem wypadają, nie zawsze jednak w lodowatą przepaść. Było to na Lhotse. Ojciec doprawdy nie wiedział, co będzie, bo miał tam całą forszę, karty, dokumenty, słowem przepadł obiad, hotel i bezpieczny powrót do domu. Więc wściekał się ten mój nieroztropny tatko, ale jak zszedł wreszcie do bazy, zaraz wyleciał do niego rozradowany członek ekipy japońskiej. Szli jego śladem, znaleźli portfel, niestety bez pieniędzy – te zabrało yeti.

Tym razem wszyscy się śmiali. Opowiedziałem jeszcze mnóstwo innych historii, pozwoliłem sobie na kieliszek albo cztery, aż wreszcie złapałem się na tym, że mówię je w pierwszej osobie. Zsunąłem się z podwyższenia prosto

między gadające głowy. Dopytywali o tatę i nie mogli uwierzyć, że nigdy nie byłem z nim w górach. Tłumaczyłem się słabym zdrowiem i młodzieńczym buntem, dopiero zaczynałem studia, jak ojciec umarł. Usłyszałem, że mało kto mówi tak pięknie o rodzicach jak ja. Usiadłem wśród ludzi, napiłem się i zrobiłem coś, z czego nie jestem dumny.

Moje małżeństwo jest dobre, więc niewiele ciekawego o nim mogę powiedzieć. Z Martyną związałem się na pierwszym roku, pobraliśmy się zaraz po studiach, Antoś urodził się zdrowy. Ma teraz siedem lat. Chciałbym mieć jeszcze córeczkę, no ale nie wszystkie marzenia się spełniają.

Kumple na studiach umawiali się z trzema dziewczynami naraz, kręcili wałki na boku, a mi Martyna wystarczała. To znaczy podobały mi się inne kobiety, lecz nigdy nie zrobiłem nawet kroku w ich kierunku. Wierność, życie spędzone z jednym tylko człowiekiem wydawało mi się fantastyczną przygodą. Cieszyłem się perspektywą wspólnego starzenia się, no i nie chciałem być taki jak ojciec, którzy skrzywdził nie tylko moją mamę, ale i dziennikarkę o kolorowych paznokciach. Nigdy nie wypowiem jej imienia.

Na memoriały przyjeżdżała taka Kinga z Warszawy, która przygotowywała kolejny, nikomu niepotrzebny reportaż o alpinistach. Miała tatuaże na przedramionach i gęste, jasne włosy, bez przerwy wychodziła na papierosa i po pięciu minutach znajomości traktowała mnie jak starego kumpla. Chciała, żebym opowiedział jej o ojcu, i przyniosła butelkę, żeby lepiej się gadało. Wypiliśmy, po kolejną poszliśmy razem i całowaliśmy się na półpiętrze. Pieściłem jej plecy pod bluzką. Bardzo się bałem, że ktoś nas zobaczy. Kinga ciągnęła mnie do swojego pokoju. Uciekłem. Całą noc nie mogłem zasnąć. Było mi głupio ze względu na Martynę, ale i Kingę.

Napisałem do niej. Przeprosiłem, nazwałem siebie pijanym durniem, który się zagalopował. Zaraz odpowiedziała, że nie ma sprawy, choć trochę żałuje, że jej nie odwiedziłem. I tak zaczęliśmy pisać, ona wieczorem, ja rano, długie, bardzo szczere e-maile. Pisałem jej o rzeczach, o których nikomu nie miałem odwagi wspomnieć. Kinga podobnie, przynajmniej tak twierdziła, a ja bardzo chciałem jej wierzyć. Czytałem e-maila i przez całą noc zastanawiałem się, jak odpowiedzieć, i tak zostałem kimś, kim nigdy nie chciałem być – człowiekiem, który ma komputer z hasłem.

Nie używaliśmy komunikatorów, nie wymienialiśmy esemesów, były tylko e-maile – długie na cztery ekrany, przepełnione niewysłowionym ciepłem. Gdy Kinga spóźniała się – najczęściej pisała koło dziesiątej wieczorem – odchodziłem od zmysłów. Dostawałem szału, jeśli nie mogłem odpisać, bo wyobrażałem sobie,

że Kinga przeżywa to samo. Była ciepłą, samotną dziewczyną w wielkim mieście. Zbliżał się kolejny memoriał. Zapytała, czy będę.

Prawie nie piję, bo ojciec pił, ale tym razem zacząłem jeszcze przed memoriałem. Kupiłem małąkę w Żabce i osuszyłem w autobusie do Bystrzycy Kłodzkiej. Pod hotelem zatrzymałem się jeszcze na kielicha w jednej z tych knajpek, które oferują turystom namiastkę góralskiego ciepła. Na drewnianych ścianach wisiały ciężkie skóry, ogień trzaskał za okopconą szybą kominka, z talerzy parowała zupa. Usiadłem przy barze, topniał na mnie śnieg i gdy ruszyłem stromą drogą pod hotel, plątały mi się nogi. Cieszyli się przyjaciele ojca, ścisnął Karol Młotek. Powlekli mnie zaraz do sali balowej, gdzie już czekał fotel na podwyższeniu, lecz jeszcze nie było zdjęcia ojca, dali wódki, śledzia, tataru, dali pieczonych jabłek i kaszanki ze skwarkami, a ja wznosiłem kieliszki i snułem górskie historie, które były jak film obejrzany wczoraj. Znałem oślepiającą biel śniegu rozstrzelanego słońcem, mówiłem o zmarłych pochowanych w śpiworach i o tym, że odmrożony palec przypomina okopcony kamień.

Wypatrywałem Kingi i w końcu poszedłem jej szukać. Przecież nie zapytałbym nikogo, gdzie ona jest. Obszedłem wszystkie piętra, gdzie wrzało pijane życie. Wlali we mnie koniak, wlali piwo i jeszcze więcej wódki. Wyobrażałem sobie, że mojego życia nie ma, że nie spotkałem Martyny i nie przydarzył się Antoś. Ktoś pomógł mi pozbierać się ze schodów i zaprowadził do sali balowej, gdzie niby miałem przetrzeźwieć. Bełkotałem coś o nocach na przełęczy spędzanych tylko w płachtach ratunkowych. Wódka ciekła mi po brodzie. W końcu mnie ponieśli i wtedy zobaczyłem Kingę. Odbierała klucze na recepcji, narzekała na korki, załamanie pogody – nie mogła przyjechać wcześniej. Ja też byłem złamany i też nic nie mogłem.

Obudziłem się w środku nocy w gwałtownym alkoholowym dreszczu. Do świtu oglądałem porno na komórce i wyobrażałem sobie, czegoż to nie zrobię z Kingą zaraz po memoriale. A może powinienem do niej iść już teraz, myślałem. Tylko do którego pokoju? Przysięgałem sobie, że spędzimy ze sobą tylko jedną noc. Nikt się nie dowie. Nikogo nie skrzywdzę. Ojciec miał romans, upokorzył moją mamę przed całym Rykusmyku. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

Zasnąłem nad ranem. Śniło mi się, że błędzę w wysokich, lodowych korytarzach, a w wysokim oknie majaczy sylwetka kobiety: raz mamy, raz Kingi, raz Martyny. Obudziłem się wyspany i spokojny. Po raz pierwszy wybrałem się na Śnieżkę. Pojechaliśmy w kilka samochodów. Z Kingą wylądowaliśmy na tylnym siedzeniu, prowadził Karol Młotek, a później, już w drodze na szczyt, cały

czas zostawaliśmy z tyłu albo gubiliśmy drogę. Poczułem się młodszy, silniejszy. Długo wspinałem się na ten brązowy, łysy garb. Wiał zimny wiatr. Obserwatorium na szczycie spowiła mgła. Na szczycie opuściły mnie wątpliwości. Poczułem się wolny, po raz pierwszy w życiu.

Cały dzień spędziłem z Kingą i bardzo się bałem, żeby ktoś sobie czegoś nie pomyślał. Szliśmy parę metrów od siebie, zjeżdżając ze Śnieżki, wybraliśmy osobne wagoniki na wyciągu, a w knajpie, na wspólnym obiedzie usiedliśmy po przeciwnych końcach stołu. Mogliśmy na siebie patrzeć, ale nie dotknąć. Myślałem o wielu różnych rzeczach jednocześnie: o nadchodzącej nocy, o Martynie i Antosiu oraz o tym, jak niewiele trzeba, aby zdobyć kobietę. Dlaczego nie wiedziałem o tym wcześniej?

– Tylko się nie upij – poprosiła Kinga. Na memoriale usiadła w pierwszym rzędzie. Mówiłem tylko do niej. Opowiadałem o tratwach używanych przez kulisów do spływu po rzece Shigar w Pakistanie. Robią je, te tratwy, z desek podbitych worami futra, dmuchanymi jak termosy. Taka tratwa nigdy nie zatoni, jest jednak powolna, mało zwrotna i bez przerwy ją znosi. Przecież każdy ma swoje tajemnice. Zdrada jest niczym więcej jak psotą, chłopacką rozrywką dla dorosłych, którym już nie przystoi wychodzenie na grandę do sadu sąsiada. A sranie na linie to dopiero historia! Oto wiszę, mój ojciec wisi siedem tysięcy metrów nad poziomem morza, przyczepiony do niemal pionowej ściany, wyje wiatr i pizdzi jak na dworcu u Putina. Natura wzywa nawet największych bohaterów i nie znosi opóźnień, tygrys, choć mu niewygodnie, czasem musi spuścić spodnie. Wygląda to tak, że człowiek, wciąż wisząc, zsuwa z siebie spodnie, a także kalesony *warm tights* i bawełniane majtki, co zajmuje kawał czasu, jak każda najprostsza nawet czynność w górach. Wreszcie, tuż pod koroną świata, błyskają dwa sinawe półdupki, napinają się pośpiesznie i już. Biada każdemu, kto wspina się niżej. Polecą po śmierć, strącony gównem zamarzniętym w locie.

Wszyscy zaśmiewali się z tej historii i tylko dziennikarka o różnobarwnych paznokciach patrzyła na mnie jak na ducha. Uroczystość dobiegła końca, wypłem parę kieliszków, walcząc z naprzemiennymi falami wstydu i ekscytacji. Sprawdziłem komórkę. Kinga podała numer swojego pokoju.

Nie mogliśmy wyjść razem, Kinga zniknęła pierwsza. Karol Młotek zaciągnął mnie zaraz do baru, zmusił, bym wypił whisky i zdradził tajemnicę, którą niedawno odkrył. Jego zdaniem życie było przedziwne i nieodgadnione. W dniu śmierci mojego ojca utracił wszystko. Cały jego świat runął do żlebu wraz z moim tatusiem. Później zaprzyjaźnił się ze mną, do czego w innej sytuacji by

nie doszło. Nasza więź zaczęła się od pogrzebu. Stracił przyjaciela i natychmiast zyskał nowego. Mocno mnie wyściskał. Nie wiedziałem, że jestem taki ważny dla niego. Widywaliśmy się tylko raz do roku.

Skłamałem, że mi duszno i muszę się przewietrzyć. Stałem przed hotelem. Liczyłem okna, w których paliło się światło, i próbowałem zgadnąć, który pokój należy do Kingi. Może nie powinienem iść? Martyna była dla mnie dobra. Jeśli się dowie, na jej twarzy nigdy już nie zagości uśmiech. Ale przecież byłem mężczyzną. Mężczyzna zdobywa, natury nie sposób zwyciężyć. Nie piłem, przynosiłem pieniądze do domu. Każdy człowiek ma prawo do tajemnicy. Powinien mieć coś swojego, co skrywa przed wzrokiem ukochanych najbliższych. Tak myślałem. Ćmy tańczyły w ciepłym świetle lamp, było chłodno i cicho. Już pora, pomyślałem. Znalazłem właściwe okno.

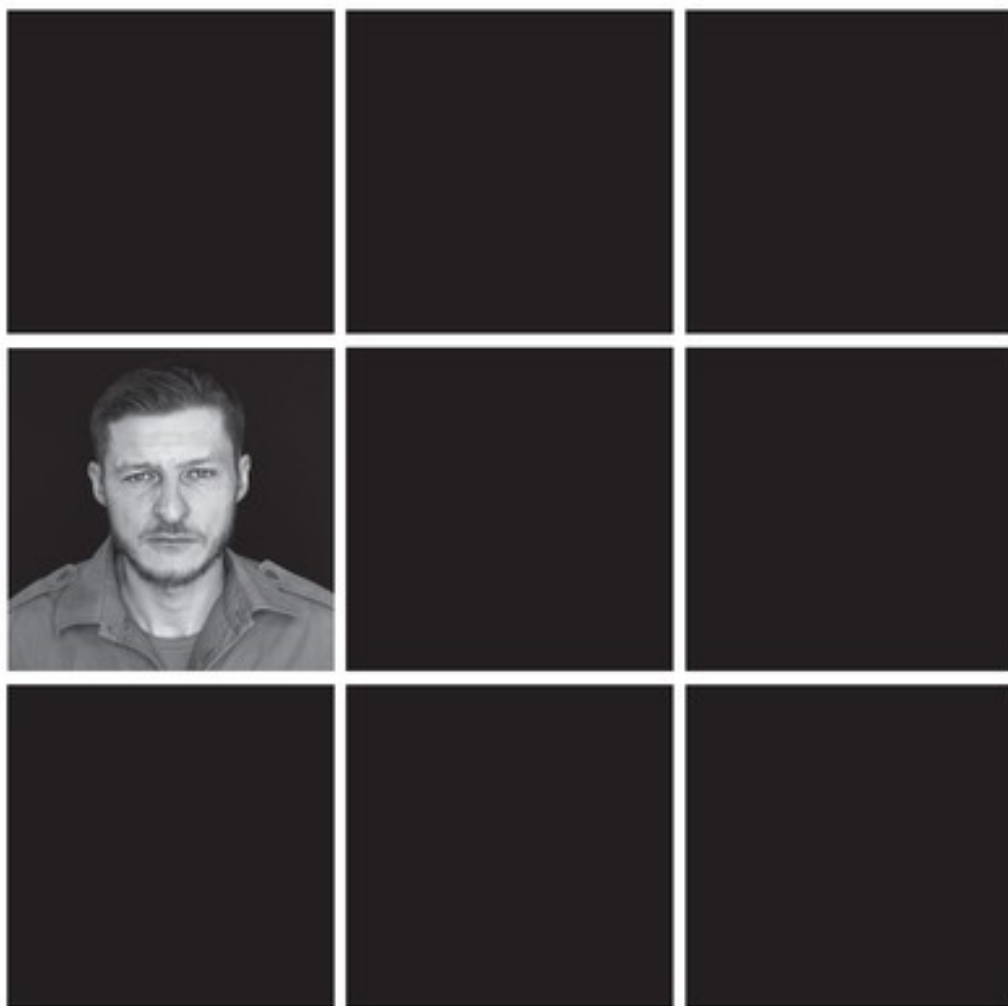
W drzwiach zderzyłem się z dziennikarką o kolorowych paznokciach. Utyła, a oczy miała mętne jak ludzie, którzy biorą zbyt wiele leków na głowę. Otarliśmy się o siebie. Już dawno przestałem się na nią złościć. Po prostu chciałem ją minąć. Za drzwiami ciągnął się hol, potem była recepcja, a dalej schody na piętro, gdzie czekała Kinga.

Dziennikarka oparła się o framugę, przyłożyła dłoń do ust.

– Boże drogi, myślałam...

Idiotka ze mnie, wiesz? Myślałam, że to on, chłopaku, przepraszam naprawdę, ale wyglądasz dokładnie jak on, jak twój ojciec.

Kraków – Warszawa, 2017



Andrzej
Muszyński

MACZUŹNIK

Igor wszedł w papuciach do wyiębionej kuchni, wcisnął w półśnie przycisk UKF w radiu lampowym i podszedł do ekspresu do kawy. Otworzył oczy. Wetknął filiżankę na mały palec prawej ręki i podszedł do uchylonego okna skrzynkowego. Pchnął zewnętrzną część łokciem, położył kawę na parapecie i odpalił papierosa. Wychylił się lekko i spojrzął w prawo, z fasady odpadł kolejny strupek. Pomasował go, a potem położył palec na języku.

W nocy padał deszcz. Nad miasteczkiem unosił się opar, jakby ktoś wylał wiadro wody na żar w ognisku. Tak, zawsze „jakby”. Zawsze trzeba było się tu wszystkiego domyślać, czytać dźwięki. Od kolejnych domów odgradzała ich ściana zieleni, a raczej dzikiego zielska, które przed świtem przeczesywali grzybiarze, wydeptując jak zwierzęta w wysokich chaszczach z pozoru nielogiczne ścieżki. Nocą biła stamtąd intensywna łuna jak z obozowiska w lesie. Ostatnie pijackie krzyki milkły wraz ze wschodem.

Zwykle po śniadaniu siadał przy biurku i włączał komputer. Ostatnie miesiące opóźniał ten moment, krzątał się w kuchni, bo myśl o tym, że przystępuje do pracy ojca, wywoływała w nim uczucie zbliżone do natarczywie wracającego przykrego wspomnienia. Dlatego wyszedł z drugą kawą na zewnątrz. Podszedł do młodych drzewek, które wypuszczały pierwsze pąki. Oderwał jeden z nich i obracał w palcach tak jak dzieci żutą gumę. Sosny wypuszczały pędy i podejrzewał, że wkrótce matka zacznie marudzić, żeby zrobił jej syrop, Igor będzie wymawiał się pracą, matka skonstatuje, że to wszystko przez ojca, a gdy w Igorze odezwie się podmiot liryczny i zapala do matki efemeryczną miłością, przerośnięte pędy nie będą się już do niczego nadawać.

Zmarszczył czoło i spojrzął na budynek. Okno w pokoju matki było ledwie uchylone, a przecież wieczorem otworzył je na oścież. Matka coraz częściej dusiła się w nocy. Pod nieobecność ojca, w tajemnicy przed nim zawarli traktat – może palić papierosy w lewej części pałacu. Gdy spoglądał na dom z zewnątrz, lewa strona była w środku wyraźnie ciemniejsza od prawej zamieszkaną przez matkę. Zawsze mówiło się „pałac”. Jaki tam pałac: przysadzisty budynek w stylu pruskiej szkółki podparty kamiennymi skarpami na rogach, odziedziczony przez rodzinę matki po kapitanie ze Wschodu, który przybył tu w czasie pierwszej wojny, walczył, zakochał się i zbudował sobie willę na uboczu.

„Za trzy dni przyjedzie mój ojciec” – musiał uczyć się tej tezy jak trudnej frazy w obcym języku. Wmuszał w siebie prawdę, że kluczyk do mechanizmu, który przywłaszczył sobie Igora jako swój tryb, leży w przeszłości, a ta niestety nie jest miejscem. Uwolnił się od tej myśli, przypominając sobie, że musi jeszcze narąbać

drewien. Matka prosiła go ostatnio niemal codziennie, by rozpałał w starym piecu kuchennym. Wielki Tydzień był zimnym tygodniem. Schodził po schodach do piwnicy, zapalał lampę i zanim wzrok nawykł do jaskrawego światła, czuł się jak we wnętrzu lodowca. Wracał z koszem pełnym bukowych polan. Nic tam nie gotowała. Lubiała z łóżka patrzeć na ogień, na iskry wspinające się do sufitu nagłymi skokami, jak po skale. Igor siedział na zydlu i patrzył na kroplę wody z czajnika, która krążyła po fajerkach, aż pękała albo wpadała przez dziurkę w ogień.

Igor wspominał dzień, w którym ojciec wyjechał. Bawił się tą sceną w pamięci jak nicią, którą zwijał i nawijał na szpulkę. To było pół roku po zwolnieniu go z huty szkła, która przez pół wieku utrzymywała miasteczko, gdzie spędzał roboczodniówki jako pracownik umysłowy na ciepłej, średnio płatnej posadce. Nie, to było jak wybuch niewypału. Niewypał pęka inaczej niż nowy pocisk. Bardziej głucho i definitywnie. I tak przeszła miasteczko wieść, że wyrzucają na bruk pół załogi, a resztą zajmie się nowy właściciel z Bombaju. Ojciec w te upalne dni chodził na rozmaite spotkania, strajki i konferencje prasowe, na które zjeżdżali się dziennikarze z całego regionu. Gdy wrócił po jednej z nich do domu, zamiast o zakładzie i pracy mówił przy kolacji o rysach twarzy tego człowieka, jakby w muzeum tylko jemu pozwolili dotykać starożytnego, pociągającego posągu.

Igor krzątał się po domu i odtwarzał okoliczności wyjazdu ojca, jakby nacisnął sobie w mózgu PLAY, zapadającą w pamięć melodię z radia. Pamiętał wszystkie szczegóły, piąty plan, kota na parapecie, wróbla siedzącego na antenie satelitarnej, jakby właśnie w tym dniu zapanował nad własną pamięcią, na co dzień tak wybiórczą i samowolną. No więc salon – ostre światło późnego lipca, rozsypane pod kredensem wysuszone kwiaty lipy, matka odganiająca się od muchy, bladość jej twarzy pod czerwonym rumieniem albo czerwony rumień pod naturalną bladością, gdy dmuchnęła w opadający na oczy kłęb jej białych, a może blond włosów tak nieudolnie arogancko jak chłopcy, którzy dopiero uczą się tej sztuki. Walizka na środku salonu, trzask zamykanej walizki, ponowne jej otwieranie, rozrzucanie po pokoju rzeczy w poszukiwaniu adaptera prądu, klęczący ojciec, czarny, bo oświetlony z tyłu słońcem, na jednym kolanie, jak ostatni raz na komunii Igora, pot na twarzy matki, pot na ramieniu ojca, samochód, pośpiech, czarne chmury, wiatr, rozbłysk, dobra pogoda.

2

Za dwa dni wraca ojciec, pomyślał Igor, gdy przesunął drzwi stopą i wniósł do salonu rozkładany stolik ze śniadaniem, który postawił w łóżku ponad jej

piersiami. Postawił na nim sok, kawę, chleb z masłem i jajko na miękko.

– A sól? – zapytała ochrypła.

– O, nowość, od kiedy ty się czegoś dopominasz? Brawo, postępy – powiedział to całkiem uprzejmie.

– Szczyptę proszę – powiedziała i obróciła się nieco na bok, tak że przywarła biodrem do stolika. Igor wrócił z solniczką.

Matka uderzyła w jajko i obierała skorupki na talerzyk. Igor wyszedł i zrobił kilka kroków w korytarzu, udając, że odchodzi, ale wrócił w skarpetkach i stanął w drzwiach, obserwując ją przez szparę. Drzwi lekko skrzypnęły, więc przytrzymał je ręką. Mniej więcej od trzynastego roku życia nie potrafił traktować jej inaczej niż jak przedmiot. Jej piaskowoszara skóra odkrytego przedramienia i twarzy zlewała się zupełnie z kolorem nagich ścian. Rażące światło przenikało przez firankę i kładło się przy jej łóżku w cętkowaną figurę, jak unoszący się nad podłogą dywanik. Gdy zbliżała się wiosna, matka zaczynała się częściej podnosić, wychodzić do kuchni, a nawet na zewnątrz. O wiele bardziej do twarzy – wyobrażał sobie Igor – byłoby jej spać na podwórku, pomiędzy drzewami. Powinna, myślał, leżeć tam w ogrodzie pod baldachimem z motylami wielkimi jak sowy, ponieważ od wielu lat rzeczywistość, zbyt krucha i drobna, jej nie wystarczała. Prosiła, by wypożyczać jej „surrealne” książki. Zanim podniosła się z łóżka, wydawała się coś liczyć, patrząc w sufit. Przez te parę dni wczesnej wiosny pojedyncze dźwięki w próżnej przestrzeni nabierały ostrości, przepełnione czymś jakby nadprzyrodzonym. Wydawały się rozpadać na kawałki na szybie. Wtedy matka mrużyła oczy. Gdy otwierała je, tkwił w nich ozywczy niepokój, zupełnie jak na filmach przyrodniczych u zwierząt wyczuwających zagrożenie.

Odchyliła kołdrę i rozprostowała pod krótką halką długie, smukłe nogi. W zasadzie mogła być jego narzeczoną.

Matka zachorowała mniej więcej trzy miesiące przed wyjazdem ojca i koszty leczenia, przynajmniej oficjalnie, wzmocniły jego motywację do emigracji.

– Wszyscy nosimy w sobie komórki nowotworowe, proszę państwa – oznajmił doktor na wizycie po badaniach lekarskich, uderzając szufladą swojego biurka. – Wszyscy je nosimy i nie ma co panikować. One czekają na naszą słabość, na taką ospę jak u pani, na przykład – mówił swoim barytonem, a matka słuchała go, podpierając brodą głowę, jak elokwentna czytelniczka na spotkaniu autorskim zadumana nad zadziwiającą pustotą pisarza.

– Guz, jak wiemy, niezłośliwy, znajduje się na nerwie wzrokowym, a więc wytniemy go tylko połowę, tak by nie straciła pani wzroku. Z tym da się żyć,

spokojnie.

Ojciec wrócił pierwszy raz po trzech miesiącach. Strzygąc uszami, rzucił na stół napęczniałe koperty z funtami, przeliczając je na złotówki. Tej nocy leżeli razem na łóżku matki na wznak.

Ojciec wnosił do domu zapachy – butów, skarpet, wody kolońskiej. Ale i one niknęły wraz z jego kolejnym wyjazdem. Zostawał tylko jeden, cięższy, jak opony albo guma. Igor, wiedząc, że to nie one, przywoływał go gdzieś z za ostatniego zakrętu dzieciństwa, za którym czas zatarł ślady.

Po śniadaniu wyciągnął z kredensu koszyk pełen rzadko używanych kluczy. Wziął w dłoń małą kłódkę na dolnej szafce. Przymierzył kluczyk, który wniknął łatwo do środka. Tak, to był zapach kaset wideo. Tak pachniały wypożyczalnie kaset magnetowidowych zwykle pełne mężczyzn w dżinsowych katanach i banknotów. Otworzył drugie skrzydło drzwiczek i zobaczył je w dwóch rzędach, dziesiątki. Przebiegł palcami po grzbietach, wybrał pierwszą z brzegu. Spojrzał na okładkę z blondyną z rudą chwoją. Wyciągnął kasetę, wsadził palec w dziurę, jakby chciał przewinąć taśmę. Schował ją do opakowania i zamknął szafkę.

3

Ojciec wracał z początku co miesiąc Ryanaiem, potem co dwa miesiące, co trzy, a w końcu na święta. Porozumiewali się przez telefon i Skype'a, początkowo co tydzień, później znacznie rzadziej. Dlatego został im Facebook. Ojciec wyglądał jeszcze wtedy jak frajer. Takiego ojca nie trzeba się wstydzić, takiego ojca ojciec nauczył Igora szanować. Okulary jak u Kim Dzong Una, portki w kant z nogawkami do szorowania ulic, wata na barkach. I tyskie, tak, tyskie podniesione w geście toastu w słonecznym, brytyjskim parku. Dużo światła, trybuny, przystrzyżony gazon i tam ojciec w piłkarskim stroju, z brzuchem bambaryły, jeszcze taki sam, swój. Balanga na tyłach domu, żywopłot; link do klipu z kawalkiem Popka *Pakistańskie disco*, z pięćset lajków, z tysiąc znajomych. To na fotografii z tej imprezy Igor zobaczył po raz pierwszy Jonesa, wielkiego wąsatego Murzyna, nowego, nieodstępującego na krok kumpla taty.

Odtąd Igor częściej zaglądał na ojcowy profil. Wyczekiwał coraz częściej pojawiających się fotek jak kolejnego odcinka łebskiego serialu – zasypiał, pragnął raz jeszcze sprawdzić, czy ojciec nie wrzucił newsa, wypierał to, a potem zrywał się na nogi, włączał fejsa na telefonie, pokój rozświetlał blask, i bez względu na efekt – dopiero wtedy spokojnie zasypiał. Czasem po tym śnił mu się. Zawsze ten stary tata – porządny. Nieprzeklinający przy dziecku, punktualny, oszczędny, lekko śmierdzący. Tak, tego słowa używało się najczęściej – porządny – szczególnie wtedy, kiedy żył dziadek, przy którym aż do jego śmierci ojciec

skrywał się z papierosami; podpalał w pracy. Igor zapalił pierwszego w domu w dniu, gdy ojciec wyjechał. Wyszedł przed dom, zaciągnął się mocno, wypuścił dym gdzieś w kierunku Oriona i zamknął oczy, doświadczając rzadkiego poczucia odzyskanej wolności, gdy ktoś opuszcza twoje miejsce i zostajesz sam.

Umówili się na niedzielę na Skypie. Kończył się lipiec, więc zbliżał się urlop ojca. Zawsze wracał wtedy do domu na dwa tygodnie. Igor usiadł z matką przy stoliku w salonie. Matka kazała Igorowi ściszyć telewizor. Nie potrafiła zasnąć bez włączonego odbiornika z wyciszonym dźwiękiem. Palila się tylko lampka w rogu salonu. Ojciec zapuścił zadbany zarost, wyraźnie schudł. Matka, zamiast przywitać się, przeszła do rzeczy, pociągając nosem:

– Coś ty taki chudy? Tak was zajeżdżają? – Ojciec poprawiał słuchawki, ale Igor miał wrażenie, że usłyszał pytanie i tylko wykorzystuje czas, by skłamać. W każdym razie odpowiedział:

– Biegam. Trzy razy w tygodniu na razie. Maraton chcę zrobić wiosną. Założyłem się z kumplem.

– Z kim, z tym czarnym, co się z nim focisz na fejsie? – zapytał Igor.

– To jest Jones, fajny gościu, żaden tam czarny czy ciapaty – powiedział jakoś niechętnie ojciec.

To wtedy Igor poczuł po raz pierwszy w bardzo jeszcze mętny i ulotny sposób, że ojciec wstydzi się z nimi rozmawiać; że wstydzi się przed nimi swojej własnej przemiany. Człowiek, który chce coś ukryć albo uciec, zachowuje się inaczej. Człowiek, który prawie wyparł z pamięci swoją własną przeszłość, nienawidzi jej świadków. A jeśli są to świadkowie, których kochał, kocha albo, co gorsza, powinien kochać, nienawiść obraca się przeciwko niemu samemu. To, a nie niechęć do nich czy wstyd, stają się powodem tego, że chce się ich jak najzwyczajniej, jak najciszej pozbyć.

Ale ojciec Igora był nieco inny.

– Słuchaj, w tym roku nie mogę przyjechać na urlop – powiedział ojciec, nie wiadomo, czy to do Igora, matki, czy do obojga naraz. Igor spojrział na matkę. Widział w świetle monitora, jak kociozielone źrenice rozszerzają jej się jak po kokainie. Igor skubnął paznokiec. Ojciec uśmiechnął się: – Co dramat? Dramat? To daj mi dokończyć. Nie przyjadę na urlop, żeby już żadnego urlopu nie brać, żeby tu nie siedzieć. Jak Kapuściński będę. Lecę z tym Jonesem do Ghany.

– Do jakiej Ghany? – Matce brakło tchu.

– Do Afryki. Zakładamy z Jonesem firmę. Będziemy drewno importować do Polski, dla meblarzy. Nie chciałem wam wcześniej mówić, niespodzianka. Jones nie miał tu nikogo sensownego, a chciał podziałać na rynkach wschodnich. Te

jego kumple to same jełopy. Opowiadał mi o tym, opowiadał, a ja mu w końcu mówię – ale Jones, przecież ze mną to możesz robić.

Ojciec opowiadał jeszcze długo. Igor patrzył na matkę. Potrzebowała tego. Zawsze potrzebowała, by ktoś mówił do niej długo, cierpliwie, choćby obiektywną nieprawdę po to, by zaakceptowała nowy porządek rzeczy, by zniknął z jej twarzy wyraz utrapienia światem, który zmienia się, zmienia, a i tak przypomina śmietnik.

4

Wtedy Igor po raz pierwszy zapragnął być swoim własnym ojcem. Przestał oglądać telewizję, grać na konsoli, wychodzić z domu, jeść, palić prawie przestał. Nie odrywał się niemal od monitora, ponieważ ojciec po wyjeździe zwielokrotnił częstotliwość wrzutów fotek na fejsa i całkiem składnych, obrazowych opisów; po raz pierwszy tak naprawdę wirtual przerósł real. Był lepszy, bo bardziej uporządkowany, precedzony przez pazerny wzrok ojca. Zostawiał odrobinę więcej czasu na reakcję, pogłębiał zachwyty i po raz pierwszy od lat pozwolił odkryć Igorowi coś tak kręcącego jak wyobraźnia. Im dłużej przyglądał się relacji ojca z Afryki, tym częściej i dłużej zaczął przebywać w jego pokoju. Robił to tak, jakby ojciec tam przebywał. Chyba po raz pierwszy zaczął uważniej przeglądać książki skupione w zamykanej szafce na trzech regałach. Dopiero teraz dostrzegł, że pomiędzy pomiętymi z serii z Żółtym Tygrysem znajdują się powieści Jacka Londona, a przede wszystkim najbardziej wysłużone książki Cizii Zykë.

Ojciec oddalał się od Akry. Fotografowali się z Jonesem na białym zamku w Cape Coast, skąd Brytyjczycy wywozili na statkach niewolników do Ameryki, a wcześniej trzymali ich w lochach. Ojciec podpisał zdjęcie: „Podobno tylko stamtąd nie było słychać szumu morza”. Oddalał się, bo coraz rzadziej publikował swoje sprawozdania i refleksje. To nie był Paolo Coelho. Igor czytał te teksty i próbował zrozumieć, dlaczego ojciec nigdy z nim w ten sposób nie rozmawiał. Dlaczego nie dyskutowali o zmianach klimatu, o winach, o sadownictwie, o kobietach, dlaczego wspólnie nie dociekali, czy Hindusi stanowią odrębną rasę, dlaczego nie czytali razem listów Marysieńki do Sobieskiego albo przynajmniej Sobieskiego do Marysieńki, dlaczego nie pojechali kiedyś na jakiś zamek, dlaczego ich rozmowy służyły tylko codziennemu przetrwaniu.

W końcu wrócił z lasu. Podpisał fotkę: „Ostatni pierwotny las równikowy w Afryce Zachodniej, wioska Mosomogor, trochę tyłek boli od wybojów, ale opłaciło się”. A potem na białą kartkę fejsa spadały kolejne, jedna po drugiej, jak klatki w przeźroczach. Na zdjęciu, na którym ojciec stoi otoczony tłumem

ucieszonych bosych dzieciaków, Igor dostrzegł nowość: jego perliste zęby. Tylko raz pozwolił sobie na zagranie na granicy taktu, pewnie przez alkohol – siedząc w restauracji nad brzegiem oceanu na sofie z hebanowymi rzeźbami, strzelił sobie selfie z banknotem wielkim jak pocztówka, tuż przy nosie, jakby go wachał. Za to zebrał najwięcej lajków. Dopiero następnego dnia wyjaśnił istotę sprawy, publikując zdjęcie z pościnanymi drzewami o średnicy równej jego wzrostowi.

Zadzwoił. Tym razem nie zdobył się na tłumaczenie. Nie musiał się już na nic zdobywać. Sam ton jego głosu definitywnie nastroił całą rozmowę wyłącznie po jego myśli – nie było w niej miejsca na pytania, tym bardziej na sprzeciw. „To jest chyba jasne, tak? Wreszcie się skończy męczarnia. Wreszcie sobie pożyjemy jak ludzie. Sprzątaczkę zatrudnimy. Na wakacje pojedziemy. Igorek, zabiorę cię tu. Bogu trzeba dziękować, że ja tego Jonesa spotkałem, dar”. Nawet tego nie powiedział. Po prostu oznajmiał. Oznajmiał, że nie wróci przez jakiś czas do Europy. Złożył wypowiedzenie w pracy w Anglii, nie będzie wracał do bydła. Najwyższy czas, żeby pracować jak ludzie. Wtedy w ten właśnie sposób zatrudnił Igora na stanowisko swojego asystenta w Europie, skąd Ten miał dowodzić całą logistyką tak, by transport drewna tekowego trafił bez problemu do klienta. Wydzielił konta, instrukcje, zażądał profesjonalnej strony internetowej. Zarejestrował firmę w Wielkiej Brytanii, a drugą w Polsce na Igora. Igor, rzuciwszy trzy lata wcześniej studia architektoniczne, odkrył, że nie potrafi samodzielnie zarabiać, więc zgodził się na tę ofertę jak nieznoszące mycia dziecko na sobotnią kąpiel.

Pierwszy transport drewna przyplłynął do portu po miesiącu. Dwa tygodnie później Igor zobaczył na koncie firmowym cyfry: 320 548.

Ależ życie musi wyglądać zupełnie inaczej, gdy ludzie cały czas się pocą, medytował Igor. A do tego nie wstydzą się swoich ciał. Dzielią się zapachami jak chlebem. Ależ musi być inaczej w miejscu, w którym życie nie przystaje, nie zwalnia, nawet w nocy, która na równe dwanaście godzin wypycha ludzi gęstym, słodkim nadzieniem. Ależ inaczej musi wyglądać tam śmierć, nieporównywalnie bardziej nagła i nierealna. Ależ dobrze byłoby umieć się spakować, pojechać na lotnisko i tam wylądować. Zobaczyć te puste lotniska w buszu, pełne kurzu, otoczone drucianymi siatkami z dziurami tak wielkimi, że mieściła się w nich jałówka albo czarnoskóra kobieta z dzbankiem na głowie, która przechodziła w poprzek pasa do lądowania tuż przed samolotem, jakby to on miał zwolnić na nieistniejących pasach, niewzruszona, dumna, z tyłkiem ze sprężyn zamiast mięśni.

Niestety Igor – coś w ten sposób szeptało mu do ucha – ty nigdzie nie pojedziesz, ponieważ podróż to możliwość wyboru – między swetrem a koszulą, klapkami a sandałami, lotniskiem B a lotniskiem A, droga do porażającego wniosku, że życie nie składa się z samych przypadków. A wiara w ich nieistotność w życiu to domena psychopatów, którzy od jakiegoś czasu kolonizują ten świat – ludzi na zawołanie odważnych, przebojowych, pewnych siebie, zadowolonych z siebie, agresywnych, gardzących innymi ludźmi osobników, którzy w chwilach zbliżenia potrafią wykazać opanowanie szpiegów. Ale czyż Igor nie należał do psychopatów? Które dziecko bije matkę wałkiem do ciasta w piersi tak, że jej wnętrze gruchocze? Który chłopiec rozbija młotkiem kredens, gdy wpada mu pod niego śrubka? Który mężczyzna miałby ochotę udusić swoich rodziców? A przynajmniej wstać na wigilii od stołu i oznajmić: „Nienawidzę was. Zniszczyliście mi życie w chwili urodzenia”. Który człowiek potrafiłby obrócić to w żart tak, że wszyscy uwierzą?

Świat w istocie należał do kolonialistów pogrzebanych żywcem przez historię. A oni spokojnie tkwili sobie pod ziemią i czekali na lepsze czasy. Podnosili się ze snu jak śpiący rycerze i rozpuszczali się w tłumie, jeszcze bardziej kolorowym, bezradnym i bojnym. Przebierali się, złócili i zapuszczali nowe fryzury. Zakładali biura podróży i agencje konsultingowe. Płacili, więc żądali. Żądali, więc płacili. Preferowali drogie, bo tanie demoralizuje. Wchodzili do hotelu w jednym z tych upalnych, jasnych miast, w którym recepcjonista przeoczył jego rezerwację, rozglądali się na boki, czy nikt nie patrzy, i zaglądając mu przez oczy w serce, wyjaśniali: „Minęło sto lat, a wcale się nie zmieniliście. Jesteście tak samo tępi i tak samo niepoważni”. Potrafili zmierzyć samą duszę. Potrafili dzielić ból i mnożyć uśmiech. Już nie musieli się rozpychać łokciami. Ludzie ustępowali im z drogi i kłaniali się w pas. Ich pewność siebie osiągnęła zamierzony wskaźnik – nikt ich nie poznawał.

Igor poruszał się na monitorze precyzyjnie za ojcem. Wyliczał dystanse, przewyższenia terenu, przenosił współrzędne. Grał w ojca. W którymś momencie wydało mu się, że potrafi sterować jego ruchami, dźwigać jego dłoń, przerzucać nogę na nogę. Tylko najwyraźniej stracił kontrolę nad wysyłkami. Ojciec – jak mawiał przez Skype’a – dywersyfikował ofertę, biznes rósł. Zsyłał do pałacu rękodzieło z krain, które przemierzał, i polecił Igorowi zająć się sklepem na Allegro. Igor otwierał wielkie pudła. Wyciągał z nich afrykańskie posągi i ustawiał w pokoju ojca. Przybywało ich. Wszystkie smukłe, groźne. Jak ta maska. Powiesił ją na ścianie, wystawił na sprzedaż, ale nikt długo jej nie chciał kupić. Twarz była całkiem ludzka, tylko usta się nie zgadzały z wiedzą o homo

sapiens. Mięiste i wydatne. Gdy przechodził obok niej nocą, zbliżał do niej nos i chwilę wąchał. Pachniała nie jak drewno, ale jak spalona słońcem skóra. Wsadził mały palec w jej rozwarte usta. Pomyślał, że człowiekowi, by zaistniał, nie jest w ogóle potrzebne ciało.

5

Odkąd ojciec ruszył z importem koparek do ziemniaków do Boliwii, Igor zaczął częściej myć się i wysypiać. Posprzątał biurko. Śmieiej wydzwaniał. Kupił, za zgodą ojca, nowy samochód. Przestał też śledzić ojca. Ojciec zamienił się w wujka, który obiecał wrócić z ciepłych krajów z długą opowieścią i egzotycznymi prezentami; wujek zamienił się w mit, w opowieść pocieszającą, bo będącą ostatnim punktem odniesienia w jego kurczącym się świecie. Ojciec, w drodze z Cochabamby do Santa Cruz de la Sierra, na amazońskich rubieżach kraju zasobnych w ropę, gaz i niezbadane pole biznesowych posunięć, poznał rozdygotanego prywaciarza, który wyłożył mu istotę tej luki na miejscowym rynku, zarzekając się, że gdyby tylko posiadał kapitał, już dawno importowałby do tego zacofanego kraju koparki z Chin przez portal Alibaba.

Przynajmniej od tamtej pory wiedział mniej więcej, ile ojciec zarabia. Oczywiście bez szczegółów, Igor nie miał dostępu do wszystkich transakcji. A może ojciec filtrował przez Polskę tylko te kwoty, które zabezpieczały byt Igora i matki, a całą resztę bająńskich sum lokował w swoich apetycznych destynacjach? Ojciec od jakiegoś czasu posługiwał się tym słowem zamiast słowami państwo albo kierunek. Przecież na tych współrzędnych geograficznych nigdy nie rozmawiało się o pieniądzach. Przecież starzy nie zarabiali. Pieniądzy trzeba było się umiejętnie wstydzic, krygować się, gdy ktoś wsadzał w kieszeń stowę; wydawać, a nie wydawać.

Ktoś oznaczył ojca na Facebooku. To była kobieta. Ojciec tego nie dopilnował i nie usunął z sieci. Smukła dzidzia o indiańskich rysach siedziała na jego kolanach przy stole pełnym butelek, żarcia i uchlanego towarzystwa w kapeluszach. Igor wysłał mu wiadomość, prosząc, żeby usunął to zdjęcie, bo matka się załame. To, że nie używa Facebooka, nie znaczy, że nie może tego znaleźć. Następnego dnia fotografia zniknęła. Odpisał: „Niedługo do was wracam. Będziemy działać już głównie od siebie, wszystko pod kontrolą”.

Niedługo potem łaskawie zadzwonił. Wyjaśnił, że wylatuje w biznesie do Azji, i oczywiście wyłożył Igorowi w miarę szczegółowo strategię, założenia, cele. Wywód zakończył obserwacją:

– Myślą, że są pępkiem świata, Ameryka, Europa. W Europie to można dziś co najwyżej po mordzie dostać. Trzeba ją traktować już tylko jako tranzyt, punkt

przeładunkowy. Tak będzie dla nas lepiej. Wiesz, ile czarnych lata do Tajlandii, do Chin? Czarni to jednak wszędzie mają ciężko. Azjaci też ich traktują jak podgatunek.

Odkąd ojciec wyjechał w świat, z uwagą śledził wydarzenia polityczne. Nigdy wcześniej nie interesował się polityką. Nawet na głosowania nie chodził. Twierdził, że Polską rządzą sami złodzieje, i lekko wymieniał Żydów w polskim życiu publicznym. Świadców Jehowy przeganiał, zdarzyło mu się przyjąć do domu tylko jednego komiwojażera i był to typ sprzedający książkę z listą starozakonnych okradających Polskę. A teraz stał się ekspertem. Mógłby w telewizji występować i mądrzyć się. Nauczył się pojawiać na rynkach, w których brakowało wszystkiego prócz tanich surowców, o parę sezonów wcześniej od innych kolegów i koleżanek po fachu. W ten sposób trafił do Birmy, kraju bez prądu i internetu, za to z diamentami i drewnem tekowym tańszym niż w Ghanie. Ojciec pojawił się tam parę miesięcy, zanim Zachód zawiesił embargo. W Rangunie, upalnym mieście na południu, dawnej stolicy, ojciec kontaktował się z nim z bodaj jedynej kafejki internetowej w centrum miasta, której wewnątrz nawet obfotografował i wysłał Igorowi. Była ciemna, z odrapanymi ścianami, a smagli, wymazani tajemniczą białą mazią chłopcy patrzyli z drugiego planu podejrzliwie w obiektyw. Paru z nich nie zdążyło zamknąć ust z zębami czerwonymi od przeżuwanego betelu. Ojciec napisał mu kiedyś, że kocha reżimy za to, że trudno w nich zdobyć się na obojętność. Reżimy wzruszają, odkurzają kolory, przywracają hierarchie wartości, tłumaczył, pozwalają w przedziwny sposób wypocząć. Uzdrawiają jak kontakt z biedą i wcale nie chodzi tu o prymitywną opozycję – oni mają gorzej. Słowianie doskonale radzą sobie biznesowo w reżimach, dodał, w przeciwieństwie do jankesów, a i obywatele państw opresyjnych cenią sobie współpracę z naszą rasą. Tak, to było czuć na tych zdjęciach. Ojciec był szczęśliwy. Wreszcie, trochę po czterdziestce, ojciec chwalił życie. Jego twarz rozjaśniła się mimo opalenizny i wygładziła. „Nie oceniaj, ale poznawaj”, napisał z Rangunu w e-mailu. A w kolejnym: „Nie narzekaj, jak narzekasz, znaczy, że zaliczyłeś porażkę, tak?”. Brzmiało to jak przykazania wyryte na szkle monitora. Tyle że Igor mu nie wierzył. Nie wierzył mu, że wyjeżdża na birmańską prowincję na trzy tygodnie, a potem już leci prosto do domu. Nie wierzył mu, że aż tyle zajmie mu wizytacja wyrębów i negocjacje z kontrahentami; nie rozumiał, dlaczego nie zabrał ze sobą telefonu satelitarnego.

Po miesiącu ojciec nadał wiadomość i link do setek zdjęć w sieci z eskapady na rubieżę cywilizacji. Za paskiem nosił długi nóż. Na głowie kapelusz jak Indiana Jones. Nawet ze strzelbą pozował. I nie widać tam było drzew tekowych, które

Igor rozpoznawał w każdych warunkach. Były za to wielkie białe szczyty, jak w Himalajach, rozcinające kobaltowe niebo, wioski zamazane żywą zielenią i przenikliwy, nieznanym wcześniej chłód fizycznego dystansu, jaki ich dzielił.

Igor wyłączył laptop i położył się w łóżku. Matka wstała, usłyszał jej kroki. Wchodziła po schodach w kierunku jego pokoju, ale najwyraźniej zrezygnowała, bo zaczęła się oddalać. A potem już nic nie było słychać. Zima skończyła się, ale nie zaczęła się wiosna. Okno było uchylone. Świat czekał na jakiś ruch, na fantazję. Znajdował się w martwym punkcie, jak wyprzedzające auto w lusterku. Igor zamknął oczy. Widział słowa, najgorsze z możliwych, które kierował w myślach do ojca, a potem do matki. Zawstydził się ich, więc długo szukał sposobu, jak się ich pozbyć. Nie sprawiło mu trudu, by wyobrazić je sobie jako płonące koła, coś jakby rafki od roweru, które wyrzucał myślami, a one upadały jedno na drugie, brzęcząc. Tylko skąd brały się te słowa? Wszystko wskazywało, że *ex nihilo*. Igor pogodził się z tym, może trochę mniej z tym, że zamieniały się w pot. Napił się wody i trochę uspokoił. Nie umiał już grać w ojca. Umiał już tylko sobie go wyobrażać. Potrzebował to robić, mimo że pamiętał jego twarz, którą widział przecież niemal codziennie na ekranie, ale umysł przywracał go nieco bardziej trójwymiarowym i swoim. Mógł próbować domyślić się, po cholerę tam lezie. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak ojciec wchodzi do tej wioski, ze zdjęcia na profilu, u podnóża zapomnianych przez świat Himalajów Birmańskich. Jak siada przy palenisku w chacie na palach i popija zieloną herbatę, którą noszą tam w sprasowanych sztabach. Ściąga skarpety i wysuwa do ognia stopy. Ciepło wyciąga zło i zmęczenie. Odpala papierosa. Dym koi usta po drobinkach chili, których nie spłukała ryżowa wódka. A potem wstaje świt i słońce podnosi się tak szybko, że mgły w mgnieniu oka wyparowują. Gdy tata wraca ze sracza, już ich nie ma. Jest szósta rano i tam zaczyna się najlepszy czas na pracę. Ale on już nie musi pracować. Jest ciepło i człowieka napełnia słodczy powietrze. Na trzciniowym dachu siadają kruki albo jakieś inne głośnie ptaki. Ojcu podają śniadanie. Gdzieś znad lodowców napływa wiatr, który będzie tu wiał nawet wtedy, kiedy już wszyscy sobie stąd pójda, kiedy znikną te wioski, a nawet i te góry, i cała ziemia. Ojciec jest tam bezpieczny.

A ojciec potem macha tubylcom na pożegnanie, ciągnąc za sobą swoich tragarzy, i wyrusza z czeredą w czarny las, na najwyższe przełęcz, gdzie zapowiadała się hegemonia wichru, a zastaje bezwietrze i tłumy Chińczyków stojących w rzędzie, jakby czekali na egzekucję, i wypatrują postaci z workami na plecach, które wyłaniają się z lasu, a gdy wspinają się na odsłonięty boczny

grzbiet, słońce przeświała ich jak meduzy, i już do samej grani rozdzielającej dwa państwa świecą.

6

Od okna do drzwi, od drzwi do okna. Od ściany do ściany. Igor liczył kroki i pogubił się gdzieś przy tysiąc dwieście, jak z dwadzieścia lat temu, gdy liczył podbicia piłki raz lewą, raz prawą stopą. Próbował się skupić na oddechu, czymś pewnym, bo towarzyszącym człowiekowi od narodzin do śmierci, ale Igor należał po ojcu do umysłów technicznych i szybko mu się znudziło. Położył się więc na kanapie w swoim pokoju. Święta Wielkanocne wypadają w tym roku wcześniej, matka siedziała na parterze przy stole i malowała wzorki na jajkach. Nie potrafiła wyzbyć się tego rytuału, mimo że od dawna żywiła do Kościoła jako instytucji niesprecyzowany żal.

Dziś po południu przyjedzie ojciec, pomyślał, próbując uczepić się tego stwierdzenia, ale wydało mu się wciąż mało wiarygodne. Igor patrzył w sufit jak ktoś, kto właśnie wpadł na genialną myśl – a więc z rozszerzonymi oczami, ale i spinającym skórę lękiem, czy geniusz równa się pierwszeństwu i czy warto się z tym wychylać. Ale to była tylko mina. Igor zdał sobie sprawę, że wyrefinowaną figurę, jaką utworzył swoim ciałem, potrafi skopiować tylko jego ojciec; albo na odwrót, że tylko on, Igor, potrafi naśladować taką konstelację ścięgien, limfy i powięzi. Gorzej – że nie potrafi leżeć inaczej. A więc: ręce splecione na tyle głowy w trudny do opisanego sposób, prawa noga lekko ugięta w kolanie, prawa stopa lekko wykręcona na zewnątrz z opuszkami wciśniętymi pod pionowe skrzydło kanapy, lewa noga oparta na wysokości kostki o prawe udo, podrygująca w niepowtarzalnych u innych interwałach. Denerwował się. Podlał bananowca, którego ojciec przysłał im gdzieś tam z Południa. Spojrzał przez okno. Wiosny dalej nie było widać. Mało, zerwał się ciężki wiatr z zachodu, wlekący za sobą jak kupę złomu czarne zwaliste chmury. Wyczuwał woń jesieni, która odtaje po zimie i na czas, zanim zakwitną rośliny, ogłupia ludzi. Zrobiło się ciemniej, jak o zmierzchu. Igor podpierał się o parapet. Wzdrygnął się, bo znów uświadomił sobie, że czyni to w takiej pozycji jak ojciec – oparty pięściami, z lewą nogą wysuniętą do tyłu, jakby naciągał łydki, z prawą stopą zawiniętą wokół lewej nogi. Próbował zrobić to inaczej, ale cała ta zabawa niemal sprawiała mu ból, wkurzała go, wyprowadzała z równowagi. Zszedł na dół, otworzył lodówkę i wyjął piwo. Kapsel upadł na ziemię.

Dziś po południu przyjedzie mój własny ojciec. Jest mi obojętny jak bibuła, pomyślał Igor i usiadł naprzeciw matki zajętej pisankami.

– Ciekawe, co przywiezie – powiedział od niechcenia.

– Gównu przywiezie – zaperzyła się matka.

– Może jakiś posąg z wioski Zulusów.

Igor zatrzymał się w pół łyka, piana pociekła mu na brodę. Odłożył butelkę.

– Co, zła jesteś?

– Czego ty się, Igor, najbardziej wstydzisz? – Podniosła twarz z wyrazem kogoś, kto zebrał się na odwagę.

– Co się wstydzę? O co ci chodzi?! – zabrzmiało to oczywiście jak: „Chcesz w ryj?!”.

– Pytam cię. Chyba pytanie jest jasne. Czego ty się wstydzisz?

– Daj ty mi święty spokój! – Igor zerwał się ze stołu i wyszedł w stronę korytarza, by wrócić schodami na górę do siebie. – Ciebie na pewno się nie boję. A ojca tym bardziej – wystarczyło, by ktoś tknął palcem misterną konstrukcję scenerii, jakie umysł projektował mu na najbliższe minuty, by zamienił się w niszczyciela.

– Stój, chodź tutaj.

Igor wrócił, posłusznie, do stołu, jakby zdecydowany uspokoić się, zmieniając temat:

– Nie wiem, jak się ubrać. Ani ciepło, ani zimno.

– Czy ty wiesz, dlaczego wychowałeś się w domu, w którym trzeba się było wszystkiego wstydzić?

– Nie wiem – powiedział z przekąsem.

– Ja też nie wiem. Ale w tych reżimach, gdzie ojciec się wozi, byłoby ci dobrze. Czy ty potrafisz wybrać już tylko między colgate a blend-a-med? Mam cię ubrać? – Igor nie sądził, że w matce może kiedykolwiek dojrzeć aż taką złośliwość. Znów siedział przy stole jak ojciec – powoli zsuwając się z krzesła tak, że siedział na samym skraju, i gdy zdał sobie z tego sprawę, do głowy uderzyła mu krew pompowana dwukrotnie silniej, bo pod nieznaną dotąd presją matki. Przyglądał się jej. Wyglądała młodziej, niż zawsze mu się wydawało. Przypominała mu kobiety ze zdjęć z międzywojnia, z tymi dużymi oczami, dosyć okrągłą twarzą, niezbyt szczupłym ciałem, mleczną skórą, no i typową dla tamtych lat fryzurą na chłopczycę. Chyba przybyło jej trochę piegów. Tylko głos się nie zmieniał. Lekko ochrypnięty, co w sumie spajało całość w fałszywy wizerunek rześkiej i aktywnej kobiety.

Opuściła głowę i powiedziała:

– A zresztą nic. Za niedługo powinien tu być, prawda?

Igor wrócił do siebie. Od rana wietrzył pokój, cały dom, by ojciec nie wyczuł dymu. Stał przy oknie, znów w pozycji ojca, i po raz pierwszy poczuł winę,

jednocześnie przekonany, że to, co odczuwa, to prawdopodobnie sumienie. Chmury zaszyły na całe niebo. Dalej silnie wiało, bo w ogródku brzęczały puszki rozwieszane na młodych drzewkach, które miały odstraszać ptaki. Zaprzagnął ubrać się nieco bardziej odświętnie. Rozebrał się do majtek, otworzył szafę z dużym lustrem i spojrzął na siebie. Poczul żal do rodziców wyłącznie za to, że przypięli mu tak chude, kabłąkowate nogi. Kiedyś obiecał sobie, że zacznie szukać dziewczyny, gdy zrobi sobie ich operację plastyczną. Niestety takich się nie wykonuje. Wyobrażał sobie, jak wyglądałby obrys jego sylwetki na tle ojcowej. W dzieciństwie nawet bawili się w coś podobnego. Głowa gdzieś na wysokości szyi ojca, uda cieńsze od jego łydek.

7

Popiół. Popiół. Zwykły popiół.

Igor wyszedł na zewnątrz i spojrzął w niebo. Oczywiście na Wielkanoc musiał spaść śnieg. Igor rozejrzał się wokół. Nie dostrzegał żadnej innej barwy prócz białej i czarnej, zlewających się w szarość. Płatki śniegu, duże i mokre, były o odcień ciemniejsze od nieba i przez to przypominały popiół. Uznanie, że nie ma dwóch identycznych, wymagało więcej wiary niż w zmartwychwstanie człowieka. Nasypało z dziesięć centymetrów śniegu. Ojciec wracał na letnich oponach, a by wjechać na wzgórze z pałacem, trzeba było zsunąć się serpentynami z przeciwległego zbocza, u podnóża którego leżało miasteczko. Nie chciał, żeby wyjeżdżać po niego na lotnisko. Powiedział, że i tak potrzebuje dżipa, więc go sobie pożyczy na lotnisku na testy. Dodał też, że pierwsze, co zrobi po powrocie, to kupi terenówkę.

Szybko ściemniło się. Znów zaczęło wiać, puszki zabręczały. Igor stał przy oknie i spoglądał na zegarek. Doskonale widać stąd było zbocze z zasypaną drogą i posągami Matki Boskiej górującym na wysokiej kolumnie na szczycie wzgórza jak statua wolności.

Wóz toczył się wolno w dół. Widać było tylko snopy reflektorów, które odślaniały martwy pejzaż. Zanim Igor zobaczył je znów na długim podejździe pod dom, najpierw na podbitce dachu pojawiła się srebrna falująca luna z arabską cieni gałęzi. Auto wjechało na podwórze. Drzwi otworzyły się. Lewy reflektor mrugnął kilka razy, zupełnie jak człowiek, któremu coś wpadło do oka.

Igor usłyszał szurgot, gdy ojciec wszedł na schody, a potem otrzepał o nie buty. Otworzył drzwi. Uśmiechnął się jak ktoś, kto właśnie wrócił z koszem grzybów. Powiesił na wieszaku kurtkę i wszedł do kuchni, by uściskać syna i żonę. Zrobił to. Poklepał go po plecach, ucałował. Igor nie potrafił wycedzić z siebie słowa, nie odrywał wzroku od jego postaci. Miał ochotę zapalić – ojciec wyglądał

w zasadzie tak jak przed wyjazdem. Zapuścił dłuższe włosy, które jak przed laty zaczesał na bok. Nosił dosyć luźne, tanie spodnie w kant, a nie te obcisłe, trendy, jak na zdjęciach. Igor spojrzął do przedpokoju. Ojciec zostawił tam wysłużone trapery. Koszulę też wpuścił do spodni, nie tak jak na fejsie. Tylko twarz pozostała ogorzała, z ciemnymi, jakby czyracznymi zmianami na skroni, na tle których odcinały się pobielające kosmyki.

– I co, chłopie, nieźle żeśmy podziałali, co? Wreszcie się udało – powiedział, zasiadając do stołu. A potem od razu: – Zimmisko, co? Boże Narodzenie na Wielkanoc.

Igor naprawdę nie mógł wypowiedzieć nic sensownego. Matka zdjęła z kuchenki gazowej garnki. Postawiła na stole wazę pikantnej zupy paprykowej.

– Co ty tak wyblakłeś? – zapytała skonsternowana matka, próbując nieudolnie utrzymać na twarzy wyraz radości ze spotkania.

– Jak wyblakłem? Przecież opalony jestem – ojciec bez talentu aktorskiego próbował udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

– O, moja ulubiona – zmienił temat, chlapiąc. Jego policzki jeszcze nie odtajały. Wygląda jak wieśniak, pomyślał Igor, chyba znów przytył. – Co, specjalnie ulubioną zrobiłaś, co? – ojciec prawie flirtował z matką. Zapomniała, chyba pierwszy raz od lat, włączyć radio przy obiedzie. Wstała, by to zrobić, ale ojciec zatrzymał ją ręką i kazał usiąść. Jedli drugie danie prawie w milczeniu. Gdy skończyli, ojciec wytarł usta i zakomenderował: – Przynies wódkę, śliwownicę masz? Jak nie masz, to ja przyniosę z samochodu tę ryżową z Azji. Popróbujesz. – Spojrzął na Igora, który dopiero wtedy odzyskał pełną świadomość, bo dotąd jakby śnił na jawie.

– Z dzieckiem będziesz pił? – Igor spojrzął na matkę ze złością, która momentalnie przemieniła się w rezygnację.

– On już nie dziecko. Poważnymi biznesami się zajmuje. Trzeba opić sukces. To dobra okazja, żeby się pierwszy raz z ojcem napić. Ale poczekaj. Zanim przyniesiesz... – Wstał z krzesła i wyszedł do auta. Wrócił z wielkim workiem z poliestru wypełnionym czymś wyraźnie lekkim.

– Zgarnij te rzeczy ze stołu. – Sapnął, przymierzając się do pokazania im zawartości worka. Matka zdjęła wazę i talerze na bok. Ojciec wysypał na stół czarne lodyżki. Igor wziął do ręki pierwszą z brzegu. Nie potrafił nazwać tego, co widzi. Twardy, chropawy przedmiot, bo tak najbezpieczniej było go określić, przypominał korzeń wyrastający z innego korzenia. Wykrzywił usta obrzydzony, bo gdy przyjrzał się mu, pojął, że to wygląda jak wielki skostniały robak, jak skamieniała larwa.

Ojciec oparł się o blat i oznajmił:

– Maczuźnik chiński.

Zapadła cisza.

– Spokojnie, wszystko wam wytłumaczę. Będziemy teraz załatwiać pozwolenia, żeby to sprowadzać. Nikt tego nie ma na rynku. A teraz skupcie się. Maczuźnik chiński. Wiecie, co to jest? To jest lek na raka. Nie, nie witaminki. To jest zabójca nowotworu. To grzyb, który znajduje sobie gąsienicę motyla i wypełnia ją, kolonizuje. Gąsienica twardnieje. Widzicie ją – to ta skorupa. – Ojciec wziął do ręki jedną sztukę. – Ta część grzyba, która wyrasta na motyłu, jest rakobójcza. Oni od tysięcy lat znają sposób na tego gnoja. Mądrość ludowa. A Zachód nie wierzył, jak zwykle. Uwierzył w dziewięćdziesiątym trzecim roku, jak chińskie zawodniczki pobiły rekordy w biegach. Oczywiście o doping ich posądzali. Okazało się, że łykają maczuźnika. Dopiero wtedy nasi mądralińscy się zainteresowali. Substancja, która go tworzy, kordycepina, jakby rozsada nowotwór. Będiesz zdrowa, Maryś – powiedział ojciec do matki w techniczny sposób, jakby chciał, by uwierzyli, że kryje wzruszenie.

Matka obracała w dłoni maczuźnika ze ściągniętymi brwiami jak dziecko, które zmuszają do jakiejś czynności.

– Będiesz długo żyć. Ale on cię jeszcze inaczej ożywi. Ty się zajmiesz jego sprzedażą, Igora trzeba odciążyć. – Matka nic nie powiedziała, nie przestawała też oglądać robaczków.

– I po to tam pojechałem. Wiecie, co tam się dzieje w porze ciepłej? Całe rodziny, całe wioski wychodzą na miesiące w góry. To rośnie powyżej czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Tylko tam, w Himalajach. Siedzą w lesie w obozach i wypuszczają się na hale. Co roku ktoś ginie. Opowiadali mi, że parę lat temu śnieżycy zabiła całą rodzinę. Nie muszą wyjeżdżać nigdzie, żyją tylko z tego. Wiecie, ile w Ameryce kosztuje kilogram? Dziesięć tysięcy dolarów. Pięćdziesiąt dolarów za sześć robaczków. Ale w tym biznesie trzeba mieć kontakty, bez tego ani rusz. Import po stronie chińskiej był prawie niemożliwy. A Birma była zamknięta dla białych. Himalaje Birmańskie to już w ogóle. Teraz wydają pierwsze pozwolenia. Wystarczy, że wyślę im sygnał, i możemy sprowadzać tonę, im szybciej się z papierami uwiniemy, tym lepiej. Możemy już do końca życia nic nie robić. Ja już mogę pracować z domu, mam wszystko pochwyte, gdzie trzeba. Jeden telefon i kontener płynie. Można zamówić ekstrakt, ale surowca nikt nie ma. W życiu i biznesie liczy się surowiec.

Ojciec wstał z krzesła i przeszedł się po kuchni. Dopiero teraz zaczął zachowywać się jak ktoś, kogo jednak chwilę nie było w domu. Przyglądał się ścianom, dotykał szafek. Kuchnia wydała się przy nim jeszcze większa. Ile go nie było? pomyślał Igor. Liczył w pamięci. Nie mógł uwierzyć, że tak krótko, niecały rok od ostatniej wizyty. Za każdym razem ojciec wstawał coraz później, budził się po dwunastej, pierwszej, zaczynał dzień o trzeciej, przekładał sprawy, wymigiwał się od odkurzania, zakupów. Popijał drogie wino. Ojciec nie lubił pracy jako takiej, nienawidził jej. Jego ruchy stawały się tym bardziej ospałe, im więcej pieniędzy przywoził. Igorowi wydawało się, że jego ciało rozchodzi się, rozciąga i ojciec zaczepia nim o framugi, zawiasy, tracąc jego kolejne porcje. Po paru dniach przypominał wyspane pyzate dziecko, które czeka na papu.

– Widzicie, tam jest wszystko na odwrót. I kultura inna, i natura inna. U nas to zwierzęta żrą rośliny – wrócił z dobrym humorem do stołu. – W ogóle było wesoło. – Tu ojciec przytoczył długą opowieść, której słuchało się całkiem przyjemnie, bo naprawdę wziął udział w czymś niepospolitym.

– Szliśmy w górę chyba z tydzień. – Po paru kieliszkach nabierał rozpędu. – Przekichane. A jak chcesz, to i dwa możesz w górę leżać. Wokół ciebie mur lodowy. I tam leżą. Siedem dni do Tybetu, tyle samo do Indii. Wszystko dla kasy. Ludzie dziś robią wszystko dla kasy. Śpią tam w jaskiniach, umierają, rozwodzą się, schodzą się z powrotem, zamarzają. A żeby wytrzymać miesiąc w lesie, z tymi komarami, z tymi pijawkami, to nic, tylko piją, palą i opowiadają kawały. O. Przypomniało mi się. Wiesz, czemu Birmańczycy zakładają dwie kurtki, kiedy malują ścianę? Bo w instrukcji jest: „Nałóż dwie warstwy”. – Ojciec zarechotał. – Matko, oni są tacy jak my. My między Ruskimi a Niemcami, oni między Indiami a Chinami. Jeszcze bardziej przesrane mają. Inni kawałów nie opowiadają. No szkół tam nie ma, debilizmu dużo, więc pozostaje się śmiać. Jeden taki był, kawalarz, jego mać. Dziura na dupie, dziura na skarpecie, tylko patrzył, żeby do wieczora dociągnąć, zapalić, wypić i... no, wiecie. Siadał przy ogniu, odpalał skręta i nadawał: Japończycy złapali trzech jeńców, w tym jednego Birmańczyka, puścili ich na pustyni, ale pozwolili zabrać jedną rzecz. Jeden wziął kanister wody, drugi parasolkę, żeby się chronić od słońca, a Birmańczyk drzwi od samochodu, żeby szybkę opuścić.

Matka spojrzała na Igora z mgiełką radości na dnie oka, wcale nie z powodu anegdot. Igor uświadomił sobie, że w ogóle nie wiedział, o czym rozmawiają przez telefon. Przez Skype'a raczej nie rozmawiali, matka wychodziła wtedy zwykle z komórką na podwórze, do sadu. Tysiąc razy mogła się z kimś już związać, myślał, odżyć, a nie zrobiła tego. „O czym gadają twoi starzy?” to było

chyba jedyne pytanie w szkole, na które nie potrafił znaleźć sensownej odpowiedzi. Moi starzy nie gadają, myślał, a raczej domyślał się Igor – oni porozumiewają się jak delfiny albo słonie, jak infradźwiękami, pod dywanem. Przecież ja nie wiem, myślał Igor, kiedy się poznali, kiedy i gdzie zostałem spółdony, w ogóle dlaczego ludzie o takich samych temperamentach zdecydowali się całe życie odpychać? Dlaczego nie dobierają się tak, by w miejscu, w którym do siebie przylegają, występowała cisza? Gdy jako dziecko oglądał z rodzicami film w salonie wielkim jak stajnia, a na ekranie kobieta i mężczyzna zaczęli się całować, nie mówiąc o czymś więcej, matka po prostu wychodziła, a ojciec wynajdywał ciekawy temat do rozmowy, nucił coś pod nosem albo wprawiał stopę w trzęsionkę. Matka wracała już po wszystkim z herbatą. A przecież nie byli wierzący, nie praktykowali, ale też nie pielęgnowali w sobie wrogości do kleru; nie należeli też do partii ani do „Solidarności”. Nie znał epoki, kiedy ze sobą spali. Gdzieś pewnie w permie albo w kredzie – myślał. Ojciec mieszkał wcześniej w pokoju w górnym lewym rogu pałacu, matka w dolnym lewym, czyli w salonie z telewizorem.

Ojciec gawędził dalej.

– Rozbiliśmy główny obóz na granicy lasu. Przed nami łąki, dalej lodowce, mróz. A oni na kolanach cały dzień. Tak tego szukają. Dopiero kiedy wyszedłem na samą górę, zobaczyłem w dół – dziesiątki rodzin na kolanach, mordy spalone słońcem. Zabierają w dół do wsi tyle worków, ile dają radę, ale jak najwięcej chcą sprzedać tam na górze. Bo tam nie ma żadnego końca świata. Na końcu świata jest kasa, jedno z największych targowisk na świecie. Tak, pięć tysięcy metrów ponad morzem. Z jednej strony ci biedni ludzie, a z tamtej Chińczycy, którzy kupią wszystko, w co uwierzą, a wierzą we wszystko. Skóry, woreczki żółciowe tygrysa, no i te grzyby. Wiecie, czemu je kupują... – Spuścił wzrok na swoje krocze i mrugnął porozumiewawczo. – Wyobraź sobie taką przełęcz gdzieś w Tatrach albo w Alpach i płachta koło płachty, handlarze ściśnięci jeden koło drugiego – prawili dalej. – Chińczycy przynoszą tam ciuchy i inne badziewie, latarki, radyjka, a oni te maczuźniki. Kiedyś Chińczycy za nie płacili srebrem, cztery razy więcej niż waga kupionej porcji grzyba. Jak bitwa to wygląda. Targują się, plują, piją, a słońce pali jak nagła śmierć. Wieczorem znikają w lesie. Ci moi wszystko prawie sprzedali. Jednemu Chińczykowi pieniędzy zabrakło. Ciuchami chciał płacić. A ten mój kawalarz do niego w ten deseń: „Miesiąc tu, ciulu, leżę, pół dnia się targuję, a ty mi mówisz, że pieniędzy nie masz? To się kopsnij na dół”. I przyniósł dzień później. – Ojciec spojrział w sufit i dodał: – Nigdy nie widziałem takiego granatowego nieba. Jakby półpłynne.

Igor odszedł od stołu do pokoju. Stał na półpiętrze i chwilę przyglądał się rozmowie ojca z matką. Odniósł wrażenie, że dopiero teraz rozmawiają naturalnie, jakby wszystko przy stole było zaaranżowanym dla niego przedstawieniem. Przykucnął i patrzył na nich między tralkami. Chwilę kłócili się. Ojciec wyjął z torby niebieski sweter puchowy i włożył go na matkę. Chyba w prezencie. Matka uśmiechała się i przeglądała się w lustrze. Znow usiadła i rozmawiali zawzięcie. Ojciec co chwilę brał w dłoń maczuznika i potrząsał nim, coś zawile tłumacząc.

Potem zszedł, porozmawiali jeszcze chwilę o sprawach zawodowych, o codzienności. Gdy matka zajęła się czymś w pokoju, ojciec został w kuchni sam z Igorem. Zachowywał się jak rodzina przy stole, gdy nagle wychodzi gość: przerywają rozmowę, ściągają na chwilę maski, wietrzą twarze, umęczeni całą sytuacją – udawaniem, że bez gościa też potrafią ze sobą w tak radosny sposób rozmawiać, a z drugiej strony trochę przykrą świadomością, że wszyscy to rozumieją. Ojciec obracał w rękach solniczkę, w milczeniu wpatrzony w stół. W końcu, nie ruszając głową, zadarł brwi i po raz pierwszy w życiu odezwał się w sposób tak stanowczy, a jednocześnie wycofany i wyzbyty ego, że Igor, dosłownie ułamek sekundy walcząc ze sobą, uwierzył w słowa: „Najważniejsze, żeby mama wyzdrowiała”.

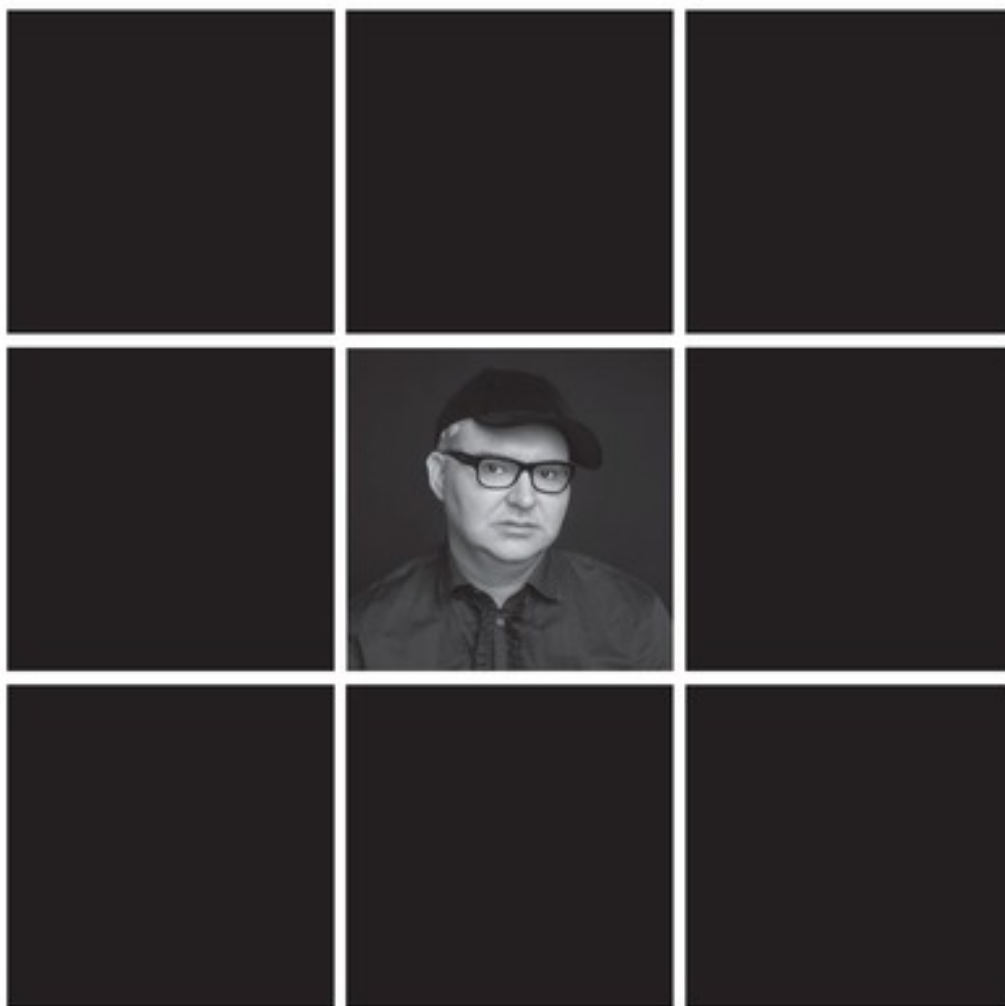
Igor wrócił do siebie i zasnął. Przebudził się w środku nocy. To, że ten jeden raz uwierzył, że słowa ojca wyrażają wiernie jego myśli, sprawiło, że nie czuł się dobrze, pocił się. Bał się narastającego strachu, nieznanego wcześniej ryzyka wiary, nieporównywalnie mniej bezpiecznego od kosztów nieufności. W końcu zachciało mu się pójść do toalety, która znajdowała się na jego piętrze. Wracał prosto do pokoju z półprzymkniętymi oczami, ale usłyszał na dole jakby szmery, zobaczył łunę przygaszonego światła. Zszedł bardzo cicho na dół, zupełnie jak w czasach, gdy skradał się pod sypialnię rodziców i podsłuchiwał ich rozmowy, które toczyły się głównie wokół „pieniędzy na życie”. Zakradł się pod zamknięte drzwi salonu. Wydało mu się, że na dole zrobiło się duszniej, wyczuł kąśliwą woń spoconych ciał obu płci. Spojrzał przez szparę. Matka stała w tej kurtce puchowej, oparta rękami o stolik, w czarnych podwiązkiach. Ojciec przylegał do jej pleców w zupełnej ciszy. Igora ogarnął rodzaj wstydu, który napływa ze zdwojoną siłą w chwili, gdy nagle materializuje się komuś scena obrzydliwa, bo obrazująca najprzykrzejsze straty, nikle prawdopodobna, a przez to długo i skutecznie wypierana ze świadomości. Wtedy pomyślał: „Jutro, jeszcze przed śniadaniem, powiem im, że się wyprowadzam”.

Igor otworzył oczy. Usłyszał gwizd przejeżdżającego w oddali pociągu. Zszedł na dół. Śniadanie stało gotowe na stole. Matka przygotowywała koszyk do święcenia. Ojciec wybierał się do sklepu, ale wyglądał już dokładnie tak, jak gdy parę lat temu wychodził na poranną zmianę. Igor pomyślał: „Teraz”. Patrząc gdzieś w bok, idąc, jakby od niechcienia, powiedział:

– Chcę się wyprowadzić, w następnym tygodniu.

Ojciec, stojąc w korytarzu, zatrzymał się i zareagował jak człowiek, który wystudiowanym, fałszywie koncyliacyjnym uśmiechem okazuje komuś swoją przewagę.

– Pomyślimy – odparł. Otworzył drzwi, obrócił się twarzą do domu i wychodząc, wytarł starannie nogi o wycieraczkę. Tak robił zawsze.



Michał
Witkowski

DOMEK

Syn wolałby, aby ojciec nie ślinił się tak do młodej ekspedientki na stoisku mięsnym. Niestety nie może nic powiedzieć, bo siedzi u ojca w kieszeni i liczy na to, że wrzuci do jego koszyka trochę rzeczy dla siebie, których ojciec nigdy by nie kupił ani nie zjadł, ale za które może zapłaci. Za szybą wyborna obfitość kielbas i pornografia surowizny, wokół trupów poutykano nieudolnie lampki choinkowe, ale co druga już się przepaliła. Dawniej tego nie było, ale teraz jest i trzeba jeść, żeby się nie zmarnowało, nie zgniło, trup nie jest wieczny! Prawdziwy łakomy kąsek stoi jednak za ladą wciąż jeszcze jak najbardziej żywy i ma przed sobą o wiele więcej lat niż śliniący się ojciec. W grę wchodzi piersi tego kurczaczka. Gdyby się dało, ojciec kupiłby nie jedną, nie dwie, ale cztery, pięć takich piersi, żeby wsadzić do zamrażarki na potem. Są takie zwierzęta, które mają wiele piersi pokrytych futerkiem, tylko syn nie bardzo wie, które konkretnie, bo ze zwierzętami miał dotąd kontakt głównie w postaci futer, kurtek skórzanych i wyrobów rzeźniczych.

Tymczasem ojciec zagaduje:

– Piersi, jakie pani ma ładne piersi, ojej, co ja gadam, oczywiście chodziło mi o piersi kurczaczka...

Zwykle młode są na tyle nieasertywne, że dają sobie wciskać takie kity, ale ta najwyraźniej jest już o tej porze zbyt wkurwiona, więc lodowatym tonem odpowiada:

– Słucham? Co pan powiedział?

Ojciec peszy się i zaczyna wycofywać, nie było rozmowy, proszę te skrzydełka.

Ekspedientka jest zmęczona, bo delikatesy czynne są do dwudziestej pierwszej, która jednak za cholerę nie chce nadejść, ponieważ wszystkie zegary w tej strefie czasowej zatrzymały się na dwudziestej chyba ze dwa lata temu.

Mówi:

– No! – i niechlujnie pakuje skrzydełka, dodając do ceny datę swojego urodzenia i rocznicę małżeństwa cioci.

Dla syna kobieta jest brzydka, ma podkrążone oczy, jej jedynym makijażem na ziemistej cerze są zbyt wyzywające kreski na powiekach, o wiele za długie, sięgające niemal do uszu. Szara, zmęczona cera zdradza brak czasu i pielęgnacji. W sztucznym świetle sklepu wygląda jak mięso i tyle co mięso za ladą ma w sobie życia. Paznokcie polakierowane każdy na inny kolor podkreślają pożółkłą skórę rąk i szarość rzeczywistości wokół, jak lampki choinkowe – martwość surowych połaci słoniny, boczku i karkówki.

Nic tak nie podkreśla szarości, jak jaskrawe paznokcie i lampki choinkowe. Rzeczywistość jest przez to jeszcze bardziej szara, jak grudzień dookoła, którego beznadzieję uwydatniają porozwieszane na drzewach i płotach kolorowe świecidełka. To ma rozweselać, to ma być śmieszne, ha, ha, ale dowcip się znów nie udał, bo wszyscy za dobrze go znają i tylko we właściwym miejscu udają, że się śmieją.

Syn od najmłodszych lat słyszał od matki, że młoda dziewczyna nie powinna chodzić do pracy wysztafirowana jak choinka, ponieważ to jest w złym guście. Jeśli jest na przykład sekretarką, może pociągnąć paznokcie bezbarwnym lakierem i zrobić naturalny, dzienny makijaż. Ale nie robi się gigantycznych kresek w zestawieniu z wyzywającym lakierem do paznokci na stoisko mięsne, na którym zaczyna się pracę o ósmej rano!

Mimo to wszystkie ekspedientki od zawsze właśnie tak się malują.

Teraz ojciec zamawia u zmęczonej dziewczyny skrzydełka kurczaka (piersi już zapakowane i zważone, a raczej niedoważone) i znowu robi przy tym obleśne aluzje do innych jeszcze skrzydełek i paszek oraz rozlicznych słodkich zakamarków. Teraz jednak stara się być subtelniejszy, aby tłumok ich nie zauważył. Synowi chce się rzygać, ale nie może nic powiedzieć, ponieważ siedzi u ojca w kieszeni, mimo że ma już czterdzieści jeden lat. Nie dalej jak trzy miesiące temu wrócił z Warszawy po nieudanej próbie zostania królem życia, gwiazdą i celebrytą, teraz właśnie leczy rany po tym, jak z powodu pewnego skandalu musiał chwilowo zwinąć manatki, choć kto wie, może jeszcze im kiedyś pokaże. Na razie jednak pokazuje ojcu słoik bioogórków, korzystając z tego, że jego uwaga zaprzątnięta jest z góry skazanym na porażkę flirtowaniem. Grymas zniecierpliwienia wzięty zostaje za przyzwolenie i bioogórki hops! do koszyka!

W Warszawie syn nie miał czasu, za to teraz ma go pod dostatkiem, a może i paczkę bezglutenowego pieczywa, pięć razy droższego od normalnego, uda się cichcem wrzucić do rodzinnego koszyka? Na wrzucenie tego, czego chciałby najbardziej (lody, whisky i paczka papierosów Marlboro), syn i tak nie ma szans.

Więc znowu wylądował na podwrocławskiej wsi, gdzie rodzice kupili sobie na starość dom i uciekli z zakorkowanego Wrocławia. Rodzice są bogaci, a syn się nie udał, ale wcale nie ma z tego powodu zamiaru popełniać samobójstwa, przeciwnie, jego apetyt na życie rośnie! I tak ma lepiej niż niejeden udany od biednych rodziców.

Najważniejsze, że ma swój pokój na pierwszym piętrze domu – wielkości trzech swoich warszawskich kawalerek, może wrzucać do koszyka, co tam chce sobie upichcić według swojej (niekompatybilnej z ogólnie panującą w willi

Tajemnica) kuchni, w aptece ojciec zapłaci za jego lekarstwa, od których jest uzależniony i bez których nie zaśnie nawet w największy niż, ma swoją plazmę i wszystkie filmy swojego życia na niemodnych DVD, ma swoje książki, rzeczy nagromadzone przez całe życie, które po rozlicznych przeprowadzkach zawsze lądowały na górze. Są tam nawet kasety magnetofonowe i wideo, są worki z ubraniami, w które syn już się nie wciśnie, choćby bardzo się starał i nic nie jadł, są zasuszone długopisy z różnych szuflad najróżniejszych biur, z najrozmaitszych kawalerek zlikwidowanych wraz z likwidacją kolejnej wersji życia.

Jedyną, co stało w jego życiu, to ta góra domu na podwrocławskim polu. Jedyni ludzie, na których może liczyć, to dwoje starych rodziców, których niedługo zabraknie, a spadek zostanie przeputany i co wtedy z tobą się stanie, dziecko?

Siedzi więc w swoim królestwie i nareszcie może się nudzić. A ledwo ma czas, już mu tego życia i czasu za dużo. Przez uchylone skośne okno patrzy na ogród, pole, widniejący w oddali poniemiecki kościółek, wdycha mroźne powietrze, które po Warszawie wydaje się świeże jak balsam, bo takie właśnie jest, a wiosną zakwitną rododendrony i magnolie. Na razie jednak pachnie mrozem, dymem i kosem, a w oddali szczekają psy, dzwonią dzwony poniemieckiego kościółka. Na dole rodzice oglądają amerykańską sieczkę, której syn nigdy by nie zaszczycił uwagą, nawet tu, na górę, dobiegają odgłosy wybuchów i wystrzałów. Syn czasem myśli, że ma syna, a nie rodziców. Teraz przegląda kalendarz sprzed dziesięciu lat, ponieważ tysiące kalendarzy, rachunków za prąd, zdjęć, gumek, kluczy do nieaktualnych mieszkań, przeterminowanych kosmetyków, książek, płyt itd., itd. lądowało w czarnych worach na śmieci na górze po każdej wyprowadzce z kolejnej kawalerki, po każdej zarzuconej próbie odmienienia własnej biografii. Syn, w przeciwieństwie do rodziców, zaczynał wciąż nowe życia i niedbale zarzucał po roku czy dwóch. Raz więc chciał mieszkać w Berlinie, po tym pomysle przybyły na górę trzy wory kolorowych niemieckich przedmiotów codziennego użytku, zasuszonych biletów na metro warszawskie, berlińskie i londyńskie, najrozmaitszych kart, dziś przyjemnie się wspomina, ale wtedy była samotność i bieda. Potem, zniechęcony pośpiechem wielkiego miasta, postanowił zamieszkać w malutkiej wiosce rybackiej nad morzem. To nie było takie głupie i wytrzymał tam całe dwa lata, a jego płuca zregenerowały się. No ale dwa lata to jak całe przeżyte życie i należy zacząć coś nowego. Nadmorska wioska wyrzuciła na brzeg i zostawiła na górze o wiele mniej pamiątek, jedna umowa o najem mieszkania, cała filizanka pełna bursztynów słusznej wielkości

zbieranych po sztormie o piątej rano (kiedy jeszcze, na początku pobytu, się nad to morze chodziło), wielka sieć rybacka zawieszona jak hamak pod sufitem...

Zacząła się więc Warszawa. Teraz na tym środku przemokłego od deszczu pola wylądowały atrybuty celebry, bo niedoszły rybak zamienił się w gwiazdę trzeciej kategorii. Smutno i surrealistycznie wyglądały tu, na pustkowiu, te wszystkie krzykliwe, imprezowe ciuchy za tysiące. Wokół dymy i szczekanie psa, czasem dzwony z poniemieckiego, protestanckiego kościółka, a w środku na wieszakach – nabijane cekinami marynarki z kołnierzami uwalanymi podkładem, których tu nie da się włożyć, gdyż na wsi chodzi się w dresie i klapkach, narodowym stroju polskim. Latem syn podlewa w nim ogród, zimą narzuca tylko płaszcz i leci do jedyne go sklepu oferującego bardzo podstawowe produkty. Na urodziny sąsiadów tych stylizacji raczej nie założy, na pasterkę także nie.

Kiedy co roku ksiądz zaczyna chodzić po kołędzie, dla syna oznacza to trudny okres w relacji z rodzicami. Zamiast otwarcie powiedzieć obchodzącemu po ciemku „domki” wyrośniętemu, grubemu ministrantowi, że jesteśmy już niewierzący, kiedyś zapisaliśmy się do Kościoła katolickiego, bo tak postanowili za nas nasi rodzice, ale teraz już nam minęło, nie zapraszamy księdza po kołędzie, zaczyna się czatowanie ze zgaszonym światłem i spuszczonej żaluzjami antywłamaniowymi, zza których się wygląda, czy idzie, szepcze się konspiracyjnym szeptem: „Idzie, jest już u tych a tych sąsiadów!”, „Kryć się!”, „Nie spuszczać wody!”. Potem ten moment grozy, kiedy d z w o n i, i trzeba siedzieć cicho, jeszcze ciszej, a dzwonek rozdziera tę ciszę jak odrzutowiec prujący niebo w pogodny dzień. Rodzice chcieliby zostać pochowani na lokalnym cmentarzu przy poniemieckim kościółku o protestanckich, surowych liniach, więc ksiądz nie może uznać ich za niewierzących. Dlatego atak paranoi przechodzi się dwa razy: przy zapowiedziach i przy kołędzie.

Tymczasem w Chacie Polskiej, w pół drogi między Gajkowem a Wrocławiem, ojciec krytycznym, acz bezradnym okiem osoby zbyt zmęczonej, aby zaprotestować, taksuje wkładany do koszyka produkt. Co też to może być? Nie zna takich rzeczy, to jakieś fiu-bździu, dobre dla warszawiaków. A organiczne mleko sojowe z niesmakiem musi dzielić miejsce z normalnym i nieorganicznym, które wrzucił już do koszyka ojciec.

– Spójrz, moje kosztuje trzy złote, a twoje trzynaście i na pewno jest wstrętne – nieśmiało usiłuje zaprotestować ojciec, ale zaraz zostaje zasypany przez syna argumentami na rzecz diety wegańskiej, cholesterolu i trójglicerydów, a że sam powinien dbać o te sprawy, milknie zawstydzony. Bo mimo że zawsze wychwala

tę dietę pozbawioną białek zwierzęcych, jest to tylko teoria, praktyka to lada z mięsem i stojący za nią apetyczny kurczaczek.

– Takie śliczne skrzydełka wzięłyby nas pod swoje skrzydełka... – mizdrzy się do sprzedawczyni ojciec, ale ona już ma dość. Jest o wiele zimniejsza od swojej oszklonej lodówki, wcale nie tak chłodnej. Mów za siebie, tato, myśli syn i w akcie zemsty wkłada do koszyka sok z aloesu z mięszem. Za oszkloną ladą surowe połacie mięsa rozkładają się nieco tylko wolniej niż w temperaturze pokojowej. Ponieważ lada nie jest zamknięta, dochodzi do wymiany z ciepłym powietrzem. Panuje tam temperatura około ośmiu stopni, to zdecydowanie zbyt mało, by powstrzymać rozkład, można go jedynie nieco spowolnić. Ekspedientka też się rozkłada nieubłagane i żaden tani krem nic na to nie pomoże.

Gdyby obejrzeć to mięso pod mikroskopem, okazałoby się, że całe się rusza, tatusiu, przecież wiesz, że w temacie mięsa i rozkładu twój synuś jest ekspertem, bo całymi miesiącami chodził na sekcje zwłok, niezbędne do napisania kryminału. Tego mi nie obrzydź! To wcale nie przeszkadza mięsożernemu ojcu, który przez całą komunę przyzwyczał się do szanowania luksusowego towaru, jakim było surowe ścierwo.

Kiedy w latach osiemdziesiątych ojciec zaczął wyjeżdżać do Enerefu, rodzina pękała z dumy, a akcje syna w klasie wzrosły niepomiernie. Już po pierwszej wysłanej z Niemiec paczce syn zajął drugą pozycję, zaraz po Gabrysi, której ojciec na stałe mieszkał i zarabiał w Kuwejcie.

– Mój tata jest w Niemczech Zachodnich na stypendium Humboldta, pracuje tam jako profesor na uniwersytecie i wszyscy go szanują, w Polsce jajogłowi nie zarabiają zbyt dobrze, ale tam tak! Mój tatuś przywiózł mi czekoladki w kształcie i kolorze złotych monet, patrzcie, jak błyszczy złote sreberko! Przywiózł mi brązowe sztruksy prawie nowe i pachnące jak stopy Boga niemieckim proszkiem do prania. Opływa tam we wszystko, dowodem moje nowe pióro Pelikan, odblaskowy tornister i soczki z kartonika, w którym jest specjalna dziurka na wbicie dołączonej słomki. Wywabiacze do pióra, pomylę się i mogę sobie wymazać, a potem poprawić. Nie wiem, ile jeszcze do końca nudnej lekcji – mogę sobie sprawdzić na nowiutkim elektronicznym zegarku, ma nawet światełko, gdybym tak musiał sprawdzić godzinę w nocy. Pokaż! Dla biednych na ratuszu! Daj gryza! Nie dam. Mogę ci prehandlować używaną gumę z buzi! Daj powąchać! Nie, bo mi wywąchasz.

Kiedy syn miał urodziny, zamiast cukierków przynosił do szkoły i rozdawał na lekcji gumy Donald z dołączonymi do nich pachnącymi gumą komiksami. To był punkt kulminacyjny jego sławy i potem mogło już być tylko gorzej. Ale na razie

jako drugi w klasie miał wideo i jak nie było nikogo w domu, zapraszał kolegów na pornole – kopie kopii. Ponieważ Gabrysia raczej tego nie robiła (choć po latach dowiedział się, że dziewczyny też oglądały w swoim gronie pornole), był jedyny w klasie i kasował za wstęp. Z tych pieniędzy można było w pewexie jeszcze dokupić L&M-y, aby zaszpanować nawet na papierosie palonym nerwowo za kotłownią na długiej przerwie po matematyce, a przed rosyjskim.

Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty i syn z dumą informuje każdego z osobna na przerwie, że po powrocie ojca z Enerefu będzie podwożony do szkoły (pod samą szkołę, żeby wszyscy widzieli) czarnym, opływowym mercedesem. Albo metalicznym bmw. To się jeszcze zobaczy. Syn będzie miał wydatny udział w tym wyborze i będzie to najważniejszy wybór w jego trzynastoletnim życiu gówniarza z blokowiska, latającego po podwórku bez klucza na szyi. Dziecko z kluczem na szyi – tak się mówiło o zaniedbanych dzieciach, które po lekcjach nie zastawały nikogo w domu, ponieważ matka i ojciec byli w pracy, a babcia właśnie umarła na raka albo przeprowadziła się do domu starców. On był w elicie Dzieci Bez Klucza Na Szyi, bo rodzina z ojcem w Enerefie była na tyle bogata, aby matka mogła dwadzieścia cztery godziny na dobę podcierać i prać, podcierać i zmywać, podcierać i gotować, podcierać i zmywać to, co ugotowała, a co zostało wyrzygane lub wyplute przez dwóch młodszych braci syna, też synów zresztą, których ten musiał obwozić po podwórku w wielkim podwójnym wózku. Kaszka, tak pieczołowicie ostudzona do odpowiedniej temperatury, natychmiast lądowała na śliniaczkach i śpioszkach pachnących proszkiem z Enerefu, ale ile by tego proszku trzeba, żeby tyle prać! Musiałaby chyba jedne śpioszki prać dziesięć razy dziennie!

Chwilowo syn musi ograniczyć się do prostszego wyboru niż miejsce zamieszkania: staropolanka czy żywiec? Gazowana czy nie? Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Na scenę koszyka wjeżdża dumnie gwiazda wieczoru: lekko gazowana woda Evian, definitywnie pozbawiona cukru, glutenu, laktozy, kalorii, sztucznych barwników i konserwantów, organiczna i bio. Wrzucić litrową evian w szklanej butelce za osiem złotych do ojcowskiego koszyka wymaga nieco gimnastyki, najpierw trzeba się przyczaić i uchwycić właściwy moment, gdyż ojciec musi się dobrze zagapić na ekspedientkę, aby dało się ożenić mu tę drogą wodę, która już się szykuje na skok do koszyka. Przy kasie będzie już za późno na reklamacje! Nie wypada wyklócać się z synem o wodę przy ekspedientce, bo tu na wsi wszyscy dobrze się znają. Pan profesor i jego znany syn, o którym czasem (co prawda ostatnio coraz rzadziej) można przeczytać w rubryce towarzyskiej leżących przy kasie kolorowych pisemek. Tam wygląda o wiele

ładniej, ale za to mamy go tu teraz na co dzień w zwykłym dresie, niestety u nas, na podwrocławskiej wsi, na horyzoncie nie widać żadnych paparazzich, a obłowiliby się. Tymczasem chwała przeminęła, a przyzwyczajenia pozostały i oto litrowa evian w szkle hop! do koszyka.

Ojciec jest bogaty, ale lubi oszczędzać. Sam uważa, że właśnie dlatego jest bogaty, ale wytłumacz to synowi utracjuszowi. Jeśli syn idzie siku, a ojciec też chce iść po nim, to mówi, żeby nie spuszczać wody, ja jeszcze skorzystam i spuszczę za nas obu. Nieraz do tego dołącza się i mama, a beznamiętne oko muszli nawet nie drgnie. Przyjmuje przerobione na szczochoy napoje gazowane, kawę, herbatę i soki, a także tak drogą i dumną wodę Evian w szklanej butelce. Prawdopodobnie nie ojciec wymyślił ten sposób, ale syn nie zna nikogo innego, kto by go stosował. Poza, rzecz jasna, mamą, która przez czterdzieści lat udanego i bezkonfliktowego małżeństwa zatraciła już granice między sobą a ojcem. Mama życzy sobie dodatkowo, aby nie podnosić nigdy kłapy, mimo że jest tu w mniejszości ze swoją kobiecą anatomią. Syn musi więc trafić, sikając w nieco mniejszy obszar, i czasem obsika klapę. Wtedy wyciera ją kawałkiem papieru toaletowego albo przejeżdża po klapie stopą w skarpetce.

Jest grudzień, zima, przed samymi świętami Bożego Narodzenia, i w nocy, aby zaoszczędzić, ojciec zmniejsza temperaturę w domu do osiemnastu, a czasem nawet siedemnastu stopni, argumentując, że w zimnisku śpi się lepiej. Syn, który jest sową (w przeciwieństwie do ojca skowronka), musi w samych tylko skarpetkach podkraść się do pokoju, w którym śpią rodzice, i dokonać skomplikowanej operacji wyjęcia im schowanego przed nim pod poduszką bezprzewodowego zegara do gazowego pieca, to najtrudniejszy moment, latarka odpada, ponieważ ojciec ma sen bardzo płytki i z byle powodu może się obudzić, a wtedy się wścieknie. W celu zdobycia bezprzewodowego zegara do regulacji temperatury pieca syn musi posłużyć się malutką latareczką w długopisie, którą znalazł kiedyś w torbie z gratisami, jaką wręczano każdemu po Fashion Flesh Night. Teraz się przydaje na zadupiu, ale operacja wyciągnięcia zegara spod poduszki ojca jest naprawdę na miarę filmów akcji, jakie oglądają w dużym salonie rodzice. W domu panuje zaduch, ponieważ ojciec, aby ciepło nie uciekało, szczelnie zamknął wszystkie plastikowe okna, tu już jednak syn radzi sobie o wiele lepiej, bo u siebie na górze może je otworzyć lub rozszczelnić i tak to, co zaoszczędził skowronek na dole, ucieka u sowy na górze. Tym razem się nie udało, ojciec rozdziera japę na cały dom i jeszcze bardziej obniża temperaturę. Syn podkula ogon i już go nie ma. Idzie się myć w zimnej wodzie, ale jej temperaturę można już zmienić bez zegara, trzeba tylko dokraść się do pieca

w pomieszczeniu gospodarczym. Należy jednak odczekać, ponieważ ojciec wie, że przegrana walka o zegar oznacza odwetową wyprawę do pomieszczenia gospodarczego, w którym majestatycznie pyszni się piec. Ojciec wie, że syn odczeka, ale może po minucie nasłuchiwania zmoże go sen. Na to liczy syn, postanawiając chwilowo w ramach zemsty zakraść się do lodówki, co też jest surowo zakazane, ponieważ jedzenie w nocy i po myciu zębów jest niezdrowe. Poza tym ojciec w ogóle nie przepada za tym, żeby syn zaglądał do jego lodówki, o żadnej porze. Ojciec generalnie nie lubi, kiedy syn grzebie w czymkolwiek w tym domu, ponieważ dom to jego obsikany teren i każde grzebanie jest grzebaniem w jego wnętrzu, w jego wręcz mózgu. Rzeczy najważniejsze, takie jak złoto, brylanty, testament i kto wie, kto wie, co jeszcze, i tak zamknięte są w sejfie, do którego syn już tyle razy nie zgadł kodu, mimo że nie podejrzewał ojca o zbytnią wymyślność.

Na razie więc syn nie może sobie pozwolić na ryzyko otwarcia lodówki, siada przed dogasającym kominkiem i próbuje się ogrzać. Jeśli wszedłby na górę, drewniane schody na pewno by zaskrzypiały, ponieważ kuchnia, salon i korytarz na dole oraz schody na górę są jak pudło rezonansowe wielkiej gitary. Rodzice śpią z otwartymi drzwiami, bo oczywiście nie pozwolą rozszczelnić okna nawet na milimetr. Syn jednak ryzykuje, idąc w skarpetkach po ciemku, tylko z maleńką, znaną nam już latareczką, tylko częścią stopni przy samej ścianie, skąd wyrastają i gdzie najmniej się poruszają, skrada się na górę, do siebie, jak złodziej. Jeden stopień – trzydzieści sekund nasłuchiwania. I znowu. I znowu. Trochę to trwa, lecz zakończone zostaje sukcesem i można wreszcie zapalić światło. Jest to jednak sukces tylko połowiczny, bo na górze, pod kosztownymi dywanami wybranymi przez ojca, jak całe zdaniem syna niegustowne umeblowanie, może skrzypnąć zdradziecka deska, akurat w miejscu, gdzie na dole ojciec nasłuchuje, co też porabia syn.

Nieprzyzwołym do światła wzrokiem syn ogarnia swoje królestwo pełne czarnych worków na śmieci po brzegi wypełnionych swoją biografią.

Żeby się zemścić, syn wchodzi do łazienki na górze i spuszcza wodę. To już jest chwyt poniżej pasa, ciężka artyleria na ojca, prawdziwy wystrzał z armaty w tej ciszy, co aż w uszy kole na środku pola, szczególnie po Warszawie, gdzie w nocy zawsze słycać karetki i krzyki. Wielki wybuch spiętrzonej wody, która nie ma czego zmywać, jak Niagara roznosi się po całym domu i syn wie, że teraz niebezpiecznie byłoby schodzić na dół, gdzie wróg właśnie zwiera szeregi, w liczbie dwóch żołnierzy. Ale i na górze wrogie armie nie próżnują. Syn otwiera szeroko okno i wdycha głęboko cudowne, mroźne powietrze, niepomny, że

jeszcze piętnaście minut wcześniej przegrał walkę o podwyższenie ogólnej temperatury w domu o jeden stopień. Jednak okno zostaje otwarte, bo syn chce zapalić. To już w ogóle grozi wojną światową, gdyż rodzice nie wiedzą, że syn w Warszawie wrócił do nałogu. Dlatego kiedy pociera kamieniem zapalniczki, wydaje mu się, że słychać to wszędzie, a roznoszący się w mrozie dym śmierdzi również na cały dom. Gdyby choć jedna niteczka nikotynowego zapachu doszła do nozdry ojca, ten natychmiast rozpoznałby ją jako ciało obce w tym domu, gdzie nigdy nikt nie palił papierosów. Za to teraz pali syn i strzepuje popiół na dach. Teoretycznie popiół powinien spaść po pochyłości na dół do ogrodu, ale oczywiście zatrzymuje się i będzie trzeba zsuwać go miotłą, żeby rodzice nie zauważyli.

Pałac, syn rozgląda się po swoim nie swoim królestwie, które w nagłym przyptywie miłości urządził dla niego ojciec. Wszystko na odwrót niżby urządził syn: kolorowo i wesoło zamiast mrocznie, szaro i czarno, dużo światła zamiast ulubionego mroku, wstrętne, drogie, rzeźbione łóżko zamiast nowoczesnego, minimalistycznego designu... Kiedy syn leży w łóżku i czyta, co jednak nastąpi dopiero około piątej rano, ponieważ biorytmy syna i rodziców nie są i nie będą zgodne, oni zasypiają już o jedenastej, kiedy syn w Warszawie właśnie zaczynał na dobre dzień i szykował się do klubu, więc kiedy leży i czyta, rozprasza go pstrokata tapeta z Kaczorem Donaldem, szczyt infantylizmu nie do przeoczenia z za rogu kartki, fundator: firma Tata & Mama. Jest jedenasta i syn sowa staje się coraz bardziej ożywiony, niestety, nie bardzo wiadomo, co mógłby robić i na czym wyładować nocny przyptyw energii. Plany na wieczór: grzebanie w lodówce, spalenie w kominku kolejnej książki konkurencji (to po nią była ryzykowna wyprawa na górę brzegiem schodów), jeszcze jedna próba zdobycia zegara, może uda się nawet umyć zęby, choć szczoteczka elektryczna hałasuje na cały dom jak wielka dentystyczna mucha. Syn sowa właśnie się budzi. Ojciec skowronek wstanie akurat wtedy, kiedy syn zacznie zasypiać. Wtedy w domu ozwą się złowrogie odgłosy podciągania do góry żaluzji antywłamaniowych na oknach i wpuszczania znienawidzonego dziennego światła. To bardzo zepsuje synowi nastrój do zasypiania, bo gdyby syn był tu sam, co czasem się zdarza, kiedy rodzice wyjadą do swojego domu w Hiszpanii, żaluzje właśnie nad ranem odbyłyby drogę powrotną, z góry na dół, i stworzyły sztuczną noc.

Gotowe! Z książką nielubianej konkurencji, kupioną jeszcze za czasów, kiedy samemu się nie pisało i konkurencja nie była jeszcze konkurencją, syn pojawia się przed wygasłym – wydawałoby się – kominkiem. Zaraz jednak go zreanimujemy! Syn faszkuje grubą księgę spłaszczonym pudełkiem pełnym

zapalek i niedopałkiem papierosa, którego w żadnym śmietniku w domu nie powinno być, trzeba go skremować. Otwiera drzwiczki kominka i – w całkowitej ciemności dla lepszych efektów świetlnych – starannie układa książkę na szarym, ale jeszcze podszytym czerwienią popiele. Gdyby ojciec teraz przechodził do toalety, prawdopodobnie umarłby na zawał. Nie dość, że nie śpi, to jeszcze chce nas spalić i niszczy dobre, drogie książki! Ale oto rozkosz piromana: ogień powoli zaczyna lizać grzbiet i wcale się jeszcze nie cieszy, wcale nie wie, jak wielki i łakomy kąsek mu się dostał, starcze wypociny jednego z najbardziej znanych polskich pisarzy! Ogień jednak przeczyta je dokładnie, kartka po kartce, jak najuważniejszy krytyk.

– No, szybciej, głupi! – mówi syn do ognia, a ogień nakłada okulary i zabiera się do kartkowania książki, której objętość nagle rośnie. Z tej okazji syn postanawia zrobić coś jeszcze bardziej bezczelnego, mianowicie zakraść się do schowka i napełnić sobie całą dużą szklanekę dobrym hiszpańskim winem przywiezionym przez rodziców z ostatniej wizyty w Marbelli. Jest to bardzo trudne, ponieważ drzwi do schowka skrzypią, chyba specjalnie nieoliwione przez ojca, aby syn nie miał zbyt łatwego dostępu do wodopoju. Ale teraz jest już druga w nocy i ojciec zaraz będzie szedł siku, według tej czynności można by regulować zegarek, nie spuści wody i zostawi opuszczoną klapę, aby z dobrodziejstw kanalizacji mogła skorzystać też mama, a po drugiej jego sen stanie się silniejszy, chyba że słabszy. Syn i tak się napije, a do tego zapali jeszcze na górze, trudno, nie chciało się oddać bezprzewodowego zegara do pieca gazowego, to inaczej się rozgrzejemy! Czasami syn upija się w nocy do nieprzytomności i doskonale się bawi sam ze sobą.

Sam ze sobą. Ja ze mną. Żeby obejrzeć pornola w internecie, należy znaleźć słuchawki i podłączyć je do notebooka, ponieważ nawet najcichsze stękania roznoszą się zdradziecko na cały dom. Dodatkowo syn zamyka się w kiblu na górze i ze słuchawkami na uszach może upewnić się, że poza domkiem istnieje jakiś inny świat, w którym panuje wszechobecny seks. Wydaje się, że inni, cała reszta ludzkości poza tą enklawą, nie robią nic innego, tylko od rana do rana ruchają się z byle powodu. I tylko syn musi to oglądać. Papierowe ręczniki w pogotowiu. Woda spuszczone na nie prawdopodobnie po raz kolejny zbudziła cały dom.

Co by tu jeszcze dorzucić ojcu do kosza na zakupy? Ojciec uważa, że syn jest na diecie, i przez to syn musi być na diecie. Ojciec uważa, że syn nie pije i nie pali, co także wydatnie ogranicza możliwości wrzucania do kosza pewnych atrakcyjnych artykułów. Byle tylko obyło się bez zenujących (zawsze, od wielu

lat tych samych) żartów przy kasie. Jeśli będzie siedziała ładna kasjerka, niestety trzeba będzie przez to przejść. Jeśli na przykład ojciec ma tylko same setki, to powie: „Doskonałe, sam produkowałem, ha, ha”, a zmęczona kasjerka skrzywi się w czymś pomiędzy wymuszonym uśmiechem a skrywanym znudzeniem, ponieważ słyszała to od ojca już wczoraj i rok temu. Jeśli rachunek (dzięki wydatnej pomocy syna) będzie wysoki, ojciec będzie udawał Izraelczyka, załamywał ręce, przewracał oczami i zawodził: Aj-waj! Aj-waj, strasznie tu u was drogo! Mogliśmy jechać do Tesco, tam na pewno zapłacilibyśmy za to samo o połowę mniej!

– To kasować? – zgasi ojca kasjerka, jeśli będzie już odpowiednio zmęczona i wkurwiona, będzie miała okres lub nie będzie się zgadzało w kasie.

– Ależ oczy – wiście, wiście oczy... – zacznie się wycofywać ojciec, bo to przecież miały być tylko jego słynne śmieszne i zabawne żarty.

W ojca gabinecie do pracy wisi portret Żyda oglądającego podejrzliwie złotą monetę, ponieważ taki portret przynosi szczęście w interesach.

Na szczęście przy kasie siedzi dziś brzydka stara baba i syn może pozwolić sobie na szarżę, to naprawdę ryzykowny manewr! Przedmiot, na który ojciec nigdy by się nie zgodził, całą zgrzewkę sześciu red bulli, kładzie bezpośrednio na ladę, jakby położył bombę. Ojciec ocenia wzrokiem sytuację i nie wie, co zrobić z tym ładunkiem, ponieważ kasjerka już chwyciła ją i oto przejeżdża czytnikiem. Wróg zna jednak najsubtelniejsze odcienie psychologii ojca i wie, że ten prędzej by wypił te wszystkie sześć red bulli duszkiem, niż zaczął szarpaninę z synem przy kasjerce. Patrzy tylko na syna jak na terrorystę z bombą i robi minę: „Później pogadamy”.

Teraz jest trzecia w nocy i syn po cichutku wyciąga z lodówki red bulla, którego syk przy otwieraniu jest w stanie obudzić nie tylko ojca, ale i śpiącego w dalekim Rzymie w wielkim łóżu Ojca Świętego. Obaj jednak tylko mruczą i przewracają się na drugi bok. Ten dom jest tak podobny do tego z Rakowisk, o którym pisały niedawno wszystkie tabloidy i tygodniki, które ojciec wciąż kupuje, ponieważ jeszcze nie przestawił się na cyfrowy tekst. W Rakowiskach, na takim samym podmiejskim – wiejskim domkowisku dla klasy średniej (nazwijmy to, bardzo na wyrost, polską wersją amerykańskich przedmieść) syn Kamil N. ze swoją dziewczyną zakradł się w nocy po cichu (oj, już my znamy to po cichu! Może ćwiczył to setki razy, skradając się w nocy do lodówki lub na górę!) i zabił ojca i matkę. Syn wie o tym smutnym wydarzeniu dokładnie wszystko. Zna każde zdjęcie. Matka uciekała z okiem wiszącym jak na sznurku. Ale ją złapał i dorznął. Za wszystkie niesmaczne obiady, za wszystkie nudne popołudnia. Ojca syn

zarezerwował dla siebie. Z góry zapowiedział to swojej dziewczynie, brzydkiej, początkującej poetce Mariannie Jakiejśtam: nie tykaj ojca, ja sam, własnoręcznie, chcę go załatwić. A ojciec umiał się bronić!

Syn czuje się nieswojo, siedząc teraz wygodnie w części kuchennej z „Newsweekiem” i zimnym red bullem i z rozkoszą typową dla schadenfreude, delektując się krwawymi detalami. Sam bardzo kocha tatusia, mimo wszystko bardzo go kocha. Możliwe, że Kamil N. też kochał swojego tatusia. Możliwe, że jedno nie wyklucza drugiego, ale syn i tak jest już za stary na takie uniesienia. Kiedyś, w czasie dzikiej awantury w nocy (poszło o skrzygnięcie deski w podłodze, kiedy się skradał ze zdobycznym zegarem do pieca), awantury z krzykami i niemal rękoczynami, w uniesieniu syn narzucił na pizamę płaszcz i powiedział, że już nie wróci. Gdy tylko pochłonęła go mroźna ciemność, od razu pożałował. Doszedł do ciemnej drogi bez pobocza i stanął na słynnym Przystanku Z Którego Nigdy Nic Nie Odchodzi, a co dopiero w nocy. (Do Wrocławia syna zawsze wozi mercedesem ojciec, stamtąd również go odbiera i przywozi do domku). Nie miał pieniędzy, nawet gdyby stał się cud i pekaes przyjechał. Płaciło się przecież przy wejściu do autobusu, u kierowcy, do Wrocławia sześć złotych. I gdzie teraz miał iść? To było jego ostatnie takie zagranie. Teraz w czasie awantur przezornie cichł i zamykał się w sobie. Nie chciał już więcej doprowadzić do takiej sytuacji: wrócić głupio, a chodzić po polu w pizamie i samych klapkach jeszcze głupiej. Stał więc na poboczu wymarłej drogi, ledwo widząc w ciemności swoją rękę wystawioną przed oczy, i czuł się dogłębnie wychujany przez powziętą w uniesieniu, w czasie awantury decyzję. Miał nadzieję, że w domku rodzice już zaczynają się martwić, że syn się przezięb. Musiał jednak jeszcze dość długo odczekać, bo honor nie pozwalał mu na tak szybki powrót i pogodzenie się. Topniejący śnieg szczypał go w bosc stopy w crocsach.

A przecież tatuś nie może się denerwować, ponieważ jeśli „tatusiowi pęknie jakaś żyłka”, to wszyscy pójdziemy z torbami. Matka i syn utkną tu, na środku pola już na zawsze, bo kto ich będzie zawoził do Wrocławia? Potężne ubezpieczenie na życie ojca (który – w przeciwieństwie do syna – jest odpowiedzialny aż do znudzenia) pozwoli matce i synowi do końca życia zamawiać przez internet tu, na pole, pizzę i colę, którą będą się żywili, aż utyją tak, że w ogóle przestaną się przemieszczać nawet po domu! Dlatego o żyłkę tatusia trzeba dbać, trzeba pilnować, aby codziennie łykał kwasy omega-3 i geriavit.

Ale wtedy szedł poboczem bez latarki, obszczekiwany przez dalekie psy, i naprawdę nie miał gdzie pójść, nawet we Wrocławiu. Wyjść w noc na pole i powiedzieć, że się już nie wraca, co za idiota z niego! Wtedy rzeczywiście potrafiłby sobie wyobrazić, że zabija ojca. Pamiętał z lekcji religii przypowieść o ofierze Izaaka. Tatusiek nazywał się Izmael i na pierwsze skinienie Boga (tego starotestamentowego, okrutnego OJCA) wziął syna pod rękę i poszedł złożyć z niego ofiarę. Nieźle. Ofiara polegała na tym, że miał go spalić żywcem. Zdaniem syna ojciec wcale nie zdał egzaminu. Powinien sprzeciwić się Bogu i powiedzieć: „Sorry, ale syn jest dla mnie ważniejszy. Nie ma głupich!”. Wtedy tak, wtedy by zdał. Ale teraz, kiedy syn szedł w piżamie nakrytej płaszczem, w crocsach na bose nogi po śniegu, poboczem ciemnej drogi, Bóg spokojnie mógłby do niego przyjść i powiedzieć, żeby złożył ofiarę ze swojego kochanego ojczulka. Nie ma sprawy. Jeśli pozwolisz, Boże, zanim go spalę, poprzypekam jeszcze rozgrzanymi do czerwoności szczypcami.

A przecież ojciec jest dobry. Kiedy w latach osiemdziesiątych wyjechał do Enerefu, o czym była już mowa, mówił rodzinie, że pracuje na uniwersytecie, że jest na stypendium Humboldta, a tymczasem po latach przyznał się, że on, profesor, pracował na budowie! Taki cały z uniwersytetu musiał pójść z grupą prostych i ordynarnych Polaków, od której odstawał jak tylko odstawać może inteligent od robotnika niewykwalifikowanego, i pracować na czarno z łopata, aby syn mógł się obnosić po szkole dumny jak paw. Matka będąca wtedy w ciąży po raz trzeci całymi nocami czatowała przy telefonie, czekając na rozmowę z Enerefem. Kiedy musiała iść kołysać do snu znowu obudzonego brata (którego trzeba było wtedy nosić, kołysząc, po pokoju, od ściany do ściany), przy telefonie czatował syn.

– Pamiętaj. Zadzwoni telefon i pani powie: „Dojczland, ajn moment”, powtórz!

– Dojczland, ajn moment! – powtarzał syn z przejęciem i dumą.

– A ty wtedy odpowiesz: „Yś warte, ja, yś warte”, powtórz! Wtedy masz czekać, bo „warten” znaczy właśnie „czekać”.

Syn miętolił w rękę popisaną ściągami na sprawdzian kartkę z tym krótkim, lecz jakże treściwym dialogiem zapisanym fonetycznie i aż podskakiwał, gdy nagle dzwonił telefon, ale nie pozwalano mu nawet wkroczyć na scenę, bo matka rzucała dziecko do kołyski, spało czy nie, i biegła do „dużego pokoju”. Niemal wyrывая słuchawkę dukającemu niemieckie „yś warte” synowi.

– Ja, ja, yś warte, yś warte! – darła się do czerwonej, ciężkiej słuchawki, choć słyhać było całkiem nieźle, ale wiadomo, tak daleko, to trzeba krzyżeć. I krzyżała przez całą rozmowę z ojcem: „Kotuś! Kotuś! Jak ci tam?! A co jadłeś

na obiad?! O Jezu, a co to takiego? W arabskiej restauracji? Żeby ci tylko jakiegoś psa w kebabie nie opylili!”.

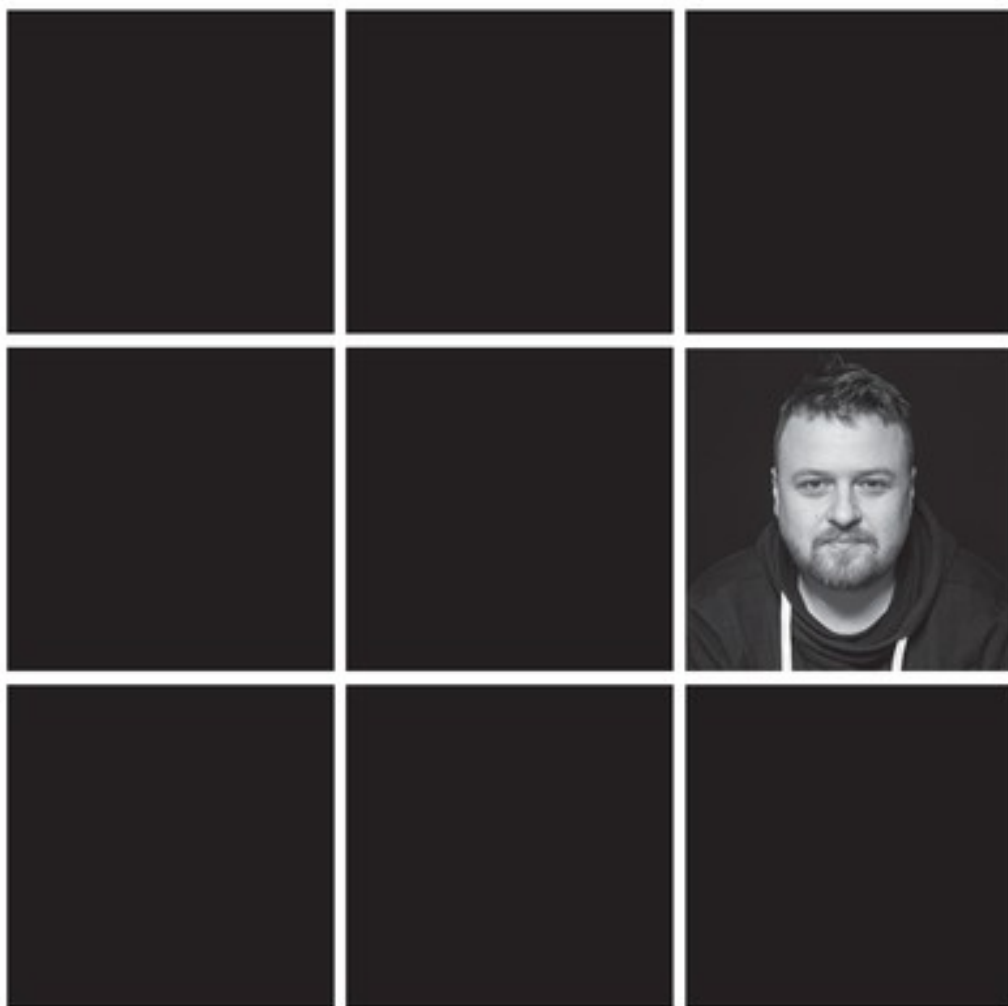
A tak naprawdę ojciec nie chodził do restauracji, tylko jadł kanapki, żeby zaoszczędzić, i matka o tym doskonale wiedziała, dlatego nie martwiła się tak bardzo tym psem. Inteligencki ojciec chodził do robotniczego Aldiego z innymi robotnikami i kupował robotnicze jedzenie.

Syn z niepokojem oczekuje świąt Bożego Narodzenia. Pewne zapachy w domu wskazują już na jego rychłe nadejście. Na sterylnej płycie grzewczej stoi gar z kompotem z suszu. Syn jednocześnie cieszy się i obawia. Bo przez trzy dni na pewno nie będzie po co wychodzić z domu. Ojciec nie zawiezie do Wrocławia, a tam też nie ma co robić. Będą po raz stutysięczny setny (ale na pewno nie ostatni!) oglądać na DVD stare dobre seriale i filmy z minionej epoki: *Kariere Nikodema Dyzmy*, *07 zgłoś się*, *Pajęczarki*, *Tulipana...* A także z nowej epoki szwedzki serial o komisarzu Wallanderze i *Millennium*. Jak co roku dokładnie w tych samych miejscach rodzice wygłoszą dokładnie te same żarty i komentarze, a syn powie: „Zawsze to mówisz!”. Przed najbardziej kultowymi scenami trzyosobowa widownia (bracia rozjechali się już po świecie) z wyprzedzeniem zacznie wygłaszać z pamięci mające nastąpić kwestie. Wszyscy mają pod dostatkiem napojów wyskokowych i słodzonych, a także niezdrowe i zazwyczaj zakazane tosty z cebulką, serem, salami i papryką. W tej domowej, bezpiecznej atmosferze, całkowicie laickiej, miną dwa dni plus Wigilia. Mniej więcej pod koniec pierwszego święta syna zacznie nosić, aby coś rozwalić albo wyjść w ośnieżone pole i biec ku jakiejś nowej biografii. W swoim dzienniku zacznie narady z samym sobą, kim by tu znowu zostać. Zamieszkać w jakieś wiosze i być rybakiem? Odpada – ma dosyć wiochy. Wyjechać do Nowego Jorku? Prędeż. W tym momencie na górę wdrapie się ojciec i położy synowi koło łóżka kilka rafaello, nieświadom, że syn właśnie planuje kolejną ucieczkę z domku ku nowym fantazmatom.

No i mamy Wigilię! Co prawda nikt tu nie wierzy w żadnego Boga poza wielkim plazmowym telewizorem, ale co tam! Jezus na pewno był postacią historyczną i na pewno kiedyś tam się narodził, a skoro z tego powodu można co roku „nakupować sobie” i zamknąć się z tym wszystkim w ciepłej bańce mydlanej, to czemu nie? Już dzielny komisarz Wallander jest na tropie kolejnej mrożącej krew w żyłach kryminalnej historii! Rodzina doskonale wie, jak cała rzecz się skończy i ile niebezpieczeństw jeszcze na niego czyha, więc nerwowo sięgają jej członkowie po kolejne rafaello, ferrero rocher, merci, popijają to kawą i wygodniej sadowią się w fotelach. Wszyscy dostali prezenty i złożyli sobie

życzenia, które się nie spełnią tak samo jak te z poprzednich lat. Nie wiadomo, czego życzyć synowi, bo sam nie wie, czego chce. Jak w niemieckich reklamach starzy rodzice dostają po butelce toniku na serce Doppelhertz, od tego tatusiowi na pewno nie pęknie żyłka.

Mimo podobieństw do mojej sytuacji rodzinnej i biograficznej tekst ten należy traktować jako fikcyjny, nie ma on wiele wspólnego z moimi relacjami rodzinnymi.



Ziemowit
Szczerek

MIASTO MOJEGO OJCA

Wyobraźmy to sobie, sobie.

Wyobraźmy sobie, że rodzimy się w Sanoku, pięć lat po wojnie. Jak mój ojciec.

Taka zabawa.

Wiecie, gdzie leży Sanok? Pewnie wiecie, ale jeśli nie wiecie, to weźcie mapę Polski. W jej lewym dolnym rogu leży Sanok, tam, gdzie bieszczadzka wypustka wciskająca się między Ukrainę a Słowację. Tam, gdzie Bieszczady, ale to nie są jeszcze Bieszczady. To Góry Słonne. To część Gór Sanocko-Turczańskich. Ciągną się daleko, aż po ukraińską stronę. Do Turki. Sanok – Turka. Turka była drugim końcem tej sanockiej rzeczywistości, który odwiedziłem dopiero po latach. I dopiero po latach obraz mi się dopiął. Mój ojciec w Turce nie był nigdy. Może jeszcze pojedzie.

To dziwne miejsce. Jak w Sanoku widać w Turce powidoki tego końca austriackiego świata. Jakieś resztki kresowego mieszczaństwa. Można sobie wyobrazić tych poprzebieranych za wiedeńczyków obywateli trwających dzielnie w swojej formie, w swoich czepkach i kapeluszach, ancugach i rękawiczkach, pomiędzy galicyjskim błociem i chlupociem, pomiędzy górami, w których mieszkają ludzie noszący łapcie. Stoi w Turce galicyjski rynecek, stoją galicyjskie kamieniczki, a w jednej z nich jest parzalnia kawy. Nie kawiarnia, tylko sklepik prowadzony przez starszego pana w białym kitlu, który wygląda, jakby wyleciał, zasuszony, spomiędzy żółtych kartek jakiegoś nigdy niewydanego Schulza. Albo został wymyślony przez Tarasa Prohaškę. Sklep, gdzie można przycupnąć na taborecie przy ladzie i napić się kawy z białego, plastikowego kubka. I posłuchać opowieści, już nie tyle habsburskich, co poradzieckich, bo pojawia się tam jakieś dawne radzieckie życie, dawna radziecka kariera, jeżdżenie na zazach z kontrolą na jakieś tartaki, do jakichś fabryk, to tu, to tam, no a potem wszystko pieprznięło, jak wcześniej Habsburgia, tak później Radziecja, i apiać trzeba było szukać swojego miejsca na świecie.

Przez centrum Turki płynie po kamieniach potoczek. I w ogóle jest jakoś kamieniście i lekko pustawo. Wczesną wiosną, gdy jeszcze zieleni nie ma, trochę to wygląda tak, jakby wyglądało austro-węgierskie miasteczko gdzieś w Peru.

Sanok jest inny. Sanok jest żyzny. Wydaje się zielony nawet zimą. Choć nie jest. Leży na wzgórzu i jest w nie wkomponowany. Tutaj również pachnie kawą i Cekanią. Peerelowi nie udało się tu wtargnąć z takim impetem, z jakim hulał po Kongresówce. Latem dziewięćdziesiątym też, choć, przyznać trzeba, próbowały. Ale nie wywróciły rzeczywistości do góry nogami, nie. Nie udało się im. Zawsze coś nad nimi dominowało. Zawsze coś starszego, bardziej ustalonego odnosiło

zwycięstwo. Jakieś duchy i – być może – upiory, w tych ancugach i w tych kapeluszach, ze swoją starą formą, nie pozwalały sobie do końca złamać karku.

Albo tylko tak mi się wydaje. Na moim ojcu ta staroautriackość, jak mi się wydaje, nie robiła takiego wrażenia jak na mnie.

W zasadzie moja obsesja galicyjskości przypomina trochę obsesję na tym punkcie, którą mają zachodnioukraińscy autonomiści. Włodko Kostyrko, Wasyl Rasewycz, Lubko Petrenko. Albo tacy piewcy galicyjskości jak na przykład Jurij Andruchowycz, choć temu ostatniemu poszło raczej w drugą stronę: nie chce Galicji zbawiać od Ukrainy, ale Ukrainę chce zbawiać Galicją.

Ale powód jest jeden. Ja szukałem w Galicji ucieczki przed tym typem Polski, jaki mi był znany: środkowej Polski, mono-Polski, Polski najpolstszej, Polski trywialnej. Szukałem na Polskę jakiejś innej formuły – i znalazłem. W końcu moja świadomość uruchomiła się w latach osiemdziesiątych, w czasach apokalipsy. Nic dziwnego, że załagał się we mnie gen ucieczki.

Z moim ojcem było inaczej. Dla jego pokolenia Polska była już czymś oczywistym, ale była to oczywistość wepchnięta do tabernakulum. I nie musiał od niej uciekać, bo nie było gdzie. Bo gdzie – na wschód? Do Związku Radzieckiego? Do Czechosłowacji, na południe? Do Niemiec, które świeżo po wojnie robiły jeszcze za kraj szatana? Dalej, do Francji, do Anglii, Ameryki? To wszystko było zbyt teoretyczne. O wiele bardziej skomplikowane niż moja ucieczka z Kongresówki do Galicji.

No ale wtedy, kiedy po drugiej stronie Gór Sanocko-Turczańskich rodził się mój ojciec, pięć lat po wojnie, o Turce, w której leżał drugi koniec sanockich gór, mało kto w Sanoku wiedział. Chyba że nauczyciel geografii w gimnazjum, a i to wydaje mi się czemuś wątpliwe. Za górami panował wieczny mrok. Poza Polską świat istniał tylko w dziale „świat” w prasie, który mało kto czytał. Słabo pamiętam peerel, ale to uczucie, że poza nim świat istnieje bardzo niewyraźnie i w zasadzie niewiarygodnie – pamiętam dobrze.

Tak też było w Radomiu, w którym ja się urodziłem. W peerelu nie było niczego poza Polską. Polska była wszędzie i wszystkim. Ocknąłem się z niebytu w socjalistycznym mieście w socjalistycznej centralnej Polsce. A właściwie teoretycznie socjalistycznej, bo tak naprawdę była wyłącznie apokaliptyczną Polską. Nawet za bardzo ozdobników nie było w postaci czerwonych szturmówek czy jakichś socjalistycznych haseł. Nie pamiętam pochodów pierwszomajowych, nic z tych rzeczy. W zasadzie pamiętam tylko apokalipsę i chodzące po niej procesje z religijnymi sztandarami, nic więcej.

Ojciec był już częścią tego miasta, a Sanok był egzotyką, przynajmniej dla mnie. Radom był miastem położonym w samym środku polskiego uniwersum i w zasadzie wyobrażałem go sobie jako coś oddzielonego od reszty świata, za którym wszystko we mnie wyło.

Sanok wydawał mi się pogranicznym rajem. Leżał przy samej granicy i mniej ważne było, czyja to była granica, ważniejsze, że był to kraniec znanych ziem. Wyobrażałem sobie, że niedaleko Sanoka można wystawić głowę za granicę, jak ów wędrowiec na starej rycinie wystawia ją poza horyzont, do którego dotarł.

W Sanoku mówiło się w inny sposób niż w reszcie ujednoczonej Polski. To już było coś. Środkowa Polska to był zupełny brak lokalności, a tam – wszystko było inaczej. Albo trochę inaczej. Na mojego ojca nie mówiono Marian, tylko Manek. Na buty mówiono meszty. Zdania zaczynało się od „ta” i „ta joj”. Na ulicy prowadzącej w dół stała cerkiew greckokatolicka. To już było mocne odstępstwo od polskiej normy. Podkradałem się tam czasem, zafascynowany. W trakcie mszy. Patrzyłem zza winkła na tych innych ludzi. Mój mózg, wykształcony w jednolitości środkowej Polski, kazał ich mi widzieć jako jakiś rodzaj odmieńców.

Dla mojego ojca temat Ukrainy był trudny, jak dla wszystkich na pograniczu. Syn polskiego żołnierza, który walczył z UPA. I dziewczyny z polskiej rodziny, której wczesna młodość przebiegła w strachu przed tym, że na Ziemi Sanockiej odbędzie się drugi Wołyń. Ukraińcy też się bali. Najpierw była II Rzeczpospolita, w której byli ludźmi drugiej kategorii, później – wojna. Czuli polską nienawiść i sami ją mieli dla Polaków. I, jak to zawsze bywa, w tym potwornym zapętleniu nie da się na nikogo zrzucić całego ciężaru winy. Można ją tylko rozdzielać, jak komunię. Ukraińcy po wojnie zaczęli wozic się po okolicy jak po swoim i dla wielu Ukraińców mógł to być powód do poczucia gorzkiej, a czasem chorej satysfakcji, że polscy panowie trzęsą się przed nimi. Cała okolica pogrążała się w nacjonalistycznej obsesji i obłądnie, który od czasu do czasu eksplodował. Strach rodził strach, ale gdy ojciec się rodził, Ukraińców już w jego okolicy nie było. Pozostał głównie ich powidok. Cień. Upiór. A to czasem było jeszcze gorsze. Nie było już fizycznego zagrożenia, ale stare lęki wżerały się w skórę, w ciało, w mózgi.

Mój ojciec z podejrzliwością musiał więc patrzeć na moje podróże na Ukrainę, ale nic nie mówił. Starał się zrozumieć. A pogranicze ukraińskie to nie było miejsce, w którym niuansowanie rzeczywistości było czymś naturalnym.

Rzeczywistość była ustawiona. Wszystko było jasne. To było powojenne społeczeństwo.

Ale przekonał się. Wyrósł już przecież z prostych prawd, które kazały jego rówieśnikom na podwórku mówić do kogoś per „ty Ukraińcu”, gdy chciało się go obrazić. Przyjeżdżałem, opowiadałem. Mówiłem: tata, we Lwowie cała inteligencja rozumie polski. Czyta po polsku, bo wie, że to część lwowskiego dziedzictwa, a oni go nie wypierają. To już nie są te czasy. Interesują się. To mądrzy ludzie.

Opowiadałem o wschodniej Ukrainie. O środkowej, o południowej. O niuansach. O różnicach. Słuchał.

Jeździliśmy do Sanoka. Ojciec prowadził. Najpierw niebieskiego malucha, później białego fiata 125p. Wsłuchiwałem się w mowę ojca. Zastanawiałem się, czemu nie mówi po sanocku, czemu nie mówi tak jak wszyscy wujkowie, ciocie, dziadkowie. Czasem, im bliżej Sanoka, pojawiał się u niego cień akcentu. Łapałem się go mocno, ale był zbyt słaby, zbyt ulotny, bo pokójarczyć mocno ojca z Sanokiem. Szczerze mówiąc, nie bardzo mogłem go sobie w tym Sanoku wyobrazić. Musiałem mu wierzyć na słowo. Że się tam urodził, że chodził do szkoły, że imprezował, podrywał dziewczyny, bił się z kolegami. Wydawało mi się, że zawsze taki był. Wielki, brodaty, czasem nerwowy, czasem dobroduszny. Że był odwieczną stałością, jak to ojciec. Ten Sanok był jego backgroundem, jego historią, bo każdy musi mieć jakąś historię, ale, myślałem, to równie dobrze mogła być historia wymyślona. Jak u agentów specjalnych. Przykrywka. Dlatego ulgę przynosiło mi, na przykład, obserwowanie podobieństwa jego twarzy z twarzami jego rodzeństwa, rodziców, cioc i wujków. Nawet moich kuzynów. Tak, zdecydowanie tam przynależał i te wszystkie twarze wydawały mi się wariantami jego własnej historii.

Zresztą Sanok sam w sobie jest spełnioną historią alternatywną. Bo tak by wyglądały Kresy, gdyby nadal należały do Polski. Tak by wyglądały wschodniogalicyskie miasteczka, gdyby nadal była tam Polska, tak by mówili ich mieszkańcy. Z zaciągiem. Nie trzeba sobie wcale tego wyobrażać. A wszyscy mówią: Kresów już nie ma. Jeżdżą do Lwowa na nostalgiczne wycieczki. Od Kamieńca po Żółkiew. Chodzą, szukają śladów umarłego świata. A nie trzeba, bo on żyje. Wystarczy pojechać do Sanoka.

Góry Sanocko-Turczańskie. Beskidy Lesiste, Karpaty. Starożytni, u których się zaczęła cała ta historia z Europą, pewnie o nich pojęcia nie mieli, a ci, którzy

mieli, znali je tylko ze słyszenia. A miały nawet nazwę: Alpes Bastarnice. Bastarnowie byli ludem germańskim, który na przełomie er przemieszczał się, sunąc, ślimaczo, setkami lat, z terenu obecnej Danii na południowy wschód. W końcu wylądował nad Dunajem. A niedaleko znajdowała się przełęcz, jaką do Europy wlewali się stepowi nomadzi, którzy ją później wybebeszali i albo się w nią wtapiali, albo wracali. Hunowie, Awarowie, Madziarowie, Mongołowie. Niedaleko więc był europejski wlot. Brama z Heartlandu do Europy.

A później – raz królowie polscy, raz węgierscy, raz książęta ruscy. Ruscy książęta nadają prawo magdeburskie, polscy królowie – wysyłają osadników. Niemców, Małopolan, Mazurów, każdego, kto chce przyjechać na ten koniec świata. A potem jest I Rzeczpospolita, potem Galicja, potem II Rzeczpospolita. Sanok, jak inne okoliczne miejscowości, leży na pograniczu rusko-polskim. Tu wieś ruska – tam wieś polska. Tu ruska – tam polska. Itp.

Po II wojnie pada na Polaków blady strach, bo w okolicy kręci się UPA. Wszyscy słyszeli o tym, co działo się na Wołyniu, więc strach był tym większy.

Wyobraźmy sobie.

Dlatego ląduje tutaj ojciec mojego ojca. Bo w Bieszczadach trwały walki z UPA.

Jakoś tak dziwnie pomyśleć, że gdyby nie UPA, toby ani mojego ojca nie było, ani jego sióstr i braci, ani mojej siostry, ani mnie.

Ojciec mojego ojca urodził się na Grodzieńszczyźnie. Z Grodzieńszczyzny zostaje wyciągnięty przez Radziecę jako syn osadnika wojskowego (który – w dodatku – był sprawcą mezaliansu, bo ożenił się z przedstawicielką starego, osiadłego litewskiego rodu) i rzucony do łagru gdzieś pod Kostromą. Potem chcą go wcielić do Armii Czerwonej, bo teoretycznie, jeśli urodzony w Grodnie, a Grodno to Białoruś, to z niego Białorusin, więc *izwini, tawariszcz*. Ale dziadek nie chce złożyć radzieckiej przysięgi, nawet pod pistoletem, którym mu wymachują nad głową. – „Strzelaj” – mówi dziadek Radziecji. Radziecja baranieje, chowa pistolet, mówi mu, że ma szczęście, że dziś Radziecja ma dobry humor i pozwala mu iść do Wojska Polskiego. Trafia dziadek do Berlinga, a potem idzie z Berlingiem na Berlin, bije się pod Wałem Pomorskim, a potem trafia do Drugiej Armii i razem z tą armią, jak śliwka w kompot, prosto w kocioł pod Budziszynem, gdzie Niemcy okrążyli nieudolnie dowodzonych przez Świerczewskiego Polaków i bili po nich jak w kaczkę, wybijając prawie trzecią część tej nieszczęsnej Drugiej Armii. Polowe rogatywki w łuzickim błocie, krew, urwane ręce i nogi w radzieckich sapogach. Dodatkowo Niemców w kocioł bierze Radziecja, która wali od ucha jak leci, w tym po Polakach w samym środku kotła,

co nie czyni sytuacji bardziej znośną, ale gdzie drwa rąbią, to wiadomo, co się dzieje.

Dziadek obliczył sobie, że ludzie, z którymi ciągnie przez tę europejską nieszczęsną wojenną nizinę, od Rosji po Niemcy, żyją średnio po trzy miesiące, żadnych tam „a my na tej wojnie ładnych parę lat”, więc nie spodziewa się, że będzie żył jakoś specjalnie dłużej. I faktycznie, jest blisko: pocisk trafia go w głowę, odrywa pół ucha i dziadek upada w to łużyckie błoto nieprzytomny, z twarzą zalaną krwią, więc gdy się trochę wszystko uspokaja, wrzucają go do zbiorowej mogiły. I całe szczęście, że się w tej mogile zaczyna ruszać, boby go zasypali i by nigdy nie trafił do Sanoka, do miasta mojej babci, i by się mój ojciec nigdy nie urodził.

I co wtedy.

Ale poruszał się, więc go nie zasypali, wyciągnęli i trafił do Sanoka. Bił się na nowym pograniczu z upowcami. Kolejna wojna, po tej z Niemcami.

Potem – został w Sanoku. Poznał swoją przyszłą żonę. Zamieszkali na Dąbrówce, w części zwanej Dąbrówka Polska. Kawalek dalej leży też Dąbrówka Ruska.

Wyobraźmy sobie, że się tu rodzimy, w 1950 roku.

Spróbujmy wyobrazić sobie tę rzeczywistość.

Mój ojciec jest mały. Jedno z jego pierwszych wspomnień to to, jak przeczołguje się przez drewniany próg domu w Dąbrówce Polskiej, na przedmieściu Sanoka. Dom stoi na górze. To stary, galicyjski dom, z pokojami ułożonymi w kwadrat. Stawiał go jego dziadek. To jedno z pierwszych wspomnień ojca.

– Patrz – mówi ojciec. – Jakie to dziwne rzeczy może człowiek pamiętać. Przecież ja jeszcze chodzić nie umiałem.

Prawie trzydzieści lat później ja też będę tworzył sobie tego typu wspomnienia. Nie w Sanoku, ale w Radomiu. Nie w górach, ale na płaskim. Nie kilka lat po utworzeniu socjalistycznego państwa polskiego, ale kilka lat przed początkiem jego głębokiego rozkładu. Nie w dawnej Galicji, ale w dawnej Kongresówce. Tam, gdzie dziwne losy zanoszą ojca. Z Sanoka, przez Kraków, do Radomia, do Polski Środkowej. Zamykając zresztą w pewnym sensie koło. Bo do Grodna mój pradziadek trafił z Kielecczyny. A Kielecczyna, jakoś tak się składa, jest polskim Heartlandem, przyskorupiałym, relatywnie ubogim i bezforemnym, z którego jednak co jakiś czas polska historia rozrzuca ludzi po całej Polsce, wyrzuca gdzieś na Pomorze, do budowy Gdyni, na ziemie poniemieckie, w nadziei lepszego życia, czy na dawne Kresy, jak mojego pradziadka. Czy,

wiadomo, do Warszawy, w ten wielki wir, który urabia masę o nazwie Polska. W pewnym sensie, cóż poradzić, choćbyśmy tego nie chcieli, wszyscy jesteśmy z Kielecczyzny.

Tak. Bardzo polska historia. Środkowa Polska – Grodno – potem drżenie świata, chaos, rzucanie po całej okolicy, od Kostromy po Berlin, a później – Sanok. Kraków. I znów środkowa Polska. Radom.

Ja kontynuuję ten ruch, tylko odwróciłem kierunek – przenieśliem się do Krakowa. Zobaczymy, co będzie dalej.

Ale jeszcze w Radomiu jadę na wózku. Wózek prowadzi moja mama, ścieżką w zbożu. Mama ma złote włosy i jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie mogę zrozumieć, oglądając w telewizji wybory miss Polonia, dlaczego w ogóle wybierają kogokolwiek, skoro przecież to oczywiste, że najpiękniejsza jest mama. Zboże też jest złote. Zboże jest wysokie i czuję się w nim jak w słomianym lesie. Znad tego zboża sterczy nasz blok. Z okna w kuchni je widać. Poza tym jest płasko. Po horyzont mającą budowane bloki nowego osiedla. Pod blokiem pasą się krowy, między betoniarkami i samochodami poparkowanymi na trawniku. Wieś i miasto. Miasto w miejscu wsi. Bloki w zbożu. Peerel. Migracja ze wsi do miasta i z miasta do wsi.

Dzieciństwo mojego ojca pod Sanokiem wyglądało nieco inaczej.

Przepęłało się przez ten próg i wpełzało od razu w szeroki widok na zieloną dolinę. Pustą, zieloną dolinę. To był koniec miasta, koniec Sanoka, koniec Dąbrówki i wyglądało to jak koniec świata. Kawalek dalej płynął strumień. Nie miał nazwy. Albo może miał, bo mówiło się na niego „potoczek”. Ten potoczek można więc zapisywać tak małą, jak wielką literą. Mój ojciec uczył się raczkować w najpiękniejszym miejscu pod słońcem. Chodził po drewnianej podłodze, ciągnął za obrus na stole, ścigał sobie na głowę naczynia. Później stał już na nogach, kręcił się wokół książek i gazet. Uczył się czytać, płakał, krzyczał, ząbkował. Malował, rysował, mył się w miednicy. Kłócił się z rodzeństwem. Płakał i śmiał się.

Rodzina mieszka w okolicy. Ciocie i wujkowie. Niedaleko wznosi się miasto. Miasto jest piękne i stare, położone na górcie. Ma rynek, na którym nie ma już śladów po jeszcze niedawno użytej tam szubienicy. Rynek leży przy skarpie, z której widać San i jego drugi brzeg, niebędący, jak jeszcze kilka lat temu, granicą pomiędzy hitlerowską Rzeszą a stalinowskim ZSRR. Park na zalesionym wzgórzu nad miastem. Za trzy dekady będę tam przyjeżdżał z położonego w płaskiej Kongresówce, porosyjskiego Radomia i piątym zmysłem będę czuł, że

– wbrew wszelkim pozorom – jestem w nieco innym kraju. I sam nie będę mógł tego wrażenia wytłumaczyć przez kolejnych kilka dekad.

No ale na razie jest dzieciństwo mojego ojca i w sanockim powietrzu pachnie świętym spokojem, wręcz nudą, co jest rzeczą w tych rejonach nową.

No więc wyobraźmy sobie, że rodzimy się w Sanoku w latach pięćdziesiątych.

Gdy zaczynamy rozumieć świat, w leżącej obok Dąbrówki Polskiej Dąbrówce Ruskiej nie ma już Rusinów. I to nie dlatego, że Rusini już od wielu lat nazywają się Ukraińcami. Już od jakiegoś czasu mieszkają tu po prostu głównie Polacy. Dla ludzi urodzonych w 1950 roku jednoznaczna polskość tych terenów była oczywista i przezroczysta, i rzadko zastanawiali się, skąd ta nazwa: Ruska. Ruska to Ruska, o co chodzi. Czy ktoś pyta, dlaczego zielone pojęcie jest zielone? Albo czarna rozpacz jest czarna? Nikt zresztą o tym za bardzo nie mówił. Przed wojną Sanok był jedną z polskojęzycznych wysp położonych pomiędzy wyspami ukraińskimi. Po akcji „Wisła” – wszędzie większość stanowili już Polacy.

Ludzie urodzeni w 1950 roku, jak mój ojciec, mieli to szczęście, że już tylko otarli się o historię, która wytworzyła ich rzeczywistość.

Jeszcze cztery lata przed urodzeniem mojego ojca w Sanoku publicznie wieszano złapanych bojowników antykomunistycznych. Dwóch na stadionie, jednego na rynku. W lasach wokół Sanoka bojownicy UPA mordowali Polaków: cywili i żołnierzy. Polscy żołnierze polowali na upowców. A później była akcja „Wisła”. Cywile z rusińskich i ukraińskich wsi szli po kilkadziesiąt kilometrów do punktów zbornych. Ładowano ich w pociągi i wieziono na poniemieckie ziemie. Na drugi koniec stawianej właśnie ludowej Polski.

W 1950 roku to wszystko jeszcze było żywym wspomnieniem, bliźniami, które dopiero zaczynały się goić, ale dla pokolenia mojego ojca, dzieciaków w 1950 roku – już historią. Którą trzeba było sobie wyobrażać i która nie miała zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością.

Opustoszałe Bieszczady – tak po prostu jest i było. Tak myśleli wszyscy, którzy nie pamiętali innej rzeczywistości. Żyjemy na skraju zamieszkanym ziem. Naprawdę kiedyś było inaczej?

Dąbrówka Ruska zamieszкана przez Polaków – a to kiedyś było inaczej?

Pożydowskie kamienice – to kiedyś tu naprawdę mieszkali jacyś Żydzi?

Pomniki zamordowanych przez UPA – dawno i nieprawda, całe szczęście, bo trudno wytrzymać, jak rodzice i dziadkowie o tym koszmarze opowiadają.

„Dzieci urodzą się nowe nam, patrz, będą śmiać się, że my wciąż wspominamy ten podły czas, porę burz”.

Tyle pozostało z wojny, że słowa „Niemiec” i „Ukrainiec” funkcjonowały jako słowa czarne, przeklęte.

Powoli dobijało do tego też słowo „Rosja”, „Moskwa”, „Sybir”.

W latach pięćdziesiątych z Syberii wrócił dziadek mojego ojca. Stał, z długą brodą, na podwórzu. Tak go mój ojciec zapamiętał. Dziadek bał się rosyjskiego języka. To też zapamiętał ojciec. Ojciec mojego ojca szukał go przez Czerwony Krzyż i znalazł. Było piętnaście lat po wojnie, a ludzie nadal wracali.

I nagle pradziadek wchodzi do domu. Przesłupuje ten próg, przez który ledwie przestał przepęłzać mój ojciec. Wchodzi pradziadek, a jego dziadek: kawałek tej historii, która już się skończyła, która już się miała skończyć. Kawałek innego świata, dla którego nic się nie skończyło. Mój ojciec przygląda mu się z zainteresowaniem i delikatnie szarpie go za brodę.

Później dziadek zabiera ich wszystkich na ponemieckie ziemie. Jak najdalej od wschodu. Ale ojciec nie chce. Niby jest ładnie, niby miasteczka porządne, to się czuje w powietrzu, tutaj jest jeszcze inaczej, ale to nie Sanok, nie Dąbrówka i nie zielona dolina, więc ojciec wrzeszczy, tupie i krzyczy. I wracają do Sanoka. Z Poniemiecji przez Pokongresówkę do Pohabsbrugii zlepionych ponownie w Polskę.

Podstawówka mieści się w budynku dawnego cesarsko-królewskiego gimnazjum. Tego samego, w którym dwóch węgierskich honwedów ze *Szwejka* wypilo formalinę spod żab z pracowni biologicznej, bo myśleli, że to spirytus, i umarło. Obaj honwedzi pochowani są na cmentarzu. Cmentarz jest śliczny. Stare groby wspinają się na wzgórze, na szczycie którego stoi kaplica. Nad kaplicą skręcają się czarne drzewa. Wygląda to milion razy bardziej klimatycznie niż okładka płyty Cypress Hill. Tej, na której jest *Insane in the Brain*.

Do szkoły szło się obok tego cmentarza. Google Maps pokazuje 2,2 kilometra. Dwadzieścia sześć minut na piechotę. Z górki i pod górkę. Latem może bywało trochę szybciej, zimą wolniej. Na siódmą dziesiątą, na rano, gdy zimą jeszcze jest ciemno, a człowiek trzęsie się i poci jednocześnie. A to początek lat sześćdziesiątych i nie ma za bardzo latarni. Ciemno, mrok i chlupa albo lód, a jasno robi się dopiero wtedy, gdy siedzą w klasach. Ale najpierw trzeba tam dojść. Ulicą 1000-Lecia do Konopnickiej, a później w lewo, do Rymanowskiej. Później prosto na skrzyżowaniu, pół wieku później będącym rondem, przy którym to rondzie będzie stał McDonald. W czasie gdy mój ojciec chodził tamtędy do szkoły, filie McDonalds'a dopiero zaczęły pojawiać się w Stanach,

a Ameryka była czymś w rodzaju współcześnie istniejącej Atlantydy. Była równie realna, co kraina Oz.

Ojciec szedł do szkoły. Mijał cmentarz, nie mając pojęcia – i nie myśląc o tym – że codziennie mija miejsce, na którym za kilkadziesiąt lat leżeć będą pod płytą z lastryko jego rodzice. Najpierw matka, potem ojciec. Niedługo po sobie, prawie trzymając się za rękę. Wśród żółtych liści jesienią, białego śniegu i lodu skrobanego z płyty zimą. Pod zielonymi, starymi drzewami wiosną i latem. To południe, południowy wschód, i powietrze zawsze tutaj pachnie jakoś inaczej. Na cmentarzu też. Nie tylko stearyną. Nie tylko spalinami z sąsiednich ulic. Tu schodzą zapachy z gór, zza gór. Zza granic, kordonów. Zawsze mam takie wrażenie, gdy chodzę po tym cmentarzu.

Czasem ojciec po prostu szedł przez cmentarz, a później górą, przez park. I czasem tak ojciec chodził. Na cmentarzu najpierw przechodziło się pomiędzy nowymi grobami. Później zaczynało się robić coraz dziwniej. Dla ojca być może to było przezroczyste, ale na mnie, urodzonym w kongresowym Radomiu, do którego mój ojciec, ku własnemu zaskoczeniu, trafił dwadzieścia kilka lat później i którego płaskość od zawsze przyprawia go o depresję, grobowce austriackich urzędników i oficerów robiły jednak wrażenie. Taki grób feldmarszałka Adama Dembickiego von Wrocień na przykład. Grobowiec w kształcie piramidy i jajowata, czarno-biała grobowa fotografia o porcelanowym połysku. A na niej oficer austriacki w czarnym czaku z bączkiem franciszko-józefowskim. Kłóciło mi się to, nie wiedziałem, o co chodzi z tym von Wrocieniem i Dembickim. W Radomiu takich nie było. Von, myślałem, to może być jakiś, powiedzmy, Kniprode, zbrodniarz z komiksu o żołnierzach Wojska Polskiego czy Klossie. Von Bombke, von Dass, von Etwas, ale nie Wrocień, na Boga. I ten Dembicki. A przecież, w zasadzie, powinno być Dębicki.

– Tak, on walczył za Austro-Węgry. Pradziadek walczył w legionach Piłsudskiego – opowiadał mi ojciec, gdy staliśmy przed grobowcem von Wrocienia – a oni też szli razem z Austriakami, Węgrami i Niemcami na Rosjan.

– Jak to – pytałem – z Austriakami i Niemcami? – Nie mogłem tego zrozumieć, bo na historii w Kongresówce było raczej oczywiste, że z Austriakami czy Niemcami to się nigdzie nie chodziło, że to raczej na nich się chodziło. – Przecież to byli zaborcy.

– A Rosjanie to nie byli zaborcy? – pytał ojciec.

– No byli – dziwiłem się. – Ale w wojnie, razem z Francją, Anglią...

– Pierwsza wojna – mówił ojciec – to jednak było co innego niż druga.

Wtedy chyba poczułem pierwszy raz, że pochodzę z nieco innego kraju niż mój ojciec. Nie do końca innego – ale jednak trochę innego. A później się sam do tego kraju przenieśliem.

No ale wtedy chodziłem po sanockim cmentarzu, na którym Rosjan nie było. W takim Radomiu na starych cmentarzach, między Polakami, murszały czasem pokryte mchem cyrylicyckie groby. A tutaj leżeli i Polacy, i te dziwne polsko-niemieckie hybrydy. Miałem kilka lat i budziło to we mnie coś w rodzaju grozy i fascynacji.

Tak więc mój ojciec, idąc do szkoły, miał do wyboru dwie drogi – albo wzdłuż cmentarza, pod górkę i obok miejsca, w którym kiedyś stał pomnik Kościuszki, tylko wysadzili go Niemcy (później, gdy ja będę dzieckiem, pomnik stanie z powrotem na cokole), albo przez cmentarz. Martwy Kościuszko albo martwi cekańczycy. Jeśli wybierał cmentarz, to w nagrodę dostawał park, który się niedaleko za cmentarzem zaczynał. Park był właściwie tym samym co Wysoki Zamek we Lwowie – wzgórzem bardzo romantycznie w czasach romantyzmu ogarniętym, oplecionym alejkami, altankami i fontanienkami, i to wszystko było zarośnięte w czorty, bo przecież, jak powszechnie wiadomo, Polska Ludowa średnio sobie radziła z przedmodernistycznymi pozostałościami. I w tych chaszczach, wyglądało to wszystko jak zaginione świątynie z *Indiany Jonesa*. Przynajmniej dla mnie.

Któregoś dnia, jesienią, nauczycielka w podstawówce kazała ojcu podejść do okna.

– Co widzisz? – spytała.

– Nic – odpowiedział zgodnie z głębokim przekonaniem ojciec, rozglądając się po ulicy. Bo na ulicy pusto było, nic nie jechało, nikt nie przechodził akurat. Za ulicą parkowe wzgórze się unosiło, ale i tam – no nic.

– Nic? – spytała nauczycielka.

– Nic.

– A przyjrzyj się dobrze.

Ojciec popatrzył dziwnie na nauczycielkę, wyczuł podstęp i o mało sobie oczu nie wyteleskopował na szybę.

– No nic – musiał się w końcu poddać, choć nie chciał.

– Popatrz jeszcze raz.

Ojciec z rozpaczą wbił oczy w nauczycielkę, po czym jeszcze raz w szybę. No ale, cholera: chodnik. Droga. Budynki. Park. Nic.

– No nic! – powiedział w końcu podniesionym głosem, a nauczycielka:

– A park?

Ojciec popatrzył. Park był żółto-czerwony, drzewa pięły się na siebie, a spomiędzy nich przezierały alejki, altanki.

– No ładny – wyburczał i wrócił do ławki.

Ale potem zerkał na niego co chwila. Patrzył. Nie mógł się oderwać.

Ja, wychowany w Radomiu, gdzie park, co prawda, też był, ale gdzież tam radomskiemu parkowi do sanockiego, widziałem w Sanoku inny świat. Tak, Sanok był mniejszy, ale w swojej filigranowości wydawał się bardziej misterny. Nie trzeba było długo patrzeć, by widzieć, że był produktem innej jednak rzeczywistości. Nie chodziło tylko o tę jego górskość. Miało się wrażenie, że to, co stawiało Radom, było tylko kopią tego, co tutaj manifestowało się o wiele naturalniej. Oddolnie.

Gdy przyjeżdżałem do Sanoka jako dziecko, dziadkowie, rodzice ojca, mieszkali już w centrum miasta. Trzysta metrów od podstawówki ojca, w której węgierscy honwedzi wypili formalinę i umarli. Chodziłem po ulicach, nieświadomie powtarzając trasę mojego ojca, który w czasie gdy już nie chodził ani do podstawówki, ani do gimnazjum, tylko do technikum położonego niedaleko fabryki Autosanu, włóczył się po mieście.

Chodziło się po kwadracie. Od arkad do ulicy 3 Maja, która wtedy nazywała się 22 Lipca, a była dziewiętnastowieczną, starą, austriacką aleją, przy której jeszcze za moich czasów zachowały się witryny sklepów tak naturalnie przedwojenne w stylu i stare, że zawsze podejrzewałem, że ktoś mnie tutaj w coś wkreca. Później pierzeją rynku albo płataniną uliczek w centrum do placu Świętego Michała i do Grzegorza z Sanoka. I z powrotem, do Kościuszki, a tam – znów do 22 Lipca. I tak w kółko. I w kółko. Sanockie corso. Gimnazjum, technikum. Tylko że w gimnazjum nie można było siadywać w kawiarniach, bo jak nauczyciele kogoś w takiej kawiarni złapali, można było wylecieć ze szkoły. I tak w kółko. Coraz bardziej obskurniejące kamienice, starzejące się, tak, tak, peerel nie umiał inwestować w konserwację dziedzictwa przedmodernistycznego, w konserwację modernistycznego zresztą też nie, umiał tylko budować to modernistyczne, z dekady na dekadę zresztą coraz gorzej, coraz tandetniej, coraz bardziej szmatławie, aż w końcu spauperyzował się na śmierć. Wtedy wydawało się, że zawsze tak będzie. Że zawsze tak było, co więcej.

Nie można było w kawiarniach, zresztą kto by miał na to kasę, więc pili na prywatkach. Po ogrodach. W parku. I cała ta kotłowanina nastoletniego życia, kręcenie się za dziewczynami, dawanie sobie po ryjach, jakieś boczne uliczki,

jakieś boiska, gra w piłkę, jakieś opieranie się o płoty, wyrywanie z płotów sztachet, krew na rękach, krew na twarzach, pot, alkohol, papierosy, a później poranek z bólem głowy, mleko, śniadanie, ojciec, matka, bracia, siostry, szkoła, nauczyciele, mundurki, plecaki, trasa do szkoły, trasa po szkole, trasa ze szkoły, biblioteka – jedna w centrum, na rogu Kościuszki, druga – w Dąbrowce Ruskiej, nie można było wypożyczyć książek bez wzięcia jednej popularnonaukowej, bo peerel mógł niszczyć, ale dbał o popularyzację nauki.

Za granicą, niedaleko, był Lwów, ale nikt o tym nie pamiętał. Nikt nie pamiętał o dawnym mieście wojewódzkim. Lwów był już za granicą, w ramach wielkiej, czerwonej kałuży Związku Radzieckiego, która jak się zaczęła rozlewać, wypychając z siebie Niemców, tak się wylała po San i Bug i zalała sobą wszystko, co kiedyś miało kształt, formy i nazwę, i to wszystko przestało istnieć.

A przecież gdyby Lwów nadal był sanockim miastem wojewódzkim, mój ojciec najpewniej właśnie tam by poszedł na studia, a nie do Krakowa, gdzie poznał moją matkę.

Oglądam ich zdjęcia z krakowskich czasów i nie mam specjalnego problemu z wyobrażeniem go sobie we Lwowie, w wariacie, w którym Lwów jest polski. Nawet nie musi pozbywać się sanockiego, zaciągającego akcentu, który jednak w pewnym momencie zaczął mu przeszkadzać w Krakowie. Ta joj, ta co ty. We Lwowie taki akcent to lokalność. Być może nawet ci, którzy go nie mają, jacyś lubliniacy czy rzeszowianie, uczą się go, próbują naśladować, aspirują do niego. Uczą się tajokowania.

Ojciec chodzi po ulicy Legionów, pewnie przemianowanej na jakąś 22 Lipca, i patrzy, jak ze lwowskich kamienic opadają tynki. Po Sykstuskiej, pewnie przemianowanej na jakiegoś Waryńskiego, jeżdżą małe fiaty, duże fiaty, warszawy i – kto wie – może jakieś przestarzałe już w momencie zaprojektowania samochodu o nazwie Lwów. Na Akademickiej stoją koniki i sprzedają bilety do kina. Po rynku kręcą się turyści z całego peerelu, tak samo jak się kręcili po warszawskiej Starówce i po krakowskim Starym Mieście, a między nimi kręcą się lokalne cwaniaki, których tutaj już coraz rzadziej nazywa się baciarami, i próbują ich przekreślać na kasę. Czy też po prostu kroić.

Ojciec w końcu żeni się, z kim innym, nie z moją matką, która studiuje w Krakowie, bo spod Krakowa pochodzi. Ma dzieci, nie mnie i nie moją siostrę, tylko jakieś zupełnie obce, dziwne, w zasadzie kogoś w rodzaju mojego przyrodniego rodzeństwa – tylko że ja przecież nie istnieję, mnie w tej wersji historii nie ma, więc to ja jestem duchem, ich nieistniejącym rodzeństwem,

podobnym trochę do nich z twarzy, z charakteru, ale innym. Być może, z ich punktu widzenia, nieco potwornym.

Ojciec pracuje na Politechnice, mieszka we Lwowie, gdzieś, powiedzmy, w okolicach Sapiehy przemianowanej na, powiedzmy, Wandy Wasilewskiej, a później, co ciekawe, nie na Sapiehy, ale na Jana Pawła II. Jeździ czasem do Sanoka. Częściej niż jeździł z Krakowa, a potem z Radomia, bo to bliżej. Zastanawia się poważnie nad powrotem tam na emeryturze. W końcu pięknie. W końcu nie ma piękniejszego miasta ani nie ma piękniejszego miejsca. Wrócić na Dąbrówkę Polską, na górkę. Wyjść z domu i patrzeć w dolinę.

Dziwnie mieć świadomość, że istnieje się dlatego, że Lwów nie jest polski.

Kraków był dla mojego ojca naturalną konsekwencją. Był większym Sanokiem. Galicja to Galicja i nie ma co się oszukiwać. To wszystko odbywało się w ramach tego samego świata, który istniał na południu i sto lat temu. Wtedy Polska dla Galicjan miała wymiar bardziej teoretyczny niż praktyczny. Teoretycznie była pewną niespełnialną ideą, a Warszawa w Galicji uchodziła za dzikie, rosyjskie miasto na końcu świata. W praktyce Polską była Galicja, której oś wiodła nie, jak w Polsce, z północy na południe, ale z zachodu na wschód. Z Krakowa, przez Tarnów i Przemyśl – do Lwowa.

Ojciec nawet się nie zastanawiał. Kraków był odruchem i szybko stał się oczywistością, choć jeszcze na początku, na samym początku, gdy pierwszy raz tam pojechał, stał, opowiadał, onieśmielony na placu Grunwaldzkim, i patrzył na to wszystko. By później w to wsiąknąć.

Gdy potem musiał rzucić Kraków i całe polskie górskie południe dla Radomia, czuł się jak na wygnaniu. W Radomiu było płasko i – jakoś – bardziej surowo. Zabory skończyły się kilka rzeczywistości politycznych wcześniej, ale to się czuje. Ja też to zawsze czułem. W Krakowie, w ogóle w Galicji, ludzie mieli inną mimikę. Wszystko tam było – czy ja wiem – bardziej miękkie. Pozbawione tej ostrości, bezpośredniości, jaka była w Radomiu.

Ojciec chodził po mieście w czarnej chmurze unoszącej się mu nad głową. Osiedle, na którym mieszkaliśmy, dopiero budowano i bloki tkwiły w brązowym błocie. Do miasta dojeżdżało się przez wieś.

Matce się podobało. Nie był to Kraków, ale z drugiej strony blok to był blok. W bloku była wanna i bieżąca woda, w bloku nie trzeba było znosić ani węgla, ani drewna na opał. A przecież oni oboje byli efektem socjalistycznego przesunięcia z prowincji do miasta. Oboje w pewnym sensie mieli podobną historię. Dom jednorodzinny na prowincji w południowej Polsce, dzielony

z rodzeństwem i rodzicami, później akademik w Krakowie. I później blok w Radomiu.

Chodziliśmy w soboty do kina na poranki. To był *Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie*. I w Afryce czy gdzieś. Kolonialne marzenia Polaków nie wygasły nawet w peerelu. Miałem kilka lat i odkrywałem dopiero swoje rodzinne miasto. Miałem wrażenie, że trochę razem z nimi, z rodzicami. Snuliśmy się po ulicach, które wtedy wydawały mi się wielkomiejskie. Nie jestem pewien, czy centrum Radomia wtedy wydawało mi się „moim”. Raczej czułem się tam jak w odwiedzinach w obcym, fascynującym mieście. Moje było nasze osiedle, z jego wiecznym rozkopaniem, z hałdami ziemi i powywracanymi drzewami. I wiejskimi krowami, które się między tym wszystkim pasły.

Wracaliśmy często na południe. Prawie nigdy na północ, do Warszawy, choć przecież to było tak blisko. Bo co to było te sto kilometrów. Czy do Lublina albo do Łodzi, które też były blisko. Ale tam też rzadko. To nie był mój świat. Mój świat to było polskie południe: rodzinna miejscowość matki przy Pustyni Błędowskiej i Sanok. I Kraków, miejsce, które oboje musieli opuścić.

Teraz myślę, że to podczas tego jeżdżenia na południe najmocniej kształtowała się nasza rodzinność. Radom to była codzienność: szkoła moja i siostry, praca matki i ojca. Ochran po wywiadówkach, kłótnie, rozmowy, wspólne obiady, budzenie na lekcje, żucie gumy, żeby nie było przesadnie czuć alkoholu po powrocie do domu z knajpy.

Ale prawdziwą bliskością było to zamknięcie w kabinie auta. Ja, moja siostra, matka, ojciec. Zamknięcie, a później wypuszczenie, już skompresowanych, jak plik muzyczny w empetrójce, w mikroświaty mojej matki i mojego ojca.

Chodziłem z ojcem po jego rodzinnym mieście. Pokazywał mi je, choć nie do końca je rozumiałem. Dziadkowie wtedy mieszkali już w centrum i pomieszkiwanie u nich to jedno z niewielu moich doświadczeń związanych z mieszkaniem w centrum miasta. Ojca, zresztą, też. Chodziliśmy po mieście i przypominał je sobie, a ja próbowałem sobie go wyobrazić. Trudne to było. Rozmawialiśmy. Kłóciliśmy się. Czy na przykład Beksiński, który też urodził się w Sanoku, był potworem, czy nie.

Byliśmy razem na filmie.

– E – mówił mój ojciec – Beksiński wcale tak nie mówił. On tak nie mógł mówić. Tak się w Sanoku nie mówi.

Trafiałem na eksponaty z życia mojego ojca sprzed mojego urodzenia. Ojciec, z brodą, z długimi włosami, na jakiejś zagłównie na Mazurach czy w Jugosławii. Na jakiejś imprezie. Próbowiałem to jakoś połączyć z jego codziennym widokiem: wracającego z pracy, najpierw o 15.00, potem coraz później, i później, i później. Próbowiałem zmontować to, co widziałem, z tym, o czym tylko słyszałem. Połączyć te dwa światy. Nie było to proste, zupełnie jakby moje urodzenie było cezurą, która zmieniła rzeczywistość.

Wrastałem w niego. Patrzyłem na niego i widziałem, że w podobny sposób zapowietrzam się, gdy próbuję coś, rozemocjonowany, opowiedzieć. Że podobnie jak on wpadam w szybkie pasje, choć o wiele szybciej się zniechęcam. Klóciliśmy się i zauważyłem, że klóczę się często z samym sobą. Przewidywałem reakcję ojca i zdobywałem chwilową przewagę. Później on przewidywał moją – i też zdobywał.

Świat ojca w Sanoku rozgałęział się zawsze w dziwne strony. Nie wiedziałem o nich. Słabo je znałem. Dziwni znajomi i historie. Zaułki, które były jego zaułkami, a które poznawałem jakimś szóstym zmysłem. Wujkowie i ciotce. Schody nad San. Zakamarki na przedmieściach. Później jeździliśmy jeszcze dalej, na południe. W ten bieszczadzki worek wciskający się między już niepodległe Słowację i Ukrainę. Tu i tam spotykaliśmy znajomych ojca. Niektórzy wyjeżdżali w Polskę, ale byli też tacy, których ciągnęło w drugą stronę. Którzy wcale nie potrzebowali wypływać z Sanoka na szerokie wody, przeciwnie, woleli zagłębić się w jego podświadomość i zaszyć się w tym podsanoockim rogu, między Soliną a Ustrzykami. Jeździliśmy do nich. Ojciec siadał z nimi przy wódce i piwie, i rozmawiali. Nie bardzo rozumiałem, o czym, ale lubiłem słuchać. Lubiłem słuchać tego akcentu, zatapiać się w tę lokalność, tak dla mnie obcą. Tych historii, tych żartów. O tym, jak pojechali na ukraińską zieloną granicę sprawdzać, czy naprawdę jest strzeżona, rzucali szyszkami na drugą stronę i okazało się, że była strzeżona, i zostali aresztowani. O bieszczadzkich cudach i dziwach. To nie był mój świat, a chciałem, żeby był mój. Próbowiałem przynajmniej go zrozumieć.

Jeździ czasem do Sanoka. Lubię, jak o nim opowiada. O kumplach, których tam odwiedza. O rodzinie. O tym, jak chodzi po ulicach. Chyba zawsze chciał, żebym napisał o jego mieście. Sam też pisał. Wiem o tym.

Sanok.

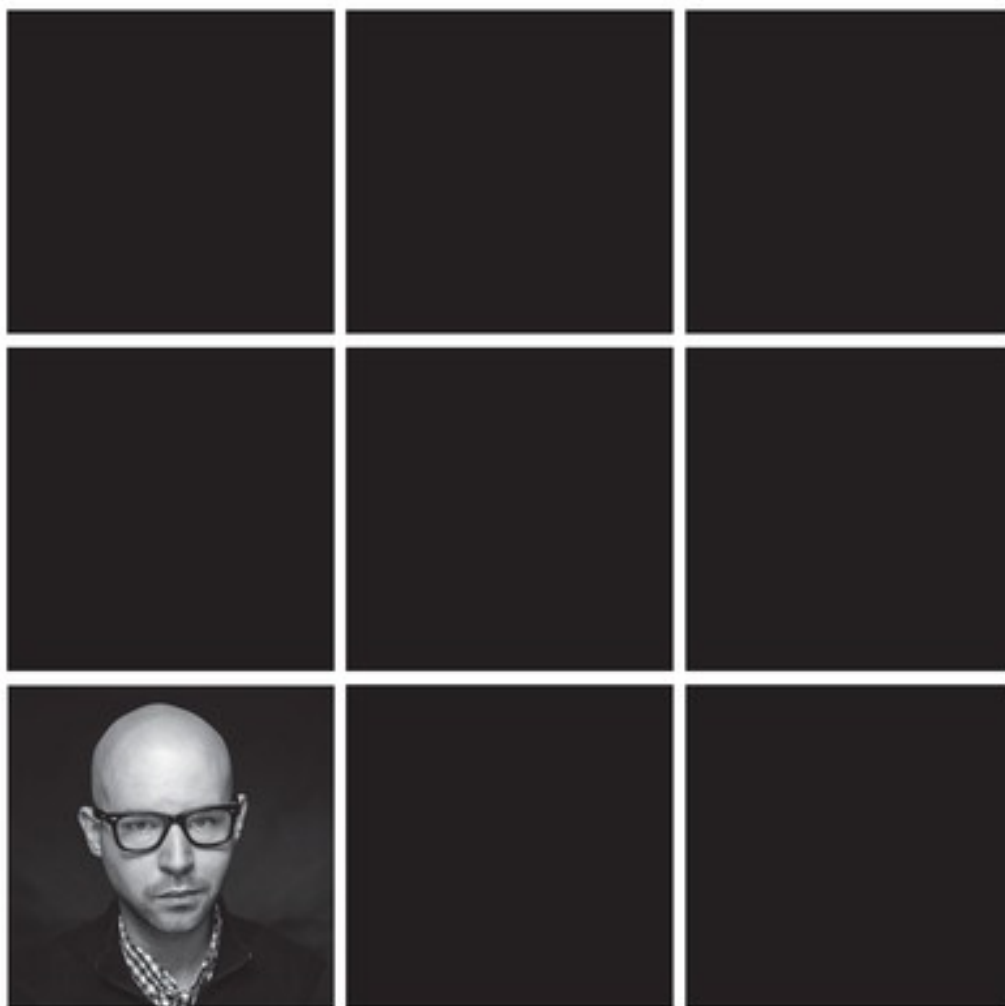
Niedaleko domu dziadków stoi kamienica. Narożny balkon podtrzymują dwa atlasy. Zawsze tam parkowaliśmy. Ojciec wysiadał, otwierał bagażnik. My

wysiadaliśmy, przeciągaliśmy się. Dziadek podchodził do auta. Babcia wyglądała oknem. Pod oknem rosła jarzębina. Mama witała się z teściem pierwsza, później ojciec. Dziadek nosił biały kapelutek. Później szliśmy na górę. Mieszkanie dziadków było ciemnawe i przyjemne. Herbata miała dziwny smak.

No więc chodzę po Sanoku, czasem razem z nim, i szukam eksponatów.

Knajp, do których chodził. Ulic, po których się kręcił. Domu, w którym dorastał. Szkoły. Miejsc, w których bił się z jakimiś lumpami. Bram, które wolał omijać.

Tak, Sanok to spełniona historia alternatywna. Spełniony sen o Kresach, które nadal są polskie. Tak by to wyglądało. Ten akcent, te mity, te odniesienia. Ojciec, jeśli się zastanowić, spełnia wszystkie stereotypy Kresowiaka. To emocjonalny typ. Łatwo się wzrusza, łatwo zachwyca. Jest łagodny jak baranek, ale potrafi go wziąć ciężka cholera i wtedy chmury burzowe i grad. Miasto mojego ojca to wariant polskości, który Polska już w sobie opłakała, a mój ojciec jest tego miasta synem.



Wojciech
Engelking

PAT

Pierwsze wspomnienie, jakie Nick ma o swoim ojcu, najpierw jest niemrawe, a potem pospieszne, jakby ktoś spowalniał i przewijał kasetę na magnetowidzie. Pamięta, że tamtego wieczoru zimą 1908 roku w kawiarni Pod Dzwonnica w Warszawie było ciepło i obłoki papierosowego dymu to znikwały, to się pojawiały, gdy wdarły się w krąg światła z olejnej lampki stojącej na wąskim stoliku. Prócz lampki na stoliku znajdowała się szachownica. Ojciec siedział po jej prawej stronie, za białymi. Miał na sobie marynarkę, a pod nią koszulę, która w rytm ciężkiego oddechu legła do jego ciała. Nad kołnierzem koszuli: szyja i twarz trzydziestopięcioletniego Chaima Rawachoła, bardzo koścista, wąskie wargi i rynienka, która łączyła je z nosem, oczy: oczy ojca obracały się tamtego wieczoru niczym dwa małe globusy przedstawiające kontynent z ogromnym morzem wewnętrznym. Nick, który wtedy nazywał się Nikołaj Chajmowicz Rawachoł, siedział u nóg stołu i widział, jak ukazują na zmianę dolną część gałki i górną, podczas gdy wszyscy stojący za ojcem gapią się na stolik. Wtedy jeszcze nie umiał grać w szachy, ale był dumny, że ci ludzie czekają na ruch jego ojca; wtedy pierwszy i jedyny raz przyszedł z nim do tej kawiarni i starał się zachowywać, jakby go nie było.

To mama namówiła ojca, by go zabrał w to miejsce, do którego chodził każdego wieczora. Ojciec się zgodził – niechętnie – i gdy wypowiedział: „Dobrze”, Nick, doskonale to pamięta, poczuł się tak szczęśliwy, jak nigdy w życiu. Pamięta też, jak bardzo poczuł się rozczarowany, kiedy już siedział u stóp stołu. Miał osiem lat i spodziewał się po Dzwonnicy czegoś niezwykłego, prawdziwego pałacu: trafił do kawiarni naprzeciwko kościoła Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu, gdzie w porządnie ogrzanej izbie papierosowy dym był tak zaśniedziały, że łzawiły mu odeń oczy. Palił przeciwnik ojca, który nie miał na sobie garnituru, ale sięgający do ziemi bury chałat, a jego głowę zdobiła nie strzecha kasztanowych włosów, lecz jarmułka. Ojciec uniósł dłoń.

A potem, jak trafiony elektrycznym ładunkiem, złapał i przestawił skoczka.

W tym momencie wspomnienie Nicka przyspiesza, bo zgromadzeni w kawiarni widzowie poruszają się. Teraz wie, że większość z nich to byli Żydzi; wtedy widział jedynie podpitych białym arakiem mężczyzn, którzy otwierali usta, ale nic nie mówili, przylepiali sobie otwarte dłonie do policzków albo wznosili je nad głowę, a z każdym ich gestem ściana dymu rozpierzchała się. Tylko przeciwnik ojca był spokojny; jak gdyby nigdy nic zgniótł papierosa w popielniczkę i przewrócił jedną z figur. Nick pamięta stukot drewna o drewno i pamięta, że

choć nie znał zasad tej gry, wtedy Pod Dzwonnicą zrozumiał, że partia się skończyła i że wygrał ją ojciec.

Ojciec – tymczasem – wstał, zabrał ze stołu zwitek banknotów i bez słowa ruszył ku wyjściu. Zdawał się nie pamiętać, że przyszedł do tej kawiarni z Nickiem, który natychmiast zerwał się i pobiegł za nim. Kiedy pod jego ramieniem wychodził na zaśnieżone Krakowskie Przedmieście, rozległ się głos mężczyzny w chałacie:

– Tacy jak pan, panie Rawachoł, przynoszą ujmę całemu naszemu narodowi.

Pamięta, że zapadła cisza; pamięta, że zaczął się bać, a ojciec powoli odwrócił się w stronę brodacza palącego kolejnego papierosa i powiedział:

– Ja, szanowny panie, nie należę ani do pańskiego narodu, ani do żadnego innego.

– Pan nie możesz – odwarknął chałaciarz – tak sobie do niego nie należeć!

– Mogę – rzekł spokojnie ojciec i wyszedł, Nick zaś podążył jego śladem. Na zewnątrz było bardzo zimno; czuł, jak małe opiłki mrozu wczepiają mu się w policzki. Ojciec szedł szybko, znikając w kurzawie śniegu. Nie pamięta, czy krzychał za nim: „Tato!”. Pamięta tylko, że ślizgał się, że parę razy upadł, a ojciec ani razu nie odwrócił się w jego stronę. Szedł dalej, w biel, która z mroźnego nieba waliła się na Warszawę. W tym rozplywa się pierwsze wspomnienie, jakie ma o swoim ojcu: w mrozie i w kolorze białym.

Teraz też jest biało, bo ściany łazienki apartamentu w hotelu Borg w Reykjavíku są pokryte białymi, połyskującymi kafelkami. Biały jest również sufit i olbrzymia wanna, i przykrywająca taflę wody piana, i łydka Nicka, która się z niej wynurza. Porastają ją siwe włoski, ale trzeba się dobrze przypatrzeć, by spostrzec je na tle skóry. Podpierając się o brzegi wanny, Nick wstaje. Nago idzie do pokoju, a tafla lustra odbija jego sflaczałe, siedemdziesięcioletnie ciało. Wzuwa spodnie, koszulę i wiąże czerwony włoski krawat.

Chociaż jego garnitur jest z grubej flaneli, na lipiec w Reykjavíku to właściwe ubranie. Kiedy wychodzi z hotelu Borg, policzki omiata mu chłodne powietrze poranka. Przed hotelem stoi rząd czarnych bentleyów. Chwilę waha się, czy którymś nie podjechać, ale rezygnuje. Laska ze srebrną gałką stuka o powierzchnię chodnika. To miasto składa się z niskich, kolorowych domów i miejsce, do którego Nick zmierza, zbudowany z grafitowego betonu stadion Laugardalshöll wydaje się przy nich statkiem opuszczonym przez kosmitów. Już z daleka widzi, że przed wejściem kłębi się spory tłumek; ale wystarczy, że zamacha swoim biletem VIP-a, a podbiega do niego czarnowłosa dziewczyna

i kieruje do środka, na widownię. Prowadzi go z szacunkiem, z jakim prowadzi się starców.

Miejsce Nicka jest w piątym rzędzie. Znakomicie stąd widać scenę, na której znajdują się dwa fotele i stół, a na stole szachownica – nietknięta jak niezapisana kartka papieru.

– Fischer będzie po lewej, Spasski po prawej – informuje Islandka, po czym odchodzi.

Sala stopniowo się zapełnia. Nick przypomina sobie, co przeczytał o Fischerze: że w szachy nauczył się grać sam, z instrukcji, którą znalazł w pudełku cornflake'ów.

On nauczył się grać w szachy od ojca. Po tamtym wieczorze Pod Dzwonnicą wielokrotnie zdobywał się na odwagę – kosztowało go to po kilka dni nerwów – poproszenia Chaima Rawachoła, by zabrał go do niej ponownie, by wyjaśnił zasady przestawiania figur. Ojciec jednak zawsze odmawiał i zamykał się w swoim pokoju, do którego nie wolno było wchodzić. Opuszczał go dopiero wieczorem, by wyjść do kawiarni; wówczas zabierał ze sobą klucz. Nick pamięta, że czuł, że za tymi zamkniętymi drzwiami jest jego życie, a wstęp do niego – żeliwny, o trzech palcach – spoczywa w kieszeni ojca.

Żył więc – pamięta, że tak mu się wówczas wydawało – cudze życie. Chodził z mamą do synagogi, gdzie ona stawała po prawej stronie sali, a on po lewej, w tłumie mężczyzn, z których żaden nie był Chaimem Rawacholem. Pamięta, że ich ubrania wydzielają nieprzyjemne, kwaśne zapachy, od których chciało mu się wymiotować.

Aż tu pewnego dnia wszystko się zmieniło. Miał iść z mamą do synagogi: już wzuwał trzewiki, gdy z pokoju za zamkniętymi drzwiami dobiegł krzyk ojca – „Niki!”, a on skierował na mamę przestraszony wzrok.

– Idź tam do niego – poradziła życzliwie. – No, dalej, idź!

Wcześniej parę razy zaglądał do ojcowskiej izdebki: ze zdumieniem odkrywał wtedy, że jest prawie pusta i w całym pokoju o pobielonych ścianach znajduje się wyłącznie stół z dwoma krzesłami i szachownicą. Tamtego dnia, prócz szachownicy prawdziwej, zobaczył na stole mnóstwo szachownic drukowanych; były to wycięte zadania Żabińskiego z „Kurjera Warszawskiego”. Rozwiązywanie zadań przyszło jednak później; najpierw jedenastoletni Nikołaj Rawachol miał pojąć podstawy.

– Pion do przodu – mówił ojciec. Nick szeptem powtarzał jego słowa. – O jedno, o dwa. O, tu nie o dwa!... To się nazywa bicie w przelocie. Skoczek rusza się po literze L. Niektórzy nazywają go koniem, ale ty mów skoczek, bo

skacze. Tak samo goniec, on gania. Ta figura, na nią mówią dama. Żadna z niej dama, to hetman, rozumiesz? A to – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w dłoniach ojca pojawiła się zamknięta szachownica, w której wnętrzu bulgotały drewniane figury – dla ciebie. Żebyś ćwiczył wieczorami, kiedy mnie nie ma, no.

Tydzień później miał iść z mamą do synagogi. Gdy już zakładał kurtkę, na korytarzu stanął ojciec, wymienił z mamą spojrzenie, a potem skierował wzrok na niego i oznajmił, że Niki może, oczywiście, iść, ale...

– Ale wtedy koniec z szachami, rozumiesz to?

Tamtego dnia nie poszedł do synagogi i jako Niki Rawachoł nie poszedł do niej już nigdy w życiu; grał w szachy. Grał w pokoju, którego ścianę z czasem ozdobiła wycięta z gazety fotografia. Ojciec powiedział, że przedstawia ona Aleksandra Alechina, największego szachistę świata. Szybko przyswoił wiedzę o ruchach i rangach figur, ale cały czas nie dość dobrze, by zadowolić ojca.

– Ograne. Przewidywalne – sarknął Chaim Rawachoł. – Grasz jak nakręcana zabawka. Jak turecki karzeł ukryty pod stołem. W twoich ruchach nie ma bigła, dowcipu. A tego skoczka tutaj. Co? Że go stracę? Tak, ale to otwiera drogę... i mat! Na szachownicy wszystko da się zrobić, dopóki nie ma mata. Dopóki nie ma mata, wszystko jest możliwe.

Na samym początku uwielbiał te lekcje; kiedy przestał? Nie jest pewien. Być może wtedy, kiedy dzień po treningu, na którym ojciec nauczył go szachować jednocześnie hetmana i króla, wykonał ten manewr, a Chaim Rawachoł spojrzał na niego zimno i spytał, kiedy w końcu sam coś wymyśli. A może wówczas, gdy usłyszał, jak chłopcy w szkole przebąkują, że ten jego ojciec to chyba jakiś wariat, i Niki pomyślał, że mogą mieć rację? Nigdy wcześniej czegoś takiego by nie pomyślał, lecz wtedy pomyślał. Może zaś stało się to kilka lat później, kiedy wyszedł z ojcem ze sklepu rzeźnika na skwierczących od upału Nalewkach, a on ni stąd, ni zowąd spytał go: – Kim jesteś?

– Twoim synem... – wyjąkał wtedy.

– Synem! – Ojcu zaświeciły się oczy. – To mi dopiero nowina. Nie przypominam sobie, bym ja miał syna, łatku. Uciekaj, bo się chyba rodzicom zgubiłeś.

I poszedł. Nick za nim pobiegł, ojciec stanął i chwycił za ramię przechodzącego Żyda.

– To nie twoje dziecko? Bo raczej nie moje – rzucił rozbawionym tonem. Żyd strzepnął jego rękę z surduta. Nick stał na środku pachnących błotem Nalewek i czuł, że w żołądku rośnie mu ogromna, czarna dziura, że zaraz będzie płakać, że...

– Pan na kogo stawia?

Pyta go o to teraz mężczyzna, który usiadł na fotelu obok. Nick na niego spogląda. Ma pewnie z pięćdziesiątkę, rude włosy i wąsy pożółkłe od papierosów.

– Na Fischera.

– Jest dobry, ale arogancki – odpowiada od razu rudy. – Zbyt arogancki. Słyszał pan, że dzwonić musiał do niego Kissinger, żeby się tu zjawił?

Nie odpowiada. Myśli o zeszłorocznym bankiecie Lewenstein Bank, na którym Kissinger był honorowym gościem. W tym momencie drzwi po lewej i prawej stronie sceny otwierają się i z prawych wychodzi Spasski. Czarne włosy ma ułożone starannie, na Elvisa, na sobie trzyczęściowy garnitur i czarny krawat. W lewych pojawia się Fischer. Też nosi garnitur: malinowy, z szerokimi kłapami, w złym guście. Nick po raz pierwszy widzi go na żywo i Fischer wydaje mu się szczuplejszy niż na fotografiach. Ten garnitur jest na niego wyraźnie zbyt luźny; ale może nie produkują garniturów na tak chude ciała?

Tego nie wie, sam szyje sobie garnitury na miarę; ale wie, że jego ojciec też był chudy. Bardzo chudy i bardzo wysoki. Pamięta, jak tamtego upalnego popołudnia na Nalewkach zaczął się śmiać, a jego śmiech wtapiał się w skwierczące powietrze: pamięta jego wielką sylwetkę, przypominającą maszt zatopionego statku. Pamięta, że stał na ulicy i płakał. Dzień później dowiedział się, że zdarzenie to widziało kilku chłopaków ze szkoły, i Nick zapragnął mieć ojca, jakiego mieli oni, sklepikarza albo aptekarza, który by nie zabraniał mu chodzić na piłkę i do synagogi, bo miał trenować szachy.

Zaczyna się gra. Spasski wychodzi pionem na d4, na co Fischer odpowiada mu skoczkiem. Pion. Skoczek. Pion. Goniec. Czarny goniec Fischera zbija piona na h2.

– Co on robi? – Nick słyszy zaskoczony głos wąsacza obok.

Nie tylko wąsacz jest zdziwiony; na widowni rozlega się dźwięk wstrzymywanych oddechów. Tymczasem sąsiad zbitego piona wychodzi na g2, zamykając gońcowi drogę ucieczki. Ruch. Bicie. Fischer stracił gońca.

– No, to chyba pan źle postawił – mówi rudy, lecz Nick nie reaguje. – Ciekawe, co Fischer robi teraz. Daję głowę, że będzie się starał doprowadzić do pata.

Wąsacz wypowiada to słowo jak nazwę wstydlivej choroby, a Nick wie dlaczego.

Pat przydarzył mu się tylko raz, pięć lat po tym, jak ojciec zaczął go uczyć grać w szachy. Od tego czasu Chaim Rawachoł się zmienił: zaczął robić Nickowi i mamie więcej dowcipów takich jak ten na upalnych Nalewkach, przesypywać sól do miseczek, w których powinien być cukier, podkradać mu szkolne zeszyty

i chować je w kuchni, i po wszystkim śmiać się śmiechem, od którego pękały bębenki w uszach. Najgłośniej śmiał się zaś wtedy, gdy wygrywał z Nickiem w szachy – a wygrywał zawsze. Nick w takich chwilach pragnął mu powiedzieć, że ma w dupie tę grę i chętnie by z nią skończył, chociaż trenował też sam, co wieczór. I chciał powiedzieć coś jeszcze: że wie, że tylko z nim ojciec teraz wygrywa.

Dzielnica Północna lubiła we wszystkich swoich językach plotkować o Chaimie Rawachole, który mieszkał z żoną i synem nad sprzedaną apteką, grał w szachy na pieniądze i nie chodził do synagogi. Pewnego dnia wypełniły ją plotki, które potwierdzały to, co Nick zaobserwował; że ojciec coraz częściej wraca do domu nie z plikiem wygranych rubli, lecz bez tych kilku banknotów, które brał na wkupne. Raz usłyszał, jak rozmawia z mamą. Mówiła, że powinien iść do jakiejś pracy, na co ojciec odparował, że nie ma mowy. Kilka tygodni później to ona zaczęła pracować jako ekspedientka w księgarni Abrahama Kahana.

To było w roku 1913. W tym samym roku, w pewnej partii, ojciec był blisko mata; ruszać miał się Nick. Uniósł króla i zobaczył, że każde z pól w jego zasięgu jest szachowane. Spojrzał na ojca, którego twarz wyglądała, jakby całe powietrze się z niej ulotniło.

– Pat... – mruknął i zaczął wyjaśniać: – Musisz wykonać ruch, ale twój król nie może się ruszyć nigdzie, bo każde pole oznacza śmierć.

– To znaczy – zaczynał rozumieć Nick – że nic się nie da zrobić? – Ojciec kiwnął głową, wciąż zasepiony. – Przecież mówiłeś, że dopóki nie ma mata, wszystko da się zrobić!

Tego dnia przy śniadaniu ojciec zaprezentował swój najnowszy dowcip: udawał, że nie wie, kim jest jego żona i jego syn, i robił to do momentu, w którym mama się rozpłakała.

– Jest remis – rzekł niechętnie ojciec. – Ale... można powiedzieć, że ty wygrałeś.

Usłyszawszy to, Nick bez słowa wstał od szachownicy. Pięć minut później był już na zewnątrz; w czerwcowym powietrzu unosił się wrzask Chaima Rawachola: – Wracaj! Chodził po Dzielnicy Północnej do wieczora. Wrócił do domu, gdy wszyscy już spali, i zabrał spod łóżka przygotowany plecak. Czuł jakąś wielką lekkość, która zdawała się sterować jego ruchami. Szachownicę, którą dostał pięć lat wcześniej, zostawił w kuchni.

Tamtej nocy w czerwcu roku 1913 trzynastoletni Nikołaj Rawachol uciekł z domu i postanowił, że nie zagra w szachy już nigdy w swoim życiu.

– No – odzywa się rudy – to chyba koniec, prawda?

2

Rudy ma rację, Nick to wie. Gdy król Spasskiego ląduje na d6, Fischer przewraca swojego. Wstaje i znika za seledynową kurtyną. Nieruchomy Spasski wciąż siedzi przy szachownicy; na widowni panuje cisza, ale zaraz rozlegają się szurnięcia krzesel. Nick spogląda na rolexa: już piąta. Nie żegnając się z rudym, wstaje i rusza w kierunku wyjścia.

Do Borga wraca piechotą. Niebo jest błękitne, a ciężkie obłoki wędrują po nim równie wolno, jak porusza się Nick, stukając laską o chodnik. Czuje, że bardzo się zmęczył; gdy dociera do hotelu, od razu rzuca się na łóżko i tak zasypia, w garniturze, krawacie i koszuli.

Kiedy się budzi, na zewnątrz jest jasno. Przez chwilę myśli, że przespał całą noc, ale przypomina sobie, że w lipcu w Reykjavíku dla nieba nie istnieje coś takiego jak noc. Wstaje, przez głowę przechodzi mu, czy nie zmienić garnitur, ale nie. Windą zjeżdża na parter, do pustego baru, zamawia walkera i siada przy stoliku, z którego rozciąga się widok na wymarłą ulicę. Z głośników sączy się Duke Ellington.

Jest w połowie szklanki, kiedy do baru wchodzi drugi gość. To wąsacz, który siedział obok niego na widowni. Gdy go spostrzega, jego wargi wyginają się w uśmiech. Nick nie ma ochoty na towarzystwo, ale rudy już przysiadł się do stolika.

– Szybko pan wczoraj uciekł! – zauważa i dodaje: – Wie pan, cały dzień nie mogłem odpędzić od siebie myśli, że skądś pana znam. Myślałem, że z szachów, ale... – Rudy sięga za pazuchę, wyjmując aktualne wydanie „Forbesa” i pokazuje okładkę. – No i proszę!

Na okładce jest zaś on, podpisany jako prezes Lewenstein Banku. Zdjęcie nie zostało zrobione w jego gabinecie, ale w wynajętym studiu; nie ma ochoty tego wyjaśniać rudemu, który jeszcze przez chwilę wykrzykuje kilka pozbawionych znaczenia zachwyków nad Nickiem Lewensteinem, a w końcu odchodzi.

Lewenstein, tak właśnie się nazywa. Nazywa się Nick Lewenstein, tak się zameldował w hotelu Borg, nazwiskiem, które odziedziczył po kimś, kto nie był jego ojcem.

Mężczyzna, który nie był jego ojcem, miał na imię Jacob, ale wszyscy mówili na niego Jack. Nick poznał go tydzień po tamtym dniu w czerwcu roku 1913, kiedy uciekł z domu. Miał trochę pieniędzy, wcześniej podkradzionych z szuflady: dwadzieścia rubli. Gdy je kradł, myślał, że mogłyby się przydać mamie; ale gdy kupował na Dworcu Głównym bilet trzeciej klasy do Gdańska,

uzmysłowił sobie, że mama sama jest sobie winna, skoro chciała żyć z takim człowiekiem jak Chaim Rawachoł, i nocami, gdy w domu panowała cisza, przerywała ją, szeptała ojcu czułe słowa, z których każde było dla Nicka jak cios obuchem w głowę.

Kontrolę paszportową udało mu się przesiedzieć w klozecie. Gdy pociąg dojechał do Gdańska, zbliżał się wieczór. Nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić. Chciał zobaczyć morze, to, o którym mama mówiła, że powinni nad nie pojechać, a ojciec odpowiadał, żeby sobie jechali, on zostanie; więc nie pojechali nigdy i Niki Rawachoł nigdy nie zobaczył złotego piasku i pieniących się na nim fal. Wtedy też nie. Zamiast piasku w porcie ujrzał rząd olbrzymich statków. Do jednego, z napisem „Kypck” na boku, prowadził długi, pusty pomost.

Dopiero później zdał sobie sprawę, jak wielkie miał szczęście, że nikt go nie zauważył – nawet ci boje, którzy znosili stosy skórzanych walizek do ładowni, gdzie się ukrył. Panowały w niej chłód i ciemność, a grube ściany stłumiły chłopot fal, gdy Kypck ruszał. Usłyszawszy ten głuchy, głęboki dźwięk, Nick pojął, że właśnie opuszcza Europę, i to było wszystko, co pomyślał, bo nagle poczuł, że ściska mu się żołądek. Z głodu.

W ładowni wytrzymał trzy dni; czwartego wymknął się na korytarz. Był wąskim, niczym gardło, z białymi ścianami o podobnych do węży kinkietach, jego podłogę pokrywał pluszowy dywan. Na drzwiach złotymi cyframi wypisano numery pokoi. Pomyślawszy, że nie ma nic do stracenia, Nick zapukał do tych, na których układały się w liczbę 243.

Później wielokrotnie pytał Jacka, dlaczego właściwie, zobaczywszy stojącego na korytarzu pierwszej klasy chłopca, wpuścił go do swojej kajuty.

– Nie wiem – kłamał wtedy Jack. – Ale czy to ważne?

Nie mówił mu, że tak. Nie mówił mu, jak olśniewająca była dlań kajuta pierwszej klasy, jak smaczne były resztki kolacji, którymi Jack go poczęstował. Rzucił się na nie i napychał usta, dopóki nie były szczelnie wypełnione jedzeniem, a potem żuł i żuł, i czuł smaki – słone, kwaśne, słodkie – wnikające w jego podniebienie. Nie mówił też, jak często przypomina sobie, co się stało, gdy do drzwi zapukało dwóch mężczyzn z obsługi statku, a Jack poszedł im otworzyć.

– Szukamy – rzekł po rosyjsku wyższy z mężczyzn, kierując małe oczka na siedzącego w złoto-czerwonym fotelu Nicka – pewnego gapowicza.

– Nic mi o takim nie wiadomo – odparł również po rosyjsku Jack.

– A... – zaryzykował niższy i ruchem podbródka wskazał Nicka.

– Nie wydaje mi się, żeby powinno to was interesować – oznajmił Jack chłodnym tonem. – Ale skoro już pan pyta, to to jest mój syn. A teraz żegnam.

Syn; nazwał mnie synem, pomyślał zdumiony Nick, gdy kajuta się zamknęła.

Jacob Lewenstein zwany Jackiem miał czterdzieści lat; ostatnich parę spędził w Europie, ale pochodził z Ameryki, z Nowego Jorku, czyli z miejsca, o którym w szkole na Pawiej w Warszawie Nick dowiedział się, że to zupełnie inny świat. Według nauczycielki panowały w nim zupełnie inne obyczaje i dlatego nie zdziwił się, gdy Jack powiedział:

– Więc jesteś żydowskim chłopcem, tak? To pokaż, co masz w majtkach.

Nie zdziwił się, ale się zaczerwienił; a potem rozpiął spodnie i obnażył swoje obrzezane, trzynastoletnie prącie, które zostało obrzezane, bo chciała tego mama. Jack rzucił na nie okiem i powiedział:

– Trzyznaście lat, co? A – spytał, gdy Nick potwierdził – miałeś już bar micwę?

Oczywiście, że nie miał. Bar micwa, pójdzie do synagogi, oznaczałoby wszak, że jego ojciec, Chaim Rawachoł, nie uczyłby go już grać w szachy. Ale kiwnął głową.

– No to co tak stoisz? Żydowskie chłopcy tak nie stoją, jak są po bar micwie.

Teraz, gdy pije whisky w barze hotelu Borg, kolejne wspomnienia z podróży na statku Kypck zlewają mu się w jedno. Na przykład to, kiedy pierwszy raz poszedł z Jackiem do restauracji na statku i zjadł tam wszystko, na co miał ochotę, i w ogóle nie czuł się nie na miejscu, choć kilka sędziwych matron w zwojach tafty spoglądało na niego krytycznym wzrokiem. Albo to, kiedy pierwszy raz wyszedł z nim na pokład i słony wiatr prawie go przewrócił, i zobaczył, że statek otacza wyłącznie morze. Albo kiedy zobaczył rudy kształt wyrastający z horyzontu i Jack poinformował go, że to Statua Wolności.

– A teraz słuchaj – dodał po rosyjsku. – Na granicy będzie trudno. Nie odzywaj się do strażników, ja z tobą pójdę; powiesz, że zgubiłeś paszport, tak?

– To znaczy... – wydukał Nick – że pan, że ty chcesz mnie wziąć? Mnie?

– Nie zadawaj głupich pytań.

Więc nie zadawał, podobnie jak nie zadawał ich Jack. Nie pytał, jak Niki, który z czasem stał się Nickiem, znalazł się na statku Kypck. Głupie pytania zadawał tylko celnik w porcie w Nowym Jorku, ale po półgodzinnej awanturze wystawił wizę na nazwisko: Nick Lewenstein. Imię ojca: Jacob.

W ten sposób stał się sobą, który teraz dopija whisky i spogląda na zegarek; czwarta. Myśli, że jeśli ma wstać o dziewiątej, najwyższa pora się położyć. Winda wznosi go do apartamentu, gdzie blade światło wlewa się przez okna.

Rozbiera się i patrzy na swoje odbite w lustrze ciało. Zastanawia się, czy tak mogłoby wyglądać ciało ojca, gdy miał siedemdziesiąt lat.

Jego ojciec nie dożył siedemdziesiątki; nie dożył jej też Jacob Lewenstein.

W żadnym z języków, które Nick zna – w angielskim, którego nauczył się po przyjeździe do Nowego Jorku; w rosyjskim i polskim, których już zapomniał, dawno, dawno temu – nie ma słowa, które by opisało jego relację z tym dziwnym mężczyzną o sfalowanych włosach. Dopiero po jakimś czasie pojął, jakie miał szczęście, że zapukał właśnie do drzwi kajuty numer 243. Stał się nie tylko prawnym synem Jacka, ale też spadkobiercą długiej i bogatej linii rodziny Lewensteinów z Nowego Jorku, właścicieli banku inwestycyjnego, z której Jacob Lewenstein zwany Jackiem był ostatni. Teraz ostatni jest on; i będzie.

Nie wie, kto po nim odziedziczy dom przy Siedemdziesiątej Ulicy, niedaleko skrzyżowania z Park Avenue. Wie tylko, że kiedy wkroczył do niego po raz pierwszy, naszykowany był już dla niego pokój, którego ścianę zdobił plakat z Fredem Alexandrem ściskającym tenisową raketę; i była tam też prawdziwa tenisowa rakietka; i szafy pełne ubrań, które – dziwnym trafem – na niego pasowały, pięknych koszul i pięknych swetrów. I było tam też mnóstwo bibelotów, zdjęć w złotych ramkach, które przedstawiały Jacka z jakąś kobietą i jakimś chłopcem. Tego ostatniego przez długi czas nie był pewien – gdy pierwszy raz obudził się w Nowym Jorku, zdjęcia zniknęły. Więc chyba ich nie było.

Zasypiając, myśli, że obaj byli świetnymi aktorami, bo obaj nie udawali, że grają. Starszy od niego o dwadzieścia pięć lat Jack nie udawał, że gra ojca, który posyłał Nicka do szkół na górnym Manhattanie i na dodatkowe zajęcia z matematyki, do której – rzecz niespodziewana – Nick przejawiał wyjątkowy talent; który zabierał go na wakacje do posiadłości Lewensteinów na Florydzie; który się na niego denerwował, gdy Nick parę razy poszedł na wagary. Czy mówili do siebie *son* i *dad*? Nie, mówili do siebie „Nick” i „Jack”. Chyba tak mówili. Nie jest tego pewien. Śpi.

Śpiąc, jest pewny tego, że tamten świat był prosty i to dlatego tak szybko zapomniał o istnieniu Chaima Rawachoła. Nie istniały w nim nieoczekiwane ruchy skoczkiem; istniał w nim dom przy Siedemdziesiątej Ulicy, w którym była służba i koszerne jedzenie, i istniała w nim szkoła, chanuka i prezenty, premiery w Metropolitan Opera, na które nakładał uszyty z polecenia Jacka smoking. Istniały w nim przyjęcia, na których wydawało mu się, że brzęczące diamentami żydowskie matrony jeszcze przed chwilą o nim rozmawiały – a gdy tylko wchodził na salę z ulubieńcem towarzystwa, z Jackiem, składały cuchnącego

buziaka na jego policzku. Istniała w nim synagoga przy Lexington Avenue. Ta synagoga śni mu się tej nocy, ale tego nie wie, gdy się budzi. Budzi się teraz. Budzi się.

Budzi go terkot budzika przy łóżku. Kątem oka widzi, że zegar na przeciwległej ścianie wskazuje godzinę dziesiątą. Nick gwałtownie się unosi, biała kołdra opada i odsłania pomarszczone ciało. Mecz ma zacząć się o jedenastej, nie zdąży wziąć kąpieli. Wychodzi spod prysznic, zakłada drugi z garniturów, który zabrał ze sobą do Reykjavíku – szary – i wybiega z pokoju. Obcasy jego wiedenek stukają o podłogę.

Na parterze hotelu Borg panuje rwetes; Nick widzi przepychających się mężczyzn z wielkimi kamerami telewizyjnymi, słyszy pokrzykiwania i nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Jak to, nie wie pan? – mówi ktoś, kogo o to zapytał. – Fischer ogłosił, że dziś nie przyjdzie na mecz! Oddał go walkowerem! A ja postawiłem pieniądze!...

Nick odczuwa przyływ spokoju. Wszedłszy do hotelowej jadalni, ujmuje w dłoń porcelanową miskę i wsypuje do niej żółte płatki, zalewa gorącym mlekiem. Mężczyzna, który postawił na Fischera, wciąż stoi w holu hotelu Borg z załamanymi rękami.

Pieniądze. To w ich posiadanie wszedł, gdy umarł Jacob Lewenstein, który umarł w listopadzie roku 1930 w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i zdawał się na tę śmierć znakomicie przygotowany. Nick był wówczas po matematyce na Columbii i robił doktorat z ekonomii na Yale, podążając drogą wcześniej wytyczoną przez Jacka. Pewnego wieczoru, gdy siedział w bibliotece, dostał telefon, że wycarterowany samolot czeka na niego na najbliższym lotnisku. Dotarł do Nowego Jorku dwie godziny później; limuzyna zabrała go do szpitala przy Czterdziestej Siódmej Ulicy, wszedł i zobaczył Jacka podłączonego do maszyneryi plastikowych rurek, wyglądających jak dziwne kości, które przebiły mu skórę.

Spaceruje po chłodnym, lipcowym Reykjavíku. Jego laska stuka o chodnik.

Zobaczywszy go, Jack otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak jedynym dźwiękiem, który wypełniał małą, chłodną salkę szpitala, było pikanie respiratora. Natychmiast przybiegli lekarze i wyprosili go na korytarz, z którego zobaczył, jak łóżko z Jacobem Lewensteinem jedzie na salę operacyjną. Żeby zająć czymkolwiek myśli, wziął gazetę leżącą na krześle, wydanie „New York Timesa” sprzed dwóch dni.

Lekarz wyszedł z sali operacyjnej po dwóch godzinach. Powiedział, że bardzo mu przykro, ale nic się nie dało zrobić. Nick słuchał go, ale nie rozumiał, bo

jedyną rzeczą, którą wtedy rozumiał, były słowa, jakie przeczytał w króciutkim artykule.

„Nowe wiadomości z Olimpiady Szachowej w Hamburgu. Nieoczekiwanie pierwsze miejsce zajęła reprezentacja Polski pod wodzą Ksawerego Tartakowera. Najciekawszą grę według komentatorów zaprezentował jednak inny zawodnik. Pan Chaim Rawachół ma pięćdziesiąt pięć lat i wcześniej był znany jako szachista kawiarniany”.

Spacer go męczy; po paru godzinach zawraca w stronę hotelu. W holu wciąż kłębi się tłum, w którym rozpoznaje mężczyznę z kamerą, i ten też go chyba rozpoznaje, bo krzyczy:

– Fischer się zgodził grać! Ale jak! Bez publiczności, rozumie pan? Ustawią na scenie telewizor i będą grać za sceną. Za sceną! Za sceną!

Nick nie odpowiada. Myśli o pogrzebie Jacka, o dniu, w którym wiał wiatr tak silny, jakby chciał przesunąć górujący nad kirkutem na Staten Island grobowiec.

– *Bealema di wera chirutech* – mówił do piszczącego mikrofonu. – *Wejamlich malchuteh bechajeichon uwejomeichon uwechajei dechol beit Jisrael baagala uwizman kariw. Weimru.*

Nie miał pojęcia, o czym mówi. Wprawdzie chodził z Jackiem do synagogi przy Lexington Avenue, jak tego od niego oczekiwano – ale nigdy nie nauczył się hebrajskiego. Świątował Rosz ha-Szana, jak było to wymagane, cieszył się, że *nes gadol haja szam*, jak było to wymagane – ale nigdy nie nauczył się hebrajskiego. Gdy wymówił: „weimru”, pomyślał, że silny wiatr za chwilę go zdmuchnie; zaraz jednak odpowiedziano mu: „Amen”.

Po pogrzebie odprawił kierowcę i do wieczora w dziwnym transie włóczył się po Nowym Jorku. Wiatr przepędził nadchodzącą noc i gdy o dwudziestej wkroczył do Central Parku, było jeszcze jasno. Znalazł się na zwirowanej dróżce pomiędzy drzewami. Przy krawężniku wyrastał rząd stolików o blatach w szachownicę; na jednym stały figury, a przed stolikiem siedział samotny mężczyzna. Nick spytał go, czy nie ma ochoty zagrać.

Grał dobrze i Nick potrzebował aż czterdziestu pięciu ruchów, żeby go rozgromić. Gdy to zrobił, nad Nowym Jorkiem zapadał zmierzch. Tamtego wieczora Nick Lewenstein grał w szachy pierwszy raz od piętnastu lat; odtąd grał w nie już codziennie i wiedział, dlaczego to robi, ale wolał się przed sobą do tego nie przyznawać.

Myśli, że skoro i tak mecz odbędzie się na ekranie telewizora, to nie ma po co wychodzić. Za szczelnymi oknami apartamentu w hotelu Borg zacina deszcz,

który zerwał się w nocy; teraz jest dziesiąta rano i okrążające hotel ulice zniknęły pod kałużami, w których odbijają się chmury w kolorze żwiru, sunące nad Reykjavíkiem nisko jak bombowce.

Parę dni po tamtym wieczorze w Central Parku przyszedł na pierwsze posiedzenie zarządu banku Lewensteina; zaczęło się od minuty ciszy za pamięć Jacka. Im dłużej ta minuta trwała, tym bardziej Nick czuł się nieswojo. Miał wrażenie, że nie pasuje do mężczyzn siedzących za długim, drewnianym stołem w kształcie elipsy, z których każdy był od niego co najmniej dwadzieścia lat starszy. Wyglądali, jakby zrobiono ich na jednej taśmie produkcyjnej: w grafitowych garniturach od Brooks Brothers wypełniali pomieszczenie o dębowych ścianach doniosłym milczeniem. W końcu rozległo się czyjeś chrząknięcie, a po nim dźwięk pośladków lądujących na obitym ciemnobrązową skórą fotelu, chrzęst rozpinanych marynarek, kaszlu, odgłos przełykania wody. Nick także usiadł.

– Nie jestem pewien, czy pan wie, jak przebiegała nasza współpraca z pańskim ojcem – odezwał się jeden z identycznych mężczyzn, lekko wychylając do przodu. Nick pokręcił głową. – Cóż, wyglądała tak jak współpraca niektórych z nas i naszych poprzedników z jego ojcem, a poprzedników naszych poprzedników z ojcem jego ojca. Oficjalnie każdy Lewenstein jest prezesem tego banku; decyzje kierownicze podejmuje jednak rada dyrektorów, a każdy Lewenstein...

Nie mógł znaleźć właściwego słowa. Zapadła cisza.

– Każdy Lewenstein – przerwał ją Nick – jak rozumiem, nie ma nic do gadania.

Gdy to powiedział, nastąpiło lekkie poruszenie; identyczni mężczyźni zaczęli nachylać się w swoją stronę, jakby patrzyli w lustro. Nick wiedział, że złamał reguły tego zebrania; ale coś sprawiało, że nie miał najmniejszej ochoty się do nich stosować.

– Można, oczywiście, w ten sposób to ująć. Jednakże...

– To po co mi były studia z ekonomii? – wszedł mu w słowo Nick.

– To tradycja – odpowiedział mężczyzna głosem, w którym wibrowała irytacja.

– Każdy Lewenstein je kończy, po to...

– ... żeby nie mieć nic do gadania.

Chwilę to trwało, ale mężczyzna kiwnął głową. Wtedy Nick powiedział:

– W takim razie zmienimy tę tradycję.

Zapadła cisza o wiele dłuższa niż na początku. Mężczyzną, który ją naruszył, nie był ten, który nie mógł znaleźć właściwego słowa, lecz przypominający wiekowego gołębia staruszek, ściskający przed sobą laskę:

– Niemożliwe! Niemożliwe! – wykrzyknął piskliwym głosem. – Ja zawsze wiedziałem, że pan nie jest taki jak jego prawdziwy syn!...

I nim Nick zdążył coś powiedzieć, wyrzeszczał opowieść, którą nigdy nie podzielił się z nim Jack, a jego wrzask obijał się od drewnianych ścian pomieszczenia.

Teraz Lewenstein Bank mieści się gdzie indziej, w jednym z nowych, niedawno wybudowanych biurowców. Zajmuje tam trzy piętra; gabinet Nicka znajduje się na najwyższym i wypełniają go telewizory, na których wypukłych ekranach dzień w dzień skaczą sznurki indeksów giełdowych, jakby były zaprężone w pchełki. Teraz Nick włącza inny telewizor, marki Siemens, w swoim apartamencie: ekran szarzeje, potem ciemnieje, a potem ukazuje się na nim widownia, na której siedział przedwczoraj. Ponieważ wykupił VIP-owski bilet na cały turniej, jego miejsce w piątym rzędzie jest puste. Na scenie umieszczono telewizor odrobinę większy niż ten w apartamencie i po chwili ekran apartamentowego wypełnia się obrazem, który przekazuje. Fischer i Spasski już siedzą przy szachownicy w pokoju bez okien. Fischer ma na sobie granatowy garnitur, Spasski szary. Fischer siedzi za czarnymi. Mecz się zaczął, biały pion i czarny skoczek opuściły swoje pola.

Kiedy zaczynał przewodzić bankowi Lewensteina, firma wciąż podnosiła się z ostatniego kryzysu i nie tylko mężczyzna w garniturze od Brooks Brothers wyrażał wątpliwości co do jego prezesowania. Zaproszenia na przyjęcia, które dostawał, kiedy Jack jeszcze żył, nagle przestały przychodzić; gdy raz stał w zakładzie krawieckim, w którym szyl sobie garnitury, i przypadkiem napotkał wzrok innego klienta, ten odwrócił głowę. Wówczas Nick pojął, że zrobił coś, czego robić nie wolno: stał się czyjś synem, a nie wolno tak sobie wybrać, czyim synem się jest.

Fischer wychodzi czarnym pionem na c5, Spasski ucieka do przodu; jednak Fischer znów go atakuje i w następnym ruchu zabiera piona. Nick patrzy na jego szarzejącą na wypukłym ekranie twarz. Fischer robi rosadę i ołówkiem coś zapisuje w notatniku, który leży obok szachownicy, ale kamera nań nie najeżdża i Nick nie wie co. Przez chwilę widzi tylko jego strony, pokryte pismem bardzo ciasnym, przypominającym plemię mrówek. Kamera skupia się jednak właśnie na Fischerowej twarzy: bardzo szczupłej i pociągłej, w której jest to, czego nie było w niej podczas pierwszego meczu. Złość.

Złość. Agresja. To w pierwszym roku swojego prezesowania bankowi Lewensteina polecił zatrudnionym w firmie maklerom. Mają grać jak najbardziej gniewnie, z jak największą agresją, mają grać na spadki, ostro. Sam też tak grał,

częściej niż w siedzibie banku przebywając w pewnym dużym, kanciastym budynku z pomnikiem złotego cielca przed wejściem. Pewnego razu spytał kogoś, co właściwie ten cielec oznacza; zapytany zdziwił się i spytał, czy Nick nie zna tej opowieści. Nie znał. Wciąż chodził do synagogi przy Lexington Avenue, w której czuł na sobie niezyczliwe spojrzenia, wciąż zmawiał po hebrajsku modlitwy, których nauczył się na pamięć, jednak tej opowieści nie znał.

Złoty cielec okazał się dla niego łaskawy. Przez kilka lat, jakie upłynęły od chwili, gdy objął prezesurę banku, firma urosła kilkukrotnie, a on znów zaczął otrzymywać zaproszenia na przyjęcia, na których wcześniej nie chciano go widzieć. Chodził na nie, pił szampana i margaux w podniebnych apartamentach i na jachtach zacumowanych w zatoce. Było to przyjemne, podobnie jak przyjemne były ciała kobiet, które zaczęły przewijać się przez jego łóżko. Podejrzewał, że większość ludzi, którzy go poznali, musiało mu tego życia zazdrościć. Tylko on wiedział, że jego życie toczy się zupełnie gdzie indziej.

Prawdziwe życie Nicka Lewensteina w tamtych latach toczyło się w Central Parku, na chybotliwych stolikach z blatami we wzór szachownicy, na których gracze, do których się dosiadał, rozsypywali przyniesione z domu figury. Było mu obojętne, czy gra czarnymi, czy białymi; i dla czarnych, i dla białych pamiętał zasady, których nauczył się dawno temu w pokoju mieszkania przy Gęsiej w Warszawie. Było mu też obojętne, kim jest jego przeciwnik; mógł być profesorem Columpii, alfonsem, kloszardem albo gangusem Meyera Lansky'ego. On tylko czekał na następnego, a nad Nowym Jorkiem był wieczór, było słychać krzyki mew i pachniało słonym powietrzem znad oceanu.

Nie wiedział, czy do pracowników banku Lewensteina dotarła wiedza o tym, co robi w Central Parku; żaden nigdy się z nią nie zdradził. Podejrzewał, że tak. Na pewno wiedział to, że wśród szachistów z Nowego Jorku stał się małą sensacją i że szybko stałby się małym dziwactwem, gdyby nie to, że wygrywał. Zawsze.

Z czasem przestał się dosiadać do cudzych stolików, bo zyskał własny – ten, przy którym wygrał swoją pierwszą partię. Któregoś razu po jego przeciwległej stronie usiadł mężczyzna z siwymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Był wrzesień 1938 roku, ciepły i rześki, a mężczyzna miał na sobie ekstrawagancką, błękitną marynarkę. Wylosował czarne; Nick dał mu mata w paru ruchach. Wtedy mężczyzna roześmiał się i, inaczej niż większość jego przeciwników, nie wstał od stolika. Gdy Nick na niego spojrział, zobaczył, że w oczach mężczyzny czai się coś, czego się nie spodziewał: radość.

– Czyli to prawda, co o panu mówią – odezwał się mężczyzna.

Potem powiedział, kim jest: John R., prezes Amerykańskiego Związku Szachowego. Gdy spytał, czy Nick nie jest zainteresowany zapisaniem się do tego związku, od razu odparł:

– Nie.

Tego był pewien; wystarczyło mu, że gra w szachy w Central Parku. Nigdy nie grał swoimi figurami, nawet ich sobie nie kupił, bo w domu przy Siedemdziesiątej Ulicy nie trenował. Tymczasem mężczyzna w błękitnej marynarce pokiwał głową i powiedział:

– Nikomu wcześniej tego nie zaproponowałem, ale pan, z tego, co słyszałem, jest graczem wyjątkowym. Kompletujemy drużynę na przyszłoroczną olimpiadę w Buenos Aires, w sierpniu i wrześniu; jest pan pewien, że odmawia? Oczywiście, honorarium, na jakie może pan liczyć, będzie się różniło od pana zarobków, ale...

Coś go tknęło; ale nie było to zdanie, którym mężczyzna dał znać, że wie, co Nick robi, kiedy nie gra w szachy. To było inne słowo: „olimpiada”.

Spasski się cofa. Najpierw wyprowadza wieżę na e3, by następnie zawrócić ją na e2; Nick czuje, że trochę szybciej bije mu serce. Wszystko wskazuje na to, że Fischer zwycięży. Dostanie jeden punkt; Spasski wciąż będzie miał dwa, ale tylko jeden za wygrany mecz.

– Konkurencja jest ostra – opowiadał o olimpiadzie mężczyzna w błękitnej marynarce. – Osobiście stawiałbym, że zwyciężą Francuzi, w ich drużynie gra w końcu Alechin. Albo Trzecia Rzesza. – Wymówił nazwę tego kraju z jakimś szczególnym obrzydzeniem. Nickowi przypomniało się, jak Trzecią Rzeszę wychwalał pewien klient jego banku, który dorobił się fortuny na lataniu samolotami. – Jednak czarny koń, szanowny panie, to Polacy. Przepiórka – w jego ustach brzmiało to „Pszepyka” – i Najdorf, ale szczególnie groźny może być Rawachoł...

– Kto?

Później zastanawiał się, jak bardzo nienaturalnie musiał wyglądać, zadając to pytanie; ale chyba nie bardzo, bo zdziwiony mężczyzna uniósł brwi.

– Jak to, nie słyszał pan o nim? Nie czyta pan naszej prasy, prasy szachowej? No z pana oryginał, z pana oryginał! Rawachoł – dodał spokojnym tonem. – To ich najnowsza sensacja. Parę lat temu dostał złoty medal na turnieju w Rotterdamie. Bo nie grał Alechin.

Alechin, przemknęło Nickowi przez głowę; największy szachista świata.

Mężczyźnie w błękitnej marynarce powiedział, żeby dał mu tydzień na zastanowienie się; a potem wrócił do domu, który kiedyś był domem Jacka

i wciąż znajdowało się w nim mnóstwo przedmiotów, które do niego należały. Rząd tweedowych marynarek w garderobie; sięgające od podłogi do sufitu półki z książkami. Nick wyprowadził się stąd, gdy miał osiemnaście lat i dostał pokój w akademiku. Wówczas zdarzało mu się zastanawiać, gdzie zamieszka, gdy skończy studia – ale Jack umarł i ten dom był jego.

Poszedł do pokoju, w którym mieszkał po przyjeździe do Nowego Jorku. W szafach nie było już koszul i swetrów, które kiedyś dziwnym trafem na niego pasowały, ale ścianę wciąż zdobił plakat z Fredem Alexandrem. Pomyślał o sobie sprzed lat, o tym, jak bardzo był głupi: jak mógł nie dostrzec tego, co piskliwym głosem wykrzyczał pewien starzec na jego pierwszym posiedzeniu zarządu? Jak mogła do niego nie dotrzeć historia o prawdziwym synu Jacka Lewensteina, który razem z jego żoną zginął tamtej wiosny, którą spędzili w Europie? Jak mógł nie zrozumieć, że tamtej nocy na transatlantyku Kypck Jack Lewenstein wziął go tylko dlatego, żeby zagłuszyć pustkę, jaka się wiosną pojawiła w jego życiu? A może, pomyślał nagle, nie po to, żeby zagłuszyć pustkę? Może dlatego, że oczekiwano od niego, żeby miał syna?

Uciszył tę myśl szklanką J&B; tamtego wieczora opróżnił całą butelkę. Myślał o pustce, która wkroczyła w życie Chaima Rawachoła po tym, jak uciekł z domu, i miał wrażenie, że w życiu Chaima Rawachoła żadna pustka się wtedy nie pojawiła.

Teraz spogląda na telewizor. Na ziemistej twarzy Spasskiego maluje się rezygnacja. Gdy Fischer szachuje go czarnym hetmanem, zasłania się swoim; Fischer ponawia szacha, a następnie doprawia go gońcem. Spasski lekko odchyła się na krześle, mnie wargi i marszczy nos, jakby poczuł nieprzyjemny zapach. Grubym, niezgrabnym paluchem przewraca króla i wyciąga do Fischera dłoń. Kamera robi najazd na twarz Fischera; wyraża lekkie zdumienie. Bezwładnie unosi swoją rękę i podaje ją Spasskiemu, ten ją ściska i odchodzi, bez słowa.

Fischer wciąż siedzi i wciąż jest zdumiony. Deszcz bębni o okno apartamentu w hotelu Borg, jakby wygrywał na nim jakąś dziwną melodię.

Przez tamten tydzień jesienią 1938 roku, jaki upłynął od propozycji złożonej przez mężczyznę w błękitnej marynarce, wielokrotnie rozważał wszystkie za i przeciw. Z jednej strony – nic go już nie łączyło z Chaimem Rawachołem, tak samo jak nic go nie łączyło z Nikołajem Rawachołem, tamtym trzynastoletnim chłopcem, z którego śmiał się jego ojciec. Z drugiej, coś mu podpowiadało, że to zły pomysł.

Po tygodniu zadzwonił do Johna R. i powiedział, że pojedzie. Czy chce brać udział w treningach drużyny? Nie, nie ma najmniejszego zamiaru. Na statku,

którym popłyną, są kajuty dwuosobowe; czy ma życzenie dzielić swoją z kimś konkretnym? Poleci samolotem. Do miejsca, gdzie turniej będzie się odbywał, Teatro Politeama, również dotrze sam.

Pamięta tamten lot. Pamięta, jak wyczarterowany przez bank Lewensteina jednopłatowiec marki Armstrong Whitworth, model AW.15 Atalanta, wzniósł się nad Nowym Jorkiem i jak pomyślał, że ma jeszcze chwilę, żeby zawrócić. Pamięta, jak już zniżał się nad Buenos Aires, moc dziesięciocyndrowych silników Siddeley Serval III słabła, i pomyślał, że może zaraz pilotowi kazać na powrót wzlecieć. Był 21 sierpnia 1939 roku.

4

Teatro Politeama mieścił się przy Avenida Corrientes, w przysadzistym, kilkupiętrowym budynku z białego marmuru. Nad osłoniętym ciężkim dachem wejściem wznosiły się cztery okna szczelnie zasłonięte płachtami. Czarne litery – z daleka przypominające olbrzymie ptaki – układały się na nich w słowa: „Olimpiadas de ajedrez”, „FIDE”, „Buenos Aires”, „1939”. Kiedy pierwszego dnia Nick podjechał tam hotelowym mercedesem, uderzył go widok tłumu, jaki wypełniał nisko sklepiony, marmurowy hol. Tworzyli go, bez wyjątku, mężczyźni, w różnym wieku i pokrzykujący w różnych językach. Minęło kilka minut, zanim udało mu się dopchać się do długiego dębowego stołu, przy którym za maszynami do pisania marki Continental rejestrowano zawodników. Stukot klawiszy. Stuk-stuk-stuk-stuk. Podawszy swoje nazwisko, zerknął na jedną z zapisanych kartek. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi na niej wyraz: „Rawachoł”, i poczuł, że jego nogi robią się miękkie. Zamrugał i jeszcze raz spojrzął na kartkę; nazwiska „Rawachoł” nie było. Tam w ogóle nie było żadnego nazwiska.

Teraz jest pewien, że nikt go nie zobaczy. Dziś znowu nie poszedł do Laugardalshöll i kiedy widownia ukazuje się na wypukłym ekranie hotelowego telewizora – ziarnisty obraz, jakby stworzony z setek kolorowych kamyczków – widzi, że jego miejsce w piątym rzędzie pozostaje puste. Zaraz jednak ekran na powrót wypełnia obraz sceny przed seledynową kurtyną. Mecz już się zaczął. Fischer gra czarnymi i z tego, co Nick widzi, jest w defensywie; Spasski, kilka dni temu rozleniwiony jak lew po obiedzie przeszedł do ataku. Ale właściwie nie jest pewien, czy widzi to, co widzi; rozłożył się na szezlongu przed telewizorem, a w jego dłoni kołysze się szklanka z J&B. Opróżniona do połowy butelka, którą zamówił dwie godziny wcześniej, leży u stóp łóżka i whisky cienką strużką wylewa się z niej na dywan. Nick jest pijany i wydaje mu się, że wieża Fischera

zbija wieżę Spasskiego, a wieża Spasskiego zbija wieżę Fischera. Coś mu podpowiada, że to zasadzka.

W tamte dni pod koniec sierpnia 1939 roku starannie unikał zasadzek. John R. spytał, w jaki sposób w Teatro Politeama zostały rozmieszczone poszczególne reprezentacje. Gdzie grają Rosjanie, gdzie grają Niemcy, gdzie Polacy, hm?

– Ach! – rozemocjonował się John R. – Chciałoby się ich zobaczyć, co? Sławy – wymówił to słowo, jakby mlasnął po kęsie ciastka. – Alechina. Człowieka, która pokonał Capablancę. Jest co oglądać. Ale niech pan się nie boi, panie Lewenstein! – Z niespodziewaną poufałością położył mu rękę na ramieniu. – Pan w niczym od niego nie odstaje.

A potem poinformował go, że Rosjanie są w skrzydle lewym, Niemcy w prawym, Włosi zajęli stoły za sceną, Polacy zaś drugie piętro; przynajmniej do końca eliminacji.

Nie był przyzwyczajony do tego, by grać w szachy cały dzień, codziennie. W Central Parku też grał w nie dzień w dzień, to prawda, ale tylko po dwie, trzy godziny; tymczasem w Buenos Aires gra zaczynała się o dziewiątej rano, by skończyć wieczorem. Pokonawszy ostatniego przeciwnika, Nick szedł na plażę, a palce tak bardzo bolały go od ściskania figur, że odkręcenie butelki whisky graniczyło z cudem. Pił, zanim nie poczuł, że zbliżają się wymioty. Wtedy wynajętym mercedesem – pozostali członkowie reprezentacji USA chodzili z hotelu do teatru piechotą, on nie – hotelu Ritz – pozostali członkowie reprezentacji USA, nawet John R., mieszkali w jakiejś podrzędnej ruderze, on nie – wracał do apartamentu i zasypiał. Budził się po kilku godzinach, skacowany wystarczająco, by dało się tego kaca załatwić podwójną aspiryną; a potem jechał do Teatro Politeama, w którym reprezentacja USA zdążyła już wywindować się na sam szczyt czołówki, za Francją, za Trzecią Rzeszą, za Polską. Powoli kończył się sierpień, zmrok zapadał coraz wcześniej, ale to Nicka nie interesowało. Od kończącego się sierpnia chroniły go nie tylko grube ściany Teatro Politeama, lecz również ściany, których z zewnątrz nie dało się zobaczyć. Zbudował je sobie sam. Zbudował je ze stukotu drewna o drewno na szachownicy. Zbudował je z zasadzek, z matów, ze zbitych w przelocie pionów.

Teraz nie wypił tyle, żeby się nie upić, ale dokładnie tyle, ile trzeba, żeby być pijanym. W głowie mu wiruje i nie widzi, jak Spasski stawia swojego hetmana na c2, by obronić piona, a Fischer tak czy siak tego piona zbija. Nie widzi, jak żółte zęby Spasskiego wgryzają się w wargę, jak podpira dłońmi twarz, parska, kiwa głową i przewraca swojego króla, a potem, nie żegnając się z Fischerem,

wychodzi. Nie widzi, jak rozparty Fischer spogląda na milczącą widownię; nie widzi jego wielkich, wodnistych oczu. Nick śpi.

Wtedy, w Buenos Aires, nocy poprzedzającej wszystko, co miało się zdarzyć – nie zasnął w ogóle. Mecze eliminacyjne już się skończyły, nadszedł czas na ćwierćfinały; według Johna R. nie znajdował się w najweselszej sytuacji:

– Zaczyna pan jutro o dziewiątej. Pana przeciwnik... Analizowaliśmy wszystkie jego ostatnie partie, ale nie wątpię, że pan też to zrobił. O dziewiątej, będzie pan, prawda? – wymamrotał John R. do telefonu, a Nick po drugiej stronie odparł, że tak. Odłożywszy słuchawkę, oparł się o ścianę pokoju w hotelu Ritz i długo, bardzo długo głęboko oddychał.

Myślał, że to wszystko powinno wyglądać zupełnie inaczej. Że na tym turnieju zagrają ze sobą, tego był pewny; ale tak po prostu? Rozejrzał się za butelką i szklanką, ale zaraz zabronił sobie brać do ust chociaż łyk whisky.

Noc przed tamtym meczem była dziwna, gęsta; i dziwnie, bo bardzo nagle się skończyła. W którymś momencie do okna poznaczonego piegami z kurzu przylepiła się plama światła, zeskoczyła na podłogę, a z podłogi na twarz trzydziestodwuletniego Nicka Lewensteina, który wstał i poszedł do łazienki, gdzie długo polewał się wodą. Słuchawka prysznicowa ciurkała. Wróciwszy do pokoju, zerknął na zegarek. Samochodem Ritz od Teatro Politeama dzieliło dziesięć minut, była ledwo siódma.

W końcu zdecydował, że pójdzie spacerem. Buenos Aires dopiero się budziło i w powietrzu nie było jeszcze tej spierzchniętej suchości, która przepełniała je po południu. Na chłodnym wietrze unosiły się korzenne zapachy pieczywa z otwieranych piekarni, kwaśna woń owoców wyłożonych na straganach. Tamtego dnia budynek Teatro Politeama wyglądał jak olbrzymi cokół, z którego uciekł pomnik.

Znalazł salkę, w której miał się odbyć mecz – o pluszowym dywanie i lustrach w złotych ramach, o suficie udekorowanym plafonem chmurzącego się nieba – i czekał, pochylony nad szachownicą. Po pewnym czasie salka zaczęła wypełniać się gośćmi; wydawało mu się, że nigdy nie było ich aż tak wielu. Och, oczywiście, każdy z jego meczów cieszył się zainteresowaniem, ale tylu? Gdy wskazówki zegara zrobiły szpagat na godzinie dziewiątej, z tłumu wynurzył się jego przeciwnik. Nick niósł głowę.

Nie był tak szczupły, jak go zapamiętał. Wciąż wysoki, utył, kamgarnowa kamizelka w malinowym kolorze opinała się na jego brzuchu. Podszedłszy do stolika, odsunął krzesło, usiadł i rozprostował ręce: pstryknęły kostki w dłoniach,

jakby ktoś wysypał mnóstwo kamyków. Nick nie potrafił odgadnąć, czy wie, kim on jest.

Tymczasem Aleksandr Alechin wykonał pierwszy ruch. Pion na e3, klasyczne rozpoczęcie, na które Nick miał opracowanych kilkadziesiąt odpowiedzi; dlaczego wybrał najsłabszą, która uczyniła wyłom w linii jego pionów, jakby ktoś wyrwał zdrowy ząb? Tego nie wie – a przynajmniej nie wie tego teraz, kiedy się budzi. Jest rano. Wypił wystarczająco wiele i wystarczająco wiele przez ostatnie dwa dni zwymiotował, by nie czuć kaca. Wstaje, nago krążąc między rafami opróżnionych butelek, idzie do łazienki i tam nalewa do wanny gorącej wody. Zanurza się w niej, pozwala alkoholowi wyparować z pomarszczonego, siedemdziesięcioletniego ciała.

Pół godziny później, ubrany w granatowy garnitur i koszulę i włoski krawat, siedzi w hotelowym bentleyu, który wiezie go do Laugardalshöll.

Tamtego dnia, kiedy nie pojechał hotelowym samochodem – wszystko poszło szybko. Szybko stracił kilka ważnych figur. Kiedy zbity został hetman, na chwilę uniósł głowę. Napotkał wzrokiem twarz Johna R.: malowało się na niej przerażenie. Znowu spojrzął na szachownicę. Podczas tej partii stukot drewna o drewno i świst powietrza przecinanego figurą niesioną na inne pole nie chciały zbudować ściany, która osłoniłaby go od przypominającego szum fal uderzających o plażę w Buenos Aires szwargotu widzów, od trzasku lamp błyskowych. Został mu już tylko król; przestawił go byle gdzie, Alechin zaś schwycił między palce hetmana i umieścił na czarnym polu.

Teraz idzie długim, ciemnym korytarzem. Na jego końcu rysuje się jasny prostokąt. Widownia jest pełna, nabita ludźmi, którzy tłoczą się pod ścianami. Laska Nicka ląduje na czyimś bucie. Miejsce w piątym rzędzie pozostaje puste, czeka. Przeciska się i z ulgą na nim spoczywa, i jak podejrzewał, od razu zwraca się do niego rudy z wąsem:

– Gra o zwycięstwo! – informuje, jakby Nick o tym nie wiedział. – Dobrze, że pan jest.

– Nie odzywa się.

Wtedy, w Buenos Aires, także się nie odzywał, ale nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia. Nie odzywał się, ponieważ nie pamiętał, jak po rosyjsku, w języku, w którym chciał przemówić do Alechina, powiedzieć: „To pat! Przegrałeś! To pat!”.

A potem jeszcze raz spojrzął na szachownicę i zrozumiał, że to nie jest pat. Miał jedno pole, na które mógł przestawić króla. Gdy samotna figura na nim wylądowała, Alechin szybkim ruchem przesunął na inne hetmana – i nagle w sali

Teatro Politeama rozległy się brawa. Nick patrzył na szachownicę. Drewniane figurki spokojnie stały na swoich miejscach. Miał wrażenie, że wszyscy, którzy klaszczą, tak naprawdę uderzają wielkimi jak miechy dłońmi o jego głowę, by go bolała, coraz bardziej i bardziej.

Czy naprawdę nic się nie da zrobić? – przeszło mu przez głowę i poczuł coś, czego się nie spodziewał, zawód. Przecież dopóki nie ma mata, wszystko da się zrobić...

Szurnięcie krzesła; Alechin wstał i bez słowa się uklonił, odwrócił i ruszył w stronę wyjścia. Sala stopniowo zaczęła się opróżniać. Kiedy była prawie całkiem pusta, Nick poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu, i usłyszał pocieszający głos Johna R.:

– Z arcymistrzem to nie wstyd, ale szkoda, że pan odpadł. Liczyłem na pana w meczach z Polakami...

Dopiero kiedy został w sali Teatro Politeama całkiem sam, wstał i powoli, starannie odmierzając kroki, wyszedł. Na ulicy zamachał na taksówkę, a potem wrócił do hotelu Ritz i kazał sobie przysłać z baru parę butelek whisky. Był 31 sierpnia 1939 roku.

Teraz jest 11 lipca roku 1972 i Fischer wykonuje pierwszy ruch. Nickowi trochę się kręci w głowie, ale jest wystarczająco trzeźwy, by wiedzieć, że to rozpoczęcie – pion na c4 – nigdy wcześniej nie było przezeń grane. Spasski odchyła się w fotelu tapicerowanym grubą, czarną skórą. Jego podbródek ląduje w koszyczku ze splecionych dłoni. Ma dziś na sobie szary garnitur i białą koszulę bez krawata, zapiętą na ostatni guzik. Odpowiada skoczkiem.

Pił kolejne dwa dni. Kiedy po tych dwóch dniach się obudził, gorące światło wlewało się przez okna. Bolała go głowa i czuł, jakby jego kręgosłup pokrył się rdzą i najmniejszy ruch mógł go rozkruszyć. Dopiero kilka godzin później wstał, w hotelowej łazience umył się, w pokoju otworzył okna, by wywietrzał z niego smród alkoholu; i poszedł na plażę.

Pamięta to teraz, gdy rudy mówi:

– W co on gra!

Zdumienie powoli rozlewa się po widowni. Jest jak chmura mgły, która spływa po górskim stoku. Nick wie, że żaden z ruchów, jakie Fischer wykonuje, nie jest w jego stylu; wyglądają, jakby były zupełnie przypadkowe. Ale wie też, że musi tkwić w nich jakaś logika, której on nie potrafi zrozumieć.

Szedł brzegiem oceanu. Woda łagodnie pieniała się na wilgotnym, brunatnym piasku, by odpłynąć i przyplłynąć na nowo. Bufiaste obłoki sunęły na północ, odsłaniając fioletową powłokę nieba. To wtedy ich zobaczył; także szli brzegiem.

Pierwszego rozpoznał Alechina. Towarzyszył mu John R., a obok Johna R. i obok Alechina siedł Chaim Rawachoł, obok Johna R. i obok Alechina siedł jego ojciec.

Nick przystanął. Fale przyływu zalewały jego buty.

Fischer ujmuje w palce białego hetmana.

Czy próbował zawrócić? Czy próbował iść dalej, udając, że nic się nie stało? Czy próbował uciekać, gdy zobaczył, że ojciec odłącza się od Alechina i od Johna R. i zmierza w jego stronę? Teraz tego nie wie. Teraz Fischer przesuwając białego hetmana na f4.

– Jesteś ciekaw, czy cię poznałem, prawda? – odezwał się po rosyjsku ojciec, stanąwszy przed nim. – Oczywiście, że tak. Poznałbym cię nawet, gdybyś przemalował się na czarno.

5

Cisza, która panuje na widowni, zdaje się rozpierać ściany obite brązowymi deskami. Nick spogląda na scenę. Fischer założył nogę na nogę i splótł palce na wysokości ust; ze sposobu, w którym siedzi na skórzanym fotelu, z jego twarzy, której mięśnie zdają się walczyć z wkradającym się powoli uśmiechem – przebija przekonanie, że wygrał tę partię. Spasski pochyla się nad stołem. W pewnej chwili unosi dłoń, zawiesza palec nad szachownicą; wygląda, jakby coś liczył. Nick myśli o milionach kombinacji, pojawiających się w tej chwili w jego głowie, i odczuwa nagły przyływ żalu, że ich nie zobaczy – nigdy.

A potem dzieje się coś, czego się nie spodziewał. Choć z tej odległości nie jest w stanie tego wyraźnie zobaczyć, może przysiąc – nieważne, na co i przed kim – że wąskie, perłowe wargi Spasskiego wyginają się. Spasski się uśmiecha. Spasski unosi głowę, kilkakrotnie nią kiwa, jakby zgadzał się z tym, co przed chwilą pomyślał, Spasski wstaje, Spasski wyciąga dłonie przed siebie – i zaczyna bić brawo.

Dźwięk tych braw wbija się w ciszę niczym ostrze młotka. Brzuchaty, odziany w szary garnitur i białą koszulę bez krawata Spasski bije brawo i Nick wie – skądś to wie – że są to brawa zupełnie szczere, uderzenia powierzchnią jednej dłoni o drugą sprawiają Spasskiemu radość. Fischer wciąż siedzi w swoim olbrzymim, skórzanym fotelu. Jego mina wskazuje, że nie zdaje sobie do końca sprawy, co się stało. Ta mina nie znika z pociągłej twarzy nawet wówczas, gdy, jak na zawołanie, wstają wszyscy, którzy siedzieli na widowni, i również zaczynają klaskać. Nick też wstaje. Nick też stoi. Po raz pierwszy od dawna stoi bez laski o srebrnej gałce i jego dłonie uderzają jedna o drugą.

– Brawo! – krzyczy ktoś. – Brawo!

– *The Jew did it! The Jew did it!* – drze się rudy wąsacz.

Potrzeba chwili, by te słowa przedarły się przez trzaskot braw. Żyd. Dlaczego go tak określili? – myśli nagle Nick, patrząc na roześmianą twarz rudego, który chyba już zapomniał, że od początku turnieju stawiał na Spasskiego. Dlaczego?

I wtedy wraca: tamten wieczór drugiego dnia września 1939 roku i plaża w Buenos Aires, i wieczorny przypływ, i różowe niebo z prześwitami błękitu. Wraca wiatr, który zrobił się chłodny, jakby go przywiało z tych stron, o których opowiadał Chaim Rawachoł.

Urodził się w roku 1875 w Łomży i miał zostać rabinem, ale jeszcze w jesziwie nauczył się grać w szachy. W chederze tak swoje umiejętności udoskonalił, że uciekł do Łodzi i tam grał w szachy po kawiarniach. Na pieniądze. Potem z Łodzi przeniósł się do Warszawy, tam też grał w kawiarniach na pieniądze i ożenił się z córką aptekarza z ulicy Gęsiej. To było w roku 1907. Po śmierci aptekarza z ulicy Gęsiej apteka stała się własnością Chaima Rawachoła i jego żony, i Chaim Rawachoł natychmiast podjął decyzję o sprzedaniu jej, a za część pieniędzy pojechał na turniej do Karlsbadu, stanął w najlepszym hotelu i był pewien zwycięstwa. Wygrał pierwszy mecz, wygrał też drugi, ale trzeci i czwarty przegrał, a w piątym, który grał z niejakim Gézą Maróczym, zdarzyła się najgorsza rzecz, jaka może się na szachownicy zdarzyć.

– Pat – mówił ojciec. Na horyzoncie ukazywały się nowe budynki Buenos Aires, nieśmiałe konstrukcje bez szczytów. Ojciec mówił po polsku; Nick go rozumiał, a przynajmniej tak mu się wydawało. – Już miałem go matować, tego Maróczego, gdy nagle postawiłem hetmana w miejscu, w którym... w miejscu, w którym... Pat. – Nie dokończył zdania. – Najgorsza rzecz. Nic się nie da zrobić. Pat.

Nick zastanawiał się, czy spróbować to powiedzieć po polsku, ale wolał nie ryzykować. Przeszedł na rosyjski i słowa wypełniły jego usta miękkim brzmieniem, jak leniwy rój trzmieli.

– Nie rozumiem, dlaczego mi o tym opowiadasz.

Ojciec zatrzymał się tak gwałtownie, że nosek jego buta zakopał się w piachu.

– Bo to jest całe moje życie! – powiedział oburzonym tonem. Nick patrzył na jego twarz, niegdyś szczupłą, która tamtego wieczoru w Buenos Aires była tłustawa, nalana. Wykwitły na niej rumieńce, a duże oczy ojca pokryły się warstwą czegoś wilgotnego.

Mówił dalej:

– Na każdym turnieju przed zawodnikiem stawia się tabliczkę, przecież wiesz. Teraz jesteś „Nick Lewenstein, USA”, a ja jestem „Chaim Rawachoł, Pologne”.

Wtedy też tak było, ale wtedy nie było Polski. A jak się niektórzy domagali, żeby przed nimi stawiać tabliczkę z Polską! Winawer na przykład. W końcu dostawał: „Winawer, Warschau”. Albo Przepiórka, który nie chciał być „Przepiórka, Russland”. A ja? Ja nie chciałem być ani Russland, ani Polen. Chciałem być „Chaim Rawachoł, Chaim Rawachoł”. Wiesz, co ktoś dopisał na mojej tabliczce tamtego dnia, kiedy grałem z Maróczy? „Jude”. Żyd, jakbym nie mógł być nikim innym. Jakbym nie mógł nic zrobić. To jest właśnie pat.

Nick milczał, a ojciec ciągnął:

– Ta bezsilność, kiedy się nie da nic zrobić... – Nick poczuł podmuch chłodnego wiatru, który rozwiewał mu włosy. – Na przykład ojcostwo. Ono jest patem. Nie da się nie być ojcem dziecka, które już się urodziło, nawet gdy się go nie chce. Nie można sobie wybrać, że się odtąd nie będzie jego ojcem. To jest prawdziwy pat.

– To dlatego taki byłeś? Wtedy? – zaatakował Nick.

– Tak, dlatego.

Piasek na plaży w Buenos Aires brązował w kolorze nadchodzącego wieczoru; woda, która napływała na jego wilgotne hałdy, nie pienila się już tak chętnie jak godzinę wcześniej. Nic się nie da zrobić, pomyślał Nick. Spojrzał na swojego ojca. Nagle uświadomił sobie, jak stary człowiek idzie obok niego: Chaim Rawachoł miał sześćdziesiąt cztery lata, o dziewięć więcej niż Jack, kiedy umierał. Szedł powoli, jakby drobił kroki i je odliczał. Nic się nie da zrobić, znów przeszło mu przez głowę i przypomniał sobie, dlaczego zaczął grać po śmierci Jacka. Nie mógł wytrzymać tego, że nie czuje z racji tej śmierci żadnego żalu, żadnego bólu; jakby to, że umarł człowiek, którego nazwisko nosił, było mu zupełnie obojętne.

– Nie ciekawi cię, co robiłem, kiedy uciekłem? – spytał.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Dlaczego by mnie miało ciekawić?

– Nie ciekawi cię, jak wyglądało moje życie?

– To nie było życie, Niki. – Ojciec łagodnie się uśmiechnął i Nickowi wydawało się, że spostrzega w jego twarzy nieznaną życzliwość. – Obydwoj wybraliśmy coś zamiast życia: ja szachy, ty ucieczkę. Obejrzałem parę twoich partii. Pewnie mnie nie widziałeś, byłeś tak skupiony! Grasz dobrze. O wiele lepiej niż kiedyś. Ale wciąż grasz jak nakręcany robot. Jak turecki karzeł ukryty pod stołem.

Nick nie odpowiedział, chociaż te słowa były jak kopnięcie w brzuch. Doszli już do końca plaży. Wieńczyły ją olbrzymie, betonowe zabudowania portu;

z szarzejącej wody wynurzały się statki podobne do tego, którym dawno temu przyplłynął do Ameryki. Ojciec przystanął, Nick też przystanął. Chaim Rawachoł zmiął wargi, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć coś jeszcze.

I powiedział:

– Przypuszczam, że wiesz, co się wczoraj stało?

– Od dwóch dni nie czytałem gazet.

Ojciec powoli pokiwał głową, a potem mu opowiedział. Poprzedniego dnia rano do Polski weszły wojska Hitlera. Nick przypomniał sobie, co mówił o tym Hitlerze jeden z klientów Lewenstein Banku, ten, którego pieniądze inwestował, ten, który dorobił się fortuny w lataniu na samolotach. Kiedy mówił, że jeśli chodzi o Żydów, to pan Hitler ma całkowitą rację, po raz pierwszy w życiu Nick chciał odpowiedzieć, że i on jest Żydem. Jego klient się zreflektował i oznajmił, że takich jak Nick to oczywiście nie dotyczy. A teraz *back to business, Mr Lewenstein*.

– Niedługo pewnie zajmą Warszawę. Dlatego do niej wracam, teraz – oznajmił ojciec. Nick poczuł, że wnętrzności mu się skręcają, i spytał:

– Jak to: wracasz? Przecież wiesz, co oni robią.

– Tak, wiem. Alechin zażartował, że ten statek, którym tu przyplłynęliśmy, bardzo piękny, Piriapolis, to jest arka Noego. Ładnie powiedziane.

– Przecież możesz tu zostać. Tu albo...

Przez chwilę wahał się, czy powiedzieć: „Jedź ze mną”.

– Najdorf zamierza zostać – odezwał się ojciec. – Ja wracam.

– Po co?

Później wielokrotnie zastanawiał się, dlaczego ojciec nie powiedział nic o mamie, dlaczego powiedział tylko:

– Bo czasem jest tak, że i przy pacie da się coś zrobić. Można iść królem w miejsce, gdzie czeka go śmierć, tylko po to, żeby zrobić ruch. Żeby dokonać wyboru. Ale tego nie zrobi nakręcany robot, do tego... do tego potrzeba bigła.

Wyciągnął ku Nickowi dłoń. Bezwiednie, jakby ruchami jego ciała sterowały sznurki, za które pociągał ktoś inny, Nick podał mu swoją i chwilę tak stali na plaży w Buenos Aires, połączeni uściskiem. Nick patrzył w nieruchomą twarz swojego ojca, a potem – potem Chaim Rawachoł wysunął dłoń z dłoni Nicka i lekko się uśmiechnął.

– Widzimy się po raz ostatni.

Nie odpowiedział. Ojciec skinął głową i plażą ruszył w kierunku ulicy. Nad Buenos Aires zapadał zmierzch; Nick stał w brunatnym piasku i patrzył, jak ojciec znika za linią drzew, która oddzielała pas piachu od alei. Poruszył się

dopiero wówczas, gdy poczuł pierwszą kroplę deszczu rozpryskującą się na czole. Po chwili deszcz uderzał już bardzo mocno; ulewa wypełniała plażę w Buenos Aires błotem, zamazywała ślady, które Chaim Rawachoł zostawił na piasku. Nick zaczął biec. Kiedy w końcu znalazł się na ulicy, był już cały mokry. Zamachał na taksówkę; zatrzymała się, wsiadł i kazał się zawieźć na lotnisko prywatnych odrzutowców, gdzie stał samolot wyczarterowany przez bank Lewensteina.

Następnego dnia był już w Nowym Jorku.

Nigdy więcej nie zagrał w szachy; teraz, kiedy stoi w oknie apartamentu hotelu Borg i wygląda na biały od nocy Reykjavík, liczy, że za półtora miesiąca miną trzydzieści cztery lata tego jego niegrania. Teraz jest trzydziesty dzień lipca roku 1972 i na poranek następnego ma wyczarterowany samolot. Samoloty w ostatnich latach się zmieniły, są większe i szybsze. Przy wejściu na pokład wciąż jednak czekają na pasażerów gazety i Nick myśli, że wie, jakie będą nagłówki w jutrzejszych. Będą ogłaszały zwycięstwo Fischera nad Spasskim w Reykjavíku, zwycięstwo Fischera, nowego mistrza świata.

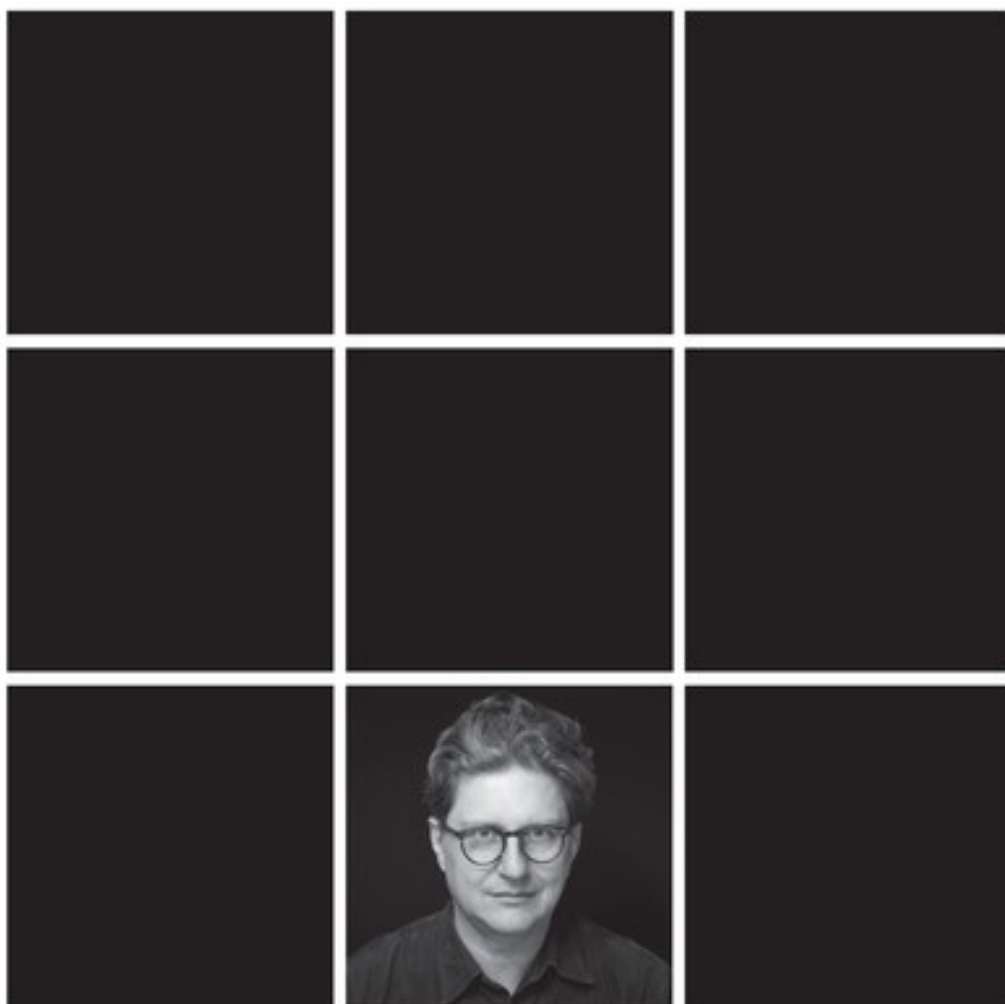
Wojna była dobrym czasem dla banku Lewensteina; inwestował w akcje firm zbrojeniowych i szybko udało mu się powiększyć kilkukrotnie to, co odziedziczył po Jacku. Wciąż chodził do Central Parku, ale nie po to, by grać w szachy; chodził po to, żeby oglądać, jak grają inni, i szukać ruchu, w którym byłby bigiel, w którym byłby dowcip, ruchu, którego na pewno nie zrobiłby turecki karzeł pod stołem. A gdy już znalazł szachistę, który wykonywał takie ruchy, z uwagą śledził jego karierę. Pięć lat temu, pamięta to – odkrył kogoś, kto biglem i dowcipem przewyższał wszystkich, których dotychczas widział. Nazywał się Robert Fischer, ale mówiono na niego „Bobby”.

Rzadko czytał książki szachowe. Raz znalazł jedną, w której analizowano olimpiadę w Buenos Aires; partii Lewenstein *versus* Alechin poświęcono trzy linijki, podsumowując jako jeszcze jedno zwycięstwo Alechina. Więcej, bo aż kilka stron, zajmowała analiza gier srebrnego medalisty tamtej olimpiady, niejakiego pana Chaima Rawachoła, 1875 – ?, data śmierci bliżej nieokreślona.

Teraz kładzie się spać. Kiedy jego głowa ląduje na poduszce, unosi dłonie i przykrywa sobie nimi twarz. Pod ich powierzchnią czuje pomarszczoną skórę. Wie, że w ostatnich latach upodobił się do niejakiego pana Chaima Rawachoła, 1875 – ?, data śmierci bliżej nieokreślona, że twarz ojca wkradła się w jego twarz jak nocny złodziej, który ukradł trochę skóry, by pozostała ciasniej opiąć na policzkach. Myśli o tym, że jutro na lotnisku być może spotka Fischera; może Fischer skieruje ku niemu głowę i zada pytanie, którego on sam boi się zadać, a gdy już ono padnie, Nick będzie znał odpowiedź.

Warszawa – Tel Awiw, grudzień 2016

Podczas Olimpiady Szachowej w Buenos Aires (trwającej od 21 sierpnia do 19 września 1939 roku) Polacy faktycznie zostali wicemistrzami. Srebrny medal za najlepiej rozegraną partię, który przyznałem w tym opowiadaniu Chaimowi Rawachowskiemu, otrzymał Mieczysław Najdorf. Najdorf nigdy nie wrócił do Polski: w 1944 roku otrzymał obywatelstwo Argentyny, a zmarł w Andaluzji w 1997 roku.



Michał
Cichy

MIEJSCE PRZY KUCHENCE

Z tyłu widziałem jego siwą głowę. Siedział na dyrektorskim obrotowym fotelu z wysokim oparciem, który kupiłem mu na siedemdziesiąte piąte urodziny, przy komputerze, który kupiłem mu na urodziny osiemdziesiąte, i godzinami kopiował z internetu obrazki przedstawiające czołgi i samoloty z drugiej wojny. Na przykład panzer III zdobyty latem 1942 roku w Egipcie przez nasz Pułk Ułanów Karpackich. Sandgelb, piaskowy kolor Afrika Korps, ale po bokach czerwono-biało-czerwone pasy oznaczające polską jednostkę. Zanim nasi ułani dostali angielski sprzęt, mieliśmy pluton zdobywczych niemieckich trójek. Mało znany fakt, ale ojciec miał na dysku swojego komputera setki mało znanych faktów.

Za plecami miał półkotapczan. Tak się to nazywało w nomenklaturze przemysłu meblarskiego Polski Ludowej z początku lat siedemdziesiątych. Był to rodzaj meblościanki, tylko że zawierającej składany do środka tapczan i dwa blaty, które można było rozstawić, kiedy tapczan był zamknięty. W górnej części tego mebla była witryna ze szklanymi półeczkami, a w niej stała setka plastikowych samolotów z drugiej wojny w skali 1:72 oraz, na osobnej półeczce, z pięćdziesiąt plastikowych czołgów. Z ruskich mieliśmy tylko T-34 i SU-85, z amerykańskich jedynie shermana, lee-granta i desantową amfibię, reszta to były czołgi niemieckie, od maleńkiego panzera I z czasów kampanii wrześniowej 39 roku, kiedy krzyże na pancerzach były białe, przez dwójkę, trójkę i czwórkę w wersji z krótkim i z długim działem, aż po pantery i tygrysy z najpiękniejszym czołgiem drugiej wojny, ogromnym königstigerem, tygrysem królewskim. Maleńka plastikowa Panzerarmee ojca. Prezenty niby były dla mnie, ale ja sklejałem samoloty, a on czołgi i to on był generałem tej armady.

Czuję wewnętrznym nosem ostry zapach humbrolu, farb do malowania modeli. Mikroskopijne puszcзки z deklami w kolorze danej farbki i z symbolem barwy. H23 – Duck Egg Blue. H34 – White, H65 – Aircraft Blue.

Od początku życia mieszkalem z nim razem w małym pokoju. Czasem nocą budziłem się i czekałem, aż usłyszę jego oddech. Teraz zawsze, kiedy słyszę chrapanie, uspokajam się. Zdaje mi się, że pamiętam, jak mnie kąpał w pomarańczowej waniencie, ale może mi się tylko tak wydaje, może zobaczyłem to kiedyś na zdjęciu. W każdym razie wśród ćwiczeń wewnętrznych, które na co dzień uprawiam, mam i takie, że wyobrażam sobie, jak złożone w kołyskę dłonie wielkie jak moje ciało podtrzymują mnie leżącego. Czuję wtedy zawsze przyplływ najgłębszego odprężenia, ufności i bezpieczeństwa.

Ojciec miał w domu dwa ulubione miejsca. Fotel przy komputerze w małym pokoju i taboret w kuchni, wciśnięty pomiędzy kuchenkę i ciąg szafek z blatem.

Szufladę kuchenki trudno było wyciągnąć, bo była ciężka od zgromadzonego w niej żelastwa. Obcęgi, kombinerki, klucze francuskie, hydrauliczna żabka, dziurkacz do skóry, szydła, śrubokręty, dłuta, pilniki, rozmaite piłki – grzbietnica, laubzega – do drewna i do metalu.

Był tam też kwadratowy kawałek czarnej stali dziesięć na dziesięć centymetrów, czternaście milimetrów grubości. Był sakramencko ciężki. Służył jako kowadło, kiedy trzeba było na przykład rozklepać nit przy pasku torby albo przy kieszeni moich dżinsów. Ta stal była pamiątką z wojny.

Ojciec urodził się w Poznaniu w 1930 roku. Kiedy wybuchła wojna, miał niecałe dziewięć lat. Kiedy skończył dwanaście, objął go przymus pracy. Ojciec trafił do niemieckich warsztatów samochodowych, gdzie pracował sześć dni w tygodniu po dwanaście godzin. Dzień powszedni okupacji w Kraju Warty był dotkliwszy niż w Generalnym Gubernatorstwie. Były pozamykane kościoły, zarekwirowane rowery, była niewolnicza praca i był głód, bo nie było w ogóle wolnego rynku żywności, żadnych targowisk czy zieleniaków, tylko nikłe racje na kartki.

W tych warsztatach ojciec remontował transportery opancerzone, hanomagi, i stamtąd wziął się ten kawałek czarnej stali grubości czternastu milimetrów. Dopiero ważąc go w rękę, wyobraziłem sobie, jaki ciężki był cały samochód pokryty takim pancerzem.

Oprócz tego żelastwa w szufladzie kuchenki były dwie pamiątki po Niemcach: okrągła oliwiarka i patentowy śrubokręt, który przekształcał nacisk na ruch obrotowy, z przełącznikiem służącym do przestawiania na odkręcanie albo przykręcanie. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że przecież za wyniesienie czegokolwiek z tych warsztatów groził ojcu obóz koncentracyjny. W szafkach kuchennych ojciec też trzymał swoje skarby. Granatowe płaskie puszki po herbatnikach Royal Dansk, które przywiozłem jeszcze w latach osiemdziesiątych z Holandii, zostały wypełnione śrubkami, gwoźdźmi, podkładkami i uszczelkami we wszelkich rozmiarach. W dolnej szufladzie szafki była lutownica i rozmaitości elektryczne w rodzaju gniazdek i włączników światła.

Ojciec był zatem gotów na wszelki możliwy wypadek. Zepsuty kran albo awaria spłuczki w kiblu dawały mu szansę skorzystać z tego arsenału. Wtedy jak chirurg wyjmował z szuflad instrumentarium i zabierał się do operacji.

Wiele razy wspominał kawałek szynki z ostatniego lata przed wojną. Dostali z bratem i siostrami po bułce z szynką, ale szynka była bardzo tłusta i ojciec po kryjomu wrzucił plasterek za kredens. Potem przez całą wojnę zaglądał w to miejsce, gdzie ślad po tłuszczu był cały czas widoczny na ścianie.

Czytał przez sześć lat okupacji *Makarego 730 obiadów wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy tudzież spizarni, sklepu i kuchni dla chorych, pieczenia ciast, robienia konfitur* itd., księgę kucharską wydaną na początku wieku przez Księgarnię Katolicką w Poznaniu. Czytał zamiast podręczników szkolnych, bo szkoły nie było. Czytał zamiast jeść.

Po latach lodówka w naszym mieszkaniu musiała być zawsze wypełniona. I codziennie wyjmowało się stamtąd psujące się żarcie. Na tak zwanych poprzednich szyneczkach korzystały moje kolejne psy. Wiedziałem, skąd się bierze ta potrzeba nadmiaru, i ogarniała mnie czułość dla małego głodnego chłopca zmuszonego do pracy ponad siły.

Kiedy byłem mały, za peerelu, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ojciec spędzał większość czasu na zydelku przy kuchence, wsłuchując się w audycje Wolnej Europy. Próbował coś usłyszeć poprzez jazgot zagłuszarek. Mieliśmy najlepsze radio do słuchania Wolnej, spidolę 252 produkcji łotewskiej, czyli w tamtym czasie radzieckiej. Spidola miała aż sześć zakresów fal krótkich, na których „dywersyjna rozgłośnia” nadawała swoje audycje. I przez fale zakłóceń przebijał się głos: „Tu Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, mówi Józef Ptaczek”. To był mój polityczny uniwersytet dzieciństwa.

Żeby przez zagłuszarki coś usłyszeć, ojciec nastawiał radio bardzo głośno i mama przychodziła często z dużego pokoju z protestami, że nawet za zamkniętymi drzwiami nie można od tego hałasu wytrzymać.

Tego königstigera dostałem na dziesiąte urodziny. Już tydzień wcześniej zacząłem po szkole, kiedy matki ani ojca nie było w domu, przeszukiwać wszystkie szafy, pawlacze i komody, i poznajdowałem prawie wszystkie pudełka z modelami, które ojciec przede mną ukrył. Było ich w tamtym roku aż kilkanaście, bo urodziny były okrągłe, a poza tym ojciec pojechał na sympozjum geologiczne do Hanoweru, rzadka okazja, żeby z peerelu wystawić nos na Zachód i kupić to, czego nie dało się kupić w Polsce.

W latach siedemdziesiątych modele produkowane przez zachodnie firmy, takie jak Airfix, Revell, Matchbox, Heller czy Monogram, dało się czasem kupić w Składnicy Harcerskiej przy ulicy Marszałkowskiej, magicznym miejscu, gdzie w witrynie można było podziwiać gigantyczną makietę świata wypełnionego jeżdżącymi elektrycznymi kolejkami, był tam nawet tunel we wnętrzu góry. W Składnicy były wyłącznie czołgi i samoloty alianckie. Tak samo zeszyty „Typy Broni i Uzbrojenia” (nr 1: czołg T-34, nr 2: kontrtorpedowiec „Burza”, nr 3: myśliwiec PZL P-24), które pieczołowicie zbieraliśmy, oraz kolorowe plansze ze schematami malowań ze „Skrzydlatej Polski” i czeskiego pisma „Letectví

a Kosmonautika”. Też dotyczyły wyłącznie aliantów, i to z pierwszeństwem dla Ruskich. A my, jak wszystkie dzieci i wszyscy ojcowie peerelu, najbardziej chcieliśmy mieć oczywiście samoloty i czołgi hitlerowskie.

Po hitlerowskie trzeba było przejechać przez całe miasto linią 116 aż na ulicę o dziwnej nazwie Wolumen, gdzie na targowisku pod gołym niebem można było kupić po cenie dziesięć razy większej niż w Składnicy wymarzone messerschmitty, focke-wulfy i junkersy od niejakiego Grubego Krzycha. Na tym Wolumenie wydawaliśmy miesiąc w miesiąc wszystkie pieniądze, które ojciec zarobił w swojej pracy jako urzędnik w Departamencie Surowców Centralnego Urzędu Geologii. Może dlatego nigdy nie mieliśmy samochodu. Mieliśmy za to armię pojazdów pancernych.

Samoloty jeździliśmy też oglądać na żywo. Jeździliśmy w Aleje Jerozolimskie do Muzeum Wojska Polskiego popatrzeć na stojące pod gołym niebem zielone bojowe jaki i iły, a czasem wybieraliśmy się na Okęcie podglądać startujące i lądujące samoloty pasażerskie. Był tam specjalny taras widokowy, na którym pełno było rodziców z dziećmi, wyjaśniających, który samolot to an-24, który ił-18, a który tu-134 albo wielki ił-62. Raz widzieliśmy nawet boeinga 707.

Wakacje spędzaliśmy zawsze na Helu. Z moim kolegą Czarkiem chodziliśmy do wydmowego lasu szukać naboji z drugiej wojny. Czasem się trafiły fosforowe, które można było wrzucić do ogniska i urządzić fajerwerki. Kiedy to wyszło na jaw, mama kategorycznie zabroniła mi kopać w tym lesie. A ojciec poczekał chwilę, aż zostaniemy sami, i powiedział: – Dopóki znajdujecie naboje karabinowe, to możecie kopać. Musicie przestać, jak znajdziecie coś wybuchowego, granat moździerzowy albo pocisk armatni.

Wtedy pierwszy raz poczułem, że ktoś potraktował mnie jak dorosłego.

Po wojnie jako gimnazjalista ojciec zaczął trenować boks w Warcie Poznań. Kiedyś cała sekcja została przymuszona do pójścia na masówkę pod gmachem Opery, gdzie witano przybyłego z Belgii komunistycznego działacza młodzieżowego. Działacz nazywał się Zdzisław Piś i tłum skandował jego nazwisko. Ojciec hasło zmodyfikował i zaczął skandować: „Piździsław! Piździsław!”. Do żartu dołączyli się stojący obok chłopcy i wtedy grupa ZWM-owców zaczęła się przepychać przez tłum, żeby zatrzymać tak zwanych w ówczesnym języku prowodyrów.

Ale nie wiedzieli, że próbowali zdrzeć z sekcją bokserską.

– Tylko okrągłe czapki toczyły się po schodach Opery – wspominał ojciec.

Do boksu miał talent i trener szykował go do mistrzostw Polski. Pewnego dnia ojciec walczył z przeciwnikiem, który już w drugiej rundzie został zamroczony, ale sędzia nie chciał skończyć walki. Groził ciężki nokaut. Sala krzyczała: „Zabij chuja!”. Ojciec zastanowił się przez chwilę i zszedł z ringu raz na zawsze.

Kiedy miałem siedem lat, pokłóciłem się w szatni szkolnej z kolegą. Zaczęliśmy się bić i w pewnej chwili uderzyłem go prawym hakiem w splot słoneczny. Wojtek padł na podłogę i zaczął wić się z bólu. A ja od tamtego dnia nigdy nikogo więcej nie uderzyłem, chociaż byłem jeszcze w szkole niejedną raz bity.

Po osiemdziesiątce ojciec zaczął się powoli robić przezroczysty. Jakby stawało się go coraz mniej. Rozmowy robiły się coraz krótsze. Coraz trudniej było mu wyjść z koleiny narzekań, obojętne – na hałas motocyklistów, na głośną muzykę w bloku obok, na propagandę prawicy. Przez lata jeździł autobusami na dalekie wyprawy handlowe po mieście, potrafił pojechać do hipermarketu na kresach miasta po parę skarpetek, a teraz musiał to stopniowo ograniczać. Zaczęły mu puchnąć nogi. Smarował je emulsją ze srebrem, żeby nie zrobiły się otwarte rany, które przy jego cukrzycy mogły być groźne dla życia.

W niedzielę jeździłem do rodziców na obiady. I przy którymś z obiadów zacząłem z nimi rozmawiać o śmierci i pogrzebie. Ustaliliśmy, że kupimy grób na podmiejskim cmentarzu, gdzie jest już pochowana babcia, a potem rozmawialiśmy o tym, jaki urządzić pogrzeb. Mama chciała świecki i powiedziała, że na pogrzebie koleżanki bardzo jej się spodobał mistrz ceremonii, mężczyzna w todze wyglądający jak pastor. I wtedy ojciec powiedział:

– A ja chciałbym, żeby mój pogrzeb odbył się w zupełnej ciszy.

Na początku listopada 2013 roku skończył osiemdziesiąt trzy lata. Dwa tygodnie później zawiozłem go samochodem na Wolę na wizytę u znanego profesora internisty. Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu, bo wszystkie dozwolone pod tamtym blokiem były zajęte. A nie mogliśmy iść daleko. Kiedy weszliśmy na klatkę, przekonaliśmy się, że gabinet jest na bardzo wysokim pierwszym piętrze. Nie było windy, tylko długi bieg schodów. Ojcu zadrżał podbródek, o mało się nie rozplakał. – Tatusi, powoli wejdziemy, będę cię trzymał – powiedziałem.

Wspięliśmy się. W gabinecie ojciec miał się położyć na leżance do badania. Ukląknę u jego stóp, żeby zdjąć mu z tych spuchniętych nóg buty. I wtedy poczułem, że to on został moim dzieckiem na ten swój ostatni czas na ziemi i że

jestem mu wdzięczny, że daje mi czas na spokojne oswojenie się z jego odejściem.

Wróciliśmy. W domu mieliśmy do pokonania jeszcze więcej schodów, na drugie piętro. Weszliśmy na raty. Ojciec usiadł w przedpokoju na skrzynce na buty i poprosił, żeby nie zamykać drzwi. Przez długich pięć minut próbował złapać oddech.

Profesor zakazał ojcu solić potrawy. I nogi rzeczywiście się poprawiły, ale jemu bez tej soli zupełnie przestało smakować życie. Nie skarżył się, bo nie miał już siły się skarżyć. Mało co jadł. Siedział bez ruchu, patrzył w nicość i milczał.

Spędziliśmy razem Wigilię. Na Wigilię daliśmy mu z mamą dyspensę na sól, ale wcale go to nie ucieszyło. Cieszyć się też już nie miał siły.

Któregoś dnia na początku stycznia zadzwoniła mama, że ojciec po powrocie z jakiegoś wyjścia zsunął się ze skrzynki w przedpokoju i nie miał siły wstać. Na szczęście schodami przechodzili sąsiedzi i podnieśli ojca z podłogi.

Jednego z następnych dni ojciec poprosił mamę, żeby wezwała pogotowie.

Pojechałem do niego do szpitala. Wyłożony szarą wykładziną korytarz świecił zimnym światłem jarzeniówek. We wszystkich salach leżeli starzy ludzie. Śmierdziało gównem, odkażaczem i żarciem.

Siedział na łóżku i patrzył niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Wykryli mu migotanie przedsionków, ale ani metoprolol, ani amiodaron nie mogły go wyregulować. Wykryli też ślad po ukrytym zawale.

Zachrypł i prawie stracił głos. Zadzwoniłem do Poznania do jego starszego brata Hirka, żeby jeszcze mogli ze sobą porozmawiać. Wiedziałem, że to już ostatni raz. Nie wiem, czy ojciec wiedział. W samej rozmowie nie było nic wyjątkowego. Obaj opowiedzieli sobie, co im dolega, ojcu chrypa i duszności, Hirkowi kolana, powiedzieli sobie „cześć” i ojciec oddał mi telefon.

Zobaczyłem, że na szpitalnej szafce leżą niezjedzone kanapki z jego ukochanymi poznańskimi wędlinami, wątrobianką i metką, które zrobiłem mu w poprzednich dniach. Zabrałem je i wyrzuciłem do kosza na korytarzu.

Następnego dnia, kiedy przyszedłem, ojciec powiedział mi:

– Złąłem się.

Wziąłem z korytarza niebieski worek na śmieci i zapakowałem tam pizamę do wyprania.

Siedział w szpitalu prawie dwa tygodnie. Migotania przedsionków nie udało się opanować. Wypisali go we wtorek. Przyjechałem do rodziców w czwartek.

Ojciec siedział na swoim miejscu przy kuchence i powoli jadł ryż z dżemem porzeczkowym. Kiedy się zegnaliśmy, podszedłem i pocałowałem go.

– No, morda – powiedział. Na więcej nie miał już siły.

W niedzielę zadzwoniła mama. Powiedziała, że ojciec upadł w kuchni i nie ma siły się podnieść. Miałem na talerzu świeżo ugotowany makaron z pomidorowym sosem. Powiedziałem jej, że jak tylko zjem, wsiądę do samochodu i przyjadę. Myślałem, że ktoś z sąsiadów znowu mu pomoże.

Zjadłem do końca, przyjechałem i zajrzałem do kuchni. Ojciec leżał na boku. Widziałem, że się nie rusza, ale jeszcze do przyjazdu pogotowia wszystko było jakby niedokonane.

– Proszę pana – powiedział sanitariusz – ten pan nie żyje.

Mama zapłakała krótko.

– Mamo – powiedziałem jej – zobacz, tatuś umarł we własnej kuchni, u siebie w domu, zamiast tam, w szpitalu. Umarł szybko, nie męczył się. Zdążył nas przygotować przez te ostatnie tygodnie. To było najlepsze, co się mogło stać.

Musiałem go jeszcze zidentyfikować w chłodni domu pogrzebowego. Miał otwarte mętne oczy. Nie zamknąłem mu ich, póki był na to czas, bo to była moja pierwsza śmierć.

Potem patrzyłem, jak trumna wjeżdża do pieca w krematorium. Wyszedłem na dwór. Było zimno. Z komina nie unosił się dym.

Pogrzebaliśmy miedzianą puszkę, do której wsypano prochy. Szczerze mówiąc, wyglądało to niepoważnie, jakbyśmy chowali świnkę morską albo inne małe zwierzątko. Po prostu nie kojarzyło się to z człowiekiem i jego postacią, jego wymiarami. Zacząłem się zastanawiać, czy samemu nie kazać się jednak pochować w trumnie.

W nekrologu zaznaczyliśmy, że ojciec zażyczył sobie ciszy podczas pogrzebu. Ale Mańka, jego dawna koleżanka z pracy, i tak podeszła do grobu i odmówiła „Ojciec nasz”, „Zdrowaś Maria” i „Wieczne odpoczywanie”.

Cisza jest trudną sztuką.

Dziwne, ale nie czułem braku. I tak w ostatnich miesiącach było z nim coraz mniej kontaktu. Czasem tylko łapię się na tym, że chcę do niego zadzwonić, kiedy zapowiada się jakaś fajna walka bokserska.

– Słuchaj, Manny Pacquiao ma się łąć z Floydem Mayweatherem.

Plastikowego königstigera przywiozłem do siebie i postawiłem na regale z muzyką, przy płytach z Józefem Haydnem.

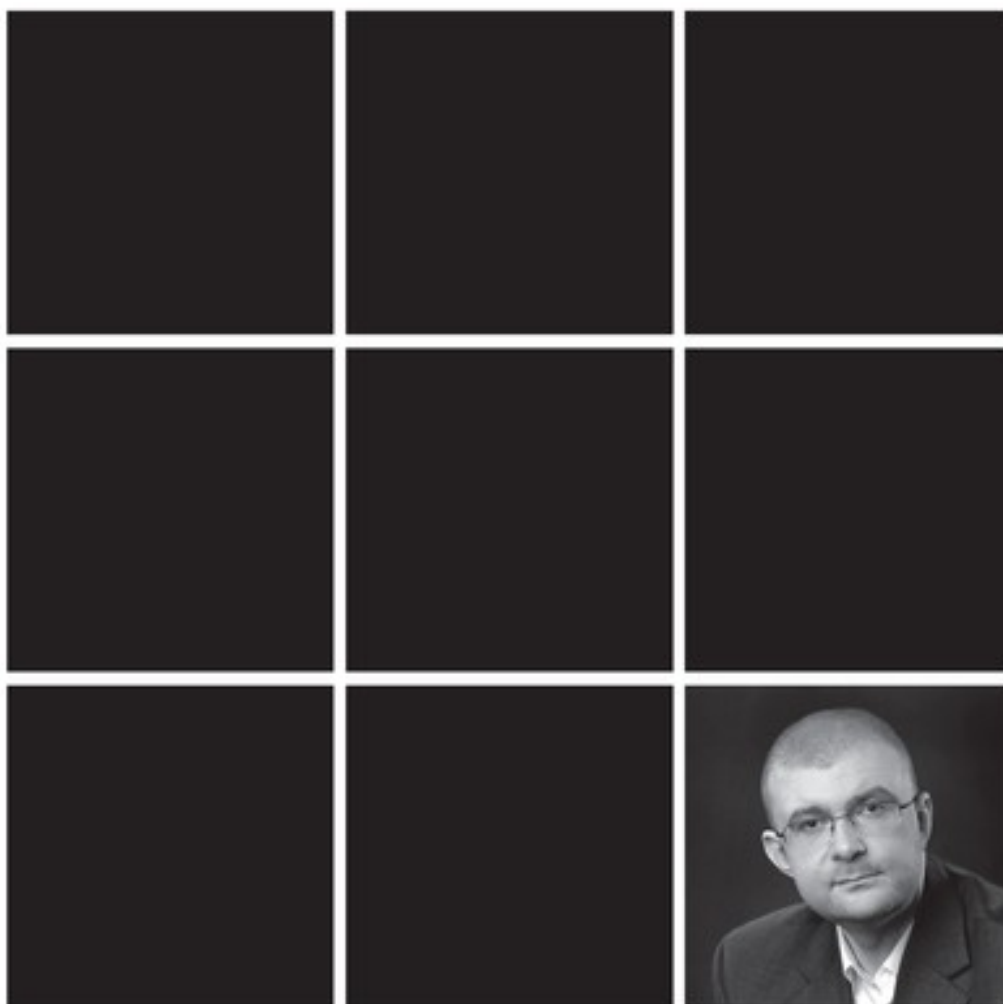
Myślę o tym, kiedy był szczęśliwy. Kiedy w pierwsze wojenne wakacje, nie całkiem dziesięcioletni, jeszcze przed tym, zanim go objął niemiecki obowiązek pracy, siedział u babci w gospodarstwie we wsi Gorzyce koło Miłosławia. Gdzie wszystkie psy pasterskie miały na imię Turek. Gdzie nauczył się od wiejskich chłopców, jak się pływa na świni. Trzeba jedną ręką chwycić za uszy, a drugą za ogon. I do stawu.

Pierwsze pół roku po jego śmierci przeżyłem zdystansowany, aż sam się dziwiłem. A potem zaczął mi się śnić. I od tej pory śni mi się prawie każdej nocy. Nie jako aktor w sennych scenach, tylko jako towarzysz, postać równoległa, wsparcie.

Ostatniej nocy szliśmy razem przez podwórka otoczone płotami z siatki, szukając drogi na skróty do czegoś, co w tym śnie miało być rynkiem w Katowicach. Nie wyglądało to w ogóle na Katowice, zabudowa była parterowa i wiejska, ale we śnie uczucia są spotęgowane i okoliczności takie jak miejsce też wydają się tak pewne, jak nic na jawnym świecie. Szliśmy przez te podwórka i któraś z bram wreszcie okazała się zamknięta.

Każdej nocy śnią mi się kilometry snów i część z tych kilometrów przechodzę z nim u boku. Ma w tych snach siwą głowę, ale jest sobą z czasów, kiedy był jeszcze pełen energii i siły. Dzięki tym snom także na jawie czuję jego obecność, podobnie jak wtedy, kiedy był jeszcze na świecie.

Czasem we śnie nachodzi mnie myśl, że on przecież umarł i ja śnię, a on w tym śnie znowu żyje. Chcę jak najbardziej przedłużyć ten stan, ale zawsze się wtedy budzę gwałtownie, jakbym wypłynął z głębokiej wody na powierzchnię.



Jacek
Dukaj

VTRKO

Mej s'rditji naš snove a mej s'rditji vtrka naš.

Republika Trska leży u wschodniego wybrzeża Adriatyku, wciśnięta boleśnie pod kalcytowe kłyckie Gór Dynarskich, podczas gdy od dołu wgryzają się w jej szczeciniaste brzuch niezluczone fiordy, półksiężycowe zatoczki jak ząbki trytona, a i kilka długich serpentów godnych Boki Kotorskiej. Widziane spod chmur przypominają ujścia rzek zagubionych między przeredzonymi drzewostanami żeber Trskiej, starcze rozstępy działu wodnego. Daniel Massny przyciska skroń do okienka samolotu. Pas wrzyna się mu w wątrobę. Lufthansa przeciwko ludzkości, ludzkość cierpi w milczeniu. W ostatnim zakręcie ku płycie lotniska Zaproču, kładąc się baletowo na lewe skrzydło, obławaty embraer odsłania przed Danielem i dwoma tuzinami pasażerów na bakburtce całą tę jesienną panoramę zimnobłękitnego morza upstrzonego impresjonistycznymi plamkami okrętów, jachtów, żaglówek, a w finale zakrętu – panoramę rozrzuconej między długimi grzbietami wzgórz eklektycznej zabudowy cesarskiego miasta: od szarych murów fortecy portowej do brunatnych labiryntów blokowisk komunistycznej szczęśliwości, co ciągną się aż po horyzont, domino za dominem, na południe i na północ od stolicy obłąkanych tyranów i świątobliwych korsarzy.

Business or pleasure? Oh, if I only knew! Na lotnisku czeka na Daniela kierowca z kancelarii Hamski & Trbač, koślawy drab wbity w pogrzebowy garnitur, z lustrzanymi ray-banami na kobylej twarzy. Pod kobyły brodą – karton po pizzy z pociągniętymi czerwonym mazakiem kulfonami: D. MASNI. Daniel przedstawia się ostrożnie, literując swoje nazwisko; równie ostrożnie ścisną kościste łapsko wyższego o głowę Trskicza. Po czym okazuje się, że tubylec po angielsku nie mówi i przez następną godzinę będzie musiała Danielowi wystarczyć kontemplacja akwarelowych pejzaży. Rozpuszczają się łzawo na szybach samochodu, rozłożystego mercedesa, model sprzed dwóch generacji, lecz ze wszystkimi bajerami i luksusami. Maleńki telewizor szczebiocze po trsku; Daniel wyłącza go jeszcze na obwodnicy. Gdzieś pomiędzy podmiejskimi osiedlami betonu i drewnianych domków skansenowych a właściwym Zapročem utykają w korku. Daniel zapada się w swój telefon, usiłuje przeliczyć koszty roamingu i doładować lokalne mapy, sygnał pojawia się i zanika, mżawka przechodzi w regularny deszcz i gdy miasto do reszty rozmywa się za oknami mercedesa, od Lany przychodzi poranny ememes (w Tulsie jest dopiero dziesiąta). Zdjęcie radośnie żółtego stolca zwiniętego na dnie muszli w fikuśną spiralę. Pod cyklopowymi wieżami Twrdno Brožec, zablokowany na alei kocich łbów przez demonstrację polityczną o równie rozmytych hasłach i sztandarach,

Daniel szacuje w myśli sprawiedliwą cenę męsko-damskiej intymności. Ma czterdzieści sześć lat, awansował właśnie na starszego analityka w centrali drugiej największej firmy ubezpieczeniowej w stanie Oklahoma, uważa się za ponadprzeciętnie nieatrakcyjnego i nudnego mężczyznę, zarazem więc pogardza kobietami, które przyjęły pod swój dotyk i smak jego odrażającą cielesność, i zarazem nie w jego władzy jest powstrzymać się od okazywania im szczenięcej wdzięczności. Mijają fontannę z wyniosłym posągiem króla lub rycerza, obwieszoną zielonymi flagami szalami serpentynami. Tłum po drugiej stronie placu pali pomarańczowe flary, dym pełnie po kocich łbach, lśniących, perłowych. Drab w ray-banach bije pięścią w klakson. Daniel z namysłem komponuje esemesową odpowiedź dla Lany. POZDROWIENIA Z EUROPY! Wykrzyknik, ponieważ nie istnieją emotikony czyniące zadość jego emocjom.

Hotel New Excelsior wznosi się na końcu kolejnej ulicy o niewymawialnej nazwie sprasowanej do samych spółgłosek. Daniel odruchowo robi zdjęcie fasady budynku: imponującego tortu kolumnad, gzymsów jak balkonów, wieżyczek, krużganków. Boy hotelowy mierzy go podejrzliwym spojrzeniem. Boy również nadaje się na statystę do niskobudżetowego filmu gangsterskiego. Daniel bardzo powoli kalibruje tutejsze rejestry realu. *How long you'll be staying with us, mister Massny? I wish I knew.* Wszystko w tym hotelu wyrosło z niskiego budżetu – chcieli postawić dekorację zbytku i pompy, starczyło im na zakurzoną kolekcję atrap. Winda ma rozmiary klatki na słońce i taką też konstrukcję: pręty, kraty, dwustopowe wajchy. W korytarzach – czerwony chodnik, złożone kinkiety. Drzwi otwierają się na karty magnetyczne, niemniej zachowały ogromne żeliwne zamki z dziurkami na klucze wielkości lufy muszkietu. Pokój numer 517. Nareszcie Daniel zostaje sam. Siada na brzegu łóżka, usiadł, siedzi – ponowny rozruch zabierze mu z dziesięć minut. Miewa takie okresy zawieszenia między aktywnościami – kiedy ani obecność innych ludzi, ani konieczności życiowe (praca, rodzina, społeczeństwo) nie przymuszają go do robienia tego czy tamtego. Wówczas – nie robi nic. Terapeutka dopytuje się, o czym wtedy Daniel myśli. Daniel nie jest w stanie odpowiedzieć. Nie myśli o niczym. Przypuszcza, że na tym polega podstawowa przyjemność bycia wyłączonym. Przyjemność albo coś głębszego, bo wyłączony nie tylko nie myśli, ale i nie czuje, więc doznanie przyjemności i tak nadeszłoby potem. Pozostają głuche echa zwierzęcej fizjologii. Gdy w końcu z łóżka się podźwignął – podszedł do okna i spogląda w dół niewymawialnej ulicy, wzdłuż lesistego żebra miasta. Nad Zaproć zaciągają znad Adriatyku bigosowe chmurzyska. Drzy zmętniałe Słońce. Jest coś przeraźliwie

przygnębiającego w czystym zaduchu pokoi hotelowych. Jak dobrze się siedziało i nie myślało nie patrzyło nie żyło nie nie nie.

Następna poważniejsza praca mózgowa Daniela dotyczy trskich prostytutek. Skonsumowawszy dwudaniową kolację plus deser plus szklanicę ciemnego piwa trskiego, syty, ociężały, otępiały, rozpiera się przy stoliku excelsiorowej restauracji, luzując leniwie kołnierzyk i pasek. Narasta w nim poczucie, że te minuty pełni żołądka i pustki czaszki to jedyny jego raj na ziemi; jednak w chwili gdy poczucie tężeje w myśl, gdy zaczyna się ogniskować i wyostrzać, Daniel nieodmiennie spada z rajskich błogości na padół logiki i statystyki. Dzisiaj bezpośrednią przyczyną upadku człowieka będzie piękno lokalnych kurew. Siedzą dwie przy barze, po drugiej stronie restauracji. Daniel dostrzega ich anorektyczną elegancję, skupia wzrok na sztyletowych obcasach ich pantofli o jadowicie czerwonych podniebieniach, przypomina sobie kurs juty wobec dolara, i już, i marność wszystko marność, i upadł. Stosunek Daniela do instytucji płatnej miłości przeszedł przez lata skomplikowaną ewolucję. Obecnie jedyne nierządnicę, którym jest w stanie zapłacić, spojrzeć w oczy i nie zapaść się przy tym w bagna samoponizena – to te kurwy najpodlejszego sortu ulicznego, recyklowane ze śmietników dziwki-prawdziwki, których prawdy sponiewieranego żywota nie przesłoni żaden makijaż peruka kiecka. Albowiem tylko wobec nich Daniel czuje, iż bilans wdzięczności i pogardy przeważa wciąż jego szalę, że to on się nad nimi pochyla. Bogowie kursów walutowych i geopolityki tak jednak skreśli tory przemysłu erotycznego, że tu, w Republice Trskiej, prostytutki afiliowane w westybulach i barach hoteli klasy zdegradowanego New Excelsioru odpowiadają najwyższym eszelonom *escorts* z amerykańskich Hiltonów i Four Seasons. Daniel napina się w sobie. Stać go! I potem dniami i nocami będzie sobie powtarzał: było mnie stać, mogłem, chciałem. (Nie chciał). Napięty, ściśnięty. Brunetka po lewej zakłada nogę na nogę. Blondynka po prawej wstaje. Stoi. Daniel nie może już nawet ująć ze sceny bez szkody dla ego. Złośliwi bogowie genów i hormonów, skazawszy go na pięć stóp i cztery cale wzrostu, pozbawili Daniela radości z najpospolitszego fetyszu kobiecości: wysokich obcasów. Każda na obcasach spogląda na niego jak na szczura w rynsztoku. Póki siedzi, nie zdradza się. Ale żeby wrócić do siebie do pokoju, musi przejść z restauracji do lobby i nie ma takiej choreografii, w której uniknąłby wówczas ujrzenia się w jednym kadrze z panną nierządną na obcasach. A najgorsze jest to, że – upadłszy, myślący, rachujący – ma już teraz ten obraz w głowie, nie przechodząc, nie patrząc, ma już szczura.

11.24 PM: wreszcie dociera do numeru 517. Wychodzi z windy na splewiałą czerwień chodnika i mówi do siebie na głos. Umie naśladować tembr i frazę Homera Simpsona, to go ratuje. Korytarz jest pusty, tylko przed progiem jego pokoju ktoś zostawił na podłodze miseczkę z owocami. Daniel schyla się i widzi: to nie owoce, to orzechy, w skorupach, duże, krągłe, ciemne, włochate. Lekko wilgotne. Podarunek od hotelu? Ale dlaczego na zewnątrz, i dlaczego orzechy, i dlaczego dopiero w nocy? Kładzie je na stoliku przed telewizorem. Nie dają mu spokoju. Liczy je. Dwanaście. Próbuje rozłupać. Zbyt twarde. Robi im zdjęcie. Po pierwszej trzydziści nie wytrzymuje i dzwoni na recepcję. Recepcjonista jest już śpiący albo po prostu nie rozumie angielszczyzny pytania; w końcu obiecuje dostarczyć mister Massny'emu orzechy zaraz z rana. Daniel poddaje się. Kończą mu się wymówki, nawet *jetlag* nie zmógł potwora, Daniel będzie musiał zmierzyć się z nocą, to znaczy ze snem, zmierzyć się sam, *mano a monstro*. Odlicza sobie pastylki (ma ich cztery różne rodzaje, to też rytuał), popija wodą mineralną, kładzie się na wznak, wyczekując pierwszego sygnału pomyślnej inwazji chemii w organizm: delikatnego odrętwienia skóry przedramion, gumowej masywności karku. Nie słycać miasta na piątym piętrze New Excelsioru, tylko szum-świs wiatru. Zamykając oczy, Daniel notuje sobie ten niespodziewany dar od losu na finał pierwszego dnia w Trskiej. Kiedy ostatnio zasypiałem do muzyki prawdziwego wiatru? Nie z telewizora, nie z pliku, lecz zza okien, z przyrody. Pozdrowienia z Europy! Król marmurowy w zielonych wstęgach, w pomarańczowych dymach. Stać mnie. I dwanaście orzechów. Puk-puk, puk-puk-puk.

Zwleka się z łóżka. Wciąga za duży płaszcz kąpielowy frotté, upuszczając frotté pasek, pukanie nie ustaje, i drepcze Daniel do drzwi, zagarniając poły ręką jak z plastiku, i dopiero stanąwszy w progu, orientuje się, że włożył płaszcz na lewą stronę. Walcząc z zawrotami głowy. *I am sorry*, deklamuje mu w czoło szlachetnie ogorzały starzec miliona zmarszczek, *I am sorry*. Po czym wyjmując z kieszeni sztruksowej marynarki kartkę papieru w kratkę i odczytuje chrapliwym szeptem, w podniosłym napięciu, z nerwową zadyszką. Daniel walczy, by skupić się na tej jawie i zapamiętać coś z fonetycznie komponowanej angielszczyzny tyczkowatego matuzalema. *With utmost respect* – czy on ma lewe oko szklane? – *this long suffering country* – palce żółte i brązowe od nikotyny i plam wątrobowych – *demand blood* – tak, szkło nie oko – *surely recognize rights to* – musi być leworęczny, nie dogolił się po lewej stronie indyczego podgardla – *the legacy of sorrow* – jak długo on tak jeszcze? – *and people will pay you back with honour and gratitude*. Niczym automat, który wykonał zadanie, nie rozumiejąc

jego celu ni treści, starzec Szklane Oko składa kartkę w dwa cztery osiem, chowa ją z powrotem do kieszeni, kłania się sztywno i wycofuje ku windzie. Do końca się nie odwróciwszy; kroczy tyłem. Daniel patrzy na starca, niedobudzony, chwiejący się w odrzwiach, cały plastikowy; starzec patrzy na Daniela. Tylko jego atrapowe oko mruga. Przed wejściem do windy wykonuje jeszcze jakby salut – trzęsącą się lewicą. Zatrząskuje się klatka, Daniel wraca do łóżka, pada, zasypia, śpi.

Odbierający go po śniadaniu kancelaryjny drab w ray-banach wdał się w barytonowe pogaduszki z portierem przy wyspie recepcji. Na widok Daniela portier piękny blondas unosi oburącz nad czuprynę gustowny koszyczek przewiązany czerwoną wstążką: poza kapłana z kielichem eucharystycznym. Drab szczerzy się do Daniela. *You like?* Więc nie kompletny niemota. *You like?* W koszyczku – orzechy. Daniel ignoruje jawnie szyderczą groteskę, to nie jego real. Wdział dzisiaj swój bardziej oficjalny garnitur, ten do spotkań z menadżerami szczebla regionalnego oraz na wizyty w centrali nowojorskiej. On najlepiej maskuje baryłkowaną figurę, a nawet dodaje Danielowi (tak żartuje Lana) „nobliwego sztywniactwa grabarza”. Daniel przywykł interpretować ironię Lany na swoją korzyść. Garnitur z Danielem w środku wsiada do mercedesa, tapicerka jest tego samego koloru, na ułamek sekundy błyskają w mózgu Daniela czerwone podstopia trskich prostytutek, potem już dobrze, potem wszystko garnitur.

Droga do siedziby kancelarii Hamski & Trbač omija główne aleje i atrakcje turystyczne Starego Miasta; jadą wzdłuż wybrzeża, przeskakując po kamiennych mostach trzy fiordy lub rzeki, okrążając z daleka nie do końca odrestaurowane mury jednej z fortec portowych, tysiąclecie po tysiącleciu broniących Zaproć przed piratami, krzyżowcami, poganami, sąsiadami, kuzynami. Zatrzymują się w nabrzeżnej dzielnicy starych składów celnych i hal maszynowych przerobionych na lofty i nowoczesne kompleksy biurowe. Kancelaria wynajmuje jedno z pięter w budynku dawnego arsenału – chyba że trski „Arsenal” znaczy jeszcze coś innego, nie można wykluczyć. Zachodnia jego ściana to obecnie wyłącznie szkło oraz miłe oczom starych ascetów wąskie zakosy nagiego metalu. Sekretarka lub asystentka mecenas Trbača prowadzi Daniela do sali konferencyjnej, ta sala ciągnie się przez ponad połowę skrzydła. Daniel wchodzi i widzi, na tle długiej dioramy szarego falochronu i sinoniebieskiego morza, dwa rzędy głów mężczyzn i kobiet, zwracających się ku niemu w synchronicznym ruchu, niczym łebki kolonii piesków stepowych w reklamie „National Geographic”. Jeśli statystyka stanowi formę religii, Daniel pierwszy przyzna się

do teofanii. Coś nadnaturalnego przemówiło tu do niego kompozycją banalnych składników rzeczywistości – co? kto? i o czym do niego mówi? A objawienie jest tak bezczelne, że w Danielu budzi się instynkt obronny i ręce się unoszą, by zasłonić twarz, oczy, świadomość. Garnitur bierze jednak górę. Marynarka zapanowała nad ramionami. Daniel siada w rogu długiego stołu. Nieznajomi, odkleiwszy od niego wzrok, wracają do przerwanych rozmów; tryl-szum trskiego wypełnia pomieszczenie. Daniel otwiera neseser, wyjmując notatnik, długopisy, wycisza komórkę. Splata dłonie w piramidkę. Weterani tysięcy korporacyjnych narad bliżsi są prawdziwemu duchowi zen niż niejeden mnich. Nawyk analityka ubezpieczeniowego nie pozwala mu wszakże w pełni oddać się boskiej bezmyślności. Dokoła onyksowego blatu siedzi trzydzieści dziewięć osób, dwudziestu czterech mężczyzn i piętnaście kobiet. Nikt młodszy niż trzydzieści lat. Większość zdradza odzieniem i cerą pochodzenie robotnicze, może nawet chłopskie; to już są kategorie społeczne i lifestyle'owe wyślizgujące się wrażliwości Daniela. Jeśli nie liczyć kościstej brunetki w kostiumie Diora, obmakijażowanej i opudrowanej niczym operowa diwa, ze wszystkich tu zebranych tylko Daniel wygląda na osobę z wiarygodnym interesem w korporacyjnej kancelarii prawnej. Zegar na północnej ścianie pokazuje 10.47. Po prawej ręce Daniela siada młodzieniec w džinsach i T-shircie z Obamą zrobionym na Samuela Jacksona z *Pulp fiction*. *I'm the tyranny of evil men*. Wyciąga rękę i przedstawia się dyszkantem (imię i nazwisko nie do wymówienia i nie do zapamiętania, lecz zero obcego akcentu). – Będę dla pana tłumaczył, pan nie zna trskiego, prawda? – Spojrzenie szeroko otwartych oczu Daniela – oto najlepsza odpowiedź na tak jawnie retoryczne pytanie. Jeden z podstarzałych rolników zapala papierosa; nikt nie protestuje. Daniel zezuje dyskretnie na Tyranię Złych Ludzi. Chłopak ma przedramiona w religijnych tatużach (krzyże, greckie litery, różaniec) i muskulaturę zapaśnika. Stażysta? Student prawa? Kuzyn Trbača? Goryl poliglota?

Wchodzi Trbač i dwaj akolici jego; powaga skomasowanych garniturów zabija konwersacje. – Dziękuję wszystkim za przybycie, mówi, spotkanie tylu osób, karkołomna logistyka, nie marnujmy czasu, proszę tylko o podpisanie standardowego zobowiązania do poufności, mówi. Proszę. – Tyrania Złych Ludzi szepcze rytmicznie do ucha Daniela, przygarbiony, skupiony. Danielowy formularz NDA jest po angielsku; Daniel szybko przebiega wzrokiem paragrafy, zna owe klauzule na pamięć, podpisuje, jakby kliknięciem akceptował regulamin strony internetowej. Podpisali wszyscy. – Nasza kancelaria występuje w tej sprawie jako wyznaczony przez Ministerstwo Skarbu i Ministerstwo

Sprawiedliwości Republiki Trskiej kurator majątku wyjątego uprzednio spod Kodeksu Cywilnego Republiki, mówi, jednakże po wstąpieniu do Unii Europejskiej Trska została zobowiązana do dostosowania swego porządku prawnego do standardów europejskich i do zadośćuczynienia poszkodowanym, dlatego, mówi, po ujawnieniu kolejnych źródeł inkryminowanego majątku podjęte zostały tak szeroko zakrojone działania. Mają państwo teraz przed sobą analizy porównawcze DNA przeprowadzone na nasze zamówienie przez renomowane laboratoria w Zaproču, Monachium i Lozannie. Proszę. Materiał bazowy pochodzi z licznych ekspozycji muzealnych oraz dowodów zgromadzonych przez Komisję Pamięci Republiki Trskiej, mówi, państwa DNA natomiast wzięliśmy z domeny publicznej, z Archiwów Gibraltarskich. Chce pan wody?

Pyta Tyrania Złych Ludzi, nie mecenas Trbač. Daniel zatchnął się; klęśnie i karleje w swoim garniturze. Wolał dotąd wierzyć, że zaproszenie, opłacony z góry przelot, hotel, kolejne oficjalne pisma od H&T – że wszystko to dotyczy w jakiś określony sposób jego pracy; zdarzyło mu się ongi zeznawać w farsowym procesie o kidnaping i szantaż na Florydzie, do dziś jest to jego najlepsza anegdota do wina i deseru. Teraz zaś widzi, że zawód nie ma tu nic do rzeczy, zawód to przypadek, iluzja statystyki czterdziestu życiorysów. Wiosną zdarzył się kolejny masowy *hacking* baz danych, po skandalach politycznych, podatkowych, copyrighowych, obyczajowych i szpiegowskich; tym razem wylało się morze plików z cyfrowymi mapami DNA osób indywidualnie i zbiorowo ubezpieczonych na życie lub zdrowie. Tak zwane Archiwa Gibraltarskie zgromadziły blisko miliard sygnatur genetycznych. W tej potrójnej analizie porównawczej, którą Daniel kartkuje wilgotnymi palcami, wykazano oto z 99,96-procentową pewnością relację ojcostwa łączącą DNA Daniela S. Massny'ego (odtąd nazywanego Potomkiem) i DNA Milovoia Strkovskiego (odtąd nazywanego Rodzicem). – *Who the fuck is Milovoi St-st-rrrrsss...* – Nie zdoła powtórzyć. Szeroko otwarte oczy Tyranii Złych Ludzi – tylko tyle w odpowiedzi, gdy na falochrony i spienione morze osuwają się grafitowe kurtyny i w sali konferencyjnej H&T zaczyna migotać i pulsować czarno-biała przeszłość Europy.

Mówi. Krążył swoją limuzyną o szybach z czarnego dymu po ulicach Zaproču, Zaproču i innych miast Trskiej, widywano te pancerne rolls-royce'y (zawsze rolls-royce'y) także na prowincji, krążył i przyglądał się życiu swego ludu, on, Ojciec Narodu, Vtrko Naccju. A gdy spostrzegł krzywe spojrzenie, gest gniewu Trskicza, bunt odwróconych pleców – wskazywał je Wieczornym Braciom i następnego ranka niewdzięczny obywatel zniknął z domu. A gdy spostrzegł lico

urodziwe, sylwetkę nimfią, nóżki sekswrózki – wskazywał Wieczornym Braciom tę piękność i następnego ranka upatrzona obywatelka zniknęła z domu. By pojawić się w jednym z pałaców władcy, zaproszona na „prywatną kolację z towarzyszem Strkovskim”. I czy mogła zaproszeniu odmówić? Czy więc on je gwałcił? A czy Zeus gwałcił upolowane z Olimpu śmiertelniczki? Cóż, nie zawsze. I tak samo nudziły się nowe zabawki ciała Strkovskiemu, nigdy zresztą nie zamierzał porzucać małżonki, Hariny; ani wywoływać skandali i zgorszenia w purytańskim areopagu Socjalistycznej Republiki Trskiej; ani dawać pretekstu Harinie do kolejnych operetkowych awantur, w których Ojciec i Matka Narodu rozbijali setki drogocennych kryształów i porcelan i palili do siebie nawzajem (niecelnie) z broni małego i dużego kalibru. Zaspokoiwszy żądze Strkovskiego, dziewczęta wracały z pałaców do domów, bogatsze o talony na lodówkę pralkę telewizor, awans w pracy albo dyplom *summa cum laude* z uczelni. Czasami zaś – bogatsze o coś więcej. Vtrko Naccju nie był wielkim fanem prezerwatyw. (Mówi). A Wieczorni Bracia strzegli porządku Republiki nie tylko gdy powodowani bezpośrednią komendą Prezydenta: tym bardziej mu niezbędni, im szybciej i celniej wyprzedzający jego życzenia i potrzeby. Nie mogli wszakże zabić dziecka Pierwszego Sekretarza – któż przewidzi, na kogo obróciłby on wówczas swój gniew? Ani zabić matki takiego dziecka. Mogli jedynie usuwać je natychmiast po urodzeniu poza wzrok i myśl rodzicielki, i wymazywać z rejestrów publicznych. Nawet wewnątrz STZ tę wiedzę wypalano kwasem, za dużą władzę dzierżyliby bowiem jej dysponenci – tak dużą, że równie dobrze od razu mogliby palnąć sobie w głowę. Służba Tržv Zstda posługiwała się pośrednikami, którzy nie mieli pojęcia, jakie właściwie zadania i dla kogo wykonują. Podrzucali noworodki do państwowych sierocińców na terenie całej Republiki Trskiej, a potem także sąsiednich demoludów; i nawet gdyby znali przypisywane im w sierocińcach imiona i nazwiska, to ginęły one razem z pośrednikami w wypadkach drogowych, w eksplozjach gazu, dziwnie fatalnych zatruciach salmonellą i gronkowcem złocistym. Komisja Pamięci dysponuje wyłącznie szacunkami skali. Uważa się, iż w trakcie swych niepodzielnych rządów w latach 1957–1989 Milovoi Strkovski spłodził od stu piętnastu do stu sześćdziesięciu nieprawych potomków. Ile w ogóle przeżyło, a ile obecnie nadal –

Czarno-biała przeszłość Europy przepływa przed oczyma Daniela niczym wyparte wspomnienia nocnych szaleństw wyławiane z odmętów porannego kaca. Jego to czyny? On to żył? Jemu się żyło? Na dobre ogłuszył go portret Strkovskiego pozdrawiającego z podniebnej trybuny pochód pierwszomajowy: pulchna dłoń uniesiona w salucie omalże rzymskim, dwa podbródki wysoko nad

mięśnistym węzłem krawata, zaciśnięte w siną linię usta pod ryżowym wąsem, i te absolutnie spokojne oczy z lekko opuszczonymi powiekami, oczy demiurga tak bezdyskusyjnie panującego nad rzeczywistością, że nawet nie musi on po temu wychylać się cały ze snu, wszyscy po trosze żyjemy w jego śnie. Daniel coś zapisuje; zdradzają go bezalfabetyczne bazgroły. Widzi tylko tę twarz. Strkovski Cezar komisarz kapłan. Potem – Strkovski z Chruszczowem, Strkovski z Brezniewem, z innymi figurami z komunistycznego panteonu, których Daniel nie kojarzy; Strkovski między nimi zawsze najniższy, wyprężony wojskowo, z głową wysoko, uchwycony w energicznym zamachu ręki, witającej wskazującej karcącej błogosławiącej. Nigdy nie posiwał – tylko linia włosów stopniowo cofała się mu ku potylicy, w miarę postępów zachodniego imperializmu i rejterady światowej rewolucji. Na filmie z Gorbaczowem (młodszym, gładszym, lepiej ubranym) bliźniacze łysiny oblaskują oblicza Pierwszych Sekretarzy. Vtrko Naccju uwielbiał także stroje militarne, występował często w mundurze generała wojsk pancernych: oto Vtrko na wieżyczce czołgu, a oto Vtrko w puchatym hełmofonie, a oto Vtrko strzelający z przerośniętej armaty T-72, rozpromieniony chłopięco. I jeszcze – Vtrko na sztandarach freskach muralach, na wysokościach kaplicy Sykstyńskiej; i jeszcze – Vtrko marmurowy, Vtrko brązowy, Vtrko spiżowy, spoglądający na swój lud z pomników wielkich i większych; i jeszcze – Vtrko dekorujący orderami pisarzy malarzy aktorów, a pisarze malarze aktorzy całują z szacunkiem bochenkową dłoń Ojca; i jeszcze – Vtrko w czarnym jak skóra ośmiornicy kombinezonie płetwonurka (hodował rekiny); i jeszcze – Vtrko niesiony na rękach tłumu pomiędzy rzędami wysokiej kolumnady –

Rozszarpali go na strzępy, mówi. (Tyrania Złych Ludzi zniża głos, jakby poczuwał się do złagodzenia tonu w imieniu mecenasa Trbača; ten pędzi przez najnowsza historię Trskiej z lekkością i gracją buldożera). Już po upadku muru berlińskiego, a jeszcze przed egzekucją Ceaușescu, w listopadzie 1989 roku do Pałacu Rzymskiego, wysoko na południowych tarasach Babadrča, wdarła się demonstracja robotników i studentów, tym razem, o dziwo, nie odbiwszy się od zakluczonych bram, zasieków milicji i wozów pancernych Złotej Gwardii. W pałacu pozostała Strkovskiemu służba i kilkunastu oficerów STZ. Strkovski, w mundurze pancerniaka, ale już kuśtykający o lasce i wyraźnie przygarbiony, wyszedł naprzeciwko tłumowi i, pośrodku Audytorium Iliriosa, pod słynnym freskiem Kadmosa i Harmonii, jął wygrażać demonstrantom tą laską (mówi) i wyklinać ich jako bluźnierców, ośmielających się podnosić rękę na ojca. Tłum zamarł, tłum się cofnął. Relacje różnią się w szczegółach, lecz nie ma wątpliwości, co następnie przydarzyło się starcowi – ciemna plama moczu

rozkwitła na generalskich spodniach moro. A on najwyraźniej nie był zupełnie tego świadom, nie poczuł, nadal wygrażał i kłął. Ale tłum, tłum zobaczył, tłum westchnął, i ruszył naprzód, i porwał Strkovskiego na ręce, i wyniósł na taras przed Pałacem i tam rozszarpał Ojca Narodu na strzępy. Harina Strkovska rzuciła się z urwiska. Včernji Brda rozpierzchli się po kraju; wyłapywano ich miesiącami, nie wyłapano do końca.

Liczbę zamęczonych, zamordowanych, zagłodzonych z bezpośredniego rozkazu Milovoia Strkovskiego Komisja Pamięci ustaliła na 17 412. Ogólna liczba ofiar terroru państwowego za czasów rządów Strkovskiego przekracza ćwierć miliona. O ile wiadomo, Strkovski nigdy nikogo nie zabił własnoręcznie. Nie miał legalnych dzieci; Harina była bezpłodna. Dzięki przeprowadzonym przez Strkovskiego czystkom etnicznym i religijnym Republika Trska jest jedynym państwem od Albanii do Słowenii, które po upadku komunizmu nie doświadczyło żadnej wojny domowej, przemocy międzysąsiedzkiej, wewnętrznych niepokojów. Podczas swoich trzydziestotrzechletnich rządów Milovoi Strkovski wraz z żoną zagrabili i wytransferowali poza granice kraju majątek przekraczający trzy miliardy dolarów, licząc wedle dzisiejszych parytetów nabywczych i indeksów inflacji.

Mecenas Trbač nareszcie wypowiedział magiczne słowa. Coś się zmienia w towarzystwie szeptanej zgrozy i duszonego śmiechu – Daniel bardziej słyszy te szepty i śmiechy niż widzi reakcje; nastrój wstydliwego napięcia przecieka wskroś języków i życiorysów. Garnitur rozluźnił uścisk na Danielu, skoro tylko padła suma. Teraz i on może się śmiać. Spogląda wzdłuż stołu, wzdłuż cienia. Podnoszą się kurtyny, szary blask chłodnego morza zaraz z powrotem zaleje tę międzynarodową konferencję bękartów. Więc ilu z nich nie jest obywatelami Republiki Trskiej? Oprócz Tyranii Złych Ludzi także młodszy asystent Trbača udziela się jako tłumacz – doszeptuje coś nieustannie mężczyźnie i kobiecie posadzonym po przeciwnej stronie stołu. Mężczyzna mruga porozumiewawczo do Daniela. Grube okulary, zarost, koszula w kratę, skąd przyjechał, z Mołdawii? Daniel kiwa głową. Garnitur nie garnitur, wszyscyśmy tu bracia i siostry, czyż nie? I szczerzą się do siebie nawzajem maniacko, a Tyrania Złych Ludzi wodzi tylko wzrokiem od jednego do drugiego, nie pojmując. Nie pojmując, że o żadnym pokrewieństwie nie może być mowy, że jedyne braterstwo tak prędko zadziergnięte jest braterstwem w chciwości – i stąd uniesienie, stąd wspólnota celu. Narastała groza, puchły we łbach obleśne tajemnice monochromu, a na koniec – na koniec chodzi o to, co zawsze: o liczbę zer na koncie. Daniel poprawia się na krześle, uczeń prymus wiercący się do pogładowej lekcji –

długopis w rękę, dyktafon w komórce, poznać niewolnika po desperacji, z jaką poszukuje zadania wyzwania funkcji. Unoszą się kurtyny, piana zimnego słońca wlewa się z szumem do akwariów Adriatyku, i tak jedna po drugiej wyłaniają się przed Danielem figury rodzinnego dramatu: jednoręki grubas brodacz, szarpiący się w nerwach z kurtką i portfelem, aż mu w szarpaninie odpada proteza, lewą ręką wydobywa więc z zagryzanego w żółtych zębiskach pugilaresu stare zdjęcie i podtyka tę popękana fotografię pod nos mecenasowi Trbačowi, i wymachuje tą fotografią, i warczy, i ślini się przez zgryz i portfel, a jego kikut czerwono-siny tłucze po blond ondulacji zażywną matronę, rozgilgotaną histerycznie na krześle obok, tłucze, tłucze, i w końcu zdziera tę perukową ondulację, i objawia się światu równie czerwono-siną glacia ponad wyskubanymi brwiami histeryczki gilgotniczki; ktoś krzyczy; ktoś rozlał na długim blacie kawę, czarna maź pełźnie powoli ku białym oazom papierów; inny poróżowiały rzodkiewkowo proletariusz-beczka rozdziera żółty polar i T-shirti prezentuje mecenasowi swą nagą pierś w pozie świętego Szczepana, dźgając się paluchami po żebrach i skandując trską rymowanek, od której trzeszczy Danielowi w bębenkach; siwy chuderlak o melancholijnej aparycji emerytowanego profesora romanistyki zwija po kolei wydruki kancelaryjne i wpycha je sobie w usta; obok ufarbowana na rudo kobieta, ani drgnąwszy, ani słowa wypowiedziawszy, płacze wytrwale, a tusz z oczu spływa jej po twarzy w upiornej parodii make-upu clowna; jeszcze inny bohater trskiej klasy robotniczej, polar plus sweter, łamie po kolei długopisy i ołówki i ciska ich szczapami w trzech prawników, od czasu do czasu przerywając dartsowy obstrzał, by pokazać trafionemu wyprostowany palec albo zgięte w łokciu ramię albo jęzor wywalony na brodę; drugi melancholijny inteligent starej Europy stanął wtem na baczność i wyśpiewuje chrapliwym barytonem – co? – hymn marsz elegię. *Slnje žve, trskje prdvnije, slbnje mre, trskje brda a s'tre!* Lub coś w podobnie kolczastych spółgłoskach. Ten pierwszy zaś przeżuł i przełknął ostatni wydruk analizy genealogicznej, i oto zbiera się mu na wymioty. Luzuje kołnierzyk, wytrzeszcza oczy, przełyka ślinę. Dama w naskalnym makijażu odsuwa się, zde gustowana. Mecenas Trbač wznosi ramiona w pojednawczym geście. Coś się zmieniło w towarzystwie, równie dobrze mógłby błogosławić ludożerców, staruch farmer dusi jeszcze starszego okularnika, para cudzoziemców wymienia w swoim języku (mołdawskim?) sportowe komentarze ponad głową tłumacza-asystenta, palacz nikotyny retro rechocze maniacko, a wszyscy pozostali cud-spadkobiercy bardzo szybko trskują do swoich komórek, odwróciwszy się plecami do stołu i prawników i papierów. Podpisaliście, woła jęczy błaga Trbač, nie możecie! Grubas brodacz jednoręki

wypluwa portfel, wygrzebuje z kieszeni spodni zapalniczkę i, przeżegnawszy się kikutem, podpala pamiątkowe zdjęcie oraz swoje NDA. Prąd klimatyzacji unosi rdzawe płyty spalenizny, w ten sposób zajmują się ogniem automatyczne kotary. Tyrania Złych Ludzi rzuca się po gaśnicę. Siedzący naprzeciw Daniela prawnik-translator dostał odłamkiem ołówka w policzek, różowa krew pryska na papeterię z logo H&T. Ciężkie kadzidlane wonie oplatają Daniela, ciężka od pierścieni dłoni spada na jego bark. To dama upiór pudru i szminki pochyliła się nad panem Massnym. – *Daddy issues* – mówi. – *Fancy a dynasty?* – Wówczas włączają się zraszacze i włącza się apokaliptyczna czkawka Daniela.

Wkrótce po odkryciu biologii kobiet Daniel Massny, czternastoletni i przedinternetowy, odkrył był śmierć. Nie miał wielu przyjaciół, ale miał wielu kolegów, *friends American style*, pozbawiony bowiem charyzmy i fizycznych talentów, którymi mógłby przyciągnąć do siebie dorodne rówieśnictwo, opanował sztukę opromieniowywania ludzi odbitym blaskiem ich narcystycznych wyobrażeń o nich samych, tak że podświadomie najpierw przyzwalali na jego obecność, a potem jej szukali. Stał się żywym amplifikatorem ich dobrego samopoczucia. Co z kolei pompowało jego własne samopoczucie. Czternastolatki pokoleń fejsbukowych mają tę regułę za podstawę każdej relacji międzyludzkiej, lecz dla Daniela było to drugie wielkie odkrycie, pomiędzy epifanią waginy i epifanią trupa. Że kolegów (przyjaciół) się robi; że można na zimno, z premedytacją, wedle jasnych i czystych reguł rozsnuć wokół koronkową sieć uczuć. I jeden z tych kolegów (*friends*) miał babkę. Nie mówiła ona słowa po angielsku – rodzina kolegi pochodziła z Armenii, długie nazwiska i długie nosy – i odkąd Daniel odwiedzał jego dom, ta babka umierała, umierała w *living roomie*, umierała na werandzie, umierała wygięta reumatycznie na ogromnej wyleniałej kanapie, którą przeciągnęli dla niej w cień podwórka (sceną dzieciństwa Daniela jest Whitewright w Teksasie), umierała przed telewizorem i na wysokim medycznym łóżku otoczonym arsenałem szpitalnego szkła i metalu. Nie wypuszczając spod ręki katalogu trumien, grubego i błyszczącego niczym biblia Ikei. Zamęczała gości, by prezentowali jej w nim swoje typy. Cmokała i krzywiła się nad tymi trumnami, i gaworzyła po armeńsku, i konferowała godzinami przez telefon na spiralnym kablu, zapewne z innymi umierającymi starszankami Armenkami, i tak oto Daniel wkręcił się w śmierć jako *lifestyle*. Po czym babcia umarła. Po czym kolega (*friend*) zdradził mu, że babka to jego, Daniela, życzyła sobie na pogrzebie, na mszy, na cmentarzu, przy trumnie. Odbita w oczach Daniela śmierć także wyraźnie zyskiwała na atrakcyjności.

Trzecia godzina błędnego spaceru po zimnych ulicach Zaproču. Dreszcze, kwas w ustach, lekkość głowy samotnego cudzoziemca. Strome uliczki wybrukowane rozpuchłymi drożdżowo kamieniami, podeszwy się ślizgają, ślizga się wzrok po średniowiecznych fasadach i szyldach--szyfrach. Autobusy z groteskowymi reklamami na bokach, autobusy z oknami zakratowanymi jak więzienia, autobusy o nieczytelnych grymasach masek i reflektorów. Plakaty reklamujące – koncerty? boks? fryzjerów? wystawy? filmy? kosmetyki? Koty podwórkowe przepływające w synchronicznych ławicach między nogami przechodniów, między kołami samochodów. Sprzedawcy lokalnych przysmaków pokrzykujący zza swoich kolorowych wózków na każdego, kto choć przelotnie spojrzy na ich tłuste mięso i tłuste słodycze. Dziewczęta na rowerach, mimo szczypiącej jesieni – wszystkie w króciuteńkich szortach dżinsowych. Szorstki zapach morza płynący ponad kanarkowożółtymi dachówkami i rozwichrzonymi grzywami pinii. Długie żyły sepiowego cementu przecinające miasto: Zaproč od częstych skurczów-rozkurczów górskich mięśni (trzy, cztery w skali Richtera) dorobił się żyłaków grubych na jardy, pęcznią pod skórą budynków, ulic, murów, schodów, puchną pod podeszwami twoich butów. Kamienny plac otoczony kafejkami i markizami, z cokołem zmiecionego przez historię pomnika, pod wieżą ciśnień z dwunastowiecznym arabskim zegarem wodnym; na tym cokole oparto drewniane rampy, trscy skateboardziści wywijają tu swoje karkołomne ekwilibrystyki. Wąsaci policjanci w mundurach jak z komedii Wesa Andersona, przechadzający się parami z miękką gracją wujków homoseksualistów. Głos starej kobiety muezzinujący z wysokich okien kamienicy: ciąg bolesnych charkotów i parsknięć. Dobrze jest wyprawić się na antypody swojskości. Nagle objawia ci się to, co ukryte pod językami kolorami stylami tradycjami: życie. Nie rozumiesz, co mówią, ale rozumiesz, że wyznają sobie miłość. Nie wiesz, kim są, ale wiesz, że łączą ich więzy krwi. Nie znasz ich historii, ale widzisz, że ktoś wita i ktoś jest witany. Koty spoglądają pytająco wielkimi ślepiami. Masz komórkę i GPS, jesteś bezpieczny.

Musiał się Daniel rozgrzać, poniosło go do piwnicy pod porośniętymi gęstym bluszczem murami, szyld wystający z rozszeptanej zieleni przemówił do jego telewizyjnej podświadomości: PUTIN'S PUB. Przełyka jedną setkę, drugą setkę, trzecią setkę. Nie zmókł tam w kancelarii, zdążył uciec, zanim garnitur przewilgotniał. Ale jesień trska uszczypnęła go w policzki, zapiszczała paznokciem po kościach, rozłzawiła oczy. Mruga. Nad barem w Putin's Pub wiszą dwie duże fotografie: Putin macho z obnażonym torsem na koniu na tle dzikiej przyrody i Strkovski na fali między płetwami grzbietowymi dwóch

rekinów. Daniel gapi się na nie, spocony, pocąc się teraz bardziej. Lekkość głowy bierze się właśnie z owego uczucia: w miejscu obcym i dziwnym przestajesz rozróżniać między wyjątkiem antropologicznym i naiwnym zdumieniem gościa. Otwiera się przed tobą przestwór nieskończonej względności, przestwór-roztwór, zaczynasz podejrzewać, że normalne jest wszystko; że jedyne możliwe zdziwienie to zdziwienie zdziwieniem. Reszta rozpuściła się w kwasie równomożliwości. Cudzoziemiec to najszczęśliwy patriota Homosapiensji. Barman przemawia głośno do Daniela, słowa dyskretnie sugerują znaczenie, znaczenie przecieka mimo słów. Że gość zamawia czwartą wódkę i wznosi wysoki toast do fotografii. Powraca czkawka. Podrzucany na stołku jej seryjnymi wybuchami, dzwoni Daniel do taty. W Blue Ridge jest siódma rano. Tato odbiera po czwartym sygnale. Halo? Tato? No co tam. Co tam. (Długie oddechy, pomruki, cisza w słuchawce, rodzina). Pogoda dobra. Zimno. A u ciebie. Co u ciebie. Bierzesz leki. Biorę, biorę. (Pomruki). Wdowa Fuentes znowu przerzuca śmieci przez ogrodzenie. Odpuść, nie warto. Ech. Kręgosłup boli nawet na tych twardych materacach, a o świcie tak głośno gwizdzą ptaki, nie da się spać, nie śpię już od trzech godzin. (Rodzina). Stopery do uszu. Tak, pamiętam o stoperach. No co tam w Europie. Zimno. Tato. Halo?

Spocony w pubie Putina. Scrolluje newsy z kraju. Chłodzi głowę w strumyku miło bezosobowych wiadomości z pracy, liczby, nazwiska, liczby liczby liczby. Podziwia anarchię myśli panującą na fejsie Lany, tu idee zjadają swój ogon i splatają się w ekologiczne pierścionki. Przyłączyła się do grupy *Suicide for Earth* i trolluje zwolenników kremowania zwłok. Bo która metoda śmierci i likwidacji trupa odciska na środowisku naturalnym najmniejszy *carbon footprint*? A może nie trolluje. Ironia Lany ma więcej warstw niż rosyjska cebula. One wszystkie – kobiety urodzone w bezcelowym komforcie Zachodu – patrzą na nas z wysokości wielkich mistrzyń nihilizmu, tylko ślepy nie rozpozna ich uśmiešku pośmiertnej obojętności... To luksusurwy na obcasach odbiły się Danielowi czkawką. Prawie się ześlizgnął, prawie spadł, ale nie, nie zejdzie z masztowego siedziska, tu ziszcza się jego college'owe marzenie: pić twardy alkohol na stołku przy barze nie machając przy tym przykrótkimi kończynami ponad niedosiężnym podnóżkiem, swobodnie dotykać stopami stalowej obręczy, łokciami – blatu, jak normalny mężczyzna, jak mężczyzna. Czy wszystkie sprzęty i wnętrza w Republice Trskiej przykrojono do rozmiaru Milovoia Strkovskiego? Słyszał o dziwniejszych kaprysach Stalina. Czy może Hitlera? Mylą się mu tyrani czarno-białej Europy. Oni jeden w drugiego byli *vertically challenged*, od Napoleona, jeśli nie od Juliusza Cezara. Wpatruje się w zdjęcie Ojca Narodu

między rekinem i rekinem z takim napięciem, że barman czuje się w obowiązku zagadnąć gościa ponad piątą wódką. Daniel włącza translatora na smartfonie, ale program słabo sobie radzi z trskim. – *But why do you keep his picture at all? – Strkovski’s? – St-ssss-krrr...* – Pochyleni głowa w głowę nad migotliwym ekranikiem, meandrują po wikipediach, apkach, mapach. Barman ma w małym palcu trasy turystyczne Zaproču. Dwie przecznice od Putin’s Pub Google Maps proponują popularną atrakcję historyczną, w google’owym angielskim: *sky Strkovski gods deadly palace*. Barman kiwa głową. – *St-ssss-krrr!* – Spocony, Daniel wychodzi. Zimno w Europie, zimno.

Dwie przecznice i nad przykurzonym drzewostanem parku koślawią się metalowe kratownice i pobłyskują słonecznie szpule stalowej liny. Daniel śledzi wzrokiem ruch wagonika po niebie. Zielone pudełko płynie ponad wschodnimi wzgórzami, przeskakuje szczyt Zapročowego żebra i zmierza ku dolomitowym zboczom Babadrča. Masyw górski nachyla się nad miastem niczym zazdrosna macocha nad kołyską, to zza niego co rano wykluwa się Słońce, to jego muszą omijać w ciasnym skręcie samoloty lądujące w stolicy. Biel, czerń, zieleń, takie są barwy Babadrča i takie są barwy Republiki Trskiej: śnieg pod błękitem, ciemne, brudne urwiska skalne, wodorostowe fale lasów podgórza. Daniel kupuje bilet, wsiada do wagonika zatłoczonego już mięsną masą wycieczkową, wycieczka połyka go, przełyka go i wydała w kął pudła z blachy i szkła. Ktoś kopie Daniela w goleń, ktoś mierzwi włosy, czyjś plecak policzkuje go plastikowymi sprzączkami. Turyści śmieją się, piszczą, krzyczą, trajkoczą. Daniel nie rozpoznaje duszącego języka – chyba dialekt Południa, coś jak portugalski. Nawet nie spostrzegł, kiedy oderwali się od stacji. Spogląda w dół, na dachy, drzewa, pola. Przyklejony mokrym czołem do zimnego szkła. Jedyne zrozumiałe słowo w gwarze nabręczającym klaustrofobiczny sześcian: *Strkovski Strkovski Strkovski*. Pod Danielem otworzyła się przepaść, pod Danielem otwarł się stujardowy przestwór dziwności. Ojczyzna-obczyzna wykalibrowana do zupełnie innego realu kołysze się na wietrze od horyzontu po horyzont.

Skalny taras, na którego przewieszzonej nad urwiskiem krawędzi zaimadłowała się górna stacja kolejki, pomieściłby dwa boiska NFL, a z boku jeszcze dałoby się postawić trybuny stadionu baseballa. Wiatr i Słońce rządzą tu w zgodnej tyranii. Turyści zakładają ciemne okulary, zawiązują szaliki. Daniel mruży oczy, chowa dłonie do kieszeni marynarki. Na stelazach wokół wiaty stacji łopoczą okładkami broszurowe przewodniki. Dostępne także w wersji angielskiej. *Augurium Ex Caelo, Forteca Vanosa i Pałac Zimowy Milovoia Strkovskiego. Miejsce pod zarządkiem Ministerstwa Kultury Narodowej Republiki Trskiej. Wpisane na listę*

światowego dziedzictwa UNESCO. Daniel kręci się na pięcie, usiłując się zorientować wedle planu z broszurki, wedle mapki google'owej na smartfonie i wedle skrzypiących na wietrze drogowskazów. Odchodzą stąd cztery trasy: serpentynowa droga w dół stoków Babadrča, łącząca się milę dalej z karkołomną autostradą wciętą w urwiska i przełęcz maszywu dynarskiego; strome schody w lewo, prowadzące na punkt widokowy z rotundową restauracją; ścieżka turystyczna na wprost, ku zabytkom średniowiecza i starożytności; oraz droga w prawo, przez bramę jak łuk tryumfalny, do Pałacu Zimowego AKA Pałacu Rzymskiego. Pionową skałę pod restauracją zdobi ogromny mural, nie mural, to mozaika, mozaika wykonana z różnokolorowych kapsli – dzieło Gustafa Numicki, *partyzanta sarajewskiego hip-hopu i założyciela Ruchu Wyzwolenia Gówniarzy*, „bałkańskiego Banksa”, *zastrelonego w 2010 roku w klubie nocnym na Ibizie w odwecie za wulgarny rap-pastisz patriotycznej poezji Radovana Karadžicia*. Mozaika przedstawia Vtrko Naccju jako Kubusia Puchatka brykającego ze Stumilowego Lasu pod łapkę z Tygrysiem-Tito, Prosiaczkiem-Ceaușescu i Kangurzycą-Žiwkowem; w górze polatuje Sowa-Brezniew, a zza krzaka wystaje smętny łeb Kłapouchego-Hodży. Pulchna fizjonomia Milovoia Strkovskiego osadzona na dwupiętrowym korpusie korpulentnego misia promienieje błogą życzliwością Dalajlamy po lobotomii. Przykrótką żółtą koszulkę Małego Rozumku ozdobił Numicko sierpem i młotem wmontowanymi w logo Intel Inside. Portugalscy turyści z rozkoszą fotografują się na tle monumentalnej mozaiki. Dotknięty geograficzno-estetycznym stuporem Daniel walczy, by ruszyć z miejsca. Został w tyle, stoi osobno pośrodku tarasu, i podbiegają do niego rozumienieni obcoziemcy, i proszą o pstryknięcie fotki, a on usłużnie kadruje ich w grupach i solo pod ramię z Kubusiem Strkovskim. Cierpliwie przeczekując napady czkawki. Na koniec zostaje na placu sam, w chwilowym oku cyklonu między kursami kolejki, między wycieczkami. W lewej ręce – broszura, w prawej ręce – smartfon. Zadziera głowę. Wiatr czesze włosy, słońce wsadza paznokcie w oczy, górskie ptaki wirują wokół zenitu czaszki. Z poziomu restauracji dobiegają trskie głosy, płacze dziecko, gra dżingiel Windowsów, ktoś cisnął przez balustradę widelcem, widelec podskakuje po skale tarasu, dźwięcząc kamertonowo, stopę, cztery, dziesięć stóp od Daniela. Daniel obraca się plecami do muralowej mozaiki, unosi prawą rękę i strzela sobie selfie, buźka w buźkę z Puchatkiem Naccju. Wyszczierzony. Spocony. Dziki.

W drugim tysiącleciu przed naszą erą pojawia się na północy Półwyspu Bałkańskiego lud nazwany potem przez Greków Ilirami, *Illyrioi*. Upada wielkie królestwo morskie Krety, wali się w ciemność cywilizacja mykeńska, i Ilirowie są

jednymi z głównych podejrzanych. Wysocy, muskularni. Krwiożerczy. Rzym będzie stąd werbować swych najlepszych żołnierzy, stąd wyjdą cesarze Zachodu i Wschodu. Ilirowie budują na wzgórzach fortece otoczone cyklopowymi murami. Wydają się nie uznawać żadnej wyższej teogonii, tu bóstwo, tam bóstwo, ale jak psy łańcuchowe ich osad, żadnego ojca w niebiesiech. Zmarłych przodków czczą, owszem. Wznoszą dla nich ogromne domy pośmiertne, wyposażają bogato. Składają ofiary z ludzi, ze zwierząt i ludzi, przed wyprawami, bitwami, siewami – komu, skoro nie bogom? Walczą między sobą, piracą na morzu, inwaduują Półwysep Italski, napadają Greków. Oto jest opowieść z bogów greckich: Kadmos, abdykowawszy z władztwa Teb, uchodzi w obce kraje i staje tam przeciwko Ilirrom; i podbija Ilirów; i rządzi Ilirami; tam też, staremu, rodzi Harmonia ostatniego potomka – którego nazywa imieniem swego nowego władztwa: Ilirios, Illyrius. Gdy zamienieni przez bogów w zmijowe płazy odpełzają Kadmos i Harmonia w noc niebyt nicość, Ilirios, król-sierota nad Ilirami, rodzi sobie – w micie, mitem, z mitu – nowych rodziców, nabywa całą genealogię ilirską, on pierwszy Ilir, on ojciec Ilirów, z Ilirów zrodzony, Ilirów rodzący, nazwany nazywający; jest Iliriosem, ponieważ jest Ilirem, a są Ilirami, ponieważ włada nimi Ilirios. Dlatego do dziś powiada się, iż rodzimy swoich synów i rodzimy swoich ojców, *mej s'rditji naš snove a mej s'rditji vtrka naš*. Skręć w lewo i naciśnij zielony guzik.

Daniel kicha i słuchawki automatycznego przewodnika zjeżdżają mu z czaszki. Fresk otaczający audytorium, choć nieco przyblakły, wywiera wrażenie nawet na szkolnej wycieczce; dzieci unoszą głowy i dławią głosy do szeptu. Oto wąż smoczy i drugi wąż smoczy, odpełzające w ciemną gęstwinę, podczas gdy odwracający się od nich Ilirios w złotym blasku wyciąga ramię z obręczą królewską, jakby błogosławiąc skąpane w promieniach Heliosa góry lasy pola morze niebo. Daniel spogląda wzdłuż kolumnady, na smagany zimnym słońcem i wiatrem taras. Istotnie, panorama odmalowana na fresku jest tą widzianą z progu Pałacu Zimowego. Nieznany z imienia *magister militum per Illyricum*, który tu rezydował za czasów Bizancjum, nakazał domalować Iliriosowi swoje oblicze; potem kolejni panowie na Babadrču powielali jego megalomański kaprys, i dopiero rządca osadzony przez Imperium Ottomańskie przerwał tradycję dewastacji fresku. Ta piętnastowieczna wersja przetrwała już nienaruszona nawet tyranie wieku dwudziestego. Ilirios, wpółodwrócony od odczłowieczonych rodziców, jeszcze głębiej odwraca głowę, tak, że z twarzy widać mu tylko ucho i kawałek szczęki. Ma długie ciemne włosy. Może być każdym. Daniel nie potrafi się otrząsnąć z poczucia, że coś takiego dzieje się tu z Trskiczami: ktoś

przemalowuje ich twarze, że on zawsze widzi jedną i tę samą, właśnie wpiółodwroconą odeń sylwetkę. W szarych spodniach nie-do-opisania, w anonimowej kurtce. Tak widzi; tak czuje; tak myśli. Przechodząc z sali do sali Pałacu Rzymskiego, fotografując materialne powidoki trzech tysięcy lat trskiej historii, wysłuchując nagranych przez brytyjskiego lektora pedantycznych narracji o wojnach panońskich, o najeździe Gotów i pomieszaniu języków, o trskich kryjówkach Justyniana II, o wpływie chazarskich żydów, o siedmioletnim księstwie krzyżowców-piratów, o herezji Vanosa, niewoli imperialnej, zbójeckiej Republice Gór i przekształceniu jej w Republikę Trską po pierwszej wojnie światowej, o romansach Mussoliniego i jaskiniowych sztetłach, o anarchistach, monarchistach i komunistach – jest już pewien, że ktoś go śledzi, ktoś śledzi Daniela Massny’ego przez monumentalne atria i orientalne garderoby władców Babadrča.

Dochodzi do tego, że Daniel, odwracając smartfon niby do selfie, filmuje ukradkiem ludzi za plecami. Obraz się kołysze; Daniel kołysze się na nogach. Niechcący nagrał się w odbiciu na szklanej gablocie i widzi, że istotnie porusza się powolnym, zamaszystym krokiem marynarza albo zapaśnika. Trzęsienia ziemi, szepcze lektor, nawiedzają Góry Trskie niemal każdego roku. Dawne ludy brały je za objaw wzburzenia władcy i spieszyły z darami dziesięćcinami ofiarami. Odprawiano nocne ceremonie. Poświęcano krew królewską. „Tato się gniewa”, „Vtrko hle iurt”. W Sali Solarnej Pałacu, pod rozświetloną rozetą sufitową, lśni miśnieński model Republiki Trskiej w skali 1:150 000. Czarna plama na zboczach porcelanowego Babadrča to zaschnięta krew Strkovskiego, który w sylwestra 1969 roku złożył tu wobec ambasadora ZSRR (obaj byli pijani) słynną przysięgę Trskiej Zawsze Socjalistycznej. Ciemnowłosa Ilirios w skórzanej kurtce gapi się na Daniela ponad filizankowymi Górąmi Dynarskimi; odwraca się, gdy tylko Daniel unosi nań wzrok. Daniel opiera się o krawędź modelu, kraj przechyla się na jego stronę, strażnik spod drzwi woła ostrzegawczo, *šta rdiš, b’dala!* Daniel wycofuje się rakiem – do przeciwnych drzwi, na korytarz, do holu, do toalet.

Zamknąwszy się w przedostatniej kabynie, zgarbiony zółwio na sedesie, przewija w te i we w te książkę kontaktów w telefonie. Proces myślowy Daniela Massny’ego polega teraz na obsesyjnym ćwiczeniu w głowie rozmów z wywoływanyymi w ten sposób osobami; samo połączenie nie jest konieczne. Znajomi z pracy gratulują Danielowi obrzydliwej fortuny. Mark, który reprezentował ojca w procesie rozwodowym i z którym chodzi Daniel co miesiąc na golfa, radzi nająć w Zaproču własnych prawników. Lana wypytuje o urodę

jego przyrodnych sióstr i braci. Matka (nieżywa) martwi się o nadciśnienie Daniela. Podczas gdy on (nie) rozmawia z matką, do sąsiednich kabin pakują się nastoletnie byczki z wycieczki szkolnej i pingpongują przez Daniela (lewe ucho, prawe ucho, i z powrotem) kolczaste trskości. Dosyć! Przygryzając wargę, wyszukuje apkę-translapkę. Trski jest zbyt egzotycznym, zbyt skomplikowanym i zbyt mało ważnym językiem, by Google’om, Facebookom i Microsoftom opłacało się kierować na niego główne siły inżynierii software’u. W końcu Daniel ściąga apkę autorstwa trskiej firemki o nazwie, która może jest akronimem, a może prawdziwym słowem: BRZTV. Tłumacz BRZTV ma tryb audio i wideo. Nieroztropnie uniósłszy smartfon na wysokość oczu, Daniel grzęźnie w brztvowych anglicyzacjach tubylczego piśmiennictwa szaletowego. Zdobi ono warstwami i zakosami drzwi i ściany kabiny. *Gold shit only. Mary fish October cunts Sparta 99. My piss my country. Best fists cheap. Smurfs heart Strkovski. 724 987111901 for mice. Read this motherfucker.* Zaiste, czytaj i płacz. Wyłącza brztwę. Cofa się o krok w wątpliwościach i podejrzeniach, przegląda zdjęcia i nagrania. Widzi teraz jasno – na wąskim ekraniku, skulony na klapie sedesu, między rozdokazywanymi szczaczami i sraczami – że nikt go nie śledził: postaci uwiecznione na marginesach jego fizjonomii zawsze różnią się jakimś szczegółem, kolorem torby przewieszanej przez ramię, wzrostem, zegarkiem na ręce, brodą, brakiem brody, płcią. Weźże się w garść, burczy Homer Simpson, głodny, więc zły. Daniel myje ręce, myje twarz, przepłukuje usta, wychodzi z toalet. W głównym holu muzeum czeka na niego dziadek Szklane Oko w sztruksowej marynarce. Łapie Daniela pod ramię, przykłada nikotynowy palec do warg i ciągnie w cień. – *They know* – powtarza – *they know* – niczym automat – *they know* – jedyne słowa angielskie, jakie zdołał wykuć na pamięć – *they know*. – *But who who who? – Včernji Brda.*

Augurium Ex Caelo, skąd wróżbici Rzymu czytali pomyślności i fatalizmy kraju i ludu, skruszało do reszty podczas jednego z trzęsień ziemi, co przez miliony lat wyprofilowały oblicze Babadrča do obecnej surowej graniastości. Tyle pozostało: lekko przechylona kolumnada ponad zboczem, z którego ongiś sterczała półka, gdzie odprawiano auguria i wypatrywano znaków niebios; kolumnada oraz jeszcze starsze jaskinie w skale powyżej, tam Ilirowie oddawali się ponoć swoim niehigienicznym rytuałom w czasach przedrzymskich i przedhistorycznych. Sący się szept brytyjskiego gawędziarza z dyndających na piersi Daniela słuchawek. Spod kolumnady widać cień ruin strażnicy Vanosa (skręć w prawo i naciśnij niebieski guzik), labirynty murów, wykopalisk, podpór stalowych pod kamiennymi strukturami nieznanego przeznaczenia, labirynty

krętych ścieżek dla turystów. Daniel jest wyczerpany. Ta wspinaczka była najintensywniejszą aktywnością fizyczną, do jakiej stortuował swoje ciało od czasów college'u. Dźwigając tak nogę za nogą po wyslizganych stopniach od kolumnady do jaskiń, nawet nie słyszy trskich komentarzy Szklanego Oka; słyszy tylko krew w swoich uszach. Stary ciągnie go i popycha. Siadają w progu niskiej grotty. Słońce zapada w Adriatyk. Krzyczą ptaki. Wiatr gwizdże w ciemnej krtani Babadrča. Małeńcy turyści salutują mroczniejącemu błękitowi swymi małeńkimi telefonami i tabletami. Daniel dyszy charczy pluje kaszle. Jest pięknie. Jest strasznie. Jest poza słowami. Otworzył usta do głoski A, cisza, usta są grotą jego ciemności. Siedzi, wiatr wieje mu w płuca, góry oddychają za niego, nie ma siły, nie wie, po co tu wszedł, było tak jakby stary przystawił mu do pleców niewidzialny rewolwer, te nikotynowe palce, te zmarszczki indiańskie, to oko globula kryształu w czaszce kanciastej, ten trski chrapliwy ze sparciałych warg, to jego życie epickie w epickim zakątku świata, a Daniel co, Daniel garnitur. AAA! AAA! Lecz – cisza. Tylko wślepia szeroko rozwarte oczy w starego, oczy w oko. Trskicz chyba zrozumiał. Wydobywa z kieszeni sztruksu pudełko zapalek, z pudełka – złożony w kostkę papier, rozkłada ten papier, jest to pożółkła i popękana strona gazety. Artykuł. Zdjęcie. Na zdjęciu Milovoi Strkovski dekoruje orderem-gwiazdą młodego, wyprężonego w strunę oficera w szerokoramiennym mundurze, z czarną przepaską na lewym oczodole. Daniel pojmuje, że dostał się w ręce ostatniego wiernego pretorianina Strkovskiego. Szklane Oko stuka się w suchotniczy tors i peroruje zajadle, *n'se krdli me jme, n'se krdli me jme*, aż Daniel wyjmuje telefon i otwiera brztwę. Augur staje pod nagim niebem i wypatruje błyskawicy, spójrz teraz w prawo. Grota gwizdże za plecami, krzyczy ptak spod bladego Księżyca-wcześniaka, starzec nachyla się do magicznej tabliczki w ręku Daniela. ZABRALI MÓJ IMIĘ – ale kim ty – UBRAĆ Z GÓRY DWIE STRZAŁKI PIERŚ PIERŚ – kto? do kogo? – WYSOKOŚCI PORUCZNIK KAPITAN ZA CHWAŁA BRATA ZMIERZCH – że niby co Wieczorni Bracia? trzydzieści lat temu? – NIE WSZYSTKO SZCZURY NA PIENIĄDZ URZĘDU TELEWIZJA BANK FABRYKA SZNURKAMI DUŻO BARDZO DUŻO SZNUREK WĘZEŁ SPOWIADALI A ZATRZASK I KARA I KAŻDY NIE WIADOMO I – poukrywali się, tak? a ciebie zostawili? – MNIE IMIĘ! MNIE IMIĘ! Kaszle. Kaszłą. Daniel ścisną telefon w wilgotnych palcach niczym rozedrganą różdżkę radiestety, brztwa gorzej maszynowymi czcionkami, jednooki staruch wpija szpony w bezradny garnitur. NIE DOPUSTU NIE SZWAJCARIA KRYPTY ZŁOTO WASZ – nie pozwolą nam odzyskać spadku? – NIE PIENIĄDZ NIE! – to co? – TY

AMERYKO NIE ICH SZNURKAMI PAPIER A PAPIER ZROBISZ KAŻĄ – kto każe? – NIE OTWIERAĆ SEZAMU NIEZGODA NIE SĄD RĘKAMI CHCĄC TOBIE PASZPORT FRĘDZEL A SZNURKA – nie chcesz, żeby otwierać te skrytki bankowe St-sr-trr? – JA TAK ONI NIE JA TAK! OTWÓRZ ICH PIERWSZY ŻYCIA BRACI NA PAPIERACH POUKRYWAŁ NIE WSZYSTKIE GRYZONIE GRUZU DZISIAJ KRAJ EUROPA FABRYKI BANKI RUCHY BRACIA A TAJNO NIE DA BŁOGOSŁAWIEŃSTWA OTWÓRZ OTWÓRZ! Następnie augur dzieli ruchem świętego drewna nieboskłon na wschód i zachód, na lewą i prawą stronę, ażeby odróżnić pomyślność od niepomyślności, przychylność od nieprzychylności boga ojca, Jowisza. Dreszcz od zimnej skały trzęsie ramieniem w garniturze. Oko kryształ wwierciło się w duszę i patrzy patrzy patrzy. TY AMERYKO TY BANKÓW KRYPTY ŻYCIA BRACI Z TAJNO MÓW – co? papiery na członków waszej komunistycznej tajnej policji poukrywanych po dzisiejszych biznesach? ale skoro ty byłeś ich orderowy faworyt – MNIE IMIĘ! ZABRALI STRZAŁKI PIERŚ PIERŚ NIE WIE ONI NIE WIE JA NA NIEGO ZNAMIĘ SEKRECIE GNIJ UCHO ŚNIJ OKO PIERDOLI STRKOVSKI DUPO RÓJ FEST GLIZD TO KTO JAŚNIEJ OTWIERA BRAMĘ JAŚNIEJ! KTO JA ZAWRACA JEMU LEKARSTW – JAŚNIEJ! – KTO JA WYDAJE JEMU ŚMIERĆ – JASNY! – KTO JA! A TAK I JEMU MNIE IMIĘ! ZABRALI! TAJNO. Daniel pojmuje, że dostał się w ręce zdrajcy Strkovskiego. Babadrč zionie mu w kark grobowym chłodem. Szklane oko świeci w ciemności samotną gwiazdą Lucyfera. Geometryczny kobierzec Zaproču rozjarzył się układami scalonymi czerwieni i bieli, ściegami reflektorów aut, choinkowymi konstelacjami lamp ulicznych i okien rozmigotanych ciepło domowym życiem. Daniel wstaje, nie wstał, ześlignął się z kamienia i leży pod dolną wargą jaskini, dysząc, a Szklane Oko cień pokrzykuje nad nim rozkazująco. *Nji ium mljuni, dli ja žvim u gvno! Vrti mji me jme!* Albowiem w porach gniewu Jowisza nie może dojść do skutku żadne działanie we wspólnocie, żadne towarzystwo ni rada. Daniel wstaje, nie wstał, podźwignął się tylko na kamienny język groty, i ślizga się wstecz po gładkiej skale, a kapitan zdrajca Strkovskiego postępuje za nim wysokim cieniem przebitym jedną srebrną igłą gwiazdnego refleksu. *Dli ja žvim u gvno! Vrti mji!* Czego on ode mnie chce, przecież nie wyjmę mu z kieszeni tych zaginionych akt STZ, po co mnie tu zaciągnął, to wszystko nie ma sensu, nie ma logiki celu racji, czego on chce, z-z-zimno. Daniel pojmuje, że dostał się w ręce wariata. Kaleczony przez zęby groty, odłamki skały, śmieci turystyczne, małe stalagmity, grudy żwiru. Na tyłku, na łokciach, na ślepo. Precz! precz! Jest już tylko plama

ruchomego cienia w plamie nocy w gardzieli odwiecznego mroku. Daniel chwytając te wpychane mu w dłonie przez Babadrča kamienie i ciska nimi w błysk-punkt w lewym górnym kwadrancie cienia. Mocniej. Szybciej. Jeszcze mocniej. Precz! Głos huczy w krtani góry, huczy wiatr, musiał Daniel łupnąć potylicą o skałę, by spostrzec, że on także wydaje z siebie przeciągły, bezsłowny krzyk, jest to dźwięk otwartej jaskini: AAA! AAA! Czy bronił się przed szaleńcem, czy też kamieniował zdrajcę ojca? Wstaje. Nie wstał. Z ciemnych wnętrzości termitiery bogów wyłania się długowłosa Ilirios w skórzanej kurtce, pochyla się nad Danielem i wkręca mu w gardło snop płonących papierzysk. AAA!

Po dwóch dobach gorączka zelzała do niespełna 99 stopni Fahrenheita i mister Massny o własnych siłach zszedł na późne śniadanie. New Excelsior stoi jasny, pusty, cichy, jakby nie miał innych gości. Przedzimowe Słońce tęczy celulooidowo witraż okna restauracji hotelowej. Wszystko pod spojrzeniem i dotykiem Daniela jest teraz jasne, puste i witrażowo kruche. Pierwszy dzień po wyczerpaniu chorobą rozkrajają przed tobą kurze serduszko wszechświata. Daniel nie może jeść; siada przy stoliku, zamyka oczy, pije słońce, kelnerzy kalejdoskopują nadobfite śniadania na obrusie jak całun szronu. Jest trzech kelnerów i trzech ich dla Daniela. Po przebudzeniu dziś naładował wreszcie telefon i odkrył czterdzieści siedem nieodebranych połączeń od mecenasa Trbača, Tyranii Złych Ludzi i *dame* Őlbsk. Włączył laptop i przeczytał e-maile. Kliknął na linki w e-mailach. Chyba nikt nie dotrzymał przyrzeczenia poufności. Oto mecenas Trbač dwojący się i trojący po wszystkich kanałach trskiej telewizji i internetu, grzmiący do mikrofonów z kaznodziejską pasją, podczas gdy z boku, z rogu lub z całego ekranu naprzemiennie z jego szlachetnie symetryczną fizys – atakują oczy widza gruboziarniste fotografie Milovoia Strkovskiego. Daniel prosi o kawę z mlekiem. Siedzi pod oknem bezludnej restauracji z dłońmi zaciśniętymi na gorącym kubku, przyjemność tego ciepła rozchodzącego się od opuszków palców wypiera na chwilę wszystkie inne przeżycia. Ciepło, jasno, pusto. Pokojówki wysyłane do sprzątania numeru 517 odstępowały w progu, ujrawszy gościa nadal w łóżku; wczorajszą jął mimo to przywoływać, ażeby wymieniła przepoconą pościel – nie zrozumiała, sądziła, że majączy w gorączce. Przywołał ją w końcu – i tyle, że usiadła przy łóżku i ocierała mu chusteczkami twarz i rymowała po trsku melodyjnym głosem jak dziecku i podawała wodę. Wysła, gdy się rozplakał. Portier podchodzi do stolika, wręcza Danielowi stosik listów, grubszych przesyłek w kurierskich kopertach oraz kart z papeterii NE z wiadomościami telefonicznymi. Na blacie nie ma już miejsca. Daniel zszedł na dół w piżamie i szlafroku, ten puchaty szlafrok frotté jest bielszy od obrusu.

Pokazuje się Azjata w obcisłym stroju do joggingu, spostrzega Daniela, wycofuje się; kelner zamyka za nim drzwi restauracji. Przynosili Danielowi orzechy w skorupach, zostawiali pod progiem. W nocy, w przerwach między falami potów i dreszczy, oglądał jutiubowe archiwa życia i rządów Milovoia Strkovskiego; tak zasypiał; tak się budził. Vtrko Naccju miał zwyczaj prowadzić posiedzenia Komitetu Centralnego i Rady Ministrów przy okrągłym stole godnym króla Artura. Stół był okrągły, żeby Vtrko mógł w każdej chwili przesiąść się wraz z krzesłem w dowolne miejsce między dwóch zaskoczonych ministrów, naprzeciw innego zaskoczonego ministra, a wraz z Ojcem – jak wskazówka na tarczy zegara władzy – przesuwiał się tam szczyt stołu. Orzechy należały do ulubionych jego przekąsek. Zwykł popisywać się siłą swych palców. Obcęgował w powitalnym uścisku prawicę zagranicznych dygnitarzy; na oficjalnych zdjęciach mają najczęściej miny jak po kopnięciu w jaja, skurczeni w sobie, uśmiechnięci męczeńsko połową twarzy. W trakcie posiedzenia Strkovski wybierał sobie z koszyczka orzech w skorupie i powoli miażdżył go między kciukiem i palcem wskazującym. Towarzysz po średnicy stołu, na którym skupiał się wówczas wzrok Pierwszego Sekretarza, rzadko utrzymywał kolor i konsystencję. W 1975 roku na dźwięk pękającego orzecha pękło tak serce Ministra Transportu Republiki Trskiej. Dzwoni telefon. Daniel otwiera oczy, kładzie smartfon między konfiturą i jajkiem na miękko. – *Bogu slava!* – pieje Tyrania Złych Ludzi. – Gdzie pan jest? Widział pan gazety? W kancelarii piekło. Co się z panem...? – Nie chcę nic z waszego spadku. Wyjeżdżam. Żegnam.

Miasto po chorobie też otwiera się przed nim uległe, miękkie, powolne. Nawet ruch uliczny wyzbył się bałkańskiej erratyczności. A może to różnica między Starym Zapročem, osadzonym tu na wzgórzach nad przedrzymskim portem, a dzielnicami na północ i zachód stąd, gdzie się porty przerabia na lofty, a *skyline* tną wieżowce i kolejki powietrzne. Wychodzi na spacer opatulony w gruby polar, owinięty szalem, w czapce naciągniętej na uszy. Dżinsy, adidas, czarne okulary z taniego plastiku. Garnitur oddał do ekspresowego czyszczenia. Odprawił się już *online* na jutrzejszy lot powrotny do Frankfurtu; z Frankfurtu ma następną Lufthansę do Chicago. Przysiada często na ławkach parkowych i pod wiatami przystanków, robi zdjęcia, przypatruje się ruchowi ulicznemu olśniony luksusem totalnej obojętności. Nic nie myśli, co jest najwspanialsze; ale to chyba także skutek wycieńczenia po gorączce. Naciesz się niebiańską pustką, póki możesz. Uśmiecha się do niego kilkuletnia dziewczynka skacząca żabio po trotuarze od figurki garbatego karła z brązu do figurki garbatego karła z brązu. Daniel uśmiecha się w odpowiedzi, w całkowicie bezrozumnym, biologicznym odruchu.

Potem będzie wspominał ten moment, moment kryształową łzę absolutnego szczęścia, pryzmat nirwany, z którego promienie błogostanu tryskają na całe życie, w przeszłość i w przyszłość. Uda lekko mu drżą, głowa lekko pływa, jest osłabiony, zanurzony w odrobinę inny real, to dlatego, tylko dlatego. Siedząc przy stoliku bardzo brudnej kafejki pod murem fortecy portowej, na rogu owego placu z fontanną rycerza z mieczem i krzyżem, odpisuje na ostatni esemes od Lany. Lana przysłała mu link do dwuminutowego nagrania ze studia piercingu i tatuażu – przekłuła sobie brodawki sutkowe, instalując w ciele tytanowe gwoździe zwieńczone z obu stron ostrymi stożkami. Daniel głaszcze koniuszkiem palca wirtualną klawiaturę na ekranie, bliski już lekkości i precyzji pędzelkowej kaligrafii. **TWARZ MNIE BOLI, NIE GOŁĘ SIĘ WIĘCEJ.** Prawda, przyłożył rano maszynkę do trzydniowego zarostu i jakby przeszorował po nerwach pół ciała pod skórą. Unosi telefon do selfie, po czym długo przypatruje się swojemu portretowi (w cieniu dwutysiącletnich murów) i w końcu zdjęcia nie wysyła. *Tursku kafu? Da.* Kierowca furgonetki oklejonej reklamami GLAS LJIDSTVE zatrzymał samochód, wysiadł i zabrał się do zrywania z posągu zaciężnego męża zielonych flag i szalików. Podbiegło dwóch rumianych bysiów, poszarpali się, cios, kopnięcie, wpychają go przemocą z powrotem do samochodu przy wtórze klaksonów i gwizdów. Daniel i brzuchaty właściciel kafejki, który podał mu parząco gorącą kawę po turecku, przyglądają się testosteronowym ekscesom z bezinteresowną sympatią. Następnie pojawia się grupka fioletowo-czerwonych, odpalają swoje race i zaczynają skandować frazy z drutu kolczastego. Następnie pojawiają się i znikają dwaj policjanci. Następnie pojawia się barczysty kapłan w długim, czarnym chałacie, z brodą, pod czapką jak graniastym cylindrem, i wygraża skandującym pięścią. Właściciel kafejki kręci głową. *Kak-to k'gli b'sve veg pršti sjto otči... Da, daa.* Daniel wypił kawę, skinął o drugą, siedzi, patrzy, nie rozumie, nie myśli, i nagle, nagle dłoń na telefonie podejmuje decyzję, nagle powraca kanciastość świata i gramatyka naszych szczerzych sensów. Dłoń włączyła brztvę.

O co poszło? Brztva powtarza pytanie i kafejmistrz jakby dopiero teraz ujrzał Daniela cudzoziemcem. Zdumienie zdumieniem przepływa między nimi w obie strony. O co poszło? **KOGUT ZJADŁ KURĘ.** Kogut? Kurę? A brodaty kapłan depcze zielone flagi, a fioletowo-czerwoni rozwijają transparent z paradą wykrzykników, a kierowcy klaksonują i warczą silnikami. Brztva rozcina świat na real i opowieść o realu. Opowieść obejmuje poetę-ministra, maść na hemoroidy lub liszaje, bliżej nieokreślony byt medialny o ptasiej nazwie, niestrzelonego karnego w meczu pucharowym Sparty Zaproč oraz perukę pani senator lub żony

senatora. Dłoń Daniela unosi smartfon i smartfonem patrzy Daniel na transparent. PONIEDZIAŁEK! WTOREK! ŚRODA! CZWARTEK! PIĄTEK! SOBOTA! NIEDZIELA! Demonstracja emfaticznych kalendarzy całkiem wytrąca Daniela ze spacerowej obojętności. Świat ma sens, każdy szczur w labiryncie to wie. Kafejnik nadal przemawia do brztvowego rozumu: o czerwonych królikach i o okrutnym prawie do dziurkowania papieru. Daniel się nie poddaje: gugła perforację papieru plus Republikę Trską. Anglojęzyczna Wikipedia oferuje dwuzdaniową notkę o satyrycznym eposie z czasów komunistycznej biurokracji, którego głównym bohaterem był maniak seksualny z dziurkaczem w rozporoku, „seryjny perforator nomenklatury”. Daniel nadal się nie poddaje. (A na plac wrócili policjanci, wspinają się na pomnik, płaczą się w szalikach, przeklinają piskliwie). Autor eposu dziurkaczowego to niejaki Stano Sabič-Žabič. Gugłać Stano Sabiča-Žabiča. Urodzony, zmarły, skatowany na śmierć w areszcie STZ, podejrzewa się, iż na osobiste polecenie Milovoia Strkovskiego. Vtrko Naccju bardzo źle znosił publiczną satyrę. Daniel rozgląda się po placu. *Who's the perforator now? who's for, who's against?* Kafejkarz czerwienieje, puchnie, unosi się na palce, dygocze i migocze. *Takvo pršnja ne pršna!* Oburzony, roztrzęsiony, drze Danielowy banknot dziesięcioeuroowy, strąca talerzyk z ciasteczkami do kawy, parska śliną. *Ne pršna!* Po raz kolejny skaleczywszy się brztwą, Daniel zdejmuje ciemne okulary, by jaśniej świadkować scenom miejskiego wodewilu. Przywódca ruchu emancypacji dni tygodnia, dystyngowany pan w garniturze w prążki, wraca pod fontannę z torbą Nike na ramieniu, wyjmując z niej tekturowe pudło, otwiera pudło i wypuszcza na plac śmiertelnie zestresowaną kurę. Wszyscy zatrzymują się jak w spauzowanym matriksie, nawet policjanci zwisający z rycerza i samochody w ruchu okrężnym. Tylko kura biega naokoło pijanym zygzakiem, gdacząc i siejąc czerwone pióra. Piesi i kierowcy obserwują ją w nabożnym skupieniu. Opuszczająca sklepik warzywny babina pada na kolana, żegna się i zaczyna modlić na głos. Ptak przebiega jezdnię, slalomuje po chodniku, dostrzega rozsypane ciasteczka, zakręca piruetowo i zahamowawszy w furkocie skrzydeł, dziobie okruchy posiane na bruku u stóp Daniela, nadal ratunkowo uczeponego brztwy. Tonie, utonął w gęstej, nieprzejrzystej trsczyźnie. *Vtrko Naš, koj's v nebsjih, zisvčno se Tve jme.* Z przeciągłym stękiem-jękiem policjant spada z kamiennego miecza w cembrowinę fontanny. Kura gdacze. Mister Massny pije kawę. *Daa.*

Krótko po zwolnieniu z pierwszej pracy (a studiował księgowość i finanse, i wylądowawszy na stażu w KPMG, przeniesiony do ich filii na Hawajach, zapadł tam na depresję, z której farmakologicznego reżimu wynurzy się dopiero po

trzydziestce) Daniel ubrdał sobie, że receptą na życie będzie dla niego własna, niezależna firma. Jednoosobowe przedsięwzięcie, z minimalnym kontaktem z klientami, wszystko przez internet lub telefon; no, może sekretarka na pół etatu. Wynajął biuro, nieodróżnialne od stu tysięcy innych biur. Nazwę firmy – SPS8R – stworzył, uderzając na ślepo w klawiaturę. Treść ogłoszeń reklamowych skopiował z reklam księgowych freelancerów, którzy – uważał – odnieśli sukces. Pamięta napływ euforii po pierwszym tygodniu, gdy to nie zgłosił się żaden klient: trudno wymarzyć sobie bardziej czysty start, bielsze płótno. Duch unosił się nad pustym przestworem wód. Dwa lata zajęło mu zgromadzenie pakietu zleceń, który przy pracy dziesięć godzin na dobę, sześć dni w tygodniu, pozwalał mu na bezpieczne utrzymanie, łącznie ze spłatą długów i komfortowym planem emerytalnym. Po trzech latach zgłosił się do poleconej mu przez klienta celebrytę kliniki psychiatrycznej w Nowym Meksyku, powodowany obawą przed realizacją coraz nachalniejszych wizji samobójczych. Nawet Google podsuwało mu podpowiedzi wyszukiwać technik eutanazji. Ty może nie odwiedzasz tych ciemnych piwnic jaźni, ale Amazony i Facebooki mają już ich detaliczne mapy. Terapeutka zaczęła od długiej listy pytań o *hobbies*, pasje, przyjaciół, zwyczaje towarzyskie, życie seksualne, plany założenia rodziny, przekonania polityczne, aktywność w lokalnej społeczności – na które Daniel nie potrafił dać żadnej odpowiedzi. Bardzo się starał. Powstrzymał się od konfabulowania, ale może to też był błąd, może sama zdolność do wymyślenia fikcyjnej a wiarygodnej opowieści o sobie przemawiałaby za zdrową muskulaturą ducha. W przyszłości będzie mądrzejszy. Na grupie, gdy nadeszła jego kolej, by wymienić trzy cechy, które u siebie ceni, uratował się krwotokiem z nosa. Usiłował dyskutować z samymi fundamentami obowiązującego kanonu człowieczeństwa. – Ale pani doktor rozumie, jest statystycznie niemożliwe, by wszyscy ludzie byli ponadprzeciętni. Statystycznie najliczniejsze są przedziały właśnie wokół mediany, ten garb Gaussa. – Panie Danielu, ale ja pytam o świat pana wyobrażeń, marzeń, chęci, a nie o pomiary socjologiczne. – Tyle z tego pojął, że zdrowie psychiczne jest formą samooszustwa. Zalecono mu pracę w wysoce zsocjalizowanym środowisku, w zespole, między ludźmi, w strukturze zależności wymuszającej współodpowiedzialność. Dobry jest także pies, kot. Oraz aktywność fizyczna powodująca kaskadowe wydzielanie endorfin. Tak wylądował w New Total Insurance w Tulsie. Miał psa (rezolutnego buldoga francuskiego imieniem Manko), ale przejechała go śmieciarka. Koledzy z pracy wyciągali Daniela na kręgle, upijał się wówczas straceńczo, by następnie podsłuchiwać w korporacyjnej łazience rozmowy o swoich alkoholowych

ekscesach, dumny, podniecony. Podobno pewnego razu zwyzywał rasistowsko kasjera. Rasista ze mnie – obracał w myśli drogocenną perłę – nienawidzę brązowych. Poza tym utwierdzał się w przekonaniu o słuszności swego obrachunku świata i ludzi. To ja jestem normalny; to ja rozumiem, co znaczy „norma”. Potrzebował następnych kilku lat, by pojąć, iż właśnie ta wiedza wytrąca go poza nawias statystycznego rajy. Rodzice powiedzieli mu o adopcji, gdy miał piętnaście lat. Od ukończenia liceum nie poświęcił temu jednej dłuższej myśli.

Na murach nadfalachronowych turyści strzelają sobie *selfies* na tle zatoki, rozmigotanej metalicznie pod chłodnym słońcem. W 1441 roku na tym oto bruku (ślady popiołu obkreślono białą farbą) spalił się żywcem oddział osobistych janczarów Murada Drugiego, którzy odmówili przejścia na chrześcijaństwo podczas powstania Učki przeciwko Imperium Ottomańskiemu. Siedemset stóp na południowy zachód stąd spoczywają szczątki dwunastowiecznego chelandionu uprowadzonego przez mazjičkih piratów z armady trzeciej wyprawy krzyżowej i zatopionego przez „admirala piratów” Margaritoune z Brindisi, wówczas już *ammiratusa ammiratorum* Tankreda, króla Sycylii. 23 lipca 1970 roku pod rozpiętym tu półhektarowym namiotem Milovoi Strkovski wyprawił słynną Diamentową Ucztę na powitanie Aristotelisa Onassisa i Jacqueline Kennedy; Onassis miał wykupić i odbudować stocznię Trskiej. Tu Jackie tańczyła z Vtrko Naccju; tu Vtrko i Aristotelis pili bruderszaft. Daniel obraca ciężką lunetę widokową w przeciwną stronę, na miasto. Tam – ulica prowadząca do hotelu New Excelsior; tam – wyjazd na obwodnicę i do lotniska; tam – jeden, drugi, trzeci fiord, nowa dzielnica portowa, park, kolejka powietrzna; tam, tam – Babadrč. Główne arterie starego Zaproču schodzą wszystkie w dół, ku portowi, na podobieństwo palców rozłożonej dłoni. Aleja osiowa, dzieląca cesarską metropolię niemal równo na Zaproč Południowy i Zaproč Północny, wyłania się z cienia zalesionego żebra i ciągnie aż do bulwaru. Ten bulwar deptak promenada flankują dwie niesymetryczne baszty (z północnej zwisa żelazna klatka z zamkniętym w środku plastikowym kościotrupem, atrakcja turystyczna), i przestrzeń pomiędzy basztami – to są usta miasta, tędy wciąga ono w kamienno-betonowe płuca ambrowe powietrze Adriatyku. Ponad długim nadbrzeżem, ponad zwałami kamiennego gruzu udającymi falochron, ponad brudną pianą przypiływu, rozfalowaną tonią Zatoki Zapročkiej, ukośnymi redami flot handlowych. Gdyby poderznąć miastu gardło, tutaj spłynęłaby cała krew Zaproču.

Daniel zakłada z powrotem okulary i zauważa parę turystów – student, studentka, bużki życiem niepotargane – którzy pokazują go sobie nawzajem

palcami i telefonami; dlatego ich zauważył, zauważony. Dziewczyna w końcu podchodzi i z marszu tnie brztwą z iPhone'a. M'ŽTE NAM LI POMOČI? Daniel w reakcji sięga po własną brztwę, i dopiero się reflektuje. Odpowiada po angielsku, śmieją się, kręcą głowami, a chłopak, zachęcony, pokazuje na pękniętym tablecie kanał pełen materiałów z ich trzytygodniowej wycieczki-pielgrzymki. Nienke i Daan, z Holandii, czyli znikąd, podróżują tak sobie przez Europę, póki Schengen się trzyma, i vlogują o „prawdziwej”, to znaczy niatelewizyjnej i niegazetowej, sytuacji politycznej w doświadczanych na studenckim budzecie krajach i kraikach. Marsz faszystów, cierpienie uchodźców, mały przewrót rządowy, może jakaś katastrofa humanitarna – ale z ulicy, w tłumie, oddychając jedną wspólną emocją i tę emocję jutiubując w świat. Oboje mają poglądy kampusowe, superpostępowe, i Daniela, który politykę wypocił z siebie razem z innymi burzami hormonów okresu dojrzewania, niemalże rozczuła angeliczna czystość ich inteligenckiego oburzenia i humanistycznych wzruszeń. Po czym Daan pokazuje periscope'owe nagranie z Dolnego Rynku (to ów plac z fontanną) i cała komedia z kurą i demonstrantami powtarza się oto Danielowi dramatem Becketta. Nieme postaci-symbole poruszają się w niezrozumiałym rytuale na tle dziwnej, starożytno-nowoczesnej scenografii. Dlaczego nie chodzi się w Stanach na *foreign films*? Nie z powodu konieczności czytania napisów – lecz ponieważ to świat ludzkie zachowania wyglądają nam na nich tak właśnie: dziwnie, krzywo, nieczytelnie. Kura gubiąca pióra w panicznym slalomie między zatrzymanymi w furii bojówkami. Tymczasem usiedli na niskim murku nad falochronem. Przyptyw mlaszcze o kanciaste głązy piętnaście stóp niżej, skrzeczą mewy, Nienke kupiła z budki-rikszy trzy torebki suszonych śliwek pachnących kościelnymi kadzidłami. Pałą język czystym alkoholem. Ów lokalny przysmak nazywa się šljivk'rije. Daniel żuje śliwkę i ogląda samego siebie w panoramie kamienic Dolnego Rynku, zbliżenie na transparenty, zbliżenie na kurę, zbliżenie na zarośniętego Daniela w ciemnych okularach z metalową filizanką kawy w dłoni, i nie ma wątpliwości, on należy do obrazka tak samo jak spłowiała chusta na głowie staruszki, rolex podróbka na nadgarstku potarmoszonego kierowcy i pieprzowosiwa broda kapłana choleryka. Daan i Nienke chcieli naturalnie „usłyszeć jego stronę politycznego sporu”. – Wydawał się pan rozbawiony ich protestami. – A przeciwko czemu protestują? – Przeciwko fałszerstwom wyborczym, oczywiście. Nie?

Tak oto Daniel dowiaduje się, że w Trskiej trwa kampania przedwyborcza. Te plakaty-karykatury, które widywał na murach, słupach i przystankach, to nie chałupnicze reklamy bałkańskich ekscesów artystycznych, lecz galeria gąb

ichnich polityków. Nie stanowi to bynajmniej wielkiego zbiegu okoliczności, jako że wybory parlamentarne odbywają się tu bodaj częściej niż we Włoszech, koalicje rządowe tworzą się i rozpadają, mniejszościowe gabinety czołgają się przez konstytucyjne deadline'y budżetów, by paść na pysk zaraz po głosowaniu i rozpisać kolejne przyspieszone wybory, w których wystartują jeszcze nowsze ugrupowania, a nawet jeśli stare, to pod nowymi nazwami, politycy zaś przepływają nieustannie między partiami, poglądami, sztyldami i stanowiskami w bezpruderyjnym tańcu próżności i chciwości, który Nienke i Daan opowiadają teraz Danielowi, nie kryjąc swej fascynacji rubasznym turpizmem barbarzyńskich demokracji. Dałby pan wiarę? No dałby pan wiarę? Daniel z chęcią by dał. Zjedli te śliwki. Daniel z chęcią zjadłby więcej. Kupi drugą porcję, zachowa na potem. Rozczulił się naprawdę. Przesuwa wzrokiem od Nienke do tabletu, od tabletu do Daana, od Daana do Nienke. Nie potrafi opowiedzieć uczucia – cóż warte uczucia, które równają się słowom? – obracają się tylko wokół jego nastroju, jak znaki Zodiaku, konstelacje skojarzeń: dom podróż niemowlę błyskawica telewizor drzewo cesarze potwory tęcza ptak niemowlę dom. Teraz spójrz zobacz – oczyma studentów Holendrów, na pękniętym ekranie tabletu. Istnieje wyjście z szarady niewypowiedzalnych dziwności. Spójrz! widzisz! oni widzą! – nie jesteś szczurem, jesteś częścią labiryntu. *Vtrko Naš, koj's v nebsjih, zisvčno se Tve jme.* Zbliżenie na staruszkę. Zbliżenie na Daniela. „Znajdujemy się na Dolnym Rynku Zaproču, stolicy Republiki Trskiej, i jesteśmy świadkami kolejnego z serii protestów obywatelskich Trskiczów, może uda nam się dowiedzieć, chwileczkę, przepraszam”. Daniel otwiera usta, wypowiada pół sylaby i zaczyna się. – St-tr-sss-k-k-k. – Tu obok jest fajna winiarnia, dwa euro za karafkę czerwonego domowego. Jeśli lubi pan mocno owocowe bukiety.

Nienke to odsłaniające kostki tenisówki, kurtka moro i krótki warkocz przypominający coletę matadora. Daan – broda, kolczyki, chudość wielkowiejska, hawajska koszula w perkusyjnych kolorach, błyskająca spod stalowoszarej wiatrówki. Kiedy idą, Daniel odbija lekko w bok lub do przodu, by uniknąć sklejenia w jedną kompozycję z wyższymi o głowę i pół głowy chłopakiem i dziewczyną. Wydaje się więc, jakby to on ich prowadził. Tak też siadają po przeciwnych stronach stolika: Daniel od ulicy, oni w głębi. Nie zdejmują okularów. Niewzruszone przekonanie o własnej nieatrakcyjności seksualnej sprawiło, że nigdy nie cierpiał paralizującej nieśmiałości w kontaktach z płcią miękką; po prostu nie był wobec kobiet mężczyzną, czym więc miałby się stresować? I teraz też zwraca się naturalnie ku Nienke. Taki jest algorytm ich konwersacji: Daniel pyta Nienke – Daan gugla – odczytują odpowiedź w trójkę –

Nienke i Daan wymieniają spojrzenia mimo Daniela – wróć do kroku numer jeden. Dzwoni telefon Daniela; nie odbiera. Na czele sondaży utrzymuje się pięć ugrupowań. Ruch Osiemnastego Października – a cóż to się Trskiczom zdarzyło osiemnastego października? – Daan gugla bez powodzenia, najwyraźniej to taka oczywistość, że nikt jej tu nawet nie wpisuje do programów politycznych i kalendarzy. Zjednoczone Siły Lewicy – które są partią lokalnych oligarchów, drapieźnych kapitalistów, potentatów turystyki i energetyki tudzież emerytów socjalizmu. „Bomba!” to nazwa trzeciej w sondażach listy, oddolnego ruchu z sieci społecznościowych i jutiuba, założonego przez ekscentryczne małżeństwo gwiazdki porno i personalnego trenera rozślawionego skandalem w trskiej wersji Big Brothera. Nowa Panonia – sojusz Zielonych, zaprońców aktywistów miejskich oraz nacjonalistów antyglobalistycznych. Jest jeszcze Koalicja na Rzecz Reform, zrzeszająca tuzin partii zużytych w poprzednich kadencjach, głównie konserwatystów i obrońców *status quo* przeciw Bombie! i Październikowi. Zabawa polega na dopasowywaniu barw i transparentów z Dolnego Rynku do poszczególnych fenomenów sceny politycznej Trskiej. Przy drugiej karafce wymyślają już własne partie i koalicje, nadając im nazwy w rodzaju Partia Mniej Więcej albo Front Pustych Kont. Daan wychodzi do toalety. Przed bramą winiarni na betonowej lawecie spoczywa średniowieczna armata, Daniel lewą ręką głaszcze jej nagrzaną przez słońce żeliwną lufę. Nienke, studiująca jakiś postutylitarny kierunek na przecięciu socjologii, nowych mediów i historii sztuki, opowiada mu o performansie polegającym na połykaniu miniaturowych kamer i rzucaniu na ścianę budynku uniwersytetu transmisji na żywo z wnętrza przełyku i jelit. Ma lekko garbaty nos, dwa pieprzyki na prawym obojczyku i długą bliznę na grzbiecie prawej dłoni. Telefon Daniela dzwoni i dzwoni. – Panie Massny, attaché konsularny ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki prosi pilnie o kontakt. Zanim przyjmie pan zaproszenie ministra Prstiča – Sorry. Nie zauważyłem, że zostawiłem na głośniku. – Nienke prawie wbija szkło w blat, odstawiając kieliszek: – Wiedziałam! Wiedziałam!

Rdče Vzbi żądają za wstęp dwieście trzydzieści pięć jut od osoby, to jest trochę ponad trzy i pół euro. Można w środku robić zdjęcia, ale dotykać eksponaty – wyłącznie w strefach oznaczonych komiksowym logo zielonej czteropalcej dłoni. Holendrzy musieli się już wcześniej umówić z menadżerem Czerwonych Piwnic – wpuszcza ich, nawet nie pytając o bilety. Od razu za to rozgaduje się do tabletu Daana o nadzwyczajnych atrakcjach prowadzonego przezeń przybytku. Nie ma tłoku, w perspektywie długiego ciągu niskich, bezokiennych izb Daniel dostrzega tylko jedną parę turystów. Kartkuje broszurkę informacyjną Piwnic. Na okładce

widnieje paczka papierosów ozdobiona rysunkiem pasterza ćmiącego peta na zielonej łące. IŽMOJ. Najwyraźniej nikotynowce marki Ižmoj stanowią symbol całej epoki trskiego komunizmu. Daniel odnajduje je w skorowidzu. *Fun facts*: papierosy produkowane przez fabrykę w Držnicy według rankingu „Cancer Epidemiology” były najbardziej rakotwórczą używką świata, w zawartości tytoniowych nitrozaminów (TSNA) przebijając nawet marki radzieckie. Produkcji ižmojów zaprzestano ostatecznie w roku 1983. Po wejściu Republiki Trskiej do Unii Europejskiej oryginalne paczki ižmojów stały się najbardziej pożądanym dobrem czarnorynkowym, zostawiwszy w tyle marihuanę i narkotyki twarde; ceny na akcjach darknetowych przekraczają tysiąc siedemset euro za paczkę. Nienke ciągnie Daniela za ramię. Daan i ów menadżer piwnic, osobnik niepewnej płci, w dredach i koralach, stoją przed gablotą tysiąca legitymacji partyjnych i demonstrują dla jutiubowej widowni maszynę do pisania podań. – Jeszcze na taśmę magnetyczną, ale – wyprzedziliśmy IBM! Sześćdziesiąt cztery gotowe szablony prósb! Kombinatoryka wersji żeńskich i męskich, indywidualnych i grupowych, partyjnych i bezpartyjnych! Z inwokacjami do Marksa, Lenina, Stalina i Strkovskiego! Trska Akademia Nauk, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci! – Ręka Nienke zjeżdża po miękkim polarze na dłoń Daniela, Daniel spogląda w dół, widzi alabastrową kostkę między nogawką dzinsów i krawędzią tenisówki dziewczyny, i łup, prostata kopie go w samo serce. Z czerwonego T-shirtu menadżera (lub menadżerki) szczyrzy się pucułowaty Vtrko Naccju jako Nolanowy Joker. *Why so serious, comrades?* Daniel wybuchą homeryckim śmiechem.

Będzie się tłumaczył alkoholem. Nienke spogląda pytająco, sama też przecież rozbawiona. Nie wypili tak dużo, lecz – Daniel nic dzisiaj nie jadł; nie jadł dłużej nawet niż dobę. Po prawdzie z Daanem nie lepiej, on wygląda na jednego z tych chudzielców o zerowej tolerancji na alkohol, pół cienkusa heinekena i potykają się o sznurówki. Natomiast Nienke tak pije, jak i śmieje się – do towarzystwa. Zagłębiają się więc w cieniste pasaży pod ceglanyimi łukami złączeni tą hultajską komitywą pijaków psotników. Daniel przemawia już wyłącznie głosem Homera Simpsona; w pseudopiwnicznych izbach huczy basowe echo. Że aż Nienke łapie się za przepoń, jakby wysiłek nawracającego śmiechu stał się jej bolesnym. I czy to jedynie konwencja towarzyska, czy naprawdę nie potrafi się powstrzymać, nieważne, ile razy w życiu miałaś przyjemność uczestniczenia w głośnej radości kobiety? I nawet rozedrgana między Danielem i Nienke bańka niedopowiedzeń – czego się o nim domyśla? na co liczy? co jej chcący-niechcący zasugerował? – nie odwróci nastroju. Dom podróz niemowlę wiedźma lustro nieważkość

wypróżnienie niemowlę sen. Daniel dawno stracił ostatnie złudzenia co do wartości spełnień seksualnych; nie oczekuje niczego, nie ma nadziei na nic. Seks w realu gwarantuje jedynie dół i depresję. Natomiast niespełnienia, wszystkie te potencjalności możliwości nieoczywistości do seksu prowadzące – nawet jeśli w istocie nie doprowadzą do niczego – o! to jest prawdziwy szczyt i uczta smakoszków życia! W komnacie obowiązkowych szczepień straszą się nawzajem ogromnymi strzykawkami. Pod znakiem zielonej łapy Nienke dziabie Daniela w szyję, Daniel poluje na jej pośladki, piruetują wokół gabloty z woskową wizualizacją atomowej zagłady Bałkanów. W szczycie zimnej wojny panowała w Trskiej powszechna histeria na tle opadu promieniotwórczego i co parę miesięcy Ojciec Narodu zaganiał swój naród na coraz to nowe szczepienia prewencyjne. Niektóre z tych improwizowanych akcji immunizacyjnych wywarły długofalowe efekty, łącznie z pokoleniową niedoczynnością tarczycy i masowym łysieniem kobiet. W komnacie bibliotecznej podziwiają *Dzieła Zebrane* Milovoia Strkovskiego, sto czternaście woluminów plus wydania okolicznościowe. Daniel odczytuje homerowo *Odezwę do Narodu*, stanąwszy za drewnianym pulpitem z tomem *Mów Wybranych* w pozie Mussoliniego, czarne okulary z powrotem nasunął na oczy, szalik zasupłał krawatowo; Nienke filmuje go telefonem z dołu, przykucnąwszy dla Riefenstahlowej perspektywy, a im mocniej chichocze, tym bardziej dyskotekową dynamikę zyskuje obraz. Oprócz oryginalnej reinterpretacji doktryny marksizmu-leninizmu Strkovski spłodził obłąkańczą historiozofię narodu trskiego jako etnicznej i kulturowej syntezy cywilizacji greckiej, żydowskiej, germańskiej, łacińskiej, mongolskiej tudzież jako duchowego spadkobiercy judaizmu, chrześcijaństwa zachodniego, chrześcijaństwa wschodniego, islamu i pogaństwa. Pisał także sztuki teatralne, libretta oper i choreografie defilad wojskowych, szczególnie upodobawszy sobie taniec synchroniczny transporterów opancerzonych i haubic samobieźnych. Wprowadzał zresztą autorskie poprawki do ich konstrukcji. Na początku lat osiemdziesiątych, wykupiwszy od Polaków licencję na Poloneza, zaprojektował pierwszy trski samochód osobowy, Prjmvak Extra, składający się wyłącznie z kątów prostych i równobocznych trójkątów; wyprodukowano siedemset szesnaście egzemplarzy, większość wybuchła i spłonęła w pierwszym roku eksploatacji, ostatnie ocalałe dwa trafiły w 2012 roku na wystawę MoMA *Killer Designs*. A oto ich miniatury wyrzeźbione w trskiej sośnie przez niewidome dzieci z Karakova-Šernu. W komnacie gastronomicznej można posmakować przyrządzonego na trzydzieści siedem sposobów grochu brożeckiego. Który w istocie nie jest żadnym grochem, jeno wybujałą odmianą wysokogórskiej

byliny, co rozpleniła się na niższym podgórzu akurat w czas wielkiego głodu, po drugiej reformie rolnej, stając się na niemal dekadę podstawą diety Trskiczów. W żołądku Daniela wybucha burza soków trawiennych. Powinniśmy byli zamówić w tej winiarni sery, wędliny, piętę. (Pogryza šljivk'rije z papierowej torebki schowanej w kieszeni polaru). Nienke próbuje zupy brożeckiej, krzywi się jak po cytrynie, próbuje kompotu brożeckiego, krzywi się jeszcze mocniej, ale zaraz ze śmiechem poi nim Daana (albowiem Daan dołączył już do nich razem ze swoim tabletem), usiłuje napoić zatkanego śliwką Daniela, oblewają się tą gęstą cieczą barwy siarki, po czym ścierają ją nieporadnie chusteczkami higienicznymi, Daan filmuje także to. – Zniszczyłeś – musisz kupić i zabrać do domu. – Kiedy ze mnie pospolity wandal życiowy. – Tak naprawdę Daniel przecież nie wie, co łączy Daana i Nienke. Mogą być nawet bratem i siostrą. Mogą w ogóle nie być niczym, współstudentami, współaktywistami. A nawet jeśli ze sobą sypiają – cóż to znaczy dzisiaj? w Europie? na kampusach? w podróży? On nie żyje w tych cywilizacjach fejsbuka, nie próbuje nawet zgadywać. W komnacie różowej czeka na nich poczet domniemanych i potwierdzonych kochanek czerwonych dygnitarzy Trskiej, jest nawet film z wnętrza burdelu STZ, obowiązywał tam system przydziałów rozkoszy sypialni na kartki i wedle partyjnego starszeństwa – a proszę! oto i te kartki! Podniecenie gaśnie z przeciągłym sykiem.

Daniel Massny a sprawa kobiecych kostek. Niepokoi go rosnąca podatność na coraz bardziej ekscentryczne pomysły kreatorów nie tylko mody, lecz samego pociągu seksualnego. Włosy, pośladki, pępki – jeszcze idzie zrozumieć. Ale – kostki stóp? Skoro kostki, to właściwie mogłoby być już wszystko. Łokcie. Piszczele. Pięty. (Świeże ekskrementy). Powszechny fetyszym stanowi niezawodny sygnał finalnego odklejenia od natury. Nawet nie zauważasz momentu zmiany, powiały nowe wiatry, nadeszła nowa wiosna, i oto staje ci na widok krzywych zębów albo sinicy warg albo kołnierza ortopedycznego. Niby dlaczego nie? No dlaczego nie? Pod znakiem zielonej dłoni wchodzi do półmroczonej katowni STZ. U niskiej, wapiennej powały skwierczy i mruga samotna goła żarówka na wygiętym kablu. Wokół – poświadczone certyfikatami Ministerstwa Kultury Narodowej krzesła, stoły, lampy, ławy, kajdany, łańcuchy, pręty, bicze, kastety, kubły, gumowe węże, szlauchy, długopisy do podpisywania wymuszonych zeznań. Nienke siada za stołem na miejscu oficera Służby Tržv Zstda, zakłada nogę na nogę. Nie są sami, w komnacie pracuje pomagier międzypłciowego menadżera, żylasty Lewantyńczyk z wystygłym petem przyklejonym do wargi, sam prawie że eksponat z minionej epoki. Ściera mopem plamy z betonowej podłogi, dziwnie podobne kałużom krwi i rzygowin. Daan

znalazł opis na jakimś anglojęzycznym forum. – Jak się zamykają – „Czerwone Piwnice po godzinach”. Trzydzieści tysięcy jut za noc. Plus kaucja na zniszczenia. To dla lokalsów, nie dla turystów. Kto płaci? Młodzi profesjonaliści i hipsterka, i wyrobownicy korporacji, i intelektualiści akademicy. Parami, ale można i grupowo. Jeden jest przesłuchiwany, drugi przesłuchuje. Wszystko jak za minionej epoki. Chodzi o to, żeby nie dać się złamać do rana. Nie zdradzić tajemnicy. Nie pisze tu, czy ustalają *safewords*. Na pewno chwałą się tym potem w sieci, można znaleźć nagrania. – Jakiej tajemnicy? Mają tajemnice? – Wieczorni Bracia też przecież łamali ludzi byle tylko złamać. Nie? – Sprzątacz przypatruje się im z sennym zaciekawieniem, wsparty na kiju mopa. Daan podnosi odrapany kastet, przykłada sobie metal do szczęki, robi komiksową minę uderzonej zniecka ofiary. Sprzątacz wzrusza ramionami. Daniel jest już po drugiej stronie stołu, pstryka kontaktem lampy, obraca klosz na Nienke, która natychmiast staje się podejrzaną aresztowaną torturowaną, i klęśnie, i kurczy się, osuwa na krzesło, wtedy Daniel świeci jej prosto w oczy, wtedy ona oczy opuszcza, splata dłonie na kolanach, wtedy on tłucze o blat szklaną popielniczką w kształcie opony traktora, aż pył się podnosi z drewna i wiruje pięknie pod kloszem – Spiskowaliście przeciwko władzy ludowej! Wyznajcie swoje przewiny! Kto wam pomagał? – na co Nienke nie jest już w stanie powstrzymać chichotu i wskazuje wyprostowanym ramieniem na Daana, wtedy Daniel obraca światło na niego i Holender, pochwycony w bezlitosne śledztwo, mruga ptasio, odsuwa się rakiem, potyka o kubek z brudną wodą, woda się rozlewa, sprzątacz klnie kolczasto – *Již-to ps'čin sr'li na vaš!* – i odpycha Holendra w przeciwną stronę, na stół, Daan mało nie traci równowagi, z tabletem w jednym ręku, ze stopą odślizgującą się na pomyjach, opiera się o blat, i już go Daniel ma, już przyspila mu nadgarstek do drewna otwartą półobraczą podrdzewiałych kajdanek STZ, a pod brodę wciska szlauch sflaczałego węża, i ciśnie, i wwierca, i napiera, z dołu, z za światła – Szpiedzy! Kontrrewolucjoniści! Kapitaliści! – aż Daan puszcza tablet, odpycha się z jękiem od stołu, Daniel za nim, napiera, wąż zahacza o lampę i lampę przewraca, ostry blask elektryczny chlaszcze ich po sylwetkach i pluje krzywymi cieniami po wapnie: mały grubas z absurdalnymi narzędziami tortur przeciw tyczkowatemu brodaczowi, tyczka się chwieje, wywija patykami ramion, płaczą się linie proste i plamy krągłe, koło miądzdy prostokąt, sinusoida oplata pytajnik, misio tuli modliszkę. W kolorowej bańce półświadomych wyobrażeń rozedrganej między Danielem i Nienke pobłyskuje wszak i ta możliwość, że głośny śmiech i frajda dziewczyny nie dowodzą luzackiej komitywy z Danielem, lecz że ona śmieje się z Daniela, bawi się jego

kosztem, a on, on tu błazni się i poniza i poniewiera, coby miała uciechę z kolejnej scenki z tłustym kurduplem Panem Nijakim w roli głównej. Uroiło się Panu Nijakiemu, że studentka szprycha naprawdę chciałaby spędzić z nim godzinę dwie wieczór, i sam się oślepił na tę prawdę, sam wybrał durną iluzję, podczas gdy zna przecież swą zerową wartość na rynku ciał i fantazji, więc nawet nie ma pretensji, zaakceptował tę możliwość. Kupił był za nią wspomnienie wspólnego śmiechu, dłoni na rękawie, czystych, jasnych oczu wpatrzonych w niego w radosnej ciekawości. Zaciska gumowy wąż wokół szyi Daana, aż ślina z flegmą bąbelkują Holendrowi z nozdrzy. Przetoczyli się po betonie w drugi kąt celi. Daan wierzga i kwili. Daniel siedzi mu na plecach, gniecie kolanem kręgosłup i ciągnie oburącz sparciały wąż, ciągnie, ciągnie, ciągnie. Z poziomu podłogi historycznej katowni, z perspektywy kubła i kałuży, tracący szybko dech i zasilanie mięśni Daniel widzi tylko nogi stojącej nad nimi i nagrywającej wszystko Nienke, nogi, stopy, markowe trampki, gładki alabaster dziewczęcych kostek.

Skoro bez przesadnych protestów zapłacili za uszkodzenie eksponatów – Daniel zapłacił – flegmatyczny Lewantyńczyk wyczuwa okazję do osobistego zarobku i zaszedłszy im drogę w korytarzu, tuż przy tylnym wyjściu z Rdče Vzbi, otwiera październikowe podwoje prywatnej pakamery. Uniesionym wyprostowanym palcem sygnalizując doniosłość okazji. – *A prošm, bliknjite t'vo.* – I wyszarpuje spod dolnych półek kartony ze swoją kolekcją. Daniel nie doszedł do siebie po wyczynowym pajacowaniu, opiera się o framugę drzwi wyjściowych, nadal dysząc. Przedsiębiorczy sprzętacz oferuje Holendrom po dyskontowych cenach oryginalne zęby wybite i wyrwane przez katów STZ ofiarom z demokratycznej opozycji; padają nazwiska, poety, samospaleńca, biskupa, aktora, wszystkie niewymawialne, niezapamiętywalne. Następnie unosi pod żarówkę kostropaty fallus z drewna lub buraka. Który okazuje się trskim „czerwonym afrodyzjakiem” wypalany z grochu brożeckiego, do moczenia w herbacie i pojenia nomenklaturowych impotentów. – *A bliknjite i t'vo, prva klasa!* – I prezentuje używkę współczesną: organiczną trawkę z lokalnych upraw, z łąk pobłogosławionych przez Maryję Pannę podczas jej objawienia pięciu grotolazom w 1977 roku pod przełączką Grżnić; niebiańska marycha sprzedawana jest w plastikowych torebkach po M&M'sach. I używkę kolejną, historyczną: w blaszanej papierośnicy – siedem oryginalnych iżmojów, pięćdziesiąt euro za sztukę. I sięga jeszcze głębiej, i z za ostatniego kartonu wyciąga masywny słów patologa. Holendrzy pochylają się nad nim z dziecięcą ciekawością. W słoju pływa szara gruszka zamarynowana na strup. Lewantyńczyk opowiada ją

wszakże z takim rozmachem i zaangażowaniem, że Daniel dobywa własny telefon i odpala własną brztwę. Brztwa czyta odręczną etykietę słoja: TATO MÓZG HUBA. Zirytowany telegraficznym prostactwem aplikacji Daniel wchodzi w ustawienia programu i palcuje do oporu suwak stylistyki, nie zważając na spadające równocześnie procenty precyzji i wierności przekładu. *OJCA NASZEGO MYŚLI WYJĘTE Z CIAŁA I SKAMIENIAŁE NA WIEKI*. – *A prto! N’tko g’ma, samo mji, izvrnko!* – Nienke się waha. Daniel patrzy na słoje, na zęby, na czerwonego chuja, na papierosy, na słoje, i odkaszlnąwszy chrapliwie, unosi przed nos sprzątacza krąglutką pięść, po czym rozgniatą między palcami ostatnią alkoholową śliwkę, ćlumć! – Wszystko fejki.

W alejce za tylnym wyjściem z Rdče Vzbi, z widokiem na plac z trzema replikami krzywej wieży w Pizie (każda krzywa w inną stronę). Zawieszeni między słowami, decyzjami, nastrojami. Nawet nie zdobędą się na pytające spojrzenia; rozglądają się po okolicy, unikając wzajemnego kontaktu, Daan gugła te wieże, Nienke wyławia pęsetami krótko przyciętych paznokci drobiny wapna z włosów. Świeże powietrze działa na Daniela niczym zimna wódka, przeczyszcza wewnętrzne linie komunikacyjne, i Daniel czuje – to fizjologiczny nacisk, coś jak parcie moczu w pęcherzu – że jeśli nie otworzy teraz nowej sytuacji towarzyskiej, odpadną w swoje strony i jasnooka Nienke na zawsze zniknie z realu Daniela Massny’ego. Sięga po telefon, jak zazwyczaj, gdy trzeba zamaskować niezdecydowanie. Lecz sięgnąwszy – znajduje oczywiście kolejne esemesy i e-maile i nieodebrane połączenia, scrolluje długie ich listy, porównuje godziny, daty, adresy (Nienke trze blizną o policzek, zniecierpliwiona) i w desperacji otwiera Daniel e-mail *dame* Őlbsk i podsuwa Holenderce pod oczy. – Z osobą towarzyszącą. Właśnie mają zaczynać. Nie chciałabyś ich do swojego vloga?

Salony Republiki Trskiej. Miles Davis. Dużo starych książek i czarno-białych fotografii w zmatowiałych antyramach. Alkohol kawa papierosy *frutti di mare*. Głosy ludzi i telefonów komórkowych. Drzwi i okna otwarte na oścież. Balkony tarasy dachy parapety. Pięćdziesięciolatekowie, sześćdziesięciolatekowie, siedemdziesięciolatekowie. Skrzypiące parkiety. Trzecia i czwarta kondygnacja kamienicy u szczytu osiowej alei Zaproču, z pocztówkowym widokiem na zalesiony stok górskiego żebra i heksagonalny plac defilad. Gołębie na balustradach. Koty. Miles Davis, *Bitches Brew*. – Daniel Massny do pani Fary Őlbsk. – Weszli. Już w drugim pokoju (drzwi otwarte na oścież) Daniel dostrzega mecenasa Trbača sklinczowanego z siwowłosymi garniturami w rozmowie na stojaka. Stoją wszyscy; stoją, chodzą, lgną do ścian. W głębi – więcej garniturów.

Nienke dziabie go łokciem w żebra i wskazuje dyskretnie kolejne zdeszyfrowane guglem figury: przewodniczący, senator, redaktor, minister, fundacja Sorosa, Sąd Najwyższy, poeta wieszcz, Bomba!, komisarz europejski, właściciel telewizji, Zjednoczona Lewica, krytyk teatralny, posłanka z ramienia. Bogowie statystyki przemówili do przodomózgowie Daniela, głośno i wyraźnie. Po jego kręgosłupie, wypełzłszy z wilgotnej ciemności międzypośladkowej, sunie oślizgły wij-dreszcz. Zaczyna oto Daniel pojmować, jak tragiczny błąd popełnił, błąd jak grzech, nie do odkupienia. Holenderka vlogerka reporterka jest natomiast wniebowzięta. Już kalibruje pęknięty tablet Daana do dyskretnych łowów salonowych. Daniel szuka w telefonie tego e-maila z zaproszeniem, znalazł, czyta, nie zdążył przeczytać – spada nań ciężka dłoń w pierścieniach i jeszcze cięższe perfumy: *dame* Ōlbsk zjawiała się osobiście po nowo przybyłego gościa. – A już się bałam, że naprawdę wyjechałeś. – Wyjeżdżam. Jutro. – Jutro, jutro, jutro! nie zdarzy się nigdy. Dzisiaj! dzieje się wszystko. Chodź, jeszcze nie zaczęliśmy. Nie podpisałeś chyba listy berlińskiej? – Berlińskiej...? – Świetnie, świetnie. Poczekaj tutaj, zaraz ich wszystkich. – Trzasnęły drzwi, Daniel jeszcze obraca się na pięcie, ale jest już sam, został sam jeden w narożnym pokoju na górnej kondygnacji apartamentu *dame* Ōlbsk. Cztery wielkie okna otwarte na zachód i południe miasta, wieczór, wiatr od morza, to chyba strych przerobiony na lofty, sufit tak wysoko... upadł, usiadł, zakręciło się Danielowi w głowie. Tylko ten wiatr, wiaterek, zefir słony ochładza kark i skronie. Miles Davis (*Running the Voodoo Down*) pulsuje głucho za zamkniętymi drzwiami. Daniel upadł, usiadł, siedzi – i ile zajmie mu teraz ponowny rozruch? Przynajmniej tyle ma przyjemności z bycia wyłączono – brrrm!, nagła burza w żołądku podrywa go niczym dwieście dwadzieścia woltów z nagiego kabla. Oto bowiem wzrok obsunął się mu na stół pod przeciwną ścianą, coś w rodzaju stołu szwedzkiego na bardziej koktajlową modłę, głównie sałatki, małe, sardynki, krewetki, tofu i kuskus, oraz wino, plutony butelek wina, wino na baczność czwórkami przez cały stół – i popłynęły soki trawienne, brmrmmmm. Przysunawszy tam krzesło oraz drugie krzesło, na którym położył przed sobą tacę, ładuje kopiaste porcje w miseczki z bambusa i na niby-deserowe talerzyki. Nie dowierza stabilności krzesła-stolika, nie zaryzykuje na nim kieliszka na wysokiej nóżce – toteż leje białe wino (Žilavka, płynne słońce w seledynowych ziołach) do masywnej szklanicy na piwo. I zaraz musi sobie dolać, wraz z apetytem obudziło się bowiem pragnienie, a jaki był głodny! – dopiero teraz czuje. Je, je, je. Wróciłem do zdrowia. Je, je. Wróciłem do siebie, tydzień i zapomnę o wszystkim. Otwierają się dwuskrzydłowe drzwi. *Dame* Ōlbsk w grupie dostojnych garniturów. Zastopowani w progu. Daniel

zastopowany w przełyku. Zwisa mu z między warg skrzydło sałaty i złoty ogonek krewetki. W jednej brudnej ręce – szklanica, w drugiej brudnej – butelka wina. Nachylony nisko nad tacą pełną śmietnikowo skłębionego zarcia niczym knur na korytem. Plamy jakby krwi, jakby wymiocin, jakby moczu na jego polarze i dzinsach. Spocony w wysiłku zachłannej konsumpcji, świeci się na tłustej gębie i czole-półłysinie, blady lampion obżarstwa. W szczeciniastym zaroście utkwili mu na podgardlu ziarna kuskusu. Ściera je grzbietem dłoni. Dom podróż kość kloaka falowanie nagość sztylet pieluchy. Przełyka. Beknięciem odpędza czkawkę. Przełyka jeszcze grubiej, skraśniały, pęcznieją żyły, skacze grdyka. Je, patrzy, je, absolutnie spokojnymi oczyma spod lekko opuszczonych powiek, je. – *It is my pleasure – let me introduce to you, gentlemen – Daniel Massny – my brother.*

Ōlsk leży przy samej granicy z Albanią, to niewielka górská miéscina, z tego znana, że za czasów Republiki Zbójców ukrywał się tam Dragodar Grdk, ichni Robin Hood slash Guy Fawkes, w istocie uczyniwszy z Ōlska swą stałą siedzibę, bezpieczny w niej przed represjami rządów okupantów imperiów. Jako że dostać się tam można było jedynie na piechotę, żmudnym dwudniowym marszem ponad przepaściami i piargami, z daleka zdradzając się jedynym żywym ruchem na kamienistych zboczach. Tak zresztą jest po dziś dzień. Za Socjalistycznej Republiki Trskiej Ōlsk wyrósł na mini-Samarkandę szlaku przemytniczego wiodącego przez Albanię do Grecji i na Zachód: w tamtą stronę uciekali kryminaliści i dysydenci, w drugą sprowadzano plecak po plecaku niedostępne za żelazną kurtyną delicje dekadentckiego kapitalizmu i papierowe miazmaty wywrotowej myśli. Potomek jednej z poważniejszych zbójeckich familii Ōlska, późnego odłamu z drzewa genealogicznego Grdków, obraziwszy się na Boga i tradycję za złośliwą bezdzietność w trzecim z kolei małżeństwie, jął przysposabiać do rodu i nazwiska sieroty wskazywane mu w snach; wszyscy tam wierzą ślepo w nocne premonicje. Między innymi adoptował w 1966 roku ośmiomiesięczną dziewczynkę z sierocińca z dolin. Po roku 1990 stare klany Ōlska wniknęły w tkankę pierwszych partii i rządów niepodległej Republiki Trskiej: każdy, kto liczył się w demokratycznej opozycji, zawdzięczał coś ōlskim przemytnikom. Nic dziwnego, że Fara, wyrósłszy w Grdkowym nazwisku, między wujkami mafiosami bohaterami kontrabandzistami ministrami alpinistami, ujrzała swe powołanie w opowiedzeniu niezwykłości tego świata. Pierwsza jej książka była sensacyjną autobiografią przemytniczo-erotycznych wtajemniczeń, w biblijnych plenerach nieba i gór i starożytnych ruin, jak z filmów Tarkowskiego. Rychło zasłynęła z wywiadów z dawniejszymi herosami

podziemia, tak samo brutalnie szczerych jak i jej wywiady rzeki z prominentami reżimu Strkovskiego. Od początku podpisując się wyłącznie miejscem pochodzenia – jakby to sam Ōlsk pytał ich i osądzał. Zna wszystkich i wszyscy znają ją. Ponieważ nie aspiruje do świecznikowych urzędów, może uprawiać politykę piórem głosem wpływami, unikając etykiety „polityka”. Choć to dziennikarze imacherzy kultury są prawdziwymi politykami XXI wieku; posłowie i ministrowie jedynie przekuwają na ustawy i zarządzenia oczywistości przewalczone już wcześniej w umysłach wyborców. – Następny Stalin Hitler Strkovski wyjdzie na świat z serialu Netflixa. – Daniel popatruje z bliska na przetrawioną brązowym kwasem zmarszczek twarz Fary Ōlsk, pod geologicznymi warstwami makijażu. Czuj szczur, siostrzo. Czuj szczur. Na głos wypowiada zaś amerykańskie banały o roli prasy w demokracji, o wolności słowa. – Mój drogi, mój drogi, a kto jest lepszy dziennikarz? Ten, kogo słuchają oglądają klikają. A na co klikasz: bo prawdziwe czy bo ciekawe? A, widzisz! No to powiedz: czym jest dziennikarstwo? Dziennikarstwo to polityka fikcji. – Daniel myśli o Nienke, Nienke od połykanych minikamer i jutiubowych rantów, krążącej tu gdzieś po salonach *dame* Ōlsk i nagrywającej partyzancko polityków alienów, w nadziei podrażnienia sumień kawiarnianych liberałów Londynu i Brukseli. Narodzą się państwa i konstytucje i patriotyzmy seksapilu gołych kostek. – Danielu. Senator Čubrica z Ruchu Osiemnastego Października jest wielkim fanem Milovoia Strkovskiego. Prawda, panie senatorze?

Miles Davis, *Great Expectations*. Wyszli na balkon, balkon-taras, żal przegapić spektakl topienia Słońca w morzu, choć wystawiany co wieczór od stworzenia świata. *Dame* Ōlsk ma tu widok z łoży honorowej: w dół szerokiej alei, między wysokimi parawanami wzgórz, do nabrzeża, przez szczerbinę bliźniaczych wież bazyliki Świętej Atanazji Egejskiej i muszkę baszt portowych. Purpura i fiolet rozmiękczają linię horyzontu, Adriatyk ma odlot na LSD. Senator Čubrica wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki pancerną kasetkę na iPhone’a z nalepką czerwonego jezora Micka Jaggera, otwiera ją delikatnie długimi palcami pianisty i częstuje Daniela oryginalnym iżmojem. Daniel jest człowiek niepalący; nigdy nie palił. Podwinąwszy rękawy polaru, zaciąga się, jakby chciał wyssać tytoń z papierosa. Popiół strzepuje za balustradę, i dopiero po okrzyku z dołu orientuje się, że balkony na niższej kondygnacji apartamentu *dame* Ōlsk to rzeczywiście już bardziej tarasy, wysunięte kilkanaście stóp dalej nad plac-heksagon. Senator się śmieje. Daniel wzrusza ramionami. Nawet nie umył rąk, nie przyczesał włosów. Čubrica jest od Daniela dobre dziesięć lat młodszy, młodszy, wyższy, zdrowszy, przystojniejszy, a czy bogatszy – to się właśnie ma

okazać. – W tym fiordzie pod Rož-Niłą, gdzie Vtrko hodował swoje rekiny, Guillermo del Toro kręcił parę lat temu podwodne sekwencje *Zewu Cthulhu*. Przetrwały półwiekowe instalacje w grotach jak po kosmitach. Kupiłem cały kompleks. Zrobię hotel dla surwiwalistów albo pustelnię *mindfulness*. Zapraszam. – Daniel zorientował się z kolei, że niestrzeptywany popiół spada mu z papierosa na pierś i brzuch, na zaplamiony sweter. Zmiata krusze drobiny prosto na spodnie i mokasyny parlamentarzysty. – Już mi dzisiaj serwowano jego mózg w słoju. Nie zostały żadne szczątki, prawda? Nie ma grobu? – Senator Čubrica wznosi swój iżmoj wysoko ponad głowę, ponad Słońce. – Nie ma i nie będzie! Wie pan, że widziano go w zeszłym roku w Istambule, na Nuruosmaniye, pod bazarem? I w dwa tysiące dziewiątym ktoś mu zrobił zdjęcia komórką na pokładzie wycieczkowca do Hajfy, z siwą brodą, pod słomkowym kapeluszem, w ciemnych okularach. Widzi pan? Nie ma grobu, nie ma szczątków. – I opuszcza batutę papierosa. Nachyla się ku Danielowi. Szepcze. – *Ubinj t'ko švno, da besmrtnj*. Zabity tak dobrze, że nieśmiertelny. Usiądźmy. – Albowiem dyrygowany przez *dame* Őlbsk Tyrania Złych Ludzi porozstawiał już na balkonie tuzin krzesełek ogrodowych, włączył piecyki elektryczne, zatrzasnął przeszklone drzwi do biblioteki. Usiadł mecenas Trbač, usiadł komisarz UE, usiadł pijany redaktor prorządowego dziennika, i stary poeta, i młody biurokrata, siada także Daniel. *Dame* Őlbsk klaszcze dwakroć. W dali biją dzwony. W organizmie Daniela ruszają procesy trawienne, spoczęcie na krześle to sygnał dla metabolizmu, by przestawił biegi. Będzie Daniel walczył z uporczywymi napływami snu, a czy zwycięży –

Gdyby pięćdziesiąt procent na cele dobroczynne, mówi. Nie ma znaczenia, mówi drugi. To tylko rozwścieczy kury nasze kochane. Nie da się przeliczyć życia ludzkiego na pieniądze. Daniel osunąłby się z siedzenia, gdyby nie mocarne ramię Tyranii Złych Ludzi. Tyrania potrzęsa nim, nie przerywając szeptanej angielskiej symultany. Daniel prostuje się, chrząka, mruga. Wyrobiony na korporacyjnych naradach odruch każe mu natychmiast dowieść bezwzględnej koncentracji. Pet wypalił dziurę w džinsach, Daniel dłubie kciukiem w tej dziurze mówiąc mówiąc mówiąc

DANIEL: Ale to nieprawda. Że życie człowieka bezcenne. Ma konkretną cenę. Cena życia przeciętnego obywatela Stanów Zjednoczonych to osiem do dziesięciu milionów dolarów. Mówię o rządowych obliczeniach, Departamentu Transportu, Agencji Żywności i Lekarstw. Mnożysz długość przewidywanego życia przez średnie zarobki, inflację, odejmujesz koszta stałe i podatki,

uwzględniasz poziom komfortu rodziny na utrzymaniu; tyle. W Europie wartość życia spada, im dalej na wschód. Pięcio-, sześciokrotnie. Tak.

REDAKTOR: Ale to przecież nie znaczy, że wolno zabić człowieka, tylko zapłacić równowartość w walucie. Średniowiecze. Kurwa, Hammurabi.

KOMISARZ UE: Ilu ludzi zabił Strkovski?

MECENAS TRBAČ: Pośrednio? Tysiące. Nie w tym rzecz. Panie Massny –

DANIEL: Nie Hammurabi, tylko konieczność nowoczesnej gospodarki. Inaczej niczego byś nie przeprowadził. Nie zbudował dróg, wieżowców, fabryk. Nie miał samochodów, samolotów. Elektrowni jądrowych. Niczego. Wpisz w arkusz kalkulacyjny nieskończoność za życie i cały budżet zjedzą ci koszty ubezpieczeń i ochrony przed wypadkami. Mogę kawy?

ÖLBSK: Danielu, propozycja była inna: żeby powiązać sukces odzyskania zagranicznego portfolio Strkovskiego z czymś atrakcyjnym dla ludzi. Jeśli z góry zdeklarujemy, że ufundujemy to narodowi ze spadku po Vtrko Naccju, będą nam szczerze kibicować.

DANIEL: Dlaczego rząd nie miałby zrobić tego samego? Tylko że za sto procent znacjonalizowanych skarbów, a nie połowę.

SENATOR ČUBRICA: Coś takiego, czego rząd nie da im na pewno.

REDAKTOR: Koncert Beyoncé. A kawy koniecznie, koniecznie.

MECENAS TRBAČ: Zaraz. Pan Massny mógł trafić w sedno. Czy ktokolwiek przeprowadził regularną analizę kosztową indywidualnej odpowiedzialności w rządach totalitarnych? Ceaușescu? Tity? Jaruzelskiego? Honeckera? Wiadomo, że mówimy o pieniądzach, nikt nie wygłupi się wyceną niepodległości, wolności prasy czy durnego ideolo. Pan robi statystyki dla wypadków śmiertelnych, prawda? Gdyby potraktować Milovoia Strkovskiego jako masowy wypadek historyczny – ile wyniosłoby odszkodowanie?

Miles Davis, *The Big Green Serpent*. Kawa jest elektryczna. Daniel podświadomie przesuwa się bliżej grzejnika. Dyskusja rozpadła się na dialogi w parach i trójkątach, Tyrania Złych Ludzi musiał się poddać.

SENATOR ČUBRICA: Nie znają jeszcze całej tej sumy, tylko dlatego może się to udać.

DANIEL: Ile tam leży po Szwajcariach, Luksemburgach i Kajmanach?

SENATOR ČUBRICA: Tak. Nikt w istocie nie wie. Hamski wywróżył te liczby z fusów. Dopiero na żądanie legalnych właścicieli banki mogą ujawnić rejestry. Gdyby nie Panama Papers i podobne masowe kradzieże z pancernych serwerów, w ogóle przecież nie mielibyśmy pojęcia, że są jeszcze jakieś Strkovskie fortuny poukrywane na Zachodzie. Ile wypłynie dopiero po sądowych

wezwaniach? Może posiadacie pakiet w arktycznych polach naftowych? A Trska nie jest wielkim krajem, to nie Rosja czy Niemcy. Da się tu policzyć udział Strkovskiego w kosztach nieszczęść dla każdej rodziny. Górale od wieków tak robią w feudach krwi między klanami. I powiedzmy, że wyjdzie nawet bardzo duża suma – to jeśli Strkovski zainwestował mądrze, po czterdziestu–pięćdziesięciu latach wzrostu gospodarczego Zachodu... Zostanie tyle, żeby z wszystkich was zrobić multimilionerów.

DANIEL: Co innego prawo karne. Nie wiem, jak tutaj. W Stanach podpadłoby to pod zyski czerpane z przestępstwa, wtedy konfiskują całość.

SENATOR ČUBRICA: Po to właśnie jest ta inicjatywa polityczna. Strkovski nigdy nie miał procesu. Nigdy go nie osądzono. Nie ma nawet certyfikatu zgonu.

DANIEL: Zabity tak dobrze, że nieśmiertelny.

SENATOR ČUBRICA: Dokładnie. Jedyne podstawy prawne to dokumenty własności konkretnych nieruchomości – ale Strkovski nie zagarniał ich dla siebie, tylko nacjonalizował, i dopiero potem transferował korzyści z ich użytkowania; zresztą w większości zostały znacjonalizowane wcześniej, zaraz po wojnie. Więc cokolwiek orzekają o nielegalności fortuny Strkovskiego, jest to jednorazowa decyzja polityczna, nie wyrok prawa. Stąd zaniepokojenie Brukseli.

DANIEL: I rozumiem, że Ósmy Październik jest przeciwko upaństwowieniu tych kont.

SENATOR ČUBRICA: Osiemnasty. Nie, my jesteśmy kopniak z półobrotu w Brukselę i Berlin. Cokolwiek, byle się odkroić od tego trupa, zanim gangrena przejdzie na nasze ramię.

DANIEL: Co się stało osiemnastego października?

SENATOR ČUBRICA: Nic. Siedemnastego Trska weszła do Unii. Osiemnasty to dzień po.

DANIEL: Przepraszam, słabo się w tym... Ale pan chce pomóc mecenasowi, prawda? Więc jak –

SENATOR ČUBRICA: Mamy wybory, no i niech pan powie, panie Massny, czy coś mocniej podburzy ludzi na Brukselę aniżeli nakaz francuskich i niemieckich biurokratów, żeby naród trski zwrócił bękartom Strkovskiego te szemrane miliardy? Ha! Liczymy na trzydzieści procent głosów i samodzielną większość.

Uśmiechnięty. (Śnieżnobiało). Podekscytowany. (Palce wirtuoza biegają po kłapach marynarki). Daniel walczy o powrót do tego realu. Kawa pomaga. Wypił, macha o drugą. Po przekątnej balkonu stary poeta przygląda się mu ze smutnym uśmiechem. W kieszeni Daniela wibruje telefon. Lana. Bardzo długo wpatruje się

Daniel w gifa z jej fitness klubu: podejrzana z tyłu młoda grubaska cwałująca żwawo na mechanicznej bieżni – zielony spandex rozpekły na jej masywnym zadzie – przebiera tymi nogami szynkami, a bladość tłusta przelewa się malowniczo w pionowym rozdarciu. I Lany tekst: TĘSKNISZ? Słońce zaszło i miękki blask bijący z wnętrza mieszkania wycina zaskakujące profile z postaci w kręgu krzesełek ogrodowych. *Dame* Ōlbsk nagle wydaje się dwadzieścia lat młodsza, świeża, dziewczęca, piękna.

ŌLBSK: Co?

DANIEL: Nie chcę tego dziedzictwa.

ŌLBSK: Dlaczego?

DANIEL: Dlaczego miałbym chcieć? Ty chcesz? Na co ci?

ŌLBSK: Myślisz o pieniądzach.

DANIEL: Jest tu coś poza pieniędzmi?

ŌLBSK: Powinność.

DANIEL: Co?

ŌLBSK: Powiedz. Danielu. Powiedz, co to jest. Jaka więź. Przecież nie krew. My mamy rodziców z adopcji, wiemy to najlepiej. I nie miłość. Możesz ich nienawidzić, możesz być całkowicie obojętnym, a nadal są rodzicami. I nie przyzwyczajenie, nie życie. Ilu w ogóle nie utrzymuje z sobą kontaktu. Albo minimalny. A nie powiesz, że nie dzieci i nie rodzice. Więc co to jest. Tylko, tylko powinność. Masz zobowiązanie: jesteś synem, jesteś ojcem. A jak powstaje zobowiązanie? Jak? Podejmujesz je. To jest ciężar. To jest więź. Strkovski nie żyje. Jaka powinność jest tu jeszcze możliwa? Przyjmujesz pieniądze i to są pieniądze z jego tyranii, z jego grzechów, przez niego wyciśnięte z cierpienia milionów. Pieniądze, duże pieniądze, bo dzisiaj nic innego nie ma tej siły rytuału we wspólnocie. Widzisz? Strkovski nie jest kosztem ubocznym fortuny. Ta fortuna z cienia wiąże nas z Vtrko. Odziedziczyłeś. I już nie zerwiesz więzi. Stałeś się synem Milovoia Strkovskiego.

DANIEL: Kiedy ja nie chcę się robić synem St-sr-skw, kurwa! nie chcę!

ŌLBSK: Danielu, Danielu. Rodzimy swoich synów i rodzimy swoich ojców.

DANIEL: Mówcie za siebie –

ŌLBSK: *Mej s'rditji naš snove a mej s'rditji vtrka naš*. Dlaczego nie ma tu innych spadkobierców, tylko ja i ty? Bo my, my możemy go urodzić. Rozumiesz? Nie: „córka Strkovskiego”, „syn Strkovskiego”. Ale: „ojciec Fary Ōlbsk”. Ale: „ojciec tego Amerykanina”. Strkovski ojciec Amerykanina sam jest już pół-Amerykanin. Czy wtedy nadal będą się tak oburzać?

SENATOR ČUBRICA (w śmiechu): Próbujcie, próbujcie! Czterdzieści procent i większość konstytucyjna!

DANIEL: Wierzysz w to? To nie będzie on, co najwyżej stworzymy jego obrazy w dzisiejszych umysłach.

ÖLBSK: Oczywiście! A jakiego Strkovskiego masz? Dzisiejsze obrazy. Dzisiejsze umysły. Co innego?

DANIEL: Nie one mnie poczęły. I była jakaś kobieta z krwi i kości, którą on... Matka, nieistniejąca w dzisiejszych umysłach.

BIUROKRATA: Dwudziestego piątego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Socjalistyczna Republika Trska stała się Drugą Wolną Republiką Trską, zachowując ciągłość prawną, uznając granice, traktaty, długi, wszelkie prawa nabyte. Zmieniono hymn, flagę i banknoty. Wszyscy jesteśmy adoptowani.

Miles Davis, *Lonely Fire*. Gif Lany nie daje Danielowi spokoju, popatruje na schowany we wnętrzu dłoni ekran smartfona i powoli odkleja się od balkonowych intryg. Druga kawa już nie pomogła, tylko sikać mu się chce. To prawda, w zmaganiach między *religio* i *superstitio* zwyciężyły pieniądze. Zdradź mi swój przedział podatkowy, a powiem ci, w co wierzysz i jakich celebów wielbisz hejtujesz żyjesz. W czasach kariery księgowego solisty miał klientów, których wizja wzbogacenia – nie jedynie wyjścia z biedy, lecz awansu do lifestyle’u wolnego od trosk materialnych – szczerze przerażała. Wszyscy widzą jej blade dupsko, tylko nie ona sama. Jak chyżo przebiera kończynami na tej bieżni! jak dumnie trzyma głowę! Przeprosił, wstał, wyszedł do biblioteki, na korytarz, szuka łazienki, pęcherz napompowany alkoholem i kofeiną za chwilę eksploduje, zajęta jedna toaleta, zajęta druga toaleta, zbiega kondygnację niżej, puka, napiera na drzwi, drzwi ustępują z trzaskiem, wchodzi, Nienke zmigdalona tu z brodatym garniturem odruchowo odskakuje wstecz i podcięta w kolanach, wpada do wanny, garnitur zapina koszulę, rozsypuje z szyi zaplamiony czerwonym winem krawat, wycofuje się bokiem, strącając jeszcze łokciem z umywalki mydło w płynie. Daniel wypowiada głosem Homera Simpsona wyrazy ubolewania, omalże kondolencje, nie kończy jednak kwestii, odwraca się od umywalki i od swojej twarzy w lustrze nad umywalką, staje w kowbojskim rozkroku nad sedesem, rozpina spodnie, wyławia wilgotnego członka i pruje gorącym strumieniem moczu w dziewiczo białą porcelanę. Nienke, klnąc po holendersku, wydobywa się ze śliskiej wanny; udaje się jej za trzecią próbą. Daniel sika. Nienke przechodzi do angielskich wyzwisk, Daniel (sikając) spogląda na nią spokojnie, Nienke gaśnie w cichych pomrukach, przysiada na krawędzi wanny,

naburmuszona, zostawiła gdzieś swoją kurtkę moro, poślinionym palcem ściera z czarnego T-shirtu kredowe smugi talku lub proszku do prania, Daniel sika nadal, a im dłużej sika, tym większa jest (czuje) władza jego plugawej cielesności nad dziewczyną i dziewczyny nagimi kostkami. Nie opowie sobie tego uczucia – gdzie słowa, a gdzie uczucia! – wyświełają mu się tylko czerwone podniebienia pantofli trskich prostytutek i koszyk orzechów do zmiżdżenia. Jak dawnym herosom wykuwano na stelach nagrobnych legendarne przewagi bitewne, tak niech zostanie zapisane Danielowi Massny’emu: ona patrzyła, ja szczałem. Pierdnąłby jeszcze, gdyby był taki artysta kiszek. Opuszcza powieki. Adoptowani, akurat! Putinowscy oligarchowie mogliby się uczyć perfidii zbiorowej chciwości od tych –

Ogłuszony. Dostał w skroń. W oku krew. W ustach miedź. Wszystko się chwieje. Upadł? Stoi? Ciemno. Jasno. Ciemno. Oparł się o ścianę. Ściany drżą. Przeciągły jęk-wizg rozdziera ścięgna i kości budynku. *Izdči óus! Izdči óus!* Nie czuje lewej nogi. Jasno. Ciemno. Coś runęło mu na plecy. Miękkie, ciężkie. Daniel łapie oddech. Jasno, światło migocze, biała łazienka pali w prawe oko, lewe nadal krew. To Nienke na niego wpadła. Wytaczają się na korytarz. Bieganina, krzyki, kurz, rozbite szkło, deptane książki. W nodze budzi się ból. Daniel ściera krew z czoła. Rozciął skórę o rezerwuar toalety, tym lewym kolaniem uderzył o muszlę, jęczy. Potrącają go. Odpycha na ślepo ciała, padające kamienie domina. *Izdči óus, prkto!* I strumień gości opuszczających w pośpiechu apartament *dame* Ōlbsk wynosi go na klatkę, na schody, a schody też się kołyszą, gną, drżą. Dostrzega Tyranię Złych Ludzi – z trzema laptopami pod pachą i butelką bourbona w drugiej ręce. Trzęsienie ziemi? Trzęsienie ziemi. Dwa młode garnitury znoszą na krzesła starego poetę z brzydki wykręconą w kolanie nogą. Daniel kuśtyka za nimi. W zablokowanej między piętrami windzie ktoś łomocze butem w metal, wzywając ratunku po francusku. Koty skaczą po poręczach i kratownicach szybu windy. Kakofonia pisków, wyc i syren narasta, Daniel wychodzi z budynku – połowa samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika skowyczy alarmami i błyska reflektorami. Nad sześciokątnym placem defilad unosi się w świetle Księżyca gruby woal pyłu – operator nocy nasunął na oko Boga bajkowy filtr. Wybiegłszy z domów, ludzie gromadzą się w sąsiedzkich konstelacjach, przysiadają na ławkach, koszach, maskach aut. Pojawiają się krzesła, stoliki, koce. Senator Čubrica, z komórką przy uchu i krawatem zasupłanym bandażowo na przedramieniu, ruchem podbródka skłania Daniela do spojrzenia w dół. Daniel wciska w slipy zimny penis, zapina spodnie, naciąga na głowę kaptur polaru. Przez chodnik i plac, jak daleko sięga wzrok, biegnie

zygzakowa szczelina szerokości opony traktora. Ziemia się trzęsła, ja szczałem. Siada na krawężniku. Siedzi.

Wkrótce po pogrzebie matki zakupił poleconą przez klienta (tego od kliniki w Nowym Meksyku) tygodniową usługę *girlfriend experience*. Dziewczyna była tak sympatyczna, inteligentna i seksowna, że po pierwszej nocy Daniel nalegał już na oddzielne sypialnie; nawet sporadyczne pocałunki i obciągania brukały nastrój. Podróżowali tradycyjnym szlakiem imperium Inków, od Chinchero do Machu Picchu. Jeszcze rok później budził się i zasypiał z taką tapetą wyobraźni pod powiekami: dziewczę w lekkiej bawełnianej sukience na ramiączkach, ze Słońcem za plecami, ogląda się na niego ponad opalonym na czekoladę barkiem, poprzez perlisty wodospad włosów, wskazując z dziecinną ekscytacją jakąś prehistoryczną maskarę z kamienia. Po powrocie zaprzestał ostatecznie stosowania maści i pigułek na łysienie, wyparł wiarę w diety i treningi, wyrzucił dodające wzrostu buty z platformami i wkładkami. Akceptacja naturalnego porządku rzeczywistości wyszła mu na dobre. Przez pewien czas nawet zasypiał bez chemicznego wspomagania. Coś zaczęło się psuć po zmianie terapeutów; dotychczasowy przeszedł na emeryturę, przekazując Daniela w ręce swojej protegowanej, niepokojąco młodej Azjatki, najwyraźniej zdeterminowanej, by Daniela nie tylko leczyć, ale – wyleczyć. Z czego mianowicie? Jak potężna musiała być jej pogarda, skoro wyczuwał ją tak wyraźnie mimo niewzruszonej obojętności porcelanowej twarzy-maski. Daniel szybko rozsmakował się w zapaśniczym masochizmie tej relacji: im silniejszą niechęcią emanowała jego doktor, tym szczerzej i głębiej się przed nią wywnętrzał. Dla nas, przeciętnych i zwyczajnych, masochizm to najłatwiejsza forma eskapizmu. Tylko że tak naprawdę tej szczerości i głębi nie miał w sobie za wiele, po dziesięciu sesjach nie pozostało mu już nic istotnego do wyznania, wiedza Daniela Massny'ego o Danielu Massnym kończyła się na dwóch tuzinach nawyków, kompleksów i przymiotów. Co dalej, co więcej – biały szum. Od dawna chodził zresztą po świecie ze świadomością, że jest człowiekiem nudnym i nieatrakcyjnym, ba!, o tym właśnie mógł snuć przejmujące gawędy z serca królestwa statystyki. Może faktycznie jedyne wyjście to ogłupić się do poziomu konsumentów dwudziestopierwszowiecznej kultury, w której każdy jest „specjalny” i „wyjątkowy”. Tymczasem terapeutka zadawała mu brutalne pytania o historię szczęścia. Czy potrafi sobie przypomnieć miesiąc albo chociaż tydzień, albo dwa–trzy dni, kiedy to był bezwarunkowo szczęśliwy? Nie z dzieciństwa; z życia dorosłego. Daniel z trudem powściągał niedowierzanie. Szczęście *American style*, to błyszczące *happiness* sprzedawane przez niezliczonych agentów przemysłu

rozrywkowego, farmakologicznego, religijnego i edukacyjnego, ono przecież także pochodzi z planety Justina Biebera, Dana Browna i Kim Kardashian. Równie dobrze doktor mogłaby żądać wyznania miłości do krasnali ogrodowych. Zmieniła zatem taktykę. Czy potrafiłby podać taką ramę, taką opowieść, która, nie fałszując niczego w samym Danielu, takim, jakim jest – nadałaby jego życiu ciężar, znaczenie, postawiła je na właściwym miejscu? Nie musi się przy tym trzymać realu. Nie musi uzasadniać, racjonalizować. Wszyscy mamy prawo – obowiązek! – przewyciężyć przypadek swojego urodzenia, transseksualiści dopasowują ciało do wewnętrznej prawdy płci, konwertyci dopasowują religię do osobistego Boga, imigranci dopasowują kraj i język i kulturę do koloru marzeń, niech spróbuje. Czy potrafiłby. Cóż.

Stary poeta śni. Widać przepływy fraz i rytmów pod cienkim pergaminem powiek. Gdy nadchodzi pierwszy wstrząs wtórny, zraniona noga poety spada z prowizorycznej szyny (zrolowanych żaluzji okiennych) i budzi się on z ciętą inwokacją bólu na wargach. *J'bt i ž'ta!* Daniel pomaga mu z powrotem ułożyć się we w miarę bezbolesnej pozie. I już sam znowu musi przysiąc; nadal kręci mu się w głowie. Rozcięcie nad brwią jest płytkie, krew przestała płynąć, obmył je wodą mineralną; ale uderzenie czołem w plastikowy zbiornik musiało być silne, chyba poślizgnął się tam w łazience na płynnym mydle i runął na ścianę całym ciężarem. Podejrzewa lekki wstrząs mózgu. Próbował dodzwonić się do hotelu, do ambasady, na policję, po taksówkę. Wszyscy próbują. Sygnał na dodatek okresowo zanika, Tyrania Złych Ludzi twierdzi, że to od podniesionego pyłu. Mimo tego pyłu, stąd z heksagonu widać osobliwy wzór światła i ciemności rozpięty na Zaproču. W dzielnicach przybrzeżnych w ogóle nie ma prądu. Żółte punkty latarni szkicują geometrię przecnic po północnej stronie alei. Wysokościowce wystające szczytowymi kondygnacjami ponad zebra podgórza migoczą tam reklamami i czerwonymi punktorami autostrad ruchu powietrznego. Na południu – ciemność, ciemność. Tutaj zaś wokół placu światła palą się mniej więcej w co drugim budynku. Część linii zerwały drzewa, osunąwszy się ze stromych zboczy. Trskicze wpadają do wnętrza domów na minutę–dwie, by w sejsmicznym interludium wynieść, co się da: sprzęty, okrycia, jedzenie, elektronikę, kosztowności. Wsłuchują się w rwane komunikaty z samochodowych odbiorników radiowych; Tyrania Złych Ludzi wspomniął o seriach wstrząsów wtórnych. Daniel wyczuwa początek nastroju karnawału. Udomowiono tu katastrofy naturalne. Zdarzają się im tak często, że mają na nie gotowe obyczaje, rytuały wspólnego przeżywania czasu wyjątego z kalendarza prozy – jak na Boże Narodzenie czy Nowy Rok czy mundial. Pod

melancholijnym spojrzeniem zmętniałego Księżyca nabiega to wszystko manierą starego filmu, nie, inaczej, współczesnego filmu udającego wiernie archaiczną kinematografię. Daniel myśli o *Nocy myśliwego* Laughtona, o starych Fellinich. Przeparkowali samochody, włączyli reflektory, głośniki. Małe dzieci uwiązali na długich smyczach jak psy. Najbliższe tej nocy są uda dziewcząt w dzinsowych szortach. Chłopcy powykradali zabawkowe drony, wlatują nimi przez okna do opuszczonych mieszkań, poszukując nieprzytomnych, rannych, podglądając wnętrza domostw sąsiadów, ścigając się i śledząc i bijąc tymi dronami. Są tu w ogóle poważnie ranni? Kudłaty oficjel w szlafroku narzuconym na pomarańczowy dres chodzi od numeru do numeru i robi wszystkim zdjęcia stareńką nokią. Istnieją gotowe sieci społecznościowe, trskie fejsbuki apokalipsy, polinkowane dzielnicami, ulicami, domami, piętami, aby każdy mógł szybko sprawdzić los rodziny i znajomych po następnym trzęsieniu. Gdzieś opodal południowego zebra wzgórz uszkodzona wstrząsami instalacja gazowa potureckiej kamienicy połknęła iskrę i wybuchł tam pożar, wiatr skręca w stronę placu, dym miesza się z pyłem, Księżyc ślepie do siwego bielma. Biją dzwony, w wyższych mrokach łopocze rozbudzone ptactwo. Tę ziemię rozdierano i bito i cięto tyle razy, że w betonie i asfalcie pootwierały się już rany jak stygmaty. Garnitur (złota spinka krawata, nos boksera, opatrunek na uchu) oferuje pocie wnętrze swojego bmw. *Bibil' stvrno počašćnji!* Daniel pomaga przenieść starego z krzesła na fotel auta. Nigdzie oczywiście nie pojedą, sieć tych zygzakowych szczelin, poszerzających się lub zamykających za każdym kolejnym dreszczem skorupy ziemskiej, uniemożliwia ruch kołowy. Jest to czas niedoroślej hipsterii szalejącej na rowerach crossowych – przeskakują jardowe rozpadliny podrywając koła w kaskaderskim wyczynie. Daniel obserwuje młodocianych straceńców z nieco cieplejszego bmw, siedząc w półotwartych drzwiach, ból w ból z poetą, i popijając ziołową nalewkę z osobistego zapasu garnituru. Zrobił staremu lirykowi dyskretnie zdjęcie, chcąc go wygugłać po twarzy, czy to naprawdę tak znaczna tu figura – nie udało mu się, utknął na pierwszej stronie wyszukiwania obrazami. Zbyt wąty transfer. A jednak – nie był wystarczająco dyskretny, poeta widzi, poeta pamięta. Ścisza go za ramię, zagląda w smartfon, zagląda w kaptur. – Przypatrywałem ci się. Mnie zdarzyło się to samo. – Co? Stalin za ojca? – Na to poeta wskazuje pęknięcie w nawierzchni placu, przy prawej przedniej oponie bmw rozchodzące się w piorun dłoń drzewo. Pociąga łyk, bierze oddech. Angielski wymaga odeń dodatkowego skupienia, i może to właśnie wybawia go od bólu. – Życie obok życia. Odkrywasz, że masz drugie, kogo innego. I odtąd biegną one dwa. Obok siebie. *P'rdje, p'rdje*. Ty i ty. A potem jest już tylko

pytanie o ilość. O objętość. Już nie trzęsienie ziemi, już raczej przesuwanie mebli w mieszkaniu. W głowie. Ile pomieścisz. Drugie, trzecie, czwarte życie. Czemu nie? *P’rdje*. Możemy tak, stać nas, mieścimy się w sobie. Ale na początku, to pierwsze rozszczepienie, *razčv’tzje* – widziałem twoją twarz. Ratujcie, ratujcie mnie ode mnie samego. – Daniel nie poddaje się, google znalazło stronę z podobizną wieszacza – fizjonomia kamieniarza, kanalarza, górnika – ale który z tych krzaczastych wyrazów z wielkiej litery to jego imię-nazwisko? – Panu to samo...? Jak? – *Pruč!* Stałem się poetą.

Dym pył mgła noc Księżyc. Wielki ogień. W geometrycznym centrum placu, gdzie ongi stał pomnik, na kwadratowej płycie z pojedynczego bloku granitu usypali stos z połamanymi drzew, zniszczonych sprzętów, papierów wyplutych z okien. Płonie gromko. Wokoło leżaki, koce, śpiwory, krzesła, nawet sofa i hamak – rozwieszony między SUV-em i minivanem. Krążą butelki. Komisarz Unii, pomazawszy twarz popiołem, rozebrany do podkoszulka, odprawia na płycie przed ogniem maoryski taniec bitewny. *Dame Őlbsk*, w czarnych okularach i kaszmirowym szalu, wyciągnięta na leżaku z logo Starbucks, pozwala się cmokać po dłoni mecenasowi Trbačowi. Wszystko jest groteskowe, ironiczne, uniesione pół cala ponad real. Senator Čubrica strzela selfie z podstarzałym gwiazdorem trskiego black metalu, który mieszka gdzieś przy placu. Ratował swój sprzęt, pod postumentem piętrzą się wzmacniacze i gitary i perkusje. Tyrania znalazł tu dla Daniela w miarę czystą pułę. *Dame Őlbsk* częstuje Daniela skrętem z marychą Matki Boskiej. – Tej nocy się narodzi. – Mmm? – Milovoi Strkovski. – Hmmm. – Danielu, Danielu, Danielu. – A Daniel czuje się znowu jak w Pałacu Zimowym, sylwetki Trskiczów miękną w aureoli ognia, rozmywając się w figury dymu pyłu mgły, wszystkie coraz bardziej podobne do jednej postaci, do Iliriosa bez twarzy, wpółodwróconego, wpółludzkiego. Co gorsza, cały Zaproč Daniela nadal się kołysze, trzęsienie ziemi czy trzęsienie mózgu, zdecydowanie nie powinien wprowadzać sobie do organizmu maryjnego tetrahydrokannabinolu. Powinien odespać ten dzień niezdrowych wybryków rekonwalescenta. Jutro o trzeciej dwadzieścia ma samolot. TĘSKNISZ? Rozsmakowani w homeopatycznym masochizmie, nie potrafimy już odróżnić przyjemności od nieprzyjemności. Unosi oczy ku źródłu chochlikowego świergotu i widzi disnejowską dronę kolebiącą się w strumieniu czerwonych iskier nawiewanych od ogniska. Filmuje ich w stereoskopowym wytrzeszczu obiektywów. Półprzytomny redaktor prorządowego dziennika zasiadł za największym z bębnów metalowca i czerwonym damskim pantoflem wybija na nim monotony, otępiający rytm. Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt! – Co za pomnik tu stał? –

A jak myślisz? – Po iżmoju džoint smakuje niczym jaśminowa herbata z miodem. Próbuje spojrzeć *dame* Ōlbsk w oczy, jest to niemożliwe, w czarnych kopolach szkieleł pełgają tylko odbicia płomieni. Trbač stoi za plecami contessy góralskich przemytników i masuje jej kręgi szyjne. Daniel poci się tu niczym w saunie. Rozpina polar, ściąga kaptur. Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt! Jak zębata piła przeciągana po czaszce od ucha do ucha. – Ale dlaczego? Dlaczego ty tak bardzo chcesz go zrobić swoim ojcem? Masz pieniądze. Masz karierę. Na co ci to? – A z ciebie przecież żaden milioner. Adopcje na Zachód z rumuńskich i bałkańskich sierocińców zaczęły się na dobre dopiero po upadku muru berlińskiego. Że w ogóle trafiłeś do amerykańskiej rodziny – to już wygrana na loterii, jak narodziny w rodzinie Rotschildów czy Clintonów. Danielu. Bierzesz na siebie powinność – to nie jest transakcja. Czy matka zawiera umowę z rodzonym dzieckiem: ja cię zrobię, ty mi odpłacisz na starość? Czy o to chodzi? A czy gdyby wiedziała, że dziecko będzie tyran i socjopata – to co? nie jej powinność? A czy gdyby –

Dym pył mgła noc bęben Ilirios dom. Nisko na nogach. Rozkołysany. Precz, precz ode mnie. *A kde greš?* I że wszędzie wokół tylko ten żyletkowy brzękot trskiego. Wszedł z towarzystwa cywilizowanych Europejczyków. I że potyka się co parę kroków. Uważaj! zjedzą cię! Zachłannie rozwarte usta ziemi. I że znowu chce mu się sikać, co on dzisiaj pił, kawę, wino, wino, kawę, kawę, wódkę, mój Boże. Rozkołysany, lewą ręką opiera się o pień drzewa, prawą demoluje rozporek. Park, nie park, kulturalne szeregi sosen i dębów przechodzące w las południowego żebra podgórze. Zapach kory i wilgotnego runa cuci go na moment. Mruga. W kościelnych nawach mroku między pniami mającą nieczłowiecze kształty. Coś szepcze z koron drzew. Wężowe cienie poruszają się w poszyciu. Z wysokości judasza, z odległości pięści wpatruje się w pryszczającego Daniela pojedyncza zimna gwiazda. Daniel odskakuje. Tym razem pamiętał zapiąć spodnie. Rejteruje ku łonom samochodowych reflektorów. Na masce bmw drzemie para tłustych kotów. Stary poeta rozdarł nogawkę i rozżarzoną nad zapalniczką szpilką jadeitowej broszki nakłuwa sobie kolano napuchnięte w fiolecie do rozmiarów i kształtu piłki futbolu amerykańskiego. Cieknie żółtawa maź, poeta klnie z ulgą. Daniel osuwa się bez tchu na tylne siedzenie. Wieszcz oblizuje szpilkę. – Co? – Zna pan? Stary, pomarszczony. Jedno oko, drugie szklane. Służył u niego. Jakaś straż osobista. Orderowany. Potem coś się stało. Słyszał pan? Zna pan? – O, Dziurawiec! Hi hi hi. – Aj, upił się tymczasem pan poeta do reszty. Ale nie. Sięga deski rozdzielczej, kontrolki muzyki, wyszukuje nazwę i tytuł z przepastnych archiwów cyfry. Trski hard rock

wybuchu we wnętrzu limuzyny. Daniel rozpoznaje jedno, drugie, trzecie słowo i dopiero daje wiarę, że Trskicze śpiewają (wyją) po angielsku.

*O, the Hollow Man!,
all the futures run through you,
yet your empire is the loser's lot.*

*You! The Spot-On Man!,
never late and never wrong,
always on time to tie the hangman's knot.*

*O, the Smiling Man!
Ain't you proud of your clown scars?
This is the womb, and the tomb, and the scene.*

*The First and Last Man!,
now's the time to end this farce,
the most lifeless life the world's ever seen.*

Ballada o Dziurawcu. Działo się to w latach radia i pomoru. Słuchaj, słuchaj. Działo się to w latach naszej młodości. Chodziło się na marsze przeciwko bombie. Chodziło się na majówki grochozbiory. Dziurawiec był żołnierz. Dziurawiec był dobry żołnierz, awansował. Nasze sierocińce po wielkiej wojnie – żadnemu Muradowi Bajazydowi Sulejmanowi los nie zesłał tylu chłopców niczych do szkół janczarów. Akademia Lapočky połykała roczniki tysiącami. Bez domów, bez braci sióstr, bez ojców matek, bez klanu. Armia ich klan. Trska ich krew. Pułki niebieskie, od koloru kurtek *kapı kulları*. Pułki Partii, bo poza dozorem oka i ręki ministra. Przysięgali zawsze samemu władcy. Albo socjalizmowi, na jedno. Dziurawiec był dziecko pułku. Gdy nie ma różnicy urodzenia i nie ma różnicy znajomości, decyduje wyłącznie wartość żołnierza. Tak awansują. Dziurawiec awansował. Szeregowy, kapral, chorąży, porucznik, kapitan. Z pułku šernego do pułku zapročkiego. Działo się to w latach bomby i kontrrewolucji. Dziurawiec stoi w warcie honorowej na lotnisku, desperat agent imperialistów rzuca się z bombą na Milovoią Strkovskiego i Josipa Tito, Dziurawiec rzuca się na agenta. Vtrko żyw. Tito żyw. Dziurawiec podziurawiony, bez śledziony, bez oka, w bliźnach. Vtrko bierze bohaterskiego sołdata do swej osobistej straży. Czemu mógłby ufać bardziej niż dobrowolnej ofierze z życia? Słuchaj, słuchaj. Dziurawiec był wierny żołnierz. Zawsze pewny. Zawsze gotowy.

U boku Vtrko na zawołanie, pies przyjaciel. Lecz Vtrko wie: człowiek krucha gałązka. Vtrko widzi: Wieczorni Bracia łamią najtwardsze dęby. Wierność to czerwona płachta dla zdrady. Dokąd Vtrko chodzi, co robi, z kim mówi, gdzie sypia – jakie to skarby zalegają w głowie Dziurawca! Działo się to w czasach przyjaźni z Wielkim Bratem. Vtrko otrzymuje w darze od towarzysza Andropowa najnowocześniejszą magię KGB. Tabletki? Zastrzyki? Syropy? Masz, wypij. Nie stracisz przytomności, nie ubędzie ci siły ni koncentracji. Strzeżesz mnie, strzeżesz pilnie, dzień, noc, dzień. Tylko że potem – zapominasz, co widziałeś słyszałeś robiłeś. Potem – nie twoje już skarby. I Dziurawiec pije, do dna. I służy. I zapomina. I zapomina. I zapomniał. Dziesięć, piętnaście lat dziurawienia sobie mózgu, tak po każdym dyżurze, po każdej warcie i misji poufnej. Wypadają mu przez te dziury twarze, głosy, miejsca, daty, nazwy, imiona. Nie rozpoznaje najważniejszych ministrów. Albo rozpoznaje ich w obcym tłumie. Odzywa się, gdy ma milczeć; a milczy, gdy ma dać głos. Gubi się w labiryntowych pałacach Vtrko. Mówi publicznie do towarzysza Strkovskiego „tato”. Czy naprawdę Vtrko rzekł mu, że jest dlań jak syn? Mógł rzec. A mógł Dziurawiec zapchać luki w pamięci taką słomą fantazji. Dla Strkovskiego bez różnicy. Nadchodzi dzień, gdy widzi, że z Dziurawca już więcej kłopotów niż pożytku, i odsuwa go od służby. Niech sobie siedzi w budce przy bramie i musztruje młodych gwardzistów. Słuchaj! Dziurawcowi pękło serce. Zakrada się do apartamentów Przewodniczącego; jego byli podwładni siłą go odciągają. Wystaje nocami pod oknami Przewodniczącego. Czatuje na rolls-royce’a Przewodniczącego. Desperacja. Żal. Gniew. Zazdrość. Odrzucony. Zdradzony. Wydziedziczony. Czy naprawdę wpuszcza tłum przez bramę Pałacu Zimowego owego listopadowego poranka? Czy też to jego słoma wymysłów i majaków? Bo któż bardziej syn niż ojcobójca? Usiłował się zastrzelić, ale pomylił kaliber naboju do służbowej broni i tylko zaklinował zamek. Wsadzili go do psychiatryka. Słuchaj! Wychodzi Dziurawiec po dekadzie na świat McDonaldów i komputerów. Ma Dziurawiec rentę. Ogląda telewizję. Czyta gazety. I wypełnia sobie dziury jak może. Pisze do stołecznych redakcji długie polemiki. Pikietuje pod parlamentem. Wciska się do studiów telewizyjnych i opowiada przed kamerami Prawdziwą Tajemną Historię Trskiej Republiki Socjalistycznej. On jeden zna sekrety Strkovskiego! Żeby tylko chcieli go wysłuchać! Wszystko było inaczej! Wieczorni Bracia zmanipulowali. Wieczorni Bracia ukradli. Wieczorni Bracia nadal rządzą. Dzieje się to w czasach jutiuba i fejsbuka. Znajdziesz Dziurawca między człowiekiem zjadającym własną nogę, arią Verdiego emitowaną z jelita zapaśnika sumo i lądowaniem Obcych w Pwskiej Popuriży. Dziurawiec nie zważa. Najbardziej wierny – on.

Najpodlejszy zdrajca – on. Jedyne syn – on. Słuchaj Dziurawca! *O, Šplji Čvek!, vse budčnstji vodti kriz vaš, da vaše crstvo je gupn’k dróut.*

Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt! Daniel płynie. Osobliwa drętwota uczuć zatrzasnęła go na dobre w figurze ostrożnie zdumionego cudzoziemca. Jakby wraz z wylewem ballady wieszczą cała ta trskość chropowata – wyobraża ją sobie w postaci szarego granulatu lub szklanej waty – wypełniła go szczelnie, i tak oto został uwieczniony. Odpłynął. Przemieszcza się ponad popękany naskórkiem miasta w symfonicznych tchnieniach wiatru. Sam nie ma woli ruchu, sam jest przedmiot nocy i dymu. Popłynął w stronę kaskaderów rowerowych. Kręcą wokół elipsy ósemki spirale. Daniel podziwia gładkość mięśni nastoletnich łydek. Popłynął ku parze zakochanych wtulonych w siebie na trawniku w cieniu wygaszonej kamienicy. Spija rumieńce z pulchnych policzków dziewczęcia, smakuje koralowy róż gorących płatków uszu. Dmuchało go ku asfaltowym parkingom pod wysokimi latarniami. Na wyniesionych pośpiesznie materacach i leżankach spoczywają tam w konfiguracjach rozgwiazd i wachlarzy starzy, chorzy, ewakuowani, głowa przy głowie, bo tylko kruche jajeczka siwych lub bezwłosych czaszek wystają spod pierzynowej bieli w noc pyłu i ślepego Księżyca, gdy szepczą sobie nawzajem sprośne legendy sejsmicznego dzieciństwa i młodości. Daniel dryfuje swobodnie ponad nimi, łyka bąble pikantnych słów bez samogłosek. Wie, choć nie rozumie. Być cudzoziemcem – jakże szlachetne powołanie. Być cudzoziemcem – najwyższy stopień kultury. Czyżby właśnie takie jego przeznaczenie? Nie rozumieć; przeżywać. Nie przynależeć; lizać świat w prezerwatywie. Nie dotknąć ziemi ni razu; motylować cichutko ponad ciałami i maszynami. A więc to będzie nasze człowieczeństwo na nowy wiek? A mimo schocholenia (szklana wata w czaszce) pojmuje przecież, że wszystko to przez naderwane zdrowie, przez alkohol, zioło i mózg obity. Zwiało go do wielkiego ognia. Tu – *dame* Őlbsk pogrążona w statecznej konwersacji z krytykiem teatralnym i mecenasem Trbačem. Filmują ich dwie drony. Przez głowę Daniela kropelkują leniwe myśli o Wieczornych Braciach. Bo czy nie byłoby to bardzo racjonalne, bardzo amerykańskie wyjaśnienie starań Őlbsk & co.? Nie pieniądze, lecz władza, trudna do przeszacowania władza dysponowania sekretami z archiwów Strkovskiego, odzyskanych na wyłączność z sejfów Zuricha Wiednia Vaduz. Wszyscy ci pracownicy i współpracownicy STZ przyczajeni w cieniu za tronami ministerstw i korporacji... A Őlbsk, chowaniec domu przemytników opozycjonistów podwójnych agentów, czuje się w obowiązku wydrzeć je dla swojego klanu. Czy nie byłoby to wytłumaczenie znacznie bardziej logiczne niż jej sentymentalne bajania o powinności wobec ojca? Tak logiczne, że wprost z ust

Dziurawca. I znowu: po twarzy cudzoziemca przemyka zaledwie cień zdumienia, iż oto tubylcy usłyszeli i zrozumieli jego myśli. Czy mówił na głos? Mówił na głos. – Pan Massny nie podpisze jednak listy berlińskiej. – Pan Massny nawet nie wie, co to jest lista berlińska. I czy pana Massny’ego interesuje? Płyńcie. Nie płynię, złapali go, zakotwiczyli, usadzili na plastikowym siedzisku, jakby koszu, jakby fotelu dentystycznym, tuż po lewicy *dame* Őlbsk, proszę, syn i córka Milovoia Strkovskiego w szczerej i spontanicznej rozmowie w noc trzęsienia ziemi, i jakaż inscenizacja stylizacja dramatyzacja mogłaby się równać z tymi plamami krwi, z tynkiem we włosach, z całą tą scenografią festynu i wojny, jaka telewizyjna oprawa – z soundtrackiem pijaka walącego butem w bęben? Choćby sto lat knowali, nie sprokurowaliby takiej prawdy. Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt! To biskupi trscy, znalazłszy finansowanie u niemieckich przemysłowców, namawiają genetycznych potomków Milovoia Strkovskiego, by zrzekali się praw do jakiegokolwiek spuścizny w zamian za okazałą sumę do ręki. Bezrobotni, zasiłkowcy, emeryci chętnie podpisują listę; podpisała już ponad połowa bękartów znanych kancelarii H&T. A dlaczego to akurat biskupów interes? – Trzy są profesje otoczone tak czułą opieką władzy: dziennikarze! duchowni! trenerzy piłkarscy! – I śmiech, siarczasty śmiech bucha snopami gorących iskier. Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt! Gdy zaś na moment odzyskuje Daniel ciało i ciężar, przebija się do jego obolałych płatów skroniowych świadomość, że oni wszyscy bawią się tu nim okrutnie, że jest nie więcej niż kukłą, pacynką, wyciętą z kartonu atrapą syna. Przesuwają ją i obracają i naginają, bliżej światła, profilem do płomieni, wyżej, niżej, tak dobrze, tak źle, tak najlepiej. Tyrania Złych Ludzi naciska paznokciem na lewą brew Daniela, aż z rozcięcia na czole z powrotem broczy krew. Podwijają mu rękawy polaru. Senator Čubrica wciska między palce zapalonego iżmoja. W drugą dłoń Tyrania Złych Ludzi włożył brudną kulkę. Daniel z sennym zdziwieniem kontempluje w swej wiotkiej garści ów kamyk obwinięty zmiętym brązowym papierem. Na betonie wokół wyrysowali różową kredą ptaki z połamanymi skrzydłami; to też coś znaczy, musi znaczyć. Őlbsk kładzie opierścienione palce na jego przedramieniu. Nachyliwszy się poufale, krytyk teatralny dopytuje o dorastanie Daniela Massny’ego w miasteczku w Teksasie. Czy miał wiele dziewcząt? Czy to prawda, że w szkole średniej trenował zapasy? Jak mu się podoba w Trskiej? Kibicuje Sparcie czy Motorowi? Bbbkt!, bbbkt!, bpkrrrt!

Cudzoziemiec świadczy, cudzoziemiec nie doświadcza. Nawet kolejnego wstrząsu – który złamał w skos płytę-postument, pożarł połowę operowego ogniska i obalił perkusję wraz z redaktorem – Daniel ledwie posmakował rąbkiem

swych zmysłów. W rozfalowanym chaosie-hałasie umyka mu także moment, kiedy to podniosło go i poniosło i zniosło – na południe, przez plac, aż do latarni parkowych i w cień drzew. Co to za siła? Czyja to wola? Dopiero zatrzymany bolesnym szarpnięciem za drugą wartą sosen, mrugając (lewe oko krew), rozpoznaje rękaw sztruksowej marynarki, rozpoznaje srebrny błysk szklanej tęczówki, surowe oblicze miliona zmarszczek. Dziurawiec mówi do Daniela. Daniel nie rozumie. Stoją na uspokojonej ziemi, niski wysoki, gruby chudy, młodszy starszy, półślepy półślepy, rodzony szalony. Dom powrót obrót mięso procesja miara miecz brama. Zniecierpliwiony Dziurawiec sięga w końcu do kieszeni Daniela, jednej, drugiej, znajduje smartfon, palcuje po ekraniku, bezskutecznie, tylko jeszcze bardziej się niecierpliwiąc, no masz, no włącz. Daniel otwiera brztwę. Co mówi szaleniec? *PRZYBYŁEM WYBAWIŁEM*. Daniel kiwa głową. – *Ilirios is calling. – ZMARNUJĄ TRYUMFY OJCA NASZEGO. SPRZEDADZĄ W NIEWOLEĘ KRAJ I RÓD, IMIĘ UTOPIĄ W NIECZYSTOŚCIACH. NA PASTWĘ PADLINOŻERCÓW WYDANI. A NASZ JEST STÓŁ I UCZTA. POWIEDZ!* – *Right. Motherfuckers. – ODBIERZ KLUCZE. SŁODYCZ OBCYCH ZATRUJE CIĘ. ZATRUJE! MASZ OBOWIĄZEK. URODZIŁEŚ SIĘ. – D’you see her ankles? And it’s so cold in Europe. – URODZIŁEŚ SIĘ. POWTÓRZ. – Just not to think, not to do anything, you know, just to, to, to not be. – POWTÓRZ! – I was born.*

– *Mister Massny! Mister Massny!* – Nadchodzi Tyrania Złych Ludzi. Masz obowiązek. Zamykasz brztwę, języki cofają się w mrok. Dziurawiec łypie cyklopowo. Dojrzał ruch ciemnej sylwetki w pierwszej linii drzew i odpycha cię, zastępuje drogę Tyranii. *T’be ne vod proč mje! Nšto proč mje!* Odepchnął. Oddalasz się. Zapadasz. Głębiej, między zarośla i kolczaste gałęzie sosen, w szorstkie objęcia roślin. Jeszcze w prześwicie między nimi mignie żołnierz Dziurawiec stający ostatnią zaporą przeciwko Tyranii. Krzyczą na siebie. Lecz głosy bliźnich szybko giną między pniami. Podążasz drogą najmniejszego wysiłku, toczysz się jak kulka w pinballu, raz pchnięta – w dół, w dół, w dół. Szept w koronach brzmi niczym spowiedź wisielców na wietrze. Zimne palce ziemi masują ci nogi. Słyszysz jeszcze swój oddech. A więc dyszysz. A więc uciekasz. A więc! W miasto. Na aleje. Na chodnik. Gdzie rozpuszczony w lepkiej zawieszynie mgły pyłu dymu bieda-Księżyc ledwo wyświetla Zaproć, zachodząc. Ale jeszcze wyświetlił na płytach chodnika te tuziny węży – żmij i żmijowych pobratymców – wygonionych z podziemnych gniazd kolejnym nawrotem drzeń gruntu. Pełzną przez chodnik, asfalt, kamień, trawniki i klombiki, a ty za węzami. Ty w dół. Tylko dźwięki niosą się przez ten rzadki kisiel z ostrością sopranu

w pustej świątyni. – *Mister Massny! Let me help you!* – Tyrania Złych Ludzi jest coraz bliżej. Biegnij! Kulejąc. Dysząc. Płynąc. I płyną wokoło artretyczne architektury cesarza heretyków piratów. Płyną smugi reflektorów. Płyną dźwięki maszyn i zwierząt. Tramwaje? Dorożki? Czołgi? Płyną kroki nieznajomych, kroki niczym oklaski płetw rekina. I niskie, namiętne wibracje spoconego żelastwa. I śmiech dziecka, bawiącego się w chowanego z nocą. I cień ociężałego ruchu, jak wojska, jak tłumu, jak lawiny. – *Mister Massny! We're going to finish it anyway!* – W dół, aż już nie ma nic poniżej, tylko murek, ciemność i chlupot fal. Dotarłeś do portu, do wyślizganych stopni nabrzeża, plastikowy kościotrup klekocze w zardzewiałej klatce, syreny statków kołyszą ryby do snu. Schować się za tym murkiem. Murek za niski. Tyrania Złych Ludzi krąży woła szuka kusi. Schować się, zniknąć. Po schodkach, jeszcze niżej, w cień nawisu portowego bulwaru, gdzie uderzyło dziś małe tsunami. Na kamienie falochronu. Usiądź. Spocznij. Na satynie oślizłych wodorostów, na kobiercu zgnilizny. Tu już tylko chlupot morza, zapach morza, oddech morza. Oddech. Oddech. Oddech. Jutro wyjeżdżam. Nie mogą mnie zmusić. Skończy się. Nic nie podpisałem. Nic nie powiedziałem. Nic nic nie, ja nic, *nšto mje, nšto ne, ne ne ne*.

6.54 AM i pierwsze spojrzenie Słońca uwiecznia Daniela Massny'ego w pozie nieśmiałego łowcy nieba, jak z komórką uniesioną nad głowę, wyciągnięty na palcach piruetowo, blisko przy ścianie, by nie zdradzić się przed miastem, czeka mocniejszego podmuchu wiatru i fal radiowych. Niech spadnie ostatni opar nocy. I wtedy nareszcie otwierają się mu mapy aplikacji poczty alerty, a w co drugim esemesie i e-mailu – link do jutiuba trskiego. Którego oczywiście nie rozumie. Na tym filmie, rozniesionym już na pół internetu, przetacza się Daniel po podłodze celi STZ, dusząc kopiąc bijąc przesłuchiwanego obcokrajowca, w cieniach szalejących od chybotu samotnej żarówki, w kałużach rzygowin i krwi, zarośnięty, spocony, dziki, mały grubas zacięty do despotycznej furii, i gdy pulchne pięści wyciskają z bladzieńca ostatnie krople tchu, spod ekranika trzeszczy charkotliwy śmiech Daniela Massny'ego. Którego Daniel także nie rozumie, wie, lecz nie rozumie, niczego poza tym jednym wyrazem powtarzanym w tytule i komentarzach – *Strkovski Strkovski Strkovski* – tym bardziej więc się nie poruszy, schocholony, wpatrzony w podniebny prostokąt aparatu, tu na falochronie, z którego odpływ spełzał tymczasem niżej i niżej, odsłaniając kształty owych gigantycznych głazów, i tego, na którym stoi Daniel, i tych wyłanianych spod wody wokoło, tak jak je stoczono w dół alei z całego Zaproču i zrzucono w morze, korpusy, ręce, głowy ponadludzkich posągów, cztery, osiem, tuzin głów, i kolumnowe ramię z granitu z maczugowym kułakiem zaciśniętym

przeciwko Słońcu, i dwudziestojardowy tors, glonowe pastwisko orderów, i wcale nie jest ze wszystkich największe megalitowe czoło Vtrko Naccju, pomarszczone, zarosłe troskami i algami, z którego syn wybija się rozpaczliwie ku swojej wieczności.

listopad 2016 – styczeń 2017

Copyright © by Jakub Małecki, Wit Szostak, Łukasz Orbitowski, Andrzej Muszyński, Michał Witkowski, Ziemowit Szczerek, Wojciech Engelking, Michał Cichy, Jacek Dukaj

Projekt okładki: Wojtek Kwiecień-Janikowski

Fotografie na okładce: J. Małecki, W. Szostak, Ł. Orbitowski, A. Muszyński, M. Witkowski, Z. Szczerek, W. Engelking, M. Cichy - Mikołaj Starzyński, J. Dukaj - Agencja T. Anna Zemanek

Redakcja: Joanna Stryczyk, Waldemar Kumór

Korekta: Małgorzata Denys, Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi

Skład i łamanie: Jarosław Sokołowski

Menedżer wydawniczy: Bernadetta Byrska

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

02-672 Warszawa

ul. Domaniewska 52

www.ringieraxelspringer.pl

ISBN 978-83-8091-301-1

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl